



Liz Carlyle

Uwikłana

Carlyle Liz

MacLachlan Family 05

Uwikłana

W życiu każdej chyba kobiety przychodzi taka chwila, kiedy uświadamia sobie, że wszystko, czym się kierowała - jej duma, cnota czy też rozsądek - naprawdę nie są warte, by się ich kurczowo trzymać. A może po prostu napotyka coś, dla czego warto porzucić dawne zasady.

Grace Gauthier po śmierci rodziców przyjęła posadę guwernantki w domu owdowiałego przemysłowca Ethana Holdinga, a wkrótce także jego oświadczyły, licząc na to, że zazna rodzinnego szczęścia. Tymczasem Ethan ginie w dramatycznych okolicznościach, zaś Grace jest podejrzana o morderstwo. Pragnąc znaleźć złoczynię, i tym samym dowieść własnej niewinności, Grace szuka wsparcia u dawnego przyjaciela swego ojca. Nie zastaje go jednak pod wskazanym adresem Towarzystwa Świętego Jakuba. W jego zastępstwie pomoc oferuje jej markiz Ruthveyn, przystojny, mroczny jak noc i obdarzony niezwykłymi zdolnościami. Wystarczyło jedno spojrzenie, by pragnął chronić Grace przed niebezpieczeństwem... i nie przestał jej pożądać.

Wstęp

Przybycie Strażników

Paryż, rok 1658

Mgła opadła na Marais w ciszy, niby cieniutka gaza, miękko wypełniająca brukowane uliczki i większe aleje. Paryskie lampy wzdłuż Sekwany jedna za drugą zaczynały świecić bladym, żółtawym światłem, ledwo rozpraszającym nocny mrok.

Nie miało to specjalnego znaczenia. Burze szalejące nad Marais przez trzy dni i noce zmusiły ludzi i zwierzęta do poszukania schronienia pod dachem. Nikt nie słyszał rozlegającego się we mgle odgłosu końskiego tętentu, który z początku był ledwie zauważalny. Stopniowo jednak stukot końskich kopyt narastał, powoli przeradzając się w kakofoniczny brzęk i huk, którego ani noc, ani śmierć nie mogły stłumić. Wąska uliczka Świętego Pawła po brzegi wypełniła się pokrytymi pianą, ociekającymi potem końmi.

Wzdłuż całej ulicy zaskrzypiały ramy okienne i załomotały okiennice, gdy stateczni obywatele wychylili się z okien, aby zobaczyć, co to za armia na nich najechała. Ale jeźdźcy przemknęli tak szybko, jak się zjawili i pokłusowali drogą wiodącą wzdłuż rzeki, mijając Hotel de Sens, po czym wjechali na Most Marii, żeby przekroczyć Sekwanę i zniknąć w ciemnościach.

Ci, którzy widzieli konnych, szeptali potem, że nie byli to ludzie, że obszerne kaptury przesłaniały blade kości i rozjarzone oczodoły, że trzymające lejce ręce pozba-

wionę były ciała, że jeźdźcy, którzy przegalopowali podczas burzy przez spokojne ziemie île Saint-Louis, byli posłańcami samego diabła, i że wszystko, co wydarzyło się później, było po prostu sprawiedliwą karą.

Po drugiej stronie Mostu Marii jadący na czele diabelskich sług mężczyzna zatrzymał swojego rumaka, parszającą masę mięśni i energii, i jednym płynnym ruchem zsunął się z siodła. W powiewającym, czarnym, wełnianym płaszczu ruszył poprzez błoto i zarośla w stronę starego, kamiennego domostwa i z całych sił zastukał w drzwi. Tak jak oczekiwał, w środku domu łomotanie dó drzwi było słyszane aż za dobrze. Zresztą już znacznie wcześniej zauważono jeźdźców i domyślono się celu ich przybycia. Drugi jeździec zsiadł z konia, wysoko unosząc zapaloną pochodnię.

- Są w środku?

- Tak. Śmierdzi zdradą - odparł jeździec. Ponownie załomotał. - *Ouvre-moi!* Otwieraj, ty podły psie! W imieniu *Fraternitas Aureae Crucis* żądam, żebyś otworzył!

Jego słowa musiały mieć wielką moc, bo zwichrowane, popękane drewniane skrzydło uchyliło się na skrzypiących zawiasach. Służące za klamkę zardzewiałe żelazne kółko zabrzęczało bezsilnie, gdy drzwi się zatrzymały.

- *Oui?*

- Dar - ryknął jeździec, opierając ogromną dłoń o futrynę. - Przyjechaliśmy po Dar.

Okragłolicy zakonnik w ponurym, brązowym habicie spojrział na intruza z gorączkowym podnieceniem.

- Natychmiast! - wrzasnął jeździec, opierając drugą rękę na głowni miecza.

Zakonnik potrząsnął głową.

- *Je ne sais pas ce que vous voulez!*

- Jesteś przeklętym kłamcą. - Słowa wypowiedziane zostały jadowicie spokojnym głosem. - Chcę dostać Dar, człowieku. Natychmiast. Bo jeśli nie, to klnę się na wszystko co święte, że zwiążę ci ręce i zawlokę do kościoła Świę-

tego Pawła przed trybunał naszych jezuickich braci. I co wtedy będziesz miał na swoją obronę? Zakonnik gwałtownie wykrzywił twarz.

- *Très bien* - warknął, plując śliną. - Ale ten grzech spadnie na twoją głowę!

Nie ruszał się jednak. Jeździec stał zdecydowany, w milczeniu, gwałtownie zaciskając dłoń na mieczu.

- Ślubowałem miłować Boga, a nie pokój. Lepiej zrobisz, jeśli mnie posłuchasz - powiedział.

Zakonnik wziął głęboki oddech, odsunął się od drzwi, przez chwilę szukał czegoś w mroku, po czym wrócił ze sporym tłumoczkim przy boku.

Jeździec pochylił się i ponad kamiennym progiem pospiesznie rozchylił fałdy wełnianej tkaniny, spomiędzy których wyjrzała maleńka, zaspana buzia, otoczona burzą ognistorudych włosów, z piąstką przyciśniętą do ust.

- Nie, Sybillo! - łagodnie odezwał się jeździec. - Nie wsadzaj palca do buzi, dziecinko!

Wyciągnął ręce do dziecka. Jego wysokie skórzane buty zaskrzypiały w ciszy.

Ale w ostatniej chwili zakonnik zawahał się i zrobił krok do tyłu, w mrok.

- *Imbécile!* - wysyczał. - Pomyśl, co robisz! Ona jest *le antéchrist!* Piekielnie pożałujesz tego dnia!

- Jedyne dziecko, jakiego żałuję, to ten, kiedy przepadła i trafiła tutaj - powiedział jeździec, kierując się na zewnątrz.

Zakonnik splunął na kamienną podłogę, prosto pomiędzy swoje buty.

- Ale teraz wracamy - mówił dalej jeździec, wyciągając miecz. W ciemnościach rozległ się brzęk stali.

- Pozostaje już tylko ostatnie pytanie, *mon frère*. Czy Pan Bóg pozwoli ci żywemu zobaczyć, jak odjeżdżamy?

Rozdział pierwszy

Tylko dobrzy ludzie umierają młodo

Londyn, rok 1848 Krew. Wszędzie krew.

Nie bacząc na szepty i ciche, szybkie kroki wzdłuż przejścia, Grace Gauthier uniosła do góry ręce i w świetle migoczącej lampy gazowej zaczęła się im przyglądać w milczeniu, beznamyślnie. Miała wrażenie, że palce i dłonie, a nawet zniszczone mankiety nocnej koszuli, należą do kogoś innego. Z gabinetu po przeciwnej stronie korytarza dobiegły ją stłumione szepty.

- Chyba jest w szoku.

- Tak. A tamten człowiek umarł, gdy tylko upadł na dywan.

Grace wzdrygnęła się.

Czy cierpiał? Miała nadzieję, że nie. Opuściła ręce, zamknęła oczy i oparła się plecami o ścianę saloniku, żeby powstrzymać drżenie. Uświadomiła sobie jednak, że to dygotanie, rozprzestrzeniające się w głębi jej ciała, trudno będzie opanować.

Gdzieś na dole płakała jakaś kobieta. Przecież to ona powinna była płakać. Czemu nie płakała?

Dlaczego nic nie mogła zrozumieć?

- Panno Gauthier?

Głos dochodził jakby z dystansu, zniekształcając jej nazwisko. Grace to nie obchodziło. Miała wrażenie, że

znajduje się w tunelu, daleko, bardzo daleko od tego chaosu. Ale to nie była prawda. Ona była tutaj, a Ethan odszedł. I właśnie to wszystko już wkrótce stanie się aż nazbyt realne. Wiele miesięcy spędzonych na polach bitewnych Afryki Północnej nauczyło ją, że uczucie odrętwienia w obliczu śmierci dawało jedynie przelotną ulgę.

- Panienko? - ponownie rozległ się głos.

Był to głos mówiący niezbyt wyrafinowaną angielszczyzną. Jednak nie przypominał głosu Ethana. Nie miał w sobie szorstkiej pewności siebie jak u człowieka, który sam się dorobił wszystkiego.

- *Oui?* - Grace zmusiła się do otwarcia oczu. Mocna, ciepła dłoń wsunęła się pod jej ramię.

- Obawiam się, że będzie pani teraz musiała udać się ze mną do biblioteki.

Oderwała się od ściany i odrętwiała ruszyła wraz z nim korytarzem. Jak się nazywał? Potężny, rumiany na twarzy mężczyzna, który teraz tak mocno trzymał ją za ramię, przedstawił się jej, gdy wpadł do gabinetu Ethana. Po raz drugi podał jej swoje nazwisko, kiedy odciągał ją od ciała i łagodnym, uspokajającym głosem przemawiał do niej jak do dziecka.

Albo jak do obłąkanej.

Ale nazwisko uleciało jej z pamięci, podobnie jak opuściła ją wszelka nadzieja. A teraz pospiesznie prowadzi ją obok gabinetu, gdzie cicho rozmawiali ze sobą mężczyźni ubrani w niebieskie mundury z mosiężnymi guzikami, a potem w dół, kręconymi schodami. Powiew świeżego powietrza z szeroko otwartych drzwi wejściowych rozwiewał brzegi jej narzutki. Łkanie rozlegające się wewnątrz domu przerodziło się w głębokie, nieludzkie wycie.

Zawahała się, opierając rękę o filar schodów, zimny jak ciało Ethana.

- Powinnam pójść, poszukać Fenelli... panny Crane - szepnęła.

Ale mężczyzna zignorował jej słowa.

- Jeszcze tylko parę pytań, panienko - rzekł, nie zwalniając kroku - a potem...

Jego słowa przerwało pojawienie się kolejnego mężczyzny. Grace pomyślała, że to już chyba czwarty.

A może czterdziesty. Była zbyt wstrząśnięta, żeby liczyć.

Jednak w przeciwieństwie do pozostałych ten człowiek nie był umundurowanym funkcjonariuszem.

Prezentował się elegancko, jakby wybierał się do teatru. W czarnej, operowej, sięgającej do kostek pelerynie wyłonił się niczym widmo z londyńskiej mgły. Wszedł po schodach, przez otwarte drzwi, po drodze ściągając rękawiczki z koźlęcej skóry, jakby był właścicielem całego domu i wszystkich osób w nim przebywających.

Niestosowność jego wyglądu i zachowania w końcu doprowadziły Grace na krawędź hysterii. Ethan leżał nieżywy w kałuży krwi za biurkiem w swoim gabinecie, a cała reszta Londynu zajmowała się własnymi sprawami? Jak można było wybierać się do teatru?

Mężczyzna zręcznie ominął stos bagaży złożonych w holu wejściowym i skierował się w stronę Grace. Rozległ się odgłos jego energicznych kroków na marmurowej posadzce.

- Dobry wieczór, panie komisarzu.

Człowiek eskortujący Grace wyprostował się i wsunął pod pachę wysoki kapelusz.

Mężczyzna zatrzymał się parę kroków od nich i omiótł Grace szybkim spojrzeniem.

- Dobry wieczór, Minch. Czy to jest panna Gauthier? Wypowiedział bezbłędnie jej nazwisko - Go-tie

- jakby był rodowitym Francuzem.

- Tak, proszę pana - odpowiedział Minch. - Czy kapitan poinformował pana, co się stało?

- Nie było potrzeby. Sir George uznał, że osobiście wyciągnie mnie z opery.

Mężczyzna - komisarz, albo ktoś taki - pochylił głowę, żeby spojrzeć w oczy Grace.

- Panno Gauthier, przykro mi z powodu pani straty. Rozumiem, że zmarły był pani narzeczoną.

Grace usiłowała wytrzymać jego lodowate spojrzenie.

- *Oui*. Ja... my... - Nagły przyptyw bólu i przerażenia niemal ją zadławił. - My... zaręczyliśmy się.

Mężczyzna przejął dowodzenie.

- Obecny tu sierżant Minch zaprowadzi nas do saloniku, gdzie będziemy mogli swobodnie porozmawiać. Czy mogłaby pani pójść za nim? - powiedział.

Było to pierwsze polecenie wydane Grace, które nie zabrzmiało jak wojskowy rozkaz. W rzeczywistości zabrzmiało znacznie bardziej niebezpiecznie. Ujął ją pod ramię i już po chwili siedziała przy kominku w ulubionym fotelu Fenelli, ze szklaneczką brandy, którą jej wciśnięto do ręki.

- Proszę to wypić.

Gdy po chwili uniosła wzrok, stwierdziła, że znajduje się zupełnie sama z ciemnowłosym mężczyzną o ostrym nosie. Odłożył na bok swoją pelerynę i rękawiczki, i przyglądał się jej intensywnie.

- Gdzie jest panna Crane? - wyszeptała, skubiąc nerwowo poplamione krwią mankiety bluzki. -

Powinam... powinam się przebrać i pójść do niej.

Komisarz odwrócił wzrok.

- Bardzo mi przykro z powodu pani straty, *mademoiselle* - powtórzył. - Rozumiem, że kufry i walizy w korytarzu należą do pani?

Grace oblizwała wargi i poczuła na nich smak brandy. Nawet nie pamiętała, że ją wypić.

- Tak, wybierałam się do ciotki, żeby Ethan, to znaczy pan Holding, mógł jutro przesłać zawiadomienie do gazet - udało jej się powiedzieć.

- Zawiadomienie? - Zmrużył oczy. - O zaręczynach? -Tak.

Głos jej się załamał.

- Jego rok żałoby... ten rok się właśnie skończył.

A dla niej rok żałoby właśnie się rozpoczął - po raz kolejny.

- *Mademoiselle*, obawiam się, że nie mogę pani dziś pozwolić na zabranie bagaży - powiedział komisarz.

- Dziś? - Grace zamrugła. - Dlaczego? Przecież nie miałam takiego zamiaru.

Przez chwilę spoglądał na nią w milczeniu, rytmicznie przesuając jeden palec po brzegu skórzanej teczki, która balansowała na jego kolanach. Patrząc na niego, Grace, która czuła, że powoli wraca do siebie, nagle uświadomiła sobie, że stało się to, czego Ethan obawiał się najbardziej. Skandal.

Podejrzenia. Brzydkie okruchy niezbyt eleganckiego życia. Sprawy, których były kupiec o towarzyskich aspiracjach nie śmiałyby przenieść przez próg świętych, białych bram rezydencji w Belgravii. Wszystkie wysiłki Ethana, żeby pasować, żeby stać się człowiekiem z towarzyskiej elity, spełzłyby na niczym.

I nagle sobie przypomniała. Teraz nie miało to już żadnego znaczenia.

Tymczasem komisarz coś mówił.

- Jedna ze służących zostanie wyznaczona, żeby przepakować pod kontrolą te rzeczy, które będą pani potrzebne przez kilka najbliższych dni. - Czy ma pani jakąś rodzinę w Londynie? Gdzie wybierała się pani jutro rano?

- Do mojej ciotki - odpowiedziała zdziwiona. - Lady Abigail Hythe na Manchester Square.

- Hythe. - Przez chwilę zastanawiał się nad tym nazwiskiem, ale nic mu się nie skojarzyło. - Cóż, muszę panią prosić o wyświadczenie mi uprzejmości i przeanalizowanie wraz ze mną ostatnich wydarzeń. Potem, gdy się pani przebierze i będzie miała spakowaną walizkę, sierżant Minch zaprowadzi panią do domu ciotki.

Po raz pierwszy tego wieczora Grace w pełni uświadomiła sobie koszmar bycia ubraną w nocny strój w otocze-

niu tych wszystkich obcych mężczyzn. Pomimo odczuwanego zakłopotania wystarczył jej jeden głębszy oddech, żeby zrozumieć, co sugerował komisarz.

- Mam się wynieść jeszcze dziś? - zapytała ostrym głosem. - Ależ to niemożliwe! Dzieci będą mnie potrzebować. Panna Crane będzie pragnęła mojego towarzystwa. *Mon Dieu*, panie komisarzu, dzieci straciły ojca, a panna Crane brata. Bez względu na moje uczucia nie mogłabym ich zostawić w takiej chwili.

Przechylił lekko głowę na bok i uważnie spoglądał na nią oczami o barwie zimnej szarości, jakiej Grace nigdy wcześniej nie widziała. Wwiercał się w nią wzrokiem. I wtedy poczuła to po raz pierwszy. Ten lekki dreszczyk strachu, chłód, który przebiegł jej po grzbiecie.

W niezrozumiały sposób ta świadomość dodała jej odwagi. A może było to oburzenie. To prawda, że Ethan nie żył. Ale nawet w najtrudniejszych chwilach nie upadała na duchu. Była przecież córką kapitana, na miłość boską! Nie czuła strachu - nie mogła się bać zwykłego urzędnika.

- *Monsieur* - rzekła sztywno - przed chwilą porządny obywatel i przyjaciel rządu Jej Królewskiej Mości został zabity z zimną krwią. Sądzę, że policja ma ważniejsze powody do zmartwienia niż to, gdzie nic nieznacząca guwernantka prześpi się tej nocy. Naprawdę spodziewałabym się, że w ciągu godziny każdy pracownik Scotland Yardu wyjdzie na ulice miasta.

- Och, jestem w pełni świadom, jak ważnym obywatelem był pan Holding, proszę pani - odparł komisarz. - Gdybym nawet tego nie wiedział, to wieczorna wizyta, jaką był łaskaw mi złożyć minister spraw wewnętrznych, niewątpliwie by mi wszystko wyjaśniła.

Energicznie zerwała się na nogi.

- Doskonale - stwierdziła. - Ma pan wiele do roboty. Ja zaś muszę się umyć, przebrać i zaopiekować Fenellą i dziećmi. Naprawdę, *sir...* przepraszam, ale nie zapamiętałam pana nazwiska...

- Napier - powiedział, nie podnosząc się, co stanowiło okropne naruszenie etykiety. - Komisarz Royden Napier, z Policji Metropolitalnej. A teraz proszę usiąść, *mademoiselle* Gauthier.

Grace się wyprostowała.

- Zajmie mi to tylko parę minut - rzekła, starając się mówić jak najwynioślej. - Obawiam się, że muszę na to nalegać.

Zawahał się jedynie przez chwilę, jakby waży! coś w myślach.

- Bardzo mi przykro, *mademoiselle* - powiedział - ale nie może pani jeszcze się oddalić, nie może pani pójść do siostry narzeczonego. Zaleciliśmy, żeby nikt, z wyjątkiem jednej czy dwóch osób ze służby, nie zostawał tu dzisiaj w nocy. Musimy przeprowadzić rozmowy, zebrać zeznania i przeszukać dom w celu znalezienia obciążających dowodów zbrodni.

- Dowodów? - zapytała Grace. - W domu? Ależ złodziej musiał przyjść z zewnątrz, prawda? Jakiś włamywacz? A dzieci? Kto je pocieszy?

Coś przypominającego współczucie pojawiło się na jego twarzy.

- O ile wiem - tu zajrzał do swojej teczki - pani Lester, siostra ich zmarłej matki, przyjedzie po dzieci i zabierze je do swojego domu na wsi, pod Rotherhithe. W tej sytuacji byłoby więc najlepiej, *mademoiselle*, gdyby wyjechała pani do ciotki zgodnie z wcześniejszym planem.

- Dziś wieczorem?

- Tak, *mademoiselle*. - Wciąż gładził palcem skórzaną teczkę. - Dziś wieczorem.

Grace wreszcie zrozumiała, co zostało niedopowiedziane. Nie chodziło o żałobę czy o współczucie ani też o to, co mogła widzieć. Ten człowiek jej nie ufał. Może była nawet - Boże, dopomóż - podejrzaną!

Grace drżącą dłonią ujęła szklanekę i wypila resztkę brandy.

Uczucie strachu powróciło.

* * *

Gdy nad Westminsterem wstawało słońce, Adrian Forsythe, lord Ruthveyn, odchyłał do tyłu głowę, aby umożliwić kamerdynerowi ogolenie resztki ciemnego zarostu pod brodą, z nadzieją, że tym razem ręka służącego zadrży i poderżnie mu gardło.

Jednak wizję tę zakłóci! brzęk ostrza brzytwy, którym Fricke przeciągnął po brzegu miski, żeby je oczyścić.

Niestety, nie dzisiaj.

Ruthveyn wyprostował się na fotelu i przyjął zmoczony w gorącej wodzie ręcznik, który podawał mu Fricke.

- Mów dalej, Claytor - rzucił w stronę swojego sekretarza, jednocześnie wycierając sobie twarz. - Co jeszcze złego wydarzyło się w ciągu ostatnich dwunastu godzin, poza dwoma wybitymi oknami, skaleczeniem Teddy'ego i tym drobnym incydentem z komornikiem?

Claytor stał w otwartych drzwiach sypialni, nadal ściskając kapelusz w dłoniach.

- Co jeszcze? - powtórzył sekretarz. - To chyba dość, prawda?

- Możesz więc odejść.

Ruthveyn cisnął ręcznik i wydobył swoje smukłe ciało z fotela.

- Powiedz Anishy, że mam nadzieję wrócić do domu na obiad. Wtedy obejrzę Teddy'ego.

- Dobrze. - Claytor nadal miał w dłoniach kapelusz. - Ale... ale komornik przyszedł wczoraj, *sir*. A dzisiaj jest... no, dzisiaj.

Markiz zrzucił z ramion szlafrok. Nagi do pasa, z nie-dopiętymi spodniami, wyciągnął rękę, żeby wziąć czystą koszulę, którą Fricke właśnie położył na łóżku. Wiedział, do czego nawiązuje sekretarz, i nie podobało mu się to.

- W czym problem, Claytor? - zapytał w końcu. Oczy sekretarza rozbliły.
- Zrobiłem co mogłem, *sir*. Poleciałem Ballardowi wezwać szklarza i założyć szwy Teddy'emu, ale co mam począć z tą sprawą? Co z lordem Lucanem?
- Niech gnije - zasugerował, wkładając koszulę przez głowę.
- A... ale w więzieniu? - wyjąkał Claytor.
- Każdy młody człowiek musi się nauczyć żyć na miarę swoich dochodów - stwierdził markiz, zapinając kołnierzyk i mankiety. - Po prostu wolę, żeby mój brat dowiedział się o tym jak najwcześniej.
- Ależ, *sir*, pańska siostra odchodzi od zmysłów! Naprawdę, lady Anisha płakała! Nie ma pan pojęcia, jak to wyglądało. Nie było tam pana wtedy.

Nie było tam pana wtedy.

Te słowa przez chwilę zawisły w powietrzu. Zawierały w sobie lekko zawołowaną nutę oskarżenia. Claytor miał swój rozum. Rutłweyn płacił dobrze - bardzo, bardzo dobrze - i był znany z napadów ponurego nastroju. A poza tym faktycznie, ostatnio niemal stale przebywał poza domem.

- Chłopak sam wpędził się w długi, Claytor - odpowiedział Ruthveyn. - Równie dobrze może sam z nich wyjść.

Naturalnie, wcale nie będzie to łatwe. Lord Lucan Forsythe otrzymywał kwartalną rentę z majątku. Rutłweyn miał nadzieję, że okres do następnej wypłaty, która wypadła na Świętego Michała, będzie wystarczający, żeby młodzieniec otrzymał niezłą lekcję. I że w tym czasie nie nabawi się zakażenia przez pluskwy, nie umrze na dyzen-terię, ani nie znajdzie sobie jeszcze gorszego towarzystwa niż ludzie, z którymi przestawał od czasu przybycia do miasta. Rutłweyn czuł, że nic takiego się nie zdarzy, ale nawet on mógł się mylić. A więzienie za długi było przerażającym, okropnym miejscem.

Markiz zdecydowanym ruchem wepchnął koszulę w spodnie i zapiał resztę guzików. Może powinien uważniej obserwować Lucana. Był jednak przekonany, że i tak niczego nie udałoby się uniknąć. Poza tym, jak słusznie zauważył Claytor, przez ostatnie sześć miesięcy domem Rutłweyna stało się mieszkanko w prywatnym klubie, do którego wzywał z Mayfair osobistego kamerdynera, sekretarza i każdego, kogo chciał zobaczyć - kiedy tylko zechciał.

Claytor uznał swoją porażkę.

- A więc wróci pan na obiad, milordzie - wymruczał, sztywno kiwając głową. - Powiem lady Anishy, żeby się pana spodziewała.

Sekretarz odwrócił się, żeby odejść, w tej samej chwili, gdy Fricke poda! Ruthveynowi krawat.

Markiz chwycił krawat i złagodniał.

- Posłuchaj, Claytor - rzucił przez ramię. - Przepraszam, ale mam kaca i podły nastrój. Nie zmienia to faktu, że jeszcze żaden młody człowiek nie umarł od paru nocy spędzonych w areszcie. Naprawdę sądzę, że mojemu bratu to dobrze zrobi.

- Ale czy zamierza pan go stamtąd wyciągnąć? - zapytał Claytor z nutą goryczy w głosie. - Czy też chce go pan posłać prosto do więzienia za długi?

Na te słowa Rutłweyn odwrócił się gwałtownie.

- Uważaj, kolego - rzucił śmiertelnie spokojnym głosem. - Nie traktuj moich wyjaśnień jako przyzwolenia na swobodne wyrażanie opinii.

Claytor opuścił wzrok.

- Proszę mi wybaczyć, milordzie, ale mogę panu powiedzieć, co się stanie - odparł. - Za jakieś cztery, pięć dni, kiedy ponownie przybędzie komornik i zjawią się kolejne żądania zapłaty, lady Anisha wybierze się do Houndsditch i zacznie sprzedawać swoją biżuterię. Tak właśnie będzie, *sir*.

Najgorsze, że Claytor mógł mieć rację. Ale to była sprawa Anishy.

- Moja siostra nie będzie więziona w domu - spokojnie stwierdził Ruthveyn. - Jej klejnoty, jej życie, należą do niej i może z nimi robić, co tylko zechce. Mam jedynie nadzieję, że zamierza wychowywać Toma i Teddy'ego nieco surowiej, niż nasza macocha wychowywała Lucana.

- Ależ, milordzie, chyba nie było aż tak...

- Nie możesz wiedzieć, jak było, Claytor - uciał Ruth-veyn. - Nie było cię tam wtedy.

Ale i tak nie zmieniało to faktu, że i jego, Ruthveyna, również wtedy tam nie było. A przynajmniej nie było dość często. Zaczynał wówczas karierę dyplomatyczną i, podobnie jak wcześniej jego ojciec, jeździł po całym Hin-dustanie, ryzykując zdrowie i życie w służbie Jej Królewskiej Mości i chroniąc interesy najcenniejszej brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej. Wówczas, tak jak teraz, unikał swojej rodziny. Unikał zażyłości. I nie był na tyle głupi, żeby nie odróżniać zażyłości od seksu czy miłości.

Kochał ich, nawet Lucana, tego młodego narwańca. Kochał ich nad życie. Ale ich wyjazd z Kalkuty jakieś pół roku temu wstrząsnął posadami jego egzystencji.

Anisha była teraz wdową, która miała do wychowania dwóch małych urwipołciów. Natomiast jego brat przyrodni... Cóż, Lucan po prostu potrzebował ojca. Szkoda, że go nie miał.

- Który płaszcz, milordzie? - zapytał Fricke, gdy drzwi zamknęły się za Claytorem. - Przyniosłem ten elegancki ciemnogrnatowy i czarny z ubiegłego sezonu.

- Czarny - rzekł Ruthweyn, ściągając na wpół zawiązany krawat. - A do tego czarny szalik.

- Oczywiście - mruknął Fricke, zabierając odrzucony krawat. - Widzę, że znów jesteśmy w czarnym nastroju.

- To była ponura noc - odpowiedział Ruthveyn.

Nic więcej nie trzeba było mówić. Pozostałości po minionym wieczorze nadal znajdowały się w pokoju: pusta butelka po koniaku, karafka bez korka, brudne popielniczki oraz wisząca w powietrzu ostra woń tytoniu i haszyszu.

Fricke w milczeniu pomógł ubrać się do końca swojemu panu, starając się go jak najmniej dotykać. Każdy służący Ruthveyna szybko poznawał to dziwactwo, a markiz nic sobie nie robił z tego, co o nim myślano.

Gdy Ruthveyn skończył się ubierać, obciągnął mankiety i zszedł na dół, żeby zamówić najnowsze wydanie „Morning Chronicle” oraz dzbanek wyjątkowo mocnej herbaty, która zawsze była dla niego przygotowana.

W saloniku klubowym nie zastał nikogo, poza doktorem von Althausenem i lordem Bessetem. Ten ostatni pochylał się nad jedną z kaset z okazami von Althause-na i oglądał coś przez złoty monokl doktora. Przechodząc, Ruthveyn uklonił się Bessettowi, który przywołał go skinieniem ręki.

- W nocy mieliśmy wiadomość od Lazonby'ego - rzeki cicho. - Sprawy jego ojca zostały opanowane. Zabiera dziecko do rodziny swojej matki. Tam będzie bezpieczne.

- Doskonały plan - przyznał Ruthveyn. - Dzień dobry, doktorze. Co tu masz?

- Rzadką odmianę afrykańskiej muchy tumbu - odparł von Althausen, przyglądając się okazowi. - Spójrz. Larwy dostają się pod skórę, wywołując sączące się wrzody i...

- Oszczędź mi opisu - przerwał Rutheyn, wzdrygając się. - Nie jadłem jeszcze śniadania.

- Jeśli to cię nie interesuje, bracie, może zaciekaw cię doświadczenie z galwanizmem, które będzie powtarzał dziś po południu - zasugerował Bessett. - Generator elektryczny został już zreperowany.

- Dziękuję, ale nie mieszam się do tych wynalazków - odpowiedział Ruthveyn. - Zamierzam pozostawić mojemu mózgowi prawo do tajemnicy.

- Czasem trzeba się poświęcić dla dobra nauki, Adrianie - mruknął von Althausen. - Zwłaszcza w twoim przypadku. W końcu, jeśli mózg *Electrophorus electricus* potrafi wytworzyć pole elektryczne wokół swojego ciała, to wyobraź sobie, co...

- Nie - przerwał mu zdecydowanie markiz. - Dziękuję bardzo, ale nie jestem węgorzem. Nie przeszkadzajcie sobie, panowie.

Von Althausen pomachał mu z roztargnieniem i obaj dżentelmeni powrócili do obserwacji.

Ruthveyn zajął swoje zwykłe miejsce przy stoliku pod środkowym oknem i samotnie popijał herbatę, jednocześnie z roztargnieniem przeglądając gazetę. Herbata była gorąca, wytworny salonik klubowy wygodny, a nadchodzący dzień zapowiadał się obiecująco. Każdy bogaty, utytułowany nabab życzyłby sobie takiego poranka. Jednak nadal drażniło go wspomnienie minionej nocy.

Powinien się uwolnić od pani Timmonds.

Wielka szkoda, bo jego kochanka była wyjątkowo piękna. Lecz Ruthveyn odczuwał już oznaki przywiązania do niej. Co gorsza, *lady* zaczęła zadawać za dużo pytań. Nie zwracała uwagi na jego ostrzeżenia. A teraz... cóż, po prostu zanadto ją lubił, żeby wymierzyć jej klapsa, jakiego zwykle rezerwował dla tych, którzy go nie słuchali.

Był jednak zły - troszkę na nią, ale przede wszystkim na siebie. Dlaczego wyobrażał sobie, że tak długo będzie w stanie wykonywać ten zawiły taniec, potykając się od czasu do czasu? Wystarczyło pół roku, żeby miał tego dość, żeby poczuł kuszącą chęć zapomnienia o wszelkiej ostrożności, którą celowo się od niej oddzielał. I nie dlatego, że się zakochał, bo nie był zdolny do miłości, lecz dlatego, że podobnie jak w przypadku Anishy, Luca

i chłopców, chciał się opiekować Angelą Timmonds. Chciał sprawić, żeby była szczęśliwa.

Ale nigdy w swoim długim życiu nie uczynił szczęśliwą żadnej kobiety.

Pod wpływem impulsu chwycił leżący pośrodku stołu dzwoneczek. Natychmiast zjawił się lokaj z obojętną twarzą.

- Czy mam przynieść świeżą herbatę, milordzie?

- Nie. Zawołaj Belkadiego. Lokaj pochylił głowę.

- W tej chwili rozmawia z winiarzem, ale przekażę mu.

Podjąwszy decyzję, Ruthveyn przejrzał pierwszą stronę gazety. Trzęsąc się z niecierpliwości, czytał słowa, ale nie przyswajał ich treści. Naprawdę nie potrzebował więcej takich nocy jak ta ostatnia. Nie chciał czuć się rozdarty po dotknięciu kobiety. Nie chciał uciekać od niej, jakby była zużyta szmata.

Nie chciał zostawiać jej płaczącej w ciemnościach.

Nawet on nie był aż tak pozbawiony serca. A jednak właśnie tak postąpił.

Na tę myśl Ruthveyn cisnął na bok gazetę i siedział sztywny od tłumionej emocji, dopóki nie raczył się zjawić Belkadi. Klubowy majordomus, w nieskazitelnie wyprasowanym czarnym ubraniu, z ciemnymi włosami zaczesanymi do tyłu i zaplecionymi w staromodny warkocz, ukłonił się lekko.

- Chciałeś mnie widzieć?

Nigdy, chyba że z sarkazmem, Belkadi nie mówił do niego „sir”, więc Ruthveyn nie oczekiwał tego ze strony beczelnego piekielnika.

- Siadaj - rzekł, wskazując krzesło. - Napij się herbaty assam.

- Hybrydy von Althausena? - rzucił, siadając. Mówił po angielsku z lekkim obcym akcentem. - Bardzo dziękuję, ale nie skorzystam. Wolę dbać o moje wnętrze.

Ruthveyn odsunął gazetę dalej.

- Powiedz mi, stary, czy kazałeś winiarzowi zaprzestać dostaw tego czerwonego świństwa, które nazywa klaretem? - zapytał. - A może po prostu ściałeś mu głowę?

- Nie sądzę, żebyś mnie wzywał tylko po to, żeby porozmawiać o mojej piwniczce - stwierdził Belkadi.

Ruthveyn uśmiechnął się lekko, nie patrząc mu w oczy.

- To prawda - przyznał. - Chcę się rozstać z panią Timmonds. Załatwisz to?

Tylko lekkie uniesienie brwi świadczyło o zdziwieniu Belkadi.

- Czemu tego chcesz?

- Czemu? - powtórzył! za nim Rutlweyn. - A co cię to obchodzi? Może dama mi się znudziła. Może zainteresowałem się kimś innym. Bez względu na moje motywy, to ty doprowadziłeś do tego związku. Teraz więc go rozwiąż.

Belkadi, spoglądając ponurym wzrokiem, szybko zerwał się na nogi i skłonił się.

- Oczywiście, *sir*.

Rutlweyn przyglądał się, jak sztywno wyprostowany majordomus zbiera się do odejścia.

- Jeszcze jedna sprawa, Belkadi. Służący odwrócił się w jego stronę.

- Zaoferuj jej dożywotnio dom w Marylebone - rzucił Rutlweyn. - I jakąś godziwą rentę. Powiedz Claytorowi, żeby to załatwił.

Belkadi ponownie ukłonił się sztywno. Spojrzenie jego ciemnych oczu nie zdradzało żadnych emocji.

- Przekażę twoją szczerą ofertę. Ale pani Timmonds nie brakuje dumy - powiedział.

Ani zalotników, dodał w duchu Rutlweyn.

Był pewien, że dama nie będzie go długo opłakiwać. Nim upłynie tydzień, poczuje się szczęśliwa, że się go pozbyła. Zdecydowanie odepchnął od siebie te myśli i zmusił się do skupienia uwagi na gazecie, radykalnym szmatławcu. Mądry człowiek powinien znać swoich wrogów.

Przez jakiś czas czytał w milczeniu, dopóki na trzeciej stronie jego uwagi nie przykuło pewne nazwisko. Skrzywił się kwaśno.

Zerknął przez ramię na von Althausena.

- Zdaje się, że nasz ulubiony dziennikarz wyczerpał sprośne tematy i zainteresował się astronomią. Twierdzi, że Lassell odkrył kolejny księżyc Saturna - powiedział.

- Hmm - mruknął pocziwy doktor. - Powinienem przesłać Williamowi gratulacje z powodu tego odkrycia. Natomiast jeśli chodzi o tego pismaka, oddelegowałbym go do działu nekrologów.

Ruthveyn wydal potakujący pomruk, po czym odwrócił się z powrotem do swojego stolika i do okna. I właśnie w tej chwili ją spostrzegł. Ubrana w czerń i szarości wysoka kobieta zdecydowanym krokiem skręcała z głównej ulicy w stronę St. James Place.

Ruthveyn nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego zwrócił na nią uwagę. Tak rzadko się komuś przyglądał. Może był to zasłaniający wszystko, poza czubkiem brody, czarny, tiulowy welon, który dodawał jej tajemniczości. Ale bez względu na powód swojego zainteresowania, kiedy już zaczął ją obserwować, nie miał ochoty odwrócić się od okna. Kobieta stale zbliżała się równymi, szybkimi krokami, aż znalazła się u podnóża kilku schodków, prowadzących do drzwi klubu. Przystanąła i spojrzała w górę, jakby studiowała symbole wyryte na portyku.

Przynajmniej takie wrażenie odniósł Ruthveyn, chociaż ze względu na welon trudno było powiedzieć, czy naprawdę analizowała portyk. Kobieta sprawiała wrażenie, jakby cała jej istota, jej zamiary, jej osoba, jej emocje w podobny sposób były przysłonięte welonem. Poza tym, co Ruthveyn widział - zgrabną, ubraną ze smakiem młodą damę z włosami w kolorze miodu - reszta pozostawała tajemnicą. Bardzo dziwne.

Nieoczekiwanie poczuł przyływ frustracji. A może była to fascynacja? Ruthveyn miał ochotę wstać, zejść

po schodach i unieść ten welon, żeby móc dotknąć jej twarzy i spojrzeć jej prosto w oczy. Co za szaleństwo! Wziął głęboki oddech i rozluźnił się na krześle. Zmusił się do powolnego oddychania i skoncentrował się na nieustannym, płynnym ruchu powietrza wpływającego do płuc i z nich wypływającego.

Miał za sobą ciężką noc. Nie potrzebował na dodatek złego dnia.

Nic go nie obchodziła dama w czarnym welonie. Może po prostu przechodziła przez plac i zatrzymała się, żeby podziwiać dziwaczne symbole. Mogła być turystką. Rzeczywiście, to całkiem prawdopodobne, bo chociaż jej czarny kapelusz i gołębioszara suknia spacerowa były eleganckie, to jednak nie *a la mode* w Londynie. A Ru-thveyn coś o tym wiedział. Ostatnimi czasy kupował wiele modnych kobiecych strojów.

Wspomnienie pani Timmonds pomogło mu wyprzeć z myśli zawoalowaną damę. Ruthveyn nalał sobie jeszcze jedną filiżankę herbaty i znów wziął do ręki „Chronicie”. Kierując się czystą perwersją, zaczął czytać artykuł o księżycu Saturna, chociaż astronomia była mocniejszą stroną Anishy niż jego. Jednak dotarł zaledwie do połowy artykułu, gdy z dołu, od strony holu wejściowego, dobiegły go odgłosy jakiegoś zamieszania.

Wyraźnie słyszał Belkadiego, mówiącego coś głosem zdecydowanym i dość szorstkim, co było raczej dziwne. Belkadi rzadko odzywał się ostro do kogokolwiek; nie musiał tego robić, podobnie jak Ruthveyn.

Nagle w korytarzu rozległ się damski głos, przenikliwy i nieco zagniewany. Ruthveyn znów zerknął na von Alt-hausena. Doktor uniósł jedno ramię i przechylił głowę w stronę, skąd dobiegała wrzawa. Jego spojrzenie mówiło: twoja kolej, przyjacielu. Wyznaczony w ten sposób Ruthveyn westchnął, odstawił filiżankę i wstał. Natura badań Towarzystwa od czasu do czasu sprowadzała pod ich drzwi jakichś szaleń-

ców. Nikt tego nie lubił, ale czasem się to zdarzało. I ktoś musiał sobie z tym poradzić. Wyszedł z saloniku i skierował się na dół po szerokich marmurowych schodach, które prowadziły półtora piętra niżej, do holu recepcyjnego. I natychmiast zaskoczył go widok ubranej na czarno i szaro kobiety stojącej w drzwiach wejściowych. Czarny płaszcz przewiesiła sobie przez ramię i krótkimi, mocnymi szarpnięciami ściągała z dłoni rękawiczki, jakby planowała tu pozostać. Podobnie jak szaleńcy, kobiety w drzwiach klubu stanowiły rzadki widok, nie był on wszak niczym niezwykłym. Towarzystwo dysponowało naukową czytelnią i ogromną biblioteką, które czasami udostępniano publiczności. Ale ta kobieta niezbyt przypominała sawantkę. Nagle uniosła welon, odsłaniając twarz równie klasyczną, jak jej strój, i równie pobladłą, jak wcześniej oblicze Claytora. Rutłweyn szybko zszedł po schodach, ani na chwilę nie odrywając wzroku od tej twarzy o ogromnych niebieskich oczach i pełnych, lekko drżących ustach. Nadal jednak, pomimo bijącego od niej podniecenia, jej twarz pozostawała bez wyrazu. Było to bardzo mylące.

Sprzeczka narastała. Dama podniosła drobną rękę prosto w stronę twarzy Belkadiego.

- Dziękuję panu - mówiła ostrym głosem, z lekkim francuskim akcentem. - Ale ja naprawdę nie pozwolę się zbyć. Muszę się jak najszybciej spotkać z sierżantem Wel-hamem.

-*Madam*, proszę mnie wysłuchać - z wyższością zaczął Belkadi. - Postaram się jeszcze raz pani wytłumaczyć...

- Czy mogę w czymś pomóc, Belkadi? - wtrącił się Rutłweyn.

Majordomus podał mu leżącą na tacy wizytówkę. Rutłweyn rzucił na nią okiem.

- Mademoiselle Gauthier? - przeczytał głośno nazwisko, które wydało mu się skądś znajome. - W jaki sposób Towarzystwo Świętego Jakuba może pani służyć?

- W żaden - odparła cierpko. - A poza tym, skoro to jest siedziba Towarzystwa Świętego Jakuba, to dlaczego nad drzwiami umieszczono napis F. A. C?

Ruthveyn beczelnie uniósł do góry brwi.

- Wydaje mi się, że to jakiś niejasny łaciński skrót - odpowiedział. - Mogę zapytać, co panią tu sprowadza? Może kolekcja naszych rzadkich książek?

- Rzadkie książki? - powtórzyła ze dziwieniem. Uśmiechnął się cierpko.

- Przyznaję, że nie sprawia pani wrażenia osoby, która pasowałaby do naszego pokoju karcianego czy palarni. Śliczna buzia kobiety ożywiła się.

- Przybyłam, żeby zobaczyć się z przyjacielem - powiedziała. - Z bardzo bliskim, starym przyjacielem, który...

- Tak. Słyszałem nazwisko. Sierżant Welham. - Ruth-veyn pozwolił sobie spojrzeć jej prosto w oczy, uważnie oceniając ich wyraz. - Dziwne jednak, że pomimo tej długotrwałej, bliskiej przyjaźni, nie ma pani pojęcia, że sierżant Welham jest teraz lordem Lazonby, prawda? Ale to i tak nie ma znaczenia, bo nie przebywa teraz w mieście.

Uszczypliwa uwaga nie dotarła do niej.

- Nie przebywa w mieście? - Znaczącym gestem przyłożyła rękę do szyi. - Jak może go nie być? Jak długo?

- Powiedziałbym, że wyjechał na kilka tygodni. Dwa dni temu wsiadł do pociągu do Westmorland - rzekł Ruthveyn. Te słowa spowodowały, że dama się zachwiała. Ruth-veynowi przyszło do głowy, że jej zuchwałość nie była jedynie pozą. Kobieta wydawała się zdesperowana.

Zaczął się zastanawiać, w jakie tarapaty wplątała się ta młoda dama, a może w jakie kłopoty wpędził ją cholerny Rance Welham. Spoglądała zamglonym wzrokiem, a jej ręka, jak zamrożona, tkwiła bez ruchu przy szyi.

Lecz pomimo tego wszystkiego, mimo ledwo skrywanego niepokoju, przerażenia w oczach i faktu, że Belkadi

oddalał się w górę po schodach, pozostawiając ich sam na sam, Ruthveyn nie potrafił rozszyfrować kobiety. Widział tylko to, co każdy neutralny obserwator mógłby dostrzec.

- A więc wyjechał... - wyszeptła. - *Mon Dieu!* Nagle jej głowa przechyliła się dziwnie, płaszcz upadł i dama wyciągnęła rękę, na ślepo usiłując się oprzeć o blat recepcji.

- Belkadi! - krzyknął.

Ale było za późno. Kolana ugięły się pod nią. Pomimo głębokiej niechęci Ruthveyn zmuszony był jej dotknąć, łapiąc ją na ręce pośród kłębowiska spódnic i halek, żeby nie upadła na marmurową posadzkę.

- Belkadi! - zawołał ponownie, ostrożnie trzymając kobietę.

Belkadi w mgnieniu oka znalazł się u jego boku.

- Świeże powietrze - rzekł. - Chodź za mną.

Szara spódnica opadała Rutłweynowi przez ramię, gdy znosił kobietę po schodach na parter i ruszył korytarzem za majordomusem. Ten otworzył podwójne drzwi prowadzące na klubowy dziedziniec i do ogrodu.

Rutłweyn posadził damę na jednym z wiklinowych krzeseł.

- Przynieś whisky Lazonby'ego.

Belkadi zniknął. Rutłweyn przyklęknął, żeby przyjrzeć się dokładniej twarzy damy, białej jak śnieg pod czarną siateczką welonu, który znów częściowo ją zasłaniał. Zauważył, że wcale nie była taka młoda, jak mu się zdawało. Wokół oczu można było dostrzec delikatne kreski pierwszych zmarszczek, jakby spędzała sporo czasu na słońcu. Ale miała wyraźnie zarysowane kości policzkowe i arystokratyczne, bardzo angielskie czoło.

Przypomniał sobie jej francuskie nazwisko i mgliste wrażenie, jakby jej karta wizytowa w kolorze kości słoniowej z czymś mu się kojarzyła. W tym momencie jed-

nak dama zaczęła przychodzić do siebie, mrucząc coś po francusku.

Ruthveyn oderwał wzrok od jej twarzy i wstał.

- Z góry przepraszam, ale zaraz uniosę pani nogi, *madam* - powiedział.

- Co... co się stało? - wyszeptała.

- Chyba pani zemdląła - odpowiedział, chwytając parę poduszek leżących na sąsiednim krześle. -

Najprawdopodobniej przez Belkadię. Zdarza mu się wywierać takie wrażenie na kobietach.

Dama w osłupieniu wytrzeszczyła na niego niebieskie oczy, gdy podniósł jej stopy, szczupłe i zgrabne, i położył je na poduszkach. Nagle brzeg szarej sukni przesunął się, odsłaniając pełną falbanek bieliznę i spory fragment kostek. Wbrew rozsądkowi obciągnął jej suknię.

Pomyślał, że ma eleganckie stopy, cudowne oczy i piękny zarys policzków.

A jednak nadal nic nie odczuwał.

Nic, oprócz przyływu prawdziwej, starej jak świat żądz.

Rozdział 2

To chyba czary

Alkohol. Znowu.

Grace, połykając z trudem kolejny łyk, zastanawiała się jednocześnie, dlaczego mężczyźni zawsze sobie wyobrażają, że alkohol jest lekiem na całe zło tego świata.

- *Merci*, czuję się już zupełnie dobrze - skłamała, odsuwając szklankę.

Ale dwaj ciemnoocy mężczyźni nadal klęczeli obok ze wzrokiem utkwionym w jej twarzy.

Opanowując falę paniki, Grace zerknęła na mężczyznę o szerszych barach. Wyglądał niemal jak diabeł w surowym, niewątpliwie drogim stroju, z palącym spojrzeniem czarnych oczu. Drugi, ten który ją wpuścił, był młodszy, o łagodniejszym, uderzająco przystojnym obliczu.

- Belkadi - zaświtało jej w głowie. - Imię z Kabały.

- Możliwe.

Mężczyzna przybrał obojętny wyraz twarzy i podniósł się, żeby odejść, jakby uznał jej słowa za zbyt obcesowe.

Drugi z mężczyzn również wstał z kolan, ale zamiast się oddalić, z hałasem przysunął wyplatane krzesło bliżej. Grace rozejrzała się dokoła, niepewna, gdzie się znajduje. Mężczyzna usadowił się na krześle, szeroko rozstawiając kolana i opierając na nich łokcie.

- A teraz proszę mi powiedzieć, kim pani jest i dlaczego znalazła się pani tutaj - powiedział spokojnym, rozkazującym głosem.

Grace ponownie omiotła spojrzeniem otoczenie, mrużąc oczy od słońca.

- Tutaj, to znaczy gdzie dokładnie?

Na twarzy mężczyzny pojawiło się zniecierpliwienie.

- Chodzi mi o to, czy to jest nadal klub sierżanta Wel-hama - wyjaśniła. - Podejrzewam, że panowie musieliście mnie przynieść.

- W obu przypadkach odpowiedź brzmi: tak. Grace poczuła, że się rumieni.

- Nie znam męskich klubów i ich ogrodów - rzuciła bezmyślnie. - Ja nigdy nie mdleję. To bardzo krępujące. Ciężki uśmiech, który pojawił się na twarzy mężczyzny, w minimalnym stopniu zmiękczył surowy wyraz jego oblicza.

- Kiedy ostatnio pani spała i jadła? - zapytał.

- Jadłam kolację. - Usiłowała się skupić. - Ale wydaje mi się, że to było wczoraj. A ostatniej nocy... *non*, nie spałam.

Lekki uśmiech szerzej rozlał się na jego twarzy.

- Znam to uczucie.

- Bardzo przepraszam. Jestem Grace Gauthier. Dziękuję za pomoc. - Wyciągnęła mocno drżącą rękę. Zawahał się na chwilę, po czym ujął jej dłoń, ale zamiast nią potrząsnąć, pochylił głowę i uniosł rękę do ust.

- Rutłweyn, do pani usług - rzekł cichym, lekko chrapliwym głosem.

- Dziękuję - wykrztusiła. - Proszę mi powiedzieć, czy zna pan sierżanta Welhama?

- Bardzo dobrze - odparł ciemnowłosa mężczyzna. - Śmiało mogę nazwać go swoim najlepszym przyjacielem. Grace uniosła brwi.

- Naprawdę?

- Ile czasu minęło od chwili, gdy widziała go pani po raz ostatni? - zapytał mężczyzna. - Damy z dobrych domów raczej nie przyznają się do znajomości z takimi ludźmi jak Rance, to znaczy lord Lazonby.

Grace spuściła wzrok.

- Chodzi panu o to, że kiedyś siedział w więzieniu.

- Między innymi.

- Nigdy nie wierzyłam w jego winę, nigdy - rzekła gorąco. - Mój ojciec też w to nie wierzył. Sierżant Welham był dżentelmenem w każdym calu.

- Aha! - odezwał się ciemnowłosa mężczyzna. Grace uniosła wzrok i dostrzegła, że coś zaczął kojarzyć. - Pani ojcem był komendant Henri Gauthier z francuskiej Legii Cudzoziemskiej w Algierze. To dlatego rozpoznała pani imię Belkadiego - stwierdził.

Grace lekko wyprostowała się na krześle.

- Tak, wiele lat tam mieszkałam. Ale pan... pan nie jest z Algieru.

-Nie.

Mężczyzna, Rutłweyn, nie sprawiał wrażenia, jakby chciał dodać coś więcej, a Grace powstrzymała odruch, żeby jeszcze o coś zapytać. Jeśli nie brać pod uwagę jego gęstych, czarnych włosów, brązowej od słońca skóry i może odrobinę zbyt ostrego nosa, mógł być Anglikiem - albo szatanem w butach zakupionych przy Bond Street.

Czuła jednak, że bez względu na to, skąd pochodziło jego ubranie, nie był zwykłym Anglikiem. Było w nim coś niezwykłego, wymykającego się opisowi, mrożące uczucie obojętności, jakby wszystko obserwował, nie dając nic z siebie. Nie emanowało z niego zło, ale coś o wiele bardziej skomplikowanego.

A może to ona roztrzaskała sobie głowę o marmurową podłogę w korytarzu.

Ależ zrobiła się z niej dziwaczka! Jej misja była zbyt nagła, żeby pozwalać sobie na głupie spekulacje. A poza tym, pomimo stwierdzenia mężczyzny, że jest przyjacielem Rance'a, Grace nie czuła się swobodnie w jego obecności.

Przeniosła wzrok na niewielki, symetryczny ogród rozciągający się za eleganckim dziedzińcem.

- Sierżant Welham przez wiele lat służył pod rozkazami mojego ojca - wydusiła z siebie. - Bardzo się przyjaźnili. Kiedyś zaciągnął u tary dług honorowy. Teraz... teraz muszę odebrać ten dług. Muszę się z nim jak najszybciej zobaczyć. Ale powiedział pan, że...

- Ze wyjechał - dokończył mężczyzna.

Nagle wyprostował się i poderwał niczym gibki, czarny ptak drapieżny. Siedząc, Grace zobaczyła, że jest bardzo wysoki. Bardzo wysoki i bardzo mroczny - i nie miało to nic wspólnego z jego kolorystyką. Nosił ozdobny złoty pierścień z ogromnym rubinem, który musiał kosztować majątek. Rubin zabłyszczał w popołudniowym słońcu, gdy Ruthveyn wyciągnął w jej stronę ciemną dłoń o długich palcach.

- *Mademoiselle*, skoro doszła już pani do siebie, może lepiej, żebyśmy dokończyli rozmowę w bardziej prywatnym miejscu. I może powinna pani coś zjeść - powiedział.

Grace, która nie mogła nawet myśleć o jedzeniu, rozejrzała się dookoła i dostrzegła ze trzydzieści okien sąsiednich budynków wychodzących na klubowy ogród. Okna były w większości otwarte na świeże, wrześniowe powietrze. Miał rację. Nie były to warunki do prywatnej rozmowy.

Nie mając wielkiego wyboru, przyjęła jego ramię, ciepłe i muskularne pod czarnym surdudem.

- Czy czuje się pani na tyle silna, żeby iść, *mademoiselle*? - zapytał cichym, zatroskanym głosem.

- Chyba tak - odpowiedziała Grace. - I proszę mnie nie nazywać *mademoiselle*. Po prostu: panna Gauthier. To wystarczy.

Ruthveyn skinął głową na znak zgody i poprowadził ją do wnętrza domu i w górę na półpiętro. Po drodze dostrzegła drzwi wejściowe do klubu, słyszała też głos mężczyzny zwanego Belkadim, krzyżącego na kogoś.

- Nawet gdyby Welham tu był, nie poświęciłby ci chwili czasu - niósł się po schodach jego stalowy głos.

- A teraz proszę się stąd zabierać, zanim Ruthveyn albo Bessett pana zdybią i dadzą nauczkę. Towarzysz Grace nagle zeszywniał. Zaklął cicho i pospiesznie pobiegł po schodach w górę.

- Proszę się wynosić! Proszę się wynieść z tego domu! Stojąc na półpiętrze, Grace widziała Belkadiego za recepcyjnym blatem i Ruthveyna podążającego przez hol.

- Ostrzegalem cię, Coldwater! - Ruthveyn wymachiwał palcem przed twarzą ubranego w bury płaszcz młodego człowieka, trzymającego pod pachą postrzępioną teczkę. - Wyjdź natychmiast, bo jak nie, to osobiście wyrzucę cię na ulicę.

- *Ñamaste*] lordzie Ruthveyn - odezwał się młodzieniec, składając dłonie i kłaniając się szyderczo. - Jak się pan miewa? Miałem nadzieję, że Welham zechce skomentować swój wyższy status w rodzie. Nasi czytelnicy uwielbiają śledzić zawiłe zakręty jego losu.

Lord Ruthveyn?

Lord Ruthveyn. Lord Lazonby. Grace zaczynało się od tego wszystkiego kręcić w głowie. Czowała się tak, jakby znalazła się w centrum jakiejś dziwacznej sztuki teatralnej. W ciągu ostatnich dwóch dni jej przewidywalne do tej pory życie przerodziło się w koszmar, a teraz zaczynała odczuwać strach na myśl o kolejnym trupie. Ruthveyn bowiem złapał młodego człowieka i prowadził go siłą w stronę drzwi z wyrazem niekłamanej złości na twarzy. Los młodzieńca był przesądzony. A przecież zjawiał się tutaj dokładnie z tego samego powodu co Grace.

-*Mon Dieu*, czy wszyscy w Londynie szukają Welhama?

Grace dopiero wtedy uświadomiła sobie, że wymruczała te słowa na głos, kiedy młody mężczyzna odwrócił się i spojrzał na nią przez ramię.

- Jestem Jack Coldwater i pracuję dla „Morning Star”, *madam* - rzucił z błyszczącymi oczami. - Zna pani Welhama? Chciałaby pani odpowiedzieć na parę pytań? Skomentować wydarzenia?

Ruthveyn zatrzymał się gwałtownie i przybliżył usta do ucha młodzieńca.

- Wystawiasz na próbę naszą cierpliwość - rzekł śmiertelnie opanowanym głosem. - Wyjdź spokojnie i niech to się już skończy. Dla twojego dobra.

Żurnalista nie wyglądał na przestraszonego.

- Czy to nie bardzo dziwny zbieg okoliczności, Rutłweyn, że Welham wychodzi z więzienia, a parę miesięcy później jego ojciec umiera? Chciałem go tylko o to zapytać. Czy wini o wszystko rząd? A może siebie? Musisz przyznać, że czas jest tu bardzo znaczący.

Ruthveyn nagle gotów był wybuchnąć, ale postanowił zareagować w zimny, kontrolowany sposób. W mgnieniu oka okręcił Coldwatera, złapał go za kołnierz, pociągnął w stronę drzwi wejściowych i uniósł kilka centymetrów nad podłogę. Głowa młodego człowieka nadal znajdowała się poniżej głowy Rutłweyna.

- Znaczący? - Głos Rutłweyna był niebezpiecznie łagodny. - Już ja ci pokażę coś znaczącego. Uduszę cię tu, gdzie stoisz, ty śmieciu...

- Ale ja nie stoję - wycharczał młodzieniec, machając nogami. - Już wystarczy, Rutłweyn. Po prostu wykonuję swoją pracę.

- A twoja praca polega na polowaniu na niewinnego człowieka? - odparował Rutłweyn. - Na przetrząśnięciu każdego kąta w Londynie, żeby sprawdzić, jakie brudy stamtąd wypełzną, a potem to wszystko wydrukować?

- Gwałtownie szarpnął młodzieńca. - Na tym polega twoja praca, Coldwater?

- Moja praca... - młody człowiek przerwał, żeby przełknąć ślinę -... polega na zadawaniu niewygodnych pytań.

- Musisz więc oczekiwać niewygodnych odpowiedzi

- warknął Rutłweyn. - Zaczniemy więc odpowiedź od mojej pięści.

Grace musiała coś krzyknąć. Rutłweyn rzucił spojrzenie przez ramię i złagodniał. Pozwolił młodzieńcowi sta-

nać na nogach, po czym obrócił się gwałtownie i złapał Grace za ramię.

- Zrzuć go ze schodów, Belkadi, i już nigdy go tu nie wpuszczaj - zakomenderował, niemal wciągając ją w górę po marmurowych stopniach.

- Naturalnie.

Belkadi energicznie wyszedł z recepcji, jakby został poproszony o zajęcie się walizką.

- Dobry Boże - stęknęła Grace, starając się nadażyć za Rutlweynem.

- Proszę mi wybaczyć, ale nie jestem przyzwyczajony do obecności dam - wycedził.

- Nie, chodziło mi o... - Wyrzuciła przez barierkę schodów w chwili, gdy Belkadi dosłownie wyrzucał Coldwatera z klubu. Robił to bez specjalnego wysiłku, bo młody dziennikarz nie mógł wiele ważyć i wyglądał, jakby ledwo co zaczął się golić. Coldwater wylądował na pupie gdzieś na trzecim stopniu, a za nim pofrunął jego notes. Gdy młodzieniec zaczął się podnosić, drzwi za nim zatrzęsły się z hukiem.

Przy kolejnym schodku Rutlweyn zatrzymał ją gwałtownie.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział ponownie, z groźnym błyskiem w oczach. - Dama nie powinna być świadkiem takich wydarzeń.

O Boże, pomyślała Grace. Nikt nie chciałby mieć wroga w tym człowieku.

- Jestem córką oficera armii francuskiej, a nie delikatnym angielskim kwiatuszkiem - wysapała. -

Widziałam ludzi zadźganych na śmierć na algierskich bazarach z powodu porażki w grze w szachy.

Chodziło mi tylko o to, że cały świat zdaje się szukać Rance'a. Ciekawa jestem, dlaczego.

Ponownie wbił w nią palące spojrzenie.

- To skomplikowana sprawa - wycedził przez zęby. - Dlaczego? Co pani o nim wie?

Grace uniosła twarz.

- Wszystko, co istotne.

- Wszystko - powtórzył za nią z powątpiewaniem. - Jeśli pani w to wierzy, to jest pani bardzo naiwna, mademoiselle Gauthier.

- Są gorsze grzechy niż naiwność - odparowała, mobilizując całą swoją odwagę. - Doprawdy, lordzie Ruthveyn, chyba wystarczy już tej rozmowy. Ponieważ naprawdę wygląda na to, że Rance'a tutaj nie ma, nie ma powodu, żebym tu dłużej przebywała.

- Proszę pójść za mną - odezwał się nieznoszącym sprzeciwu głosem.

Musiałaby być szalona, żeby pójść gdziekolwiek z tym kompletnie obcym mężczyzną, który już zdołał ją przestraszyć. Jak ułał pasowały do niego określenia „mroczny” i „niebezpieczny”. Ale z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu Grace przyłapała się na tym, że podążyła za nim po schodach, a potem wzdłuż korytarza. Może nie miała lepszego wyjścia. A może dlatego, że mienił się przyjacielem Rance'a. Nadzieja, że tak jest w istocie, nie była zbyt duża, ale tylko ona jej pozostawała. Po przejściu jeszcze kilku kroków lord Ruthveyn otworzył jakieś drzwi. Grace odetchnęła głęboko i weszła do środka. Znalazła się w małej bibliotece albo gabinecie o ścianach zastawionych od podłogi do sufitu wielkimi księgami o pozłaczanych grzbietach. Wiele popękało ze starości. Pomieszczenie przyjemnie pachniało starą skórą i woskiem pszczelim.

- Prywatny gabinet klubowy - wyjaśnił Ruthveyn, wskazując jej dwie sofy zwrócone przodem do siebie, stojące przed kominkiem. - Proszę usiąść, a ja poślę po coś do picia.

Grace nie protestowała.

- Czyż nie wszystkie pokoje w klubie są prywatne? - zapytała, kiedy wrócił. - Czy członkowie pańskiego klubu zrobią wyjątek i pozwolą mi tu przebywać?

Lord Rutłweyn zajął miejsce na jednej z obitych skórą sof, siadając tak, żeby światło z okna padało mu na plecy. Grace pomyślała, że zrobił to celowo. Zarzucił solidnie umięśnione ramię na oparcie i założył nogę na nogę w sposób, który wydawać by się mógł zniewie-ściały, ale w jego przypadku wywoływał poczucie zagrożenia.

Gdy Rutłweyn ponownie wbił w nią ponury wzrok, Grace odniosła wrażenie, że usiłuje dotrzeć wprost do jej duszy. Była to przerażająca myśl. I bardzo dziwaczna. Co takiego powiedziała, żeby wzbudzić jego czujność?

- Co dokładnie wie pani o tym domu? - W końcu otworzył usta.

Grace wzruszyła ramionami.

- Szczerze mówiąc, nic poza adresem.

- Właściwie to nie jest klub, a raczej siedziba pewnego rodzaju stowarzyszenia - powiedział.

- Stowarzyszenia?

- Tak, organizacji skupiającej mężczyzn o podobnych... no cóż, powiedzmy, że o podobnych zainteresowaniach intelektualnych.

- Jakich? - zapytała ostrożnie.

- Przede wszystkim ludzi wiele podróżujących po świecie - odpowiedział. - Globtroterów, dyplomatów i kupców, takich jak Rance Welham.

- Kiedy koniec mojego ojca był już bliski, Rance napisał do nas do Francji - zaczęła wyjaśniać Grace.

- Nie mam pojęcia, jak mu się udało wysłać list z więzienia. Ale to było tak, jakby w jakiś sposób wyczuwał, że dni mojego taty są policzone. Napisał, że gdybym kiedykolwiek potrzebowała pomocy, mogę przyjść tutaj. I to jest wszystko, co wiem.

- Nie widziała go więc pani? - wystrzelił Rutłweyn niczym z bicza.

Grace cofnęła się.

- Nigdy, od kiedy zosta! pojmany w Algierze - odpowiedziała.

- Tak. Byłem z nim wtedy - rzekł szorstko.

- Och - cicho szepnęła Grace. - Bardzo się o niego martwiliśmy. Ale niedługo potem tata zachorował i zabrałam go do Paryża. Mieszkam w Londynie od niespełna roku.

- Dlaczego? Jeśli nie po to, żeby się spotkać z Welha-mem, to dlaczego pani przyjechała do Anglii? - spytał.

- Żeby znaleźć pracę. - Zaczynała być znużona traktowaniem z góry, nietaktownymi pytaniami i ostrym spojrzeniem błyszczących oczu. - Doprawdy, cóż pan sobie wyobraża, milordzie? Ze przyjechałam tu za nim? Ze coś nas łączyło?

Odwrócił wzrok.

- Jest pani piękną kobietą, mademoiselle Gauthier. A Lazonby nigdy nie potrafił się oprzeć... nie potrafił się oprzeć niczemu, czego zapragnął - stwierdził Rutłweyn.

- Natomiast ja zawsze potrafiłam się oprzeć hultajom - rzuciła ze złością. - A Rance, chociaż jest doskonałym żołnierzem i dobrym przyjacielem, zawsze pozostanie hultajem.

- Chciałem tylko uzyskać pewność - powiedział Rutłweyn.

- Dlaczego? - zażądała odpowiedzi.

Spojrzał na nią, unosząc jedną niebywale czarną brew.

- Dajmy spokój, mademoiselle Gauthier. - Machnął ręką. - Żadne z nas nie lubi się kłócić. Jakiej pracy pani szukała? Czy Gauthier nie zabezpieczył pani finansowo?

Grace wyprostowała się.

- To także nie jest pańska sprawa - rzekła ostro. - Ale spieszę wyjaśnić, że mój ojciec zadbał o mnie. Nie jestem bogata, pewnie według pańskiej miary mogę żyć skromnie. Ale nie lubię bezczynności. Praca sprawia mi przyjemność i przez kilka ostatnich miesięcy byłam zatrudniona przez pana Ethana Holdinga, właściciela stoczni Crane and Holding.

Rutłweyn zeszywniał.

- Crane and Holding - mruknał. - Największy budowniczy okrętów dla brytyjskiej marynarki. Mają doki w Liverpoolu i Rotherhithe.

- I w Chatham - dodała Grace. - Ethan... to znaczy pan Holding przejął ostatnio konkurencję. - Opuściła głowę i wbiła wzrok w podłogę. - Jestem... a raczej byłam guwernantką jego pasierbic, Elizy i Anny. W zeszłym roku ich matka zginęła tragicznie.

W pokoju zapadła długa cisza. Przez otwarte okna dobiegały odgłosy powozów jadących oddaloną St. James Street. Na pobliskiej uliczce ktoś zamiatał schody, a gdzieś dalej odźwierny krzyczał coś do woźnicy przejeżdżającej dwukółki. Przez cały czas Rutłweyn spoglądał na nią zimnym, mrocznym wzrokiem.

- „Morning Chronicle” doniosła dziś rano o śmierci Holdinga - odezwał się w końcu. - Podobno ktoś poderżnął mu gardło.

W tym momencie Grace poczuła od nowa wszechogarniające, dławiące poczucie straty. Podobno? Nie miała żadnych wątpliwości. Śmierć Ethana była szybka, koszmarna, realna i niewątpliwie poderżnięto mu gardło.

Pochyliła się lekko do przodu, kładąc jedną dłoń na brzuchu. Nagle poczuła mdłości, cały horror minionej nocy stanął jej przed oczami. Dobry Boże, czy to możliwe, że to wszystko wydarzyło się wczoraj? Nadal widziała Ethana na podłodze, bulgoczącego i wbijającego palce w dywan, jakby chciał się wyczołgać.

Musiała stąd wyjść. Ten człowiek, ten arystokrata, me mógł jej pomóc w odnalezieniu Rance'a. Rance wyjechał. Nie miała po co szukać tu pomocy. Co gorsza, nie mogła nie zauważyć policjantów rozstawionych rano na każdym rogu placu ani faktu, że jeden z nich siedł za nią przez cały czas, aż na St. James Place. I nagle pomyślała, w jaki sposób będzie mogła wytłumaczyć swoją obecność tutaj. A przecież musi to wyjaśnić. Policji nie

zajmie wiele czasu ustalenie jej powiązań z osławionym mordercą, Rance'em Welhamem.

Świadomość tego stała się dla niej niemal bolesna.

Jaka była głupia! Grace wbiła palce w oparcie krzesła z zamiarem powstania, ale najwyraźniej przestała panować także nad mięśniami.

- Mademoiselle Gauthier!

Głos lorda Ruthveyna dobiegał jakby z oddali.

- *Mademoiselle* - Tym razem ton był ostrzejszy.

- *Ouil* - Grace udało się rozluźnić uchwyt na poręczy krzesła. - Tak, bardzo przepraszam, słucham.

- Jaki jest pani związek ze śmiercią pana Hołdinga? W jakiś sposób zmusiła się, żeby na niego spojrzeć.

- Mój związek?

- Czy śmierć Holdinga jest powodem, dla którego zjawiała się tu pani dzisiaj? - Jego oczy błyszczały jak czarne diamenty. - Czy była tam pani? Przesłuchiowano panią? Czy jest pani podejrzana?

- Tak! - krzyknęła, zrywając się w końcu z krzesła. - Odpowiedź na wszystkie pana okropne pytania brzmi: tak, tak, tak! Nie jestem tego pewna, ale boję się, że jestem podejrzana. Nikt mi nic nie mówi. Zostałam usunięta z domu. Uniemożliwiono mi kontakt z dziećmi. Na litość boską, śledzi mnie policjant. A więc tak, milordzie. Sądzę, że spokojnie można powiedzieć, że jestem po uszy uwikłana w tę sprawę.

W przyplywie paniki Grace uniosła spódnicę i ruszyła do drzwi. Ale Ruthveyn był tak szybki, iż nawet nie zarejestrowała, że się poruszył. Wpadła na niego, na jego tors, i coś w niej pękło. Złapał ją za ramiona i Grace oparła się o niego całym ciężarem ciała. Wraz z rozpaczliwym szlochem ulotniła się cała jej siła i odwaga.

I wtedy Ruthweyn zrobił coś bardzo dziwnego. Otoczył ją ramionami, zrazu niesłychanie ostrożnie, jakby jeszcze nigdy nie trzymał w objęciach ludzkiej istoty. Jakby była szklaną figurką, która może się stłuc przy naj-

lżejszym dotknięciu. Przez chwilę trzymał ją tak, po czym nagle zamknął w gorącym, mocnym uścisku.

- Moja droga - wymruczał. Czują na skroniach jego gorący oddech. - To niemożliwe, żeby wszystko było już stracone.

Taka czułość ze strony człowieka, który bynajmniej nie sprawiał wrażenia czulego, była czymś zbyt wielkim dla Grace. Stłumiła następne łkanie. Wiedziała, że ledwo zapanowała nad płaczem.

- Och, nie może pan wiedzieć, co straciłam - wyjąkała. - Ale jest pan bardzo miły. Dziękuję.

- Miły - powtórzył markiz, jakby jeszcze nigdy to określenie nie zostało zastosowane wobec jego osoby.

Grace udało się oprzeć dłoń na jego ramionach i odepchnęła go. Puścił ją. Z jego twarzy nadal nie udawało się odczytać. Ale utrata jego ciepła była niemal namacalnie bolesna.

Chwila, w której oderwała się od niego, okazała się ze wszech miar właściwa, gdyż właśnie w tym momencie drzwi otworzyły się i pojawił się w nich służący, który wtoczył do pokoju mahoniowy wózek z tacą z serwisem do herbaty i trzema niewielkimi talerzykami. Kiedy rozstawiano zastawę, odwróciła się twarzą do okna, połykając łzy.

- Musi pani zostać, mademoiselle Gauthier - stwierdził Rutłweyn pomiędzy brzękiem porcelany i sreber. - Nalegam, żeby pani zjadła i opowiedziała mi dokładnie, po co potrzebny jest pani sierżant Welham, a może raczej powinienem powiedzieć lord Lazonby.

Pięć minut później znalazła się na swoim krześle, trzymając w pozbawionych krążeńa rękach gorącą filiżankę piekielnie mocnej herbaty. Uniosła ją do góry i zaczęła popijać z przyjemnością. Lord Rutłweyn napełnił jej talerzyk mnóstwem jedzenia, którego nigdy nie byłaby w stanie zjeść. Jak na herbatę, pora była nieprzyzwoicie wczesna, ale lord nie sprawiał wrażenia człowieka, który zanadto przejmuje się konwenansami.

Grace zauważyła, że zastawa była z niewiarygodnie cienkiej porcelany, natomiast zestaw do parzenia herbaty wykonano z ciężkiego, bogato zdobionego srebra. Widniał na nim ten sam dziwny herb, który wcześniej widziała nad drzwiami klubu. Sam dom i jego wyposażenie miały charakter typowo męski, spokojny i zasobny. Bez względu na to, czym było Towarzystwo Świętego Jakuba, jego członkowie niewątpliwie nie narzekali na biedę. Grace trudno było pogodzić taki przepych z szorstkim, zaprawionym w walce żołnierzem, jakim był Rance Welham.

Lord Ruthweyn obrzucił Grace badawczym spojrzeniem i przerwał jej zadumę.

- Mieliliśmy dość interesujący początek naszej znajomości, prawda, *mademoiselle*? - mruknął, nakładając jej na talerzyk cytrynowe ciasteczko za pomocą wymyślnych srebrnych szczypczyków. - Lazonby wyjechał, pani zaś jest skazana na mnie. A na dodatek ta moja okropna utrata panowania nad sobą, tam na dole.

- Nie jestem pewna, czy powinnam pana o to winić.

Grace wzięła od niego talerzyk, zadowolona z rozmowy na przyziemne tematy rozpoczętej po to, żeby poczuła się swobodniej.

- Ten okropny miody człowiek... Jak się nazywał?

- Coldwater - odpowiedział Ruthveyn. - Stał się dość uciążliwy, bo nie przestaje drażnić sprawy lorda Lazonby oraz popełnionego dawno morderstwa i znów wywlekać go na łamy gazet. Ale poradzę sobie z Col-dwaterem. A teraz bardzo proszę, żeby wyjaśniła pani, dlaczego chciała się widzieć z lordem Lazonby.

Grace odstawiła filiżankę.

- Po co?

Spoglądał na nią uważnie.

- Abym mógł pani pomóc.

- Ale dlaczego miałby mi pan pomagać? - Grace zmarszczyła brwi. - Nie ma pan wobec mnie żadnych zobowiązań. Nigdy wcześniej mnie pan nie spotkał.

Przez chwilę zawahał się, jakby wahał słowa.

- Może los tak chciał, *mademoiselle* - odparł w końcu.

- Przecież to przeznaczenie tu panią przywiodło.

- Wierzę w to, że każdy sam tworzy własny los, lordzie Ruthveyn - odrzekła. - Pan nie jest mi nic winien.

- A Lazonby jest?

- Wydaje się tak uważać - odpowiedziała.

- Czyż dług mojego brata nie jest moim długiem?

- zapytał Rutłweyn. - Lazonby uczyniłby to samo dla mnie. Zresztą nie raz już tak robił. Ponawiam więc pytanie, *mademoiselle* Gauthier. Co pani chciała, żeby zrobił?

Grace otworzyła usta, ale nie wydała żadnego dźwięku. Wreszcie przyznała:

- Nie jestem do końca pewna. Po prostu pomyślałam, że... że może mi coś poradzić. Bo któż lepiej mi doradzi niż Rance, który był niesłusznie oskarżony o morderstwo? Przecież musiał z tego powodu uciekać z kraju i zaciągnąć się do armii. Ale w końcu zwyciężył, został oczyszczony z zarzutów.

- Może w oczach sądów Jej Królewskiej Mości - wtrącił Rutłweyn. - Ale w oczach opinii publicznej? To już jest mniej pewne. - Nie dbam o opinię publiczną - stwierdziła Grace.

- Niestety, moja droga, jesteśmy w Anglii. - Rzucił w jej stronę dziwne spojrzenie. - Poważnie się obawiam, że powinna pani się z nią liczyć.

- Wcale nie zamierzam! - rzuciła ostrym głosem.

- Naprawdę, zupełnie nie mogę zrozumieć, po co tu wróciłam! Moi angielscy krewni mi nie pomagają, policja widzi we mnie tylko podejrzaną Francuzkę, bo Francuzi, jak pan wie, zawsze są podejrzani, a teraz jeszcze nie żyje mój narzeczony. Poza dobrym imieniem mojego ojca niewiele mam do stracenia. I o to będę walczyć.

Spojrzenie czarnych oczu Ruthveyna stwardniało.

- Pani narzeczony?

Grace spuściła wzrok i ponownie wzięła filiżankę, ale ręka jej się trzęsła, więc filiżanka, pobrzękując, niebezpiecznie podskakiwała na spodku.

- Tak, pan Holding i ja... zaręczyliśmy się w tajemnicy.

- W tajemnicy? - zapytał ostrym głosem Rutłweyn.

- Do jakiego stopnia to był sekret?

- Nie taki wielki.

Grace upiła łyk silnej, wzmacniającej herbaty.

- Wiedziała o tym jego siostra, Fenella Crane. Powiedzieliśmy też rodzinie jego zmarłej żony. Ale oficjalnie czekaliśmy na zakończenie okresu żałoby. No i powiedzieliśmy dziewczynkom. - Nagle twarz jej się skrzywiła.

- I były takie szczęśliwe! A tak bardzo się bałam, że się nie ucieszą. Ze to za wcześnie. Ale one... one były bardzo szczęśliwe...

Nie zorientowała się, że płacze, dopóki Rutłweyn nie przysiadł obok niej na sofie i nie podał jej chusteczki do nosa.

- Och - szepnęła, niezdarnie odstawiając filiżankę. Osuszyła oczy i wytarła nos. - Och, musi mnie pan uważać za straszliwą bekę.

- Myślę, mademoiselle Gauthier, że jest pani młodą damą, która była świadkiem ogromnej tragedii. I że upłynęło jeszcze za mało czasu - mruknął.

Grace odwróciła się zakłopotana. W lordzie Rutłweynie było coś... coś zbyt poufatego, trudnego do zniesienia. Ku jej zdumieniu wyciągnął rękę, oparł długie, nieprawdopodobnie gorące palce na jej policzku i odwrócił jej twarz ku sobie. I wtedy wydarzyło się coś przedziwnego. Grace miała wrażenie, że ciepło jego dotyku przeniknęło przez jej policzek i mięśnie twarzy i rozlało się falą po całym ciele. Czuła się tak, jakby wystawiła twarz ku najjaśniejszemu ze słońc i czerpała z niego nie tylko ciepło, ale również coś, co przypominało uspokojenie. Siedziała bez ruchu, pozwalając, aby otoczyła ich cisza. Dźwięki dobiegające

z pobliskiej ulicy, lekki powiew jesiennego wiatru, nawet odgłos oddechu - to wszystko zanikło. Nie potrafiłaby powiedzieć, ile czasu to trwało.

Kiedy Grace powróciła do siebie, usłyszała głos mówiący:

- Proszę otworzyć oczy. - Usiłowała sobie przypomnieć, do kogo należy ten głos. - Proszę na mnie spojrzeć, mademoiselle Gauthier.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że ma zamknięte powieki.

- Dlaczego?

- Bo chcę zobaczyć pani oczy. Przecież nazywane są oknami duszy, prawda? - mruknął lord Rutlweyn.

Na te słowa, niemal wbrew swej woli, spojrzała na niego. Gdy ich spojrzenia się spotkały, Grace siłą wyrwała się z dziwnego letargu. Nie miała nic do ukrycia. Nie zamierzała się bać tego mężczyzny o czarnych, błyszczących oczach. Spoglądała więc na niego równie intensywnie, jak on patrzył na nią. Siedzieli tak blisko siebie, że twarde udo Rutlweyna przywierało do jej nogi. Ciepło jego ciała i jego zapach unosiły się w powietrzu - mieszanina woni egzotycznych przypraw, dymu i czystej kwintesencji męskości.

Grace poczuła dziwny spokój. Ale ten moment, kiedy czuła się zupełnie sama z Ruthveynem, jakby nie istniało nic poza tym pokojem i tą chwilą, szybko minął.

Ręka Rutlweyna oderwała się od jej twarzy.

Mężczyzna skupił uwagę na herbacianym stoliku i, jakby nic się nie wydarzyło, wziął do ręki cytrynowe ciasteczko i unióśł je do ust Grace.

- Proszę zjeść - mruknął.

- Dlaczego?

- Znów pani zbladła - powiedział.

Grace jak zahipnotyzowana posłuchała jego polecenia, ugryzła pół ciasteczka i zaczęła je powoli przeżuwać. Miała wrażenie, że jej kubki smakowe nagle się obudzi-

ły. Ciasteczko miało cierpki smak, jak plasterk surowej cytryny, a jednocześnie było słodkie i bardzo maślane. Grace językiem zatrzymała okruszek, który niemal wypadł jej z ust, i wydała przy tym cichy pomruk zadowolenia.

Rutłweyn z uznaniem zmrużył oczy.

- To specjalny przepis naszego szefa kuchni - wyjaśnił. - Monsieur Belkadi przetrząsnął cały Paryż, żeby go znaleźć, a potem kazał swojej siostrze przeszkolić biedaka. Proszę poczekać, aż spróbuje pani jego kuskusu z szafranem.

- Kuskus? - Grace wzięła w palce drugą połówkę ciasteczka i zjadła ją. - Naprawdę? Och, będę jego niewolnicą.

- Poinformuję go o tym - rzekł Rutłweyn. - A teraz kanapka.

- Nie... nie jestem głodna.

- Jest pani - stwierdził. - Jest pani wygłodzona. Jedzenie przywróci pani jasność myślenia.

Było to dość zdumiewające stwierdzenie. Ale Grace, jedząc kęs oferowanej kanapki, niemal się nie zastanawiała, jak dziwnie jest być karmioną przez człowieka, którego dopiero co poznała, ba, przez jakiegokolwiek mężczyznę.

Kanapkę wieńczył cienki plasterk ogórka, ułożony na różowym pasztecie o zmieszonym smaku łososia, cytryny, koperku i śmietany.

- Wielkie nieba, ciekawa jestem, jak dajecie radę wchodzić po schodach, jedząc takie smakołyki - powiedziała po przełknięciu kanapki.

Zamiast odpowiedzi Rutłweyn wręczył jej talerz, nalał herbaty, dodając parę kropel mleka, tak jak to lubiła. Wyjadła wszystko, do ostatniej okruszyny, metodycznie biorąc kanapki zgodnie z ruchem wskazówek zegara, aż nagle, ku jej zaskoczeniu, okazało się, że talerz jest pusty.

- Doskonale - stwierdził, odstawiając talerz.

Wrócił na stojącą naprzeciwko sofę, pozostawiając ją z uczuciem dziwnego osamotnienia i lekkiego chłodu. Przez chwilę zajął się nalewaniem sobie herbaty, którą, co zaobserwowała Grace, pił czarną, bez żadnych dodatków. Zapamiętała ten fakt, zupełnie bez powodu.

Po jakimś czasie Rutłweyn odstawił filiżankę i ponownie umościł się, niczym kot, na sofie.

- Odzyskała pani rumieńce. Powróćmy więc do ważnej sprawy, którą mieliśmy załatwić, i do moich pytań

- rzekł spokojnym głosem.

Grace nie zamierzała się wykręcać.

- Dobrze. Co chciałby pan wiedzieć? - powiedziała z westchnieniem.

Trudne do zdefiniowania emocje pojawiły się na jego twarzy i znikły tak szybko, że nie była pewna, czy nic jej się nie przywidziało.

- Chciałbym wiedzieć, czy kochała pani Ethana Holdinga - rzucił.

Grace popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Doprawdy? Jakie to ma znaczenie? - spytała. Wzruszył ramionami.

- Może jestem po prostu ciekaw - odpowiedział.

- Ale można też zaryzykować stwierdzenie, że zbrodnia w afekcie jest mniej prawdopodobna, gdy... gdy nie ma zbyt wiele zaangażowania uczuciowego.

Posłała mu mordercze spojrzenie.

- Jest pan okrutnie praktyczny, lordzie Rutłweyn

- stwierdziła. - Ale mogę powiedzieć, że nie kochałam go. Przynajmniej nie w sposób, jaki ma pan na myśli. Darzyłam go głębokim szacunkiem. I chociaż niektórzy mogli go uważać za szorstkiego i trudnego, wiedziałam, że jest dobrym człowiekiem i kochającym ojcem.

- Rozumiem. A kto jest owym Crane w spółce Crane and Holding? Chyba nie siostra? - pytał dalej.

- Och, nie, skądże znowu! - Siedząc na sofie, Grace starała się uspokoić. - Matka Ethana święcie wierzyła

w to, że kobiety nie mają głowy do interesów. Chodzi o kuzyna Ethana, Josiaha Crane.

- Kuzyna? Bardzo dziwny układ - zauważył Ruthveyn. Grace zaczęła wyjaśniać:

- Firma została założona przez rodzinę Crane'ów. Upadającą stoczną Holdingów odziedziczyła owdowiała matka Ethana. Kiedy Ethan był jeszcze mały, wyszła za mąż za jednego ze spadkobierców Crane'ów, który uznał chłopca za syna. Po śmierci matki, która zmarła parę lat po panu Crane, Ethan odziedziczył pakiet kontrolny akcji.

- To właśnie nazywam małżeństwem z rozsądku - skomentował Ruthweyn. - A pozostałe udziały?

- Pan Crane zapisał w testamencie czterdzieści procent Josiahowi Crane, swojemu siostrzeńcowi.

Ruthveyn uniósł kącik ust.

- Ciekaw jestem, jak się wtedy czuł Josiah Crane.

- Targały nim różne emocje, ale z pewnością czuł wdzięczność - stwierdziła Grace. - Ojciec Josiaha był najstarszym z braci Crane, ale okazał się utracjuszem i musiał sprzedać swoje udziały młodszemu bratu. Przez jakiś czas Josiah pracował dla wuja jako urzędnik niższej rangi. Ale to wszystko działo się dawno temu. To stara historia.

Ruthweyn przechylił na bok głowę i przez chwilę oceniał ją wzrokiem.

- Czymże jest czas, jeśli nie wynalazkiem człowieka, mademoiselle Gauthier - w końcu odezwał się w zamyśleniu. - Czas może się rozciągnąć do nieskończoności. Z drugiej strony zaś traktowany jest jak banał, choćby w powiedzeniu „czas leczy rany”. Chyba tak mówią Anglicy? Ale proszę mi wierzyć, że zazdrość jest uczuciem, które może być nieśmiertelne.

Grace udało się przywołać na twarz uśmiech.

- Nigdy nie będę tak głębokim myślicielem, jak pan, lordzie Ruthweyn. Zaś co do czasu, to muszę mieć nadzieję, że istotnie leczy rany.

- Nie zawsze tak jest, mademoiselle Gauthier - rzekł spokojnie. Wyglądał, jakby nagle ocknął się z głębokiej zadumy. - A więc ojciec Josiaha Crane sprzedał dziedzictwo syna, prawda? Josiah miał szczęście, że je w końcu odzyskał - mruknął.
 - Tylko czterdzieści procent - przypomniała mu Grace.
 - Nie początkowe pięćdziesiąt.
 - Ach, więc pani Holding zarządzała w znaczącym stopniu majątkiem, gdy była wdową?
 - Z tego, co wiem, rządziła co najwyżej igłą do cerowania - odparła Grace. - Matka Ethana uważała, że miejsce kobiety jest w domu. Fenella wspominała, że dopóki Ethan i Josiah nie dorośli do tego, żeby przejąć interesy, firmą kierował zarząd powierniczy.
 - Fascynujące - mruknął Rutłweyn. - Jak układały się stosunki Ethana Holdinga z mniejszym wspólnikiem? - Całkiem nieźle. Czasami się sprzeciali, jak to bywa w przypadku silnych osobowości. Ale generalnie byli sobie bliscy - powiedziała Grace.
 - Kto prowadził finanse?
 - Josiah Crane - odparła. - Miał głowę do rachunków. On i Fenella. Podejrzewam, że to cecha charakterystyczna w rodzinie Crane'ów. Ethan jest... był twarzą firmy Crane and Holding. Ludzie go lubili. Ufali mu.
 - Niewątpliwie zaufał mu rząd Jej Królewskiej Mości.
 - Tak. Krążyły nawet słuchy o tytule szlacheckim
 - stwierdziła z prostotą Grace.
 - Naprawdę? Mogła więc pani zostać lady Holding?
 - mruknął.
- Grace zaśmiała się gorzko.
- Jakby to miało dla mnie jakieś znaczenie. W rodzinie mojej zmarłej matki było mnóstwo tytułów i jakoś nikt przez to nie miał łatwiejszego życia. Nie można zjeść tytułu ani w nim mieszkać. Tytuł nie zapewnia ciepła w nocy. Proszę mi wybaczyć, milordzie, ale tytuł jest jedynie na pokaz.

- Nie musi pani przepraszać - rzeki Ruthveyn. Zmieszana Grace poczuła, że palą ją policzki.
 - Pan na pewno urodził się w arystokratycznej rodzinie, a tytuł markiza pochodzi z czasów Wilhelma Zdobywcy - mruknęła.
 - Obawiam się, że wtedy był to mniej znaczny tytuł. Ale moim przodkom udało się zgromadzić spory zbiór tytułów i zaszczytów, uczciwą i nieuczciwą drogą. No i w królewskiej służbie, chociaż to chyba na jedno wychodzi, prawda?
 - A tytuł markiza? Wzruszył ramionami.
 - To chyba moja robota.
 - Aha, nagroda za zasługi dla Koróny? - rzuciła Grace. Przez oblicze Ruthveyna przemknął cień.
 - Czy to nie jest naturalna droga? - odparował. - Tak, w służbie Jej Królewskiej Mości.
- Gdzieś w głębi domu zegar zaczął wybijać godzinę. Przerazona Grace szeroko otworzyła oczy.
- Och, przecież nie może już być tak późno! Ruthveyn wyciągnął z kieszonki kamizelki złoty zegarek.
 - Obawiam się, że jednak jest. Czy ma pani dzisiaj jeszcze inne sprawy do załatwienia? - zapytał.
 - Nie wiem - rzekła Grace w zamyśleniu. - Chciałam zapytać Rance'a... chciałam go zapytać, czy nie potrzebuję adwokata. Ale już sama myśl o tym mnie przeraża.
- Ruthveyn schował zegarek.
- Jeszcze nie została pani oskarżona o żadną zbrodnię - stwierdził spokojnie. - Proszę się zająć własnymi sprawami, zachowywać tak, jak każdy niewinny człowiek. La-zonby miał najlepszego prawnika w Londynie, całkiem przypadkiem jest to członek naszego klubu. Dopóki nie skontaktuję się z Lazonbym, może pani śmiało polegać na tym, że będzie bronił pani interesów. Ze będzie bronił pani interesów...

Ale jakie były jej interesy? Co jej pozostało? Straciła nadzieję na spokojne, ciche życie, które udało jej się stworzyć po śmierci ojca. Teraz znów czuła napór zewnętrznego świata w całej jego brzydocie.

- Wątpię, aby stać mnie było na najlepszego prawnika w Londynie, *sir* - rzekła spokojnie.

- Na razie proszę to pozostawić w moich rękach - powiedział. Nie była to propozycja, tylko stwierdzenie.

Grace czuła na sobie nieruchome, spokojne spojrzenie lorda Ruthveyna i nagle dreszcz przebiegł jej po plecach. Miała ochotę uciec jak najdalej od tego ponurego człowieka i jego przenikliwego wzroku, ale jednocześnie odnosiła wrażenie, że jego mroczność zatacza wokół niej kręgi, otulając ochronną warstwą. Oferował jej pomoc. Instynktownie wyczuwała, że nie był człowiekiem, przy którym można kłamać lub kręcić.

Nic więcej jej nie pozostawało. Przełknęła z trudem i podniosła oczy.

- Przyjmuję pańską ofertę, milordzie. Jak się nazywa adwokat?

- Sir Greville St. Giles - odpowiedział Ruthveyn. - Ma biuro w siedzibie towarzystwa sądowego Inner Tempie, ale jeśli będzie trzeba, proszę przesyłać wiadomości do mnie. Gdyby policja ośmieliła się panią aresztować, choć nie sądzę, żeby to zrobili, proszę im powiedzieć, że reprezentuje panią St. Giles. A potem ani słowa więcej. Pod żadnym pozorem. Zapewniam, że w ciągu doby załatwię pani zwolnienie.

Grace wierzyła mu. Sprawiał wrażenie człowieka gotowego pójść na koniec świata, a może nawet zagłębić się w czeluści piekielne tylko po to, by udowodnić, że potrafi to zrobić.

- Dziękuję - powiedziała i szybko poderwała się na nogi. - Teraz już naprawdę muszę iść. Zbyt długo nadużywałam pańskiej uprzejmości.

Ruthveyn, którego Grace postawiła przed faktem dokonanym, wstał. Ale przy drzwiach zawahał się, szerokimi ramionami blokując przejście.

- Mam jeszcze jedno pytanie. Mogę? Spojrzała na niego.

- Tak, słucham.

Ruthveyn spoglądał na nią z góry.

- Mademoiselle Gauthier, czy zabiła pani Etha-na Holdinga?

Grace szeroko otworzyła usta.

- Nie! - udało jej się w końcu wydusić. - Jak... Czemu uważa pan, że mogłabym być do tego zdolna?

- Każdy jest do tego zdolny, *mademoiselle*. Taka jest natura człowieka. Ale przyjmuję pani odpowiedź. Jeśli więc nie pani, to kto? - rzucił pytanie.

Spojrzała na niego z nieukrywaną irytacją.

- Jakiś... jakiś złodziej! To oczywiste! W domu było pełno cennych dzieł sztuki i sreber rodowych.

Nikt nie życzył śmierci Ethanowi.

- W tej kwestii nie mogę się z panią zgodzić - powiedział lord Ruthveyn. - Nic o nim nie wiem, a jednak nawet w tej chwili potrafiłbym podać paru ludzi, którzy mogliby to zrobić. Kto znalazł ciało?

Grace szeroko otworzyła oczy. -Ja.

Cofnął się odrobinę.

- W środku nocy?

Grace ponownie uderzy! groźny wygląd lorda. Jakże blisko stał. Przez chwilę miała wrażenie, jakby z pokoju zostało wyssane całe powietrze. Czuła palący wzrok Ruthweyna, przesuwający się po jej twarzy i szyi.

- To nie był środek nocy, tylko wpół do pierwszej - wykrztusiła.

- Proszę to wyjaśnić.

- Przy kolacji Josiah Crane pożyczył mi zbiorek wierszy. Oświadczyłam, że zamierzam skończyć je czytać.

Ethan wsunął pod moje drzwi karteczkę z prośbą, abym zajrzała do niego do gabinetu, jeśli jeszcze nie śpię.

- Naprawdę? Czy często tak się zachowywał? - zagrzemiał Rutłweyn.

- Nie, nigdy. Na dodatek liścik był bardzo dziwnie sformułowany - marszcząc brwi, odpowiedziała Grace.

- W jakim sensie?

Zmarszczki na jej czole pogłębiły się.

- Nazwał mnie panną Gauthier - rzekła. - I jakby uważał, że jest mi winny jakieś przeprosiny.

- Jak zwykle zwracał się do pani?

- Grace, jeśli byliśmy sami. To znaczy po naszych zaręczynach. A kiedy pisał do mnie z podróży, też zazwyczaj nazywał mnie Grace, chyba że dołączał list do innej korespondencji.

- A co takiego zrobił Holding, żeby panią przeproszać?

Wzruszyła ramionami.

- W tym rzecz. Nie umiem nic wymyślić. Podczas kolacji był trochę zły, bo czuł się zmęczony.

Właśnie wrócił z dwutygodniowego pobytu w stocznich Liverpoolu. Rozmawiał z Josiahem głównie o interesach. A ja... naprawdę nie uważałam, o czym mówią.

Rutłweyn zastanowił się nad jej słowami.

- Czy często pani jada z rodziną? Grace odwróciła wzrok.

- Tak, kolacje. Myślę, że Ethanowi imponowało to, iż jestem wnuczką hrabiego. Był zadowolony, że jego siostra zaprzyjaźniła się ze mną - wyznała.

- Miał nadzieję, że zyska przy pani więcej ogłady? Grace uśmiechnęła się słabo.

- To takie głupie, zważywszy że większość życia spędziłam w wojskowych obozach, prawda? Ale rodziny kupieckie często mają kompleks niższości wobec każdego, w czyich żyłach płynie choć kropla błękitnej krwi. A Ethan był nieco... - tu uśmiechnęła się z rozrzewnie-

niem - ...powiedzmy, że często powtarzał, iż zawsze będzie mu stoma z butów wystawała. Sądzę jednak, że miał nadzieję na dobrą partię dla Fenelli. Ma ogromny posag, ale dość ograniczone stosunki w kręgach towarzyskich.

- A Josiah Crane? Czy często biesiadował w domu Holdinga? - zapytał Ruthveyn.

- Raz, dwa razy w tygodniu. - Przerwała na chwilę. - Wydaje mi się, że gdy byli młodzi, Ethan oczekiwał, iż Josiah i Fenella się pobiorą, ale... cóż, nic takiego się nie stało.

Rutłweyn zaczął analizować jej słowa.

- Bardzo dobrze. Czy więc udała się pani do gabinetu Holdinga natychmiast, gdy tylko karteczka zjawiała się pod drzwiami? - odezwał się w końcu.

Grace zagryzła wargę i potrząsnęła głową.

- Nie. Ależ byłam głupia - wyszeptała. - Zamiast tego upięłam włosy i narzuciłam szlafrok.

Przejmowałam się zachowaniem przyzwoitości! To było właśnie tych dziesięć fatalnych minut. O Boże! Dlaczego tyle zwlekałam!

- Przykro mi, mademoiselle Gauthier, ale nie sądzę, żeby miało to jakieś znaczenie. Proszę mi powiedzieć, co pani zrobiła po znalezieniu Holdinga? - zapytał Rutłweyn.

- Krzyknęłam - oświadczyła. - A potem... próbowałam mu pomóc. Ale nie było już dla niego ratunku. Później przyszli służący. Ktoś poszedł po konstabla. Po tym wszystkim... cóż, niezbyt dokładnie pamiętam kolejność wydarzeń. Ale było mnóstwo ludzi i wiele pytań. Trzymali każdego z nas oddzielnie. Teraz myślę, że podejrzewali mnie od samego początku.

- Wielka szkoda - mruknął Rutłweyn. - Czy były wyłamane zamki? Wybite okna?

Wolno pokręciła głową.

- Nikt o niczym takim nie wspominał - wyszeptała. - Ale musiało się wydarzyć coś takiego, prawda?

Tren-

ton, majordomus, zawsze wszystko starannie zamyka. Dom jest fortecą. Ethan powiadał, że to dla bezpieczeństwa dzieci.

- A liścik, który został wsunięty pod pani drzwi? Grace ponownie potrząsnęła głową.

- Musiałam go upuścić w gabinecie Ethana. Podejrzewam, że ma go policja - przyznała.

- Ja też podejrzewam - stwierdził sucho Rutłweyn. - I nie pozwolono pani później pozostać w domu?

- Niemal wszystkim tego zakazano. Nawet Fenella udała się do posiadłości pani Lester. Powiedziała, że nie może znieść przebywania w tym domu, dopóki zabójca nie zostanie schwytany.

- Proszę mi wyjaśnić, kto to jest pani Lester.

- Siostra pierwszej żony Ethana. Mieszka w pobliżu Rotherhithe. Tam właśnie zostały odesłane Eliza i Anna - rzekła Grace. Całą siłą woli powstrzymywała się, żeby znów nie wybuchnąć płaczem. - I chyba... chyba tam powinny teraz pozostać, prawda? Pani Lester zawsze tego pragnęła.

- Nie lubi jej pani? Grace zawahała się.

- Nie znam jej dobrze - przyznała. - Jest zwariowana na punkcie dziewczynek. Ale wolą jej zmarłej siostry było, żeby córki pozostały z Ethanem, w jedynym domu, który znały. Pani Lester ma pięciu chłopców, więc może obawiano się, że staną się niesforne? Nie wiem. Wiem tylko, że Ethan miał dobrego ojca, więc sam traktował poważnie swoje obowiązki rodzicielskie.

- Panna Crane nie zatrzyma dziewczynek? Pokręciła głową.

- Niezameżna kobieta bez faktycznych więzów krwi z dziećmi? Nie. Wyobrażam sobie, że teraz dziećmi zaopiekuje się rodzina ich matki. Pan Lester jest bardzo bogaty, wydaje mi się, że posiada skład drewna, i okropnie rozpieszcza żonę. Fenella nie będzie chciała z nimi

wojować. Zresztą, to, co myślę, nie ma już teraz żadnego znaczenia, prawda? - zauważyła Grace.

Ruthveyn w charakterystyczny dla siebie sposób przechylił głowę na bok.

- Myśli pani, że śmierć pana Holdinga odebrała pani dzieci na zawsze i to w chwili, gdy przyzwyczała się już pani do roli matki. Teraz całe pani życie stanęło na głowie - powiedział.

Grace udało się przywołać na twarz lekki uśmiech.

- Widzi pan. pokochałam dziewczynki. Ale pani Lester też je kocha. Ma dom pełen służących i zabawek, i zawsze pragnęła mieć córki. Kiedy to się wreszcie skończy, cóż, poproszę o pozwolenie, by móc je odwiedzać. Mam nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży - odparła.

Po raz pierwszy spojrzenie ciemnych oczu lorda złagodniało.

- Sam miałem macochę, kiedy byłem już niemal dorosły. Ale Pamela była dobra, może nawet za dobra, i wszyscy bardzo ją kochali. Rozumiem panią - rzeki uroczyście.

- Dziękuję.

Odwrócił się, ale zamarł z ręką na klamce.

- Gdzie będę mógł panią znaleźć w następnych dniach, mademoiselle Gauthier?

- Znaleźć mnie? Po co? - zapytała. Łagodność znikła z jego wzroku.

- Gdyby coś się wydarzyło.

Grace się zawahała. Ale wahanie w niczym nie mogło poprawić jej sytuacji. Na razie była po uszy wplątana w zabójstwo.

- Mieszkam w domu mojej ciotki przy Manchester Square. Lady Abigail Hythe - odpowiedziała.

- Nie sprawia pani wrażenia najszcześliwszej z tego powodu.

Grace gorzko skrzywiła usta.

- Często słyszę, że powinnam być wdzięczna za dach nad głową.

- Ach, to tak wygląda.

W odpowiedzi tylko wzruszyła ramionami. Lord Rutłweyn otworzył drzwi i podał jej ramię.

- A więc po drodze tutaj była pani śledzona przez policjanta, prawda?

Grace roześmiała się cicho.

- Tak. Na pewno zadaje sobie pytanie, co się ze mną stało.

Lord Rutłweyn spojrzał na nią z góry.

- Zostawmy go z tym pytaniem, dobrze? - mruknął, patrząc w dół na szerokie, białe schody. - Czy wie pani, gdzie jest dom Spenserów? Tuż obok biegnie wąskie przejście wychodzące prosto do Green Park.

- Sekretne przejście? - uśmiechnęła się Grace. Rutłweyn wzruszył ramionami.

- Po prostu często niezauważane - sprecyzował. - Przeprowadzę panią przez ogród i pokażę tylne wyjście. Spokojny, samotny spacer do domu może sprawi pani przyjemność.

Dotarli na dół schodów. Za blatem recepcji nadal stał ten sam wysoki, ciemny młodzieniec. Starannie wymani-kiurowanym palcem przesuwiał po karcie otwartej księgi rachunkowej.

- Belkadi - zwróci! się do niego Rutłweyn.

- Słucham? - Młodzieniec podniósł wzrok.

- Widziałeś Pinkie Ringolda?

- Po drugiej stronie ulicy. Pełni rolę odźwiernego przed drzwiami do piekła Quartermaine'a - obojętnie rzucił Belkadi.

Grace pomyślała, że musieli mówić o Nedzie Ouartermainie. Wszyscy o nim słyszeli; prowadził najbardziej ekskluzywny i najdyskretniejszy salon gry w całym Londynie.

- Idź tam i rozpocznij kłótnię z Pinkiem. Belkadi zamknął księgę.

- Proszę bardzo. Czy chcesz, żeby coś mu połamać, żeby połąła się krew? - zapytał.

- Nie, mamy konstabla kręcącego się w okolicy - powiedział Ruthveyn. - Po prostu zacznij burdę, która odwróci uwagę, gdy będę wyprowadzał mademoiselle Gauthier tylnym wyjściem.

Belkadi skinął głową i ruszył do drzwi.

- A kiedy skończysz, przywlecz tutaj ścierwo Pinkiego - dodał Ruthveyn, skręcając w stronę wąskich schodów na zapleczu. - Pójdę po Bessetta. Chciałbym, żebyśmy porozmawiali we czwórkę.

Grace wytrzeszczonymi oczyma patrzyła, jak Belkadi znika za drzwiami.

Ruthveyn lekko poklepał ją po ręce, którą opierała o jego ramię.

- Widzi pani, mademoiselle Gauthier, Belkadi zasy-muluje zagrożenie, żeby odwrócić od nas uwagę policji.

Grace posłała mu powątpiewające spojrzenie. Zaczynała podejrzewać, że jedynym zagrożeniem w okolicy St. James jest człowiek, na którego ramieniu się wsparła.

I bardzo możliwe, że miał w swoich rękach jej życie.

Rozdział 3

Pinkie składa wizytę

Lord Ruthveyn pomyślał z westchnieniem, że kobiety zawsze były nieszczęściem jego życia. I nie trzeba proroka, żeby wiedzieć, iż i tym razem będzie tak samo.

Chociaż bardzo się starał unikać przedstawicielek płci pięknej - a robił to jeszcze intensywniej niż unikał reszty ludzi - pozostawał mężczyzną o typowym apetycie. I najwyraźniej cechowała go typowo męska fascynacja intrygą i tajemnicą.

Bez względu na to, co kierowało Rutlweynem, wystarczyły mu trzy minuty na wyciągnięcie z saloniku kawowego swojego przyjaciela Bessetta i zwięzłe przedstawienie mu przebiegu spotkania z mademoiselle Gauthier. Jednak potrzebował aż pięciu kolejnych minut, żeby uzasadnić swoją decyzję.

Stali na szczycie marmurowych schodów. Lord Bessett w zamyśleniu pocierał dłonią brodę. W jego oczach, jak zwykle, błyszczała ostrożność.

- Rozumiem, że uważasz, iż powinniśmy się zająć tą sprawą - mruknął. - Przyznaję, że nie widzę powodu, aby Bractwo miało w tym jakiś interes. Ta kobieta nie jest jedną z nas, nawet jeżeli znała Lazonby'ego w Algierze.

- Tego nie wiesz.

Bessett uśmiechnął się chytrze.

- Ale ty wiesz. Gdyby była jedną z nas, już dawno byś mi to powiedział - stwierdził.

Twarz Ruthveyna stężała.

- W tej sprawie niczego nie jestem pewien.

- Ile wie o Lazonbym? Powiedziałeś jej, gdzie on jest?

- ściszył głos Bessett.

- Nie bądź głupi. Powiedziałem jej, że został wezwany do domu, co w pewnym sensie jest prawdą. Ale zamierzasz pomóc czy nie? Bo ja zamierzam, przynajmniej dopóki Lazonby się nie odezwie - odparł.

Lord Bessett splótł ręce na piersiach i zmrużonymi oczami przyglądał się Rutłweynowi.

- Powiedz mi, stary, dlaczego odnoszę wrażenie, że ta dama jest urodziwa? - mruknął. - Chociaż kobieca uroda nigdy nie była dla ciebie najważniejsza, prawda? Zawsze pociągało cię wewnętrzne piękno.

Nagle dobiegł ich trzask drzwi na dole, po którym nastąpił potężny łoskot, kilka głośnych stuków i cała seria przekleństw.

- Przybył stary Pinkie Ring - rzekł z westchnieniem Rutłweyn. Otworzył drzwi do saloniku kawowego. - To jak będzie, Geoff?

Bessett pochylił głowę.

- Będzie tak, jak sobie życzysz, lordzie Bafomecie. Czyż nie jesteś naszym Księciem Ciemności? I czyż my nie jesteśmy twoimi templariuszami?

Stojący w otwartych drzwiach Ruthveyn potrząsnął głową.

- Znowu czytałeś za dużo średniowiecznych bzdur

- prychnął. - Chodź lepiej i pomóż powstrzymać tych dwóch, żeby się nie pozabijali.

Nie było to łatwe zadanie.

W końcu udało im się wsunąć ogromny stół pomiędzy Belkadiego i jego przeciwnika. I choć ledwo minęło południe, posłali po butelkę mocnej sherry.

- Nic nie gadałem, ty przeklęty dzikusie! - wrzasnął Pinkie Ringgold, wychylając się ponad stołem w stronę Belkadiego.

- Dosyć! - Bessett zerwał się na nogi, złapał Pinkiego i popchnął go z powrotem na krzesło.

- Cholerny mauryjski bękart! - Czerwony ze złości Pinkie wyrywał się z uchwytu Bessetta.

Belkach siedział bez ruchu.

- Bardzo przepraszam, staruszkule - odezwał się z wyraźnym znudzeniem. - Gotów byłbym przysiąc, że robiłeś głupie uwagi o kroju mojego płaszcza.

- O kroju płaszcza? - Lord Bessett przesunął spojrzeniem po wymiętym, brązowym okryciu Pinkiego z pourywanymi guzikami. - To musiało być nieporozumienie. Panowie, jesteście przecież sąsiadami, a czasem nawet współnikami w interesach. Zapomnijmy o całej sprawie, dobrze?

- Ależ oczywiście - zgodził się Belkadi.

Pinkie wyswobodził się z uchwytu Bessetta, nerwowo poruszył ramionami, potem usiadł i wziął do ręki plaster świeżej wołowiny przyniesionej chwilę wcześniej przez jednego z pomocników Belkadiego.

Belkadi beznamiętnie obserwował, jak Pinkie przykłada sobie befsztyk do prawego oka.

- Przyślij mi rachunek za swój zniszczony krawat, Ringgold - powiedział.

- Załatwię to - po raz pierwszy zabrał głos Rutłweyn. Wyciągnął portfel, wyjął plik banknotów i przesunął je po stole w kierunku Pinkiego. - Proszę. To chyba powinno pokryć straty.

Pinkie popatrzył zezem.

- O tak... Wy, bogaci dranie, uważacie, że możecie sobie kupić starego Pinkiego, kiedy tylko przyjdzie wam ochota. Ten stosik pieniędzy wystarczy na trzy jedwabne krawaty. Czego naprawdę chcesz, Rutłweyn? - zapytał.

Rutłweyn uśmiechnął się słabo.

- Będę więc szczery.

- Nigdy nie siynajęś z pustych konwersacji - odparł Pinkie.

Rutłweyn wymienił spojrzenie z Bessettem.

- W środę wieczorem popełniono morderstwo w Bel-gravii - powiedział Rutłweyn, w zamyśleniu stukając palcem w blat stołu. - Chciałbym wiedzieć, co się o tym mówi w mieście.

Wciąż trzymając befsztyk przy oku, Pinkie mruknął:

- Jegomość o nazwisku Holding. To on nie żyje, prawda? Takie krążą plotki w mieście.

Rutłweyn wyciągnął kolejny banknot.

- Chcę wiedzieć, czy to był napad rabunkowy - rzekł, i dwoma palcami rzucił banknot na stosik. - Chcę wiedzieć, czy uszkodzono drzwi albo okno. Chcę wiedzieć, czy coś zostało skradzione. I chcę znać nazwisko pasera. Krótko mówiąc, Pinkie, chcę wiedzieć wszystko, co wie półświatek. Czy wyrażam się jasno?

Odźwierny polizał nerwowo wargi, zawahał się, po czym lekko kiwnął głową.

- Nie trać reszty pieniędzy, szefie - powiedział, biorąc ze stosiku jeden banknot. - Ten dziesiątak wystarczy za moje dzisiejsze trudy.

- Co sugerujesz? - Głos Rutłweyna był niebezpiecznie łagodny.

Zez Pinkiego nasilił się.

- Ze to nie włamywacz załatwił Holdinga. Johnnie Rucker słyszałby coś o tym, gdyby była jakaś kradzież. Jego zadaniem jest wiedzieć takie rzeczy. Powiedziałyby mi o tym.

- A nic nie mówił?

- Powiedział, że nic nie wie o sprawie Holdinga - zdradził konfidencjonalnie. - Zresztą Johnnie nie toleruje takiej przemocy. Plotka głosi, że Holdinga zamordował ktoś ze służby.

- Kto dokładnie? - wtrącił się Bessett. Pinkie wzruszył ramionami.

- Może guwernantka - rzucił. - Uroiła sobie, że kocha Holdinga. A na dodatek jest żabojadką. - Tu spojrzął z obrzydzeniem na Belkadiego. - Słyszałem, że żabojady mają temperament.

Belkadi tylko się uśmiechnął.

- Uważaj z tymi obraźliwymi uwagami, Ringgold. Rutłweyn zignorował go i ponownie przesunął plik banknotów w stronę Pinkiego.

- Upewnij się o tym wszystkim. Porozmawiaj z Quartermainem i zobacz, czego uda mu się dowiedzieć. Jeszcze raz pogadaj z Ruckerem. Powiadom wszystkich paserów w Londynie. Za każdą skradzioną rzecz zapłacę podwójną cenę i nie będę zadawał żadnych pytań.

- Nic nie zostało skradzione - przypomniał Pinkie.

- To ty tak twierdzisz.

Po chwili wahania Pinkie cisnął befsztyk na talerz i schwycił banknoty.

- To pana forsa - powiedział, wstając. Rutłweyn wyciągnął z kieszeni zegarek.

- Będę u Quartermaine'a dziś wieczorem, koło jedenastej - rzekł, patrząc na zegarek. - Zdasz mi wtedy raport.

Nie była to prośba.

- Ha! Chce pan do nas wpaść na rozmowę? Quartermaine'owi wcale się to nie spodoba - rzekł z powątpiewaniem Pinkie.

Rutłweyn wbił w niego ponury wzrok.

- Nie gram w karty - odezwał się cicho. - Nie gram na pieniądze. Powiedz mi, Pinkie, kto został przydzielony do tej sprawy w Scotland Yardzie?

Na te słowa Pinkie uśmiechnął się, odsłaniając poźółkłe zęby, jakich nie powstydzilby się nawet wilk.

- Chyba pański dobry znajomy, Royden. Royden Napier. Życzę powodzenia, lordzie Rutłweyn - powiedział. Wsunął zwinięty plik banknotów do kieszeni płaszcza i ruszył w stronę drzwi wejściowych.

Ruthveyn zaklął pod nosem. Napier. Mógł się domyślić, że morderstwo na ulubieńcu Korony zainteresuje najważniejsze osoby w kraju. Policjant niskiego szczebla nie był godny zajmowania się sprawą zabójstwa Etha-na Holdinga.

- Bardzo interesujące - mruknął Bessett, patrząc na oddalającego się Pinkiego.

Belkadi również wstał.

- Czy jest jeszcze coś? - zapytał.

- Jest - odpowiedział Ruthveyn. - Dama, która niedawno od nas wyszła, mademoiselle Gauthier, jest córką komendanta Henri Gauthiera.

Belkadi wyglądał na zdziwionego, co mu się niezmiernie rzadko zdarzało.

- Naprawdę?

Wargi Ruthveyna wygięły się w krzywym uśmiechu.

- Tak przynajmniej utrzymuje - przyznał. - I niewątpliwie jest Angielką po matce.

- *Le commandant* istotnie miał angielską żonę, która dawno zmarła. I córkę, uchodzącą za piękność - przypomniał sobie Bessett.

- Mademoiselle Gauthier z pewnością można tak określić - zauważył Ruthveyn. - Twierdzi, że mieszka teraz u ciotki o nazwisku Hythe przy Manchester Square.

- Ale ty jej nie wierzysz - z naciskiem powiedział ma-jordomus. -1 chcesz, żebym to sprawdził.

Bessett poderwał się z miejsca.

- Do jasnej cholery, Adrian! Chcesz powiedzieć, że każesz nam się zajmować sprawą kobiety, której nawet nie ufasz?

Ruthveyn wzruszył ramionami.

- Przynajmniej raz nie wiem, w co mam wierzyć. To niewątpliwie zupełnie nowe uczucie.

Spodziewam się, że dama jest dokładnie tym, za kogo się podaje, ale nie miałem czasu, żeby to zweryfikować, więc teraz zrobi to Belkadi - odpowiedział.

Bessett w geście poddania uniósł ręce i z cichym przekleństwem na ustach wyszedł z saloniku.

Belkadi w typowy dla siebie, szyderczy sposób skłonił głowę i poszedł w jego ślady.

Rutłweyn znów pozostał sam przy stole.

Tak jak lubił.

* * *

- Grace! Grace, czy to ty?

Grace usłyszała opryskliwy głos, gdy tylko otworzyła skrzypiące drzwi skromnego domu ciotki w centrum Londynu.

- Dzień dobry, ciociu Abigail - zawołała Grace.

- Może dla ciebie dobry, ale nie dla mnie! - rozległ się afektowany krzyk.

Zdejmując płaszcz, Grace zaczęła żałować, że nie wydłużyła jeszcze bardziej swojego spaceru do domu, sycąc się swobodą. Po drodze było tyle wystaw sklepowych, jednak ciążyło jej zbyt wiele na sercu, aby mogła się cieszyć ich widokiem.

Miriam, jedna z pokojówek ciotki, pospiesznie podeszła do Grace, spojrzała na nią i uniosła oczy do nieba.

- Była tu policja - szepnęła, biorąc od Grace płaszcz. - Wyszli jakieś dziesięć minut temu. Potem *milady* miała swój atak.

Słowem „atak” służący opisywali nieskończone tyrady ciotki Abigail.

- O Boże... - Grace wsunęła klucz do torebki. - Czy wzięła lekarstwo?

Miriam zacisnęła usta.

- Owszem. Przygotowałam wyjątkowo mocne.

- Bardzo dobrze.

Żeby się uspokoić, Grace odetchnęła głęboko, po czym w lustrze wiszącym nad komodą sprawdziła swój wygląd i poprawiła niesforne pasmo włosów.

- I jak, Miriam, dobrze wyglądam?

- To nie ma znaczenia. I tak nic jej dzisiaj nie zadowoli - spokojnie odpowiedziała służąca.

Ostrzeżenie było zupełnie niepotrzebne. Grace posłała Miriam odważny uśmiech i pospieszyła korytarzem prowadzącym do saloniku w głębi domu.

Lady Abigail Hythe leżała w całym swoim wyblakłym majestacie na ulubionej kanapie, leniwie machając wachlarzem z piór. Na stoliku obok stały sole trzeźwiące i wiecznie obecny flakonik z kordiałem.

- Jak się czujesz, ciociu Abigail? - Grace podbiegła do kanapy.

- Och, Grace, nawet sobie nie wyobrażasz - zawołała lady Abigail, wachlując się zapamiętałe. - Co za straszny ranek! I to zaraz po tym morderstwie! Co ty sobie myślałaś, gdy przyjmowałaś posadę u takich ludzi?

Myślałam, że nie jestem mile widziana w twoim domu, ciociu, miała ochotę odpowiedzieć Grace. Naprawdę szukała drogi ucieczki. Nie chciała być ciężarem dla kobiety, która wyraźnie wołała swoje fantazje o minionej wielkości i marzenia o wspaniałej przyszłości niż realia szarego życia. I teraz Grace znów tu wróciła, do trudnego do zniesienia mieszkania z ciotką.

Rozejrzała się po pokoju z wyblakłymi zasłonami i meblami, które byty modne sto lat temu. Zapach dawno wydanych pieniędzy unosił się w powietrzu razem z molami, które poderwały się ze starego, zniszczonego, obitego brokatem fotela przy oknie. Grace zrozumiała nagle, dlaczego wiele lat temu jej matka czuła się zmuszona stąd uciec.

- To byli naprawdę mili ludzie, ciociu Abigail - rzekła łagodnie. - Jestem też przekonana, że pan Holding nie miał pojęcia o grożącej mu śmierci, bo na pewno nie narażałby cię na niewygodę związane z choćby najdrobniejszym powiązaniem z jego rodziną.

Na te słowa lady Abigail obróciła głowę w jej stronę.

- Ty nieczuła dziewczyno - wyszeptala, trzęsąc się z oburzenia. - Śmiało. Sztydź sobie z mojego strapienia. Ale nie będziesz uważała za zabawne, jeśli ci powiem, że mieliśmy tu dzisiaj policję.

Grace zaplotła ręce na brzuchu.

- Bardzo mi przykro, ciociu.

- Tak, policję! - Lady Abigail mówiąc, nie zwracała się do niej. - A ta złośliwa pani Pickling z przeciwnej strony ulicy ich widziała! Teraz wszyscy na Manchester Square będą wiedzieli, że jesteśmy wplątani w tę okropną sprawę. Co za wstyd! To twoja wina, Grace. I wi-' na twojej matki, że...

Że wiele lat temu wybrała się do Paryża. Że się zakochała we Francuzie bez grosza przy duszy. Że upokorzyła rodzinę. Że mieszkała w namiotach, zadając się z Hiszpanami, Arabami i Bóg jeden wie z kim jeszcze. Że umarła za młodo i że za mało wycierpiała...

No, być może tego ostatniego ciotka Abigail nigdy głośno nie powiedziała. Ale nie musiała. Grace zaś nie musiała słuchać, co ciotka mówi, bo wystarczająco często słyszała całą tę tyradę. Wyłączyła się więc po prostu i, gładząc pomarszczoną rękę ciotki Abigail, powtarzała sobie, że to jedyna siostra mamy. Że jest stara. Że w gruncie rzeczy wcale nie myśli tego, co mówi.

Grace mogła mieć jedynie nadzieję, że ma rację.

- Ciociu Abigail, opowiedz mi, czego chciała policja - poprosiła Grace, gdy ciotka skończyła perorować.

- Ciebie! - krzyknęła lady Abigail. - Chyba sobie wyobrażali, że pomożesz im odpowiedzieć na kilka pytań. Zdołasz w to uwierzyć? Pytania! Ten nieprzyjemny człowiek miał całą teczkę pełną karteczek i wcale nie był zadowolony, kiedy usłyszał, że jesteś poza domem. Podejrzane.

- Sądzisz, że mnie podejrzewał, ciociu? Czy może chcesz powiedzieć, że to on wygląda! podejrzenie w twoich oczach? - zapytała Grace.

- I jedno, i drugie! - zawołała lady Abigail, usiłując usiąść. - Dobry Boże! Cały pokój wiruje! Podaj mi moje sole.

Grace podała sole i przez pewien czas kręciła się wokół starszej pani, usiłując ją z powrotem położyć.

Przybiegła Miriam, żeby pomóc. Nalała wzmacniającego kordiału, dodając do niego nieco brandy.

Grace zrozumiała, że przyszła pora, żeby wrócić do Paryża, bez względu na to, czy czuła się tam u siebie, czy też nie. Urodziła się w Londynie, w tym domu, a dzieciństwo spędziła we Francji i w Hiszpanii, jednak nigdy nie czuła się dobrze, dopóki nie zamieszkali w Algierii. A jej ostatnia wyprawa do Paryża, żeby zabrać do domu umierającego ojca, była wyjątkowo smutna.

Lecz w Afryce Północnej niezamężnej kobiecie trudno było żyć, musiała więc gdzieś się podziać.

Poczuć przynależność. A po śmierci Ethana Anglia, jaką pamiętała z dzieciństwa, nie była już taka pociągająca.

Kiedy ciotka niemal wypła swój kordiał, Grace przysunęła krzesło do kanapy.

- Ciociu Abigail, czy pamiętasz nazwisko tego policjanta?

- Ależ skąd!

Pstryknęła palcami na Miriam. Dziewczyna popędziła, żeby przynieść srebrną tacę, na której ciągle jeszcze leżała karta wizytowa. Bardzo dziwne. Zwykły policjant raczej nie miał wizytówek.

- Czy jesteś absolutnie pewna, że to był policjant, ciociu Abigail?

- Lepiej, żeby był! - zawołała lady Abigail.

Grace znów ogarnęła fala zmęczenia, którą wcześniej udało się uspokoić lordowi Ruthveynowi. Z rezygnacją wzięła wizytówkę do ręki.

Royden Napier.

- Obawiam się, że to nie jest policjant, ciociu Abigail - powiedziała spokojnie.

- Przecież nie chodziło mi o to, czy miał na sobie mundur! - prychnęła lady Abigail, załamując ręce. - Powiedziałam mu, żeby zostawił na ulicy te ubrane na granatowo istoty. Ale jego sposób bycia... Cóż, nie miałam odwagi mu się sprzeciwić. Wpuściłam go więc do domu, chociaż daję słowo, że poświęciłam mu niewiele uwagi.

- Naprawdę mi przykro - rzuciła cierpko Grace.

- Może pocieszy cię informacja, ciociu, że twój gość jest blisko związany z ministrem spraw wewnętrznych.

- Ministrem spraw wewnętrznych? Co chcesz przez to powiedzieć?

Grace odłożyła na tacę kartę wizytową, zapisaną stroną do dołu.

- Pan Napier jest komisarzem ze Scotland Yardu

- powiedziała cicho.

I bardzo możliwe, że był jej nemesis.

Rozdział 4

Odwiedziny na Beigrave Square

Żaden cudowny dar przewidywania nie byłoby potrzebny, żeby następnego dnia znaleźć rezydencję zmarłego Ethana Holdinga. Poranna mgiełka roziała się już nieco i chociaż potężne, białe fronty kamienic przy Beigrave Square były niezwykle podobne do siebie, obecność przy schodach odzianych w czerń żałobników, którzy wyłonili się z mroku, wystarczyła markizowi Ruthveynowi.

Gdy wchodził po schodach, odgłos jego kroków głuchym stukotem rozlegał się we mgle. Z wyższością podał swoją kartę wizytową, dodając tytuł, i szybko został poprowadzony przez wysokie, wykończony w białym marmurze hol wejściowy do ogromnego, umeblowanego z przepychem pokoju zwanego, jak na ironię, małym salonikiem. Ruthveyn rozejrzał się z rozbawieniem. Doszedł do wniosku, że urządzenie pomieszczenia jest, jak na jego gust, zanadto nowobogackie. Z szacunku dla zmarłego wiszące pomiędzy oknami lustro w złożonych ramach przesłonięte były czarną krepu, zegar kominkowy został zatrzymany i zaciągnięto wszystkie zasłony.

- Godny uwagi pokój - skomentował. Wychodzący z saloniku lokaj posłał mu od drzwi dziwne spojrzenie.

- Pan Holding osobiście zaprojektował to wnętrze, gdy trzy lata temu kupił dom - stwierdził.

- Rozumiem - mruknął Ruthveyn, rozglądając się dookoła. - A gdzie, jeśli można spytać, mieszkał wcześniej?

- W Rotherhithe, w rodzinnym domu koło doków

- odpowiedział służący.

- Aha. - Rozumiał, dlaczego Holding mógł chcieć się przeprowadzić. Rotherhithe, ze swoimi dokami, stoczną i magazynami, było w większości dzielnicą robotników.

Ruthveyn udawał, że podziwia pozłacany fryz, otaczający złoty medalion na suficie, kiedy uwagę jego zwrócił odgłos rozmowy, dochodzący z holu wejściowego. Gdy spojrzął przez otwarte podwójne drzwi, ujrzał schodzącą po schodach wysoką, urodziwą rudowłosą kobietę, która wspierała się na ramieniu chudego jak tyczka, łysiejącego dżentelmena. Za nimi podążało dwóch lokajów niosących rozmaite walizy i pudła.

- Niech wszystko zostawią tutaj, Josiahu, dopóki nie wróci powóz - poleciła. - Za chwilę będę z powrotem.

Panna Fenella Crane, wyglądająca na jakieś trzydzieści pięć lat, weszła do saloniku. Była ubrana w strój podróżny. Miała już rękawiczki na dłoniach i, podobnie jak mademoiselle Gauthier, czarny kapelusz z woalką, która jednak nie przysłaniała do końca jej oczu. Ruthveyn czuł na sobie pełen ciekawości wzrok, który palił go niczym roztopione żelazo. Wzrok pełen ciekawości i czegoś jeszcze.

Ruthveyn chętnie poddał się oględzinom. Czuł w powietrzu pewną ostrożność i gniew. Było to zupełnie zrozumiałe, zważywszy na okropną zbrodnię, która się wydarzyła pod tym dachem.

Dostrzegł, że oczy kobiety były zaczerwienione, jakby od płaczu. Zbliżył się do niej i skłonił, mając nadzieję, że dama nie zada mu pytania, jak dobrze znał zamordowanego pana Holdinga.

- Bardzo przepraszam, panno Crane - rzekł gładko.

- Widzę, że odźwierny słusznie mnie Ostrzegał, że pani wyjeżdża.

Sztywno kiwnęła głową, ale nie wyciągnęła ręki. Dzięki Bogu.

- To prawda - odpowiedziała. - Proszę mi wybaczyć, milordzie, ale czy my się znamy?

-Nie.

Wiedział, że ma łatwą do zapamiętania twarz.

- To oczywiście dla mnie zaszczyt - rzekła, wcale nie wyglądając na zaszczyconą - jednak mój kuzyn Josiah odwozi mnie właśnie z powrotem do Lesterów, gdzie jesteśmy spodziewani na popołudniową herbatę.

- Proszę mi więc pozwolić złożyć wyrazy najgłębszego współczucia - odpowiedział. - Pani brat był wspaniałym człowiekiem i...

- Brat przyrodni - przerwała.

- Słucham?

- Ethan był moim bratem przyrodnim - wyjaśniła. Coś dławiło ją w gardle. - Ale wcale go przez to mniej nie kochałam.

- Ach, bardzo przepraszam - powiedział Rutłweyn.

- Nie trzeba przepraszać - odparła. - Zawsze śmieliśmy się z tego, jak nasze nazwiska wprawiały ludzi w zakłopotanie. No, ale cóż mogę dla pana uczynić, zanim stąd wyjadę? Widzi pan, będę mieszkała gdzie indziej, dopóki ta okropna sprawa się zostanie załatwiona. Nawet biedny Ethan... - Tu głos jej się załamał. - To znaczy do jutra nie możemy zacząć przygotowywać ciała biednego Ethana do pogrzebu. - Tak bardzo mi przykro - powtórzył. - Odźwierny wyjaśnił mi, że przyjechała pani tylko po to, żeby zabrać trochę rzeczy.

- Bardzo niewiele rzeczy - zauważyła dość sucho.

- Policja była wyjątkowo nieżyczliwa. Jakby uważali, że to ktoś z nas zabił biednego Ethana.

Rutłweyn uniósł brwi.

- To okropne.

- A na dodatek niedorzeczne - stwierdziła dama.

- Nikt z nas nie chciał skrzywdzić Ethana. Wszyscy go kochaliśmy.

Ruthveyn raczej wątpił w to, by Ethan Holding, człowiek, który odniósł ogromny sukces finansowy, mógł być kochany przez wszystkich. Powstrzyma! się jednak przed głośnym wypowiedzeniem swoich wątpliwości.

- Ma więc pani dobrą służbę? Ufa im pani? - zapytał.

- Są dla mnie jak rodzina - powiedziała panna Crane.

- Miło mi to słyszeć - rzucił Rutłweyn.

- Nie wiem, dlaczego. Przecież poznaliśmy się przed chwilą - rzekła panna Crane z bladym uśmiechem.

- Jedna osoba z pani służby została mi polecona jako ewentualny przyszły pracownik - wyjaśnił. - Chodzi o pannę Grace Gauthier, która, jak sądzę, do niedawna była zatrudniona przez pani rodzinę.

- Grace? - Głos panny Crane złagodniał. Wyraźnie strapiona, zmarszczyła brwi. - Ojej, nigdy nie myślałam...

- Ze mogłaby panią opuścić? - podpowiedział. - Widzi pani, mam dwóch siostrzeńców, obaj z piekła rodem. Potrzebuję kogoś kompetentnego.

Panna Crane zawahała się. Niepewność zawisła w powietrzu. W końcu kobieta się odezwała:

- To prawda, Grace jest doskonała. Dziewczynki ją uwielbiają. A Ethan bardzo ją cenił i szanował.

- Jeden z moich służących słyszał, że dzieci mogą zostać wywiezione na prowincję.

- Tak - powiedziała panna Crane. - Pani Lester, siostra ich zmarłej matki, rozpaczliwie pragnie je mieć pod swoim dachem, bo sama ma tylko synów. W tej chwili wszyscy się u niej zatrzymaliśmy. Rutłweynowi bardzo się nie spodobało określenie „rozpaczliwie”. Zdesperowani ludzie robią desperackie rzeczy.

- Czy pani Lester ma w domu guwernantkę?

- Tak, i to wyśmienitą - odpowiedziała panna Crane. - Dziewczyna pochodzi z Berna. Słyszałam, że szwajcarskie guwernantki są teraz modne, choć nie są najtańsze. Ale pan Lester dba o to, żeby jego żona miała wszystko, czego zapragnie.

Rutlweyn przywołał na twarz kwaśny uśmiech.

- Mnie wystarczy po prostu kompetentna guwernantka. - Przerwał i w zamyśleniu potarł dłonią brodę.

- Naprawdę nie znoszę korzystać z usług agencji. Nigdy nie można być pewnym...

Panna Crane połknęła haczyk.

- Dokładnie - przytaknęła. - Nigdy nie można wiedzieć, jak to się skończy.

- A więc nie ma możliwości, żeby mademoiselle Gauthier wróciła do pracy w pani rodzinie? - naciskał Rutlweyn. Panna Crane posmutniała.

- Wydaje mi się, że jest to mało prawdopodobne. Będzie mi ich wszystkich, w tym Grace, bardzo brakowało

- odpowiedziała.

- Jeśli to możliwe, *madam*, czy podałyby mi pani aktualny adres mademoiselle Gauthier?

- Oczywiście.

Panna Crane podeszła do małego sekretarzyka z mahoni i opuściła klapę.

- Grace mieszka ze swoją ciotką w Marylebone - mówiła dalej, wyjmując papier listowy i pisząc coś na nim.

- Dam panu list wprowadzający.

- Bardzo miło, że pani o tym pomyślała - rzeki.

Po krótkiej chwili list był już napisany, wysuszony w powietrzu i złożony. Rutlweyn lewą ręką zrećźnie wyjął go z palców panny Crane, uważając, żeby jej nie dotknąć.

- Dziękuję - powiedział.

Przypomniawszy sobie o właściwym celu swojej wizyty, wziął głęboki oddech i wyciągnął dłoń.

Było rzeczą zupełnie naturalną, że panna Crane podała mu rękę. Rutlweyn przytrzymał ją, patrząc kobiecie prosto w oczy, duże, niebieskie, szeroko otwarte za wo-alką, która teraz nic nie zakrywała.

Pomimo oddzielającej ich cienkiej tkaniny rękawiczki poczuł gwałtowny wstrząs, jakby nagle został wyrwany z głębokiego snu

i skonfrontowany z zimną rzeczywistością. Było to gwałtowne, przyprawiające o mdłości uczucie, jakby zbyt długo patrzył na coś potwornego. Obraz przed oczami pociemniał, aby zaraz rozjaśnić się boleśnie, ostrzegając przed tym, co miało nastąpić.

Gdy kiedyś, jako młody człowiek, przemierzał północne krańce Hindustanu, pewnego razu zdarzyło mu się obejrzeć i spojrzeć na wąski przesmyk między górami akurat w chwili, gdy puma śnieżna rozrywała na strzepy upolowanego zająca, zraszając biel śniegu rubinowymi kroplami krwi. Obraz był mrozący krew w żyłach w swoim pięknie. Podobnego koszmaru doświadczał teraz. Widział nie tylko rozbryzniętą krew na białym tle, ale także wachlarz splątanych rudych włosów. I podarty czarny materiał. I bladą, leżącą bezwładnie kobiecą rękę.

O Boże!

Ruthweyn odetchnął głęboko, powstrzymując się przed zamknięciem oczu, żeby nie widzieć tego koszmaru. Wiedział, że to nic nie da. Nie oczami widział ten obraz.

- Lordzie Ruthweyn, czy dobrze się pan czuje? - dobiegł go z daleka głos panny Crane.

Cudem udało mu się odzyskać przytomność na tyle, by elegancko pochylić się nad dłonią kobiety i zmusić się do powiedzenia:

- Tak. Była pani bardzo uprzejma. Zbyt długo już zakłócam pani żałobę.

Pospiesznie pożegnał się z damą, po drodze zatrzymując się tylko na chwilę, żeby przedstawić się Josiahowi Crane, który sprawiał wrażenie pełnego rezerwy, zamkniętego w sobie człowieka. Crane wymamrotał słowa podziękowania za wizytę, ale nie podał Ruthveynowi ręki. Lord szybko opuścił dom Holdinga, zbiegł po schodkach i wrócił do czekającego nań powozu. Czuł się jak odrętwiały. W dłoni ścisnął mocno list napisany przez pannę Crane.

Czy obraz, który widział, był realny? Czy tylko symboliczny? Dzięki Bogu, że panna Crane miała na sobie rękawiczki.

Jednak jakaś część jego istoty pragnęła wrócić i ją ostrzec.

Ale przed czym? I co mogłoby to zmienić? Ruthveyn wiedział ze swoich poprzednich doświadczeń, że byłoby to beznadziejne działanie.

- Do Whitehall Place, Brodgen. I pospiesz się - rzucił chrapliwym głosem.

Trasa była krótka i dobrze znana, nie po raz pierwszy bowiem Ruthveyn wybierał się do siedziby policji. Mgła niemal całkowicie się podniosła, ale nadal było gorąco i parno. Gdy powóz toczył się powoli przez Westminster, hamowany ruchem ulicznym, Ruthveyn przyglądał się światu za oknem, światu, który żył codziennymi sprawami, w cudownej nieświadomości wszystkiego, co nie było terazniejszością.

Może powinien nauczyć się rywalizować w tym wielkim świecie, a może po prostu zaszyć się w małym domku w sąsiedztwie kornwalijskich klifów i unikać kontaktu ze światem. Może w końcu wrócić do rodziny matki i przepaść w górach, żeby studiować starożytnych filozofów i w ten sposób, co wielokrotnie sugerowała jego siostra Anisha, nauczyć się panować nad Darem.

Czasami przyłapywał się na rozmyślaniach, czy badania, zgłębianie ksiąg i analiza wydarzeń na świecie prowadzone przez Bractwo, oficjalnie funkcjonujące pod nazwą Towarzystwa Świętego Jakuba, służyły czemukolwiek. Strażnicy, też coś! Ruthveynowi coraz bardziej wydawało się, że człowiek był w stanie kontrolować jedynie wydarzenia odbywające się tu i teraz.

Pomyślał znów o Grace Gauthier i, o dziwo, o Anishy. Obie sprawiały wrażenie silnych osób, jednak każda z nich miała w sobie jakąś kruchość, którą nie wszyscy

potrafili dostrzec. Jednak tylko Grace, choć z oporami, przyjęła jego propozycję pomocy. Przynajmniej jej potrzeby, jej aktualne potrzeby, były jasno zdefiniowane. To coś, co zwykły człowiek potrafił zrozumieć i może nawet pomóc. Potrzeby Anishy były dużo trudniejsze do określenia. Co gorsza, nadal otaczała ją aura wdowieństwa, tłumiąc to, co niegdyś było młodzieńczą energią i zapałem. Martwił się tym i irytował własną bezradnością.

Powóz gwałtownie skręcił w Whitehall. Brogden ryzykownie wepchnął się pomiędzy wóz załadowany drewnem i stary kabriolet. Stangret z wozu pogroził im pięścią, przeklinając woźnicę Ruthweyna. Jakby pod wpływem jego złości, z szarych, nisko wiszących nad Londynem chmur lunął rześisty deszcz. Ogromne, wielkości wróblích jajek krople spędziły z chodników przechodniów, którzy pospiesznie chowali się w bramach i podcieniach. Deszcz przerodził się w ulewę bębniącą w dach karety niczym oddział szalonych kowali.

Przy siedzibie Admiralicji Ruthveyn uderzył w dach powozu tak silnie, że Brodger usłyszał go pomimo szumu ulewy. Gdy stangret zatrzymał powóz przed Pay Office, Ruthveyn wyciągnął spod siedzenia parasol. Obiecał sobie, że szybko załatwi sprawę w Scotland Yardzie, nie zamierzał więc ugrzęznąć w powozie na zatłoczonej ulicy.

Ruszył energicznym krokiem po chodniku, wdychając londyńskie powietrze, które deszcz szczęśliwie pozbawił charakterystycznego, ostrego zapachu siarki. Przy numerze czwartym wstawił parasol do dębowego stojaka przy drzwiach, po czym podał kartę wizytową oficerowi dyżurnemu. Niewątpliwie jego nazwisko, a może nawet reputacja, były dobrze znane dyżurnemu. Zaprowadzono go schodami na górę i zaoferowano ostatnie krzesło w poczekalni przed gabinetem komisarza, gdzie kilku urzędników w czarnych surdutach przycupnęło jak wrony

na płocie za wysokimi biurkami, z oczami wbitymi w papiery dotyczące jakiegoś rządowego zagadnienia.

Zniecierpliwiony Ruthveyn usiadł. Zastanawiał się, czy nie zażądać natychmiastowego przyjęcia. Mógł przecież szarpnięciem otworzyć ciężkie, dębowe drzwi i kazać wyjść temu, kto właśnie znajdował się w środku. Ale taka manifestacja arystokratycznej pogardy z pewnością nie przysłużyłaby się mademoiselle Gauthier. Z kolei jego wpływy mogły się przydać, chociaż nadal nie było dla niego jasne, czemu w ogóle tak bardzo zaangażował się w jej kłopoty.

Może tak było łatwiej.

Łatwiej niż rozwiązywać własne problemy. Albo Am-shy. Czy nawet Luca.

O Boże!

Czy rzeczywiście to takie proste? Czy śliczna mademoiselle Gauthier byta dla niego jedynie odskocznią od własnych zgrzyot? Dręczony tym pytaniem Ruthveyn wygodniej usadowił się na twardym, drewnianym krześle stojącym pod ścianą, na lewo od drzwi do gabinetu Napiera. Sam nigdy nie wybrałby tak marnie zaprojektowanego krzesła, ale Napier nie należał do ludzi, na których rozsądnie byłoby się wypinać.

Ruthveyn zaczął obserwować nieustanny strumień oficerów, urzędników i wszelkiego rodzaju nieszczęśników, przesuających się w górę i w dół po schodach i wzdłuż korytarza. Niewielu z nich przybyło do Scotland Yardu z własnej woli. Po jakimś czasie zatrzymał wzrok na innych interesantach: na obdartym posłańcu z dziurą w bucie, który przytulał do siebie kopertę wielką jak jego klatka piersiowa, i na parze urzędników o pogrzebowych minach sprawiających wrażenie, jakby oczekiwali, że Napier złoży im skórę batem.

I właśnie w tym momencie zaskrzypiały zawiasy przy drzwiach do gabinetu. W mgnieniu oka posłaniec zerwał się z krzesła i ruszył do drzwi, posyłając po drodze Ruthveynowi triumfalne, choć ostrożne spojrzenie.

- Rachunki pana Cooka, *sir* - zawołał, podbiegając do postawnego dżentelmena, który usiłował wyjść z pokoju. - Powiedział, żebym osobiście oddał je panu do rąk własnych.

Chłopak odgarnął włosy z czoła i wypadł z pomieszczenia, pozostawiając Napiera z kopertą w ręce. Ruthveyn nie miał zielonego pojęcia, kim jest pan Cook, ale ponura mina, jaka pojawiła się na twarzy Napiera na jego widok, była mu znajoma.

- Lord Rutłweyn. Nie potrafię się domyślić, co pana tu sprowadza - rzekł sztywno komisarz. Rutłweyn gotów był mu uwierzyć. Szczerze mówiąc, sam nie bardzo wiedział, co go do tego skłoniło. Podniósł się z piekielnie niewygodnego krzesła.

- Czy ma pan chwilkę czasu, panie Napier? Chciałbym z panem porozmawiać - rzekł, nie wyciągając ręki.

Napier uniósł brwi.

- Czy mam jakieś inne wyjście?

Nie czekając na odpowiedź, Napier odprawił czekających oficerów, którzy wybiegli z pokoju, jakby uciekali spod szubienicy. Napier wyciągnął rękę, zapraszając Rutłweyna do środka.

Jednak gdy tylko drzwi do gabinetu się zamknęły, komisarz zeszywniał i odwrócił się do niego z gorzkim wyrazem twarzy.

- Ma pan mnóstwo odwagi, milordzie - rzeki twardym, niskim głosem. - Nie będę pana obrażał przy moich ludziach, choć śmiem twierdzić, że nie zadałby pan sobie trudu, żeby mi odpłacić podobną grzecznością. Proszę sobie jednak nie myśleć, że jest pan mile widziany w tym gabinecie.

Rutłweyn podniósł rękę do góry.

- Daruj nam obu, Napier.

- Darować panu? Gdybym mógł, natychmiast wyrzuciłbym pana na ulicę.

Markiz w milczeniu posłał mu uśmiech.

- Nie, rzuciłby mnie pan pomiędzy wilki i obserwował, jak mnie rozszarpują na strzępy - poprawi! go. Napier uśmiechnął się gorzko. Ruthveyn dostrzegł w jego oczach błysk potwierdzenia. Napiera otaczała chmura wrogości, chociaż starał się tego nie okazywać. Lecz Ruthweyn z doświadczenia wiedział, że ten człowiek był bezwzględny.

- Czego chcesz tym razem, Ruthweyn? - zażądał odpowiedzi. - Oszczędź mi upokorzenia i powiedz po prostu, o co ci chodzi, żeby pałac Buckingham nie kwestionował moich decyzji.

- Przykro mi, ale zrobiłem, co powinienem, Napier. Chciałeś powiesić niewinnego człowieka - rzekł Ruthweyn.

- To ty tak twierdzisz.

- Bo wiem - spokojnie odparł Ruthweyn. - Wiem to, Napier. Wiem też, że nigdy mi nie uwierzysz. Lecz w tym przypadku nikt jeszcze nie został skazany na stryczek.

- O jakim przypadku mówisz?

- O śmierci Ethana Holdinga.

- Holding? - prychnął Napier. - Myślałem, że twoim dziadkiem był jakiś radca, bo zachowujesz się cholernie wyniośle. Nie bardzo umiem sobie wyobrazić, że poklepujesz się po plecach z motłochem.

- Byłbyś zdziwiony - spokojnie odpowiedział Ruthweyn - z kim poklepuję się po plecach. Ale Holding był zamożny, prawda?

Napier wzruszył ramionami, podszedł do okna i zaczął obserwować ruch uliczny. Wsunął rękę do kieszeni i wyraźnie waży! słowa.

- Holding nie by! może tak bogaty, jak sądzono - odpowiedział w końcu, ciągle odwrócony plecami do Ruthweyna. - Nadal to sprawdzamy. Dlaczego cię to interesuje?

Ruthweyn zawahał się, szukając właściwych słów.

- Jeden ze służących przyszedł do mnie ze swoim problemem. Nie jestem upoważniony, żeby powiedzieć więcej - stwierdził.

- Służący? - Napier odwrócił się od okna z wyrazem niedowierzania na twarzy. - Przyszedłeś tu w imieniu podejrzanego? I nie zamierzasz mi powiedzieć, o kogo chodzi?

- Jeszcze nie - Ruthveyn starał się nie spuszczać wzroku, patrząc na punkt na ścianie ponad ramieniem komisarza. - Dopóki się nie dowiem, co o tym wszystkim myśleć.

Napier zwinął ręce w pięści.

- Do diabła, Ruthveyn, po czyjej jesteś stronie? - zapytał. - Mówimy o naszej ojczyźnie! O naszej cywilizacji! W Anglii obowiązuje prawo i czasem musimy poświęcić własne uczucia, żeby go przestrzegać.

- Nie opowiadaj mi o poświęceniu dla kraju, Napier - warknął Ruthveyn. - Na Boga, poświęciłem wszystko, na czym mi zależało. I już z tym skończyłem.

Napier tylko przewrócił oczami. Złość Ruthvey-na ustąpiła równie szybko, jak się pojawiła.

Napier miał rację. Był porywczy, ale miał rację. Ruthveyn poczuł nagle zmęczenie tym wszystkim. Miał za sobą kolejną nieprzespaną noc, bez dostatecznej ilości brandy, haszyszu czy jakiegokolwiek innego środka, żeby przewyciężyć zmęczenie.

Bardzo by chciał porozmawiać teraz z Lazonbym i dowiedzieć się, co, jeśli coś w ogóle, był winien mademoiselle Gauthier. Chciałby zrozumieć, dlaczego czuł w sobie taką gotowość, żeby jej pomóc. Być może Geoff nie mylił się, przestrzegając go przed nią.

Ruthveyn miał wrażenie, jakby leciał na ośle, próbując zrozumieć lęki i motywy kobiety, o której nic nie wiedział. Kobiety, której nie mógł rozszyfrować, co mu się zdarzało naprawdę rzadko. Kobiety, która przyprawiała go o głęboką frustrację.

W pewien sposób czuł się sprowokowany przez Grace. I tak, pociągała go. Być może, pomimo uwag Geoffa, Ruthveyn mógł się dać uwieść kobiecej urodzie. Co po-

wodowało, że Grace Gauthier była mniej podejrzana niż pozostali, zamieszani w tę tragedię? Ludzie zabijali z najróżniejszych, trudnych do pojęcia powodów. Nie zazdrościł Napierowi obowiązku wyjaśnienia tego wszystkiego.

Przeciągnął dłonią po włosach w chłopięcym geście, który od dawna usiłował zwalczyć.

- Czy mogę usiąść, Napier? Czy musimy się tak zachowywać i zawsze rzucać się sobie do gardła? - zapytał.

- A więc teraz chcesz zawieszenia broni, tak? - zjadliwym głosem rzucił komisarz. Ale kiwnięciem głowy wskazał mu krzesło, a sam podszedł do biurka i usiadł z głośnym zgrzytem.

Westchnął ze znużeniem.

- Powiem ci tyle, ile mogę, Rutłweyn - zaczął odrobinę tylko bardziej pojednawczym tonem. - Holding miał gardło poderżnięte od tyłu, przez osobę praworeczną, a na dodatek wahającą się, bo robota nie była dobrze wykonana. Próbował się wyczołgać, ale wykrwawił się na śmierć koło swojego biurka. Podejrzani są wszyscy, którzy mieli dostęp do domu.

- Jesteś pewny, że morderca jest mieszkańcem domu? Nie było żadnych śladów włamania? - drażył Rutłweyn.

Napier pokręcił głową.

- Łatwiej byłoby zaakceptować, że mamy do czynienia z rabunkiem, który zakończył się zbrodnią - odparł. - Nie, Holding znalazł swojego zabójcę. I nie przekonasz mnie, że jest inaczej. - To ostatnie zdanie wypowiedziane było ostrzegawczym tonem.

A więc nie było żadnych wybitych okien. Żadnych wyłamanych zamków. Coś załamało się w Ruthveynie.

- Kogo podejrzewasz? Komisarz wzruszył ramionami.

- Wspólnika w interesach? A może lokaja, którego majordomus podejrzewał o wykradanie sreber? Jest jeszcze ta francuska guwernantka. Udało jej się zaręczyć

z Holdingiem. Ale na razie nie potrafimy znaleźć żadnego motywu, dlaczego miałyby go zamordować.

Ton głosu Napiera spowodował, że po plecach Ruth-veyna przebiegł zimny dreszcz.

- Skończyliście przeszukiwać dom?

- Prawie - przyznał niechętnie. - Ale zabezpieczyliśmy księgi rachunkowe i korespondencję, które jeszcze musimy przejrzeć. Posłałem też swojego człowieka, żeby obejrzał rachunki kompanii Crane and Holding.

- Co skłania cię do podejrzenia guwernantki? - dopytywał się Rutveyn. - Słyszałem, że to ona go znalazła i że w grę wchodził jeszcze jakiś liścik.

Napier zeszywniał.

- Być może.

- Czy znaleziono tę notatkę? Chciałbym ją zobaczyć - powiedział z nadzieją w głosie.

Napier spochmurniał.

- Nie masz do tego prawa. Nie jesteś funkcjonariuszem - odpowiedział.

Rutweyn zawahał się.

- Nie mam na myśli nic złego, Napier - powiedział w końcu. - Morderstwo jest grzechem i ten, kto to zrobił, powinien wisieć. Jeśli, choć się tego nie spodziewam, znajdę zabójcę, z największą chęcią pomogę ci zastawić sidła.

Napier nadal był nieufny.

- O co w tym wszystkim chodzi, Rutweyn? Czy wiesz coś, czego ja nie wiem?

Markiz wzruszył ramionami.

- Nic nie wiem. Ale zamierzam zajmować się tym morderstwem, dopóki nie wyjaśnię sprawy. Byłoby najlepiej, gdybyś to zaakceptował.

Na twarzy Napiera pojawiło się coś na kształt rezygnacji. Wyciągnął z kieszeni malutki kluczyk i otworzył szufladę.

- Jesteś przekleństwem, Rutłweyn - mruknął, przeglądając papiery. - Domyślam się, co zamierzasz zrobić. Wiesz coś, ale ukryjesz to przede mną. A potem wykręcisz i pozamieniasz fakty dotyczące zbrodni tak, żeby pasowały do teorii, na której udowodnieniu ci zależy.

- Mylisz się - powiedział Ruthveyn w chwili, gdy Napier wyjął z teczki kartkę papieru i skierował w jego stronę.

Rutłweyn wziął ją pospiesznie, nie dotykając Napiera. Przez chwilę trzymał grubą, kremową kartkę w dwóch palcach. Jeden róg był zrudziały. Uświadomił sobie, że musiała to być zaschnięta krew. A więc wszystko było tak, jak mówiła mademoiselle Gauthier. Upuściła liścik. Nadal jednak nic nie czuł. Ale niczego się nie spodziewał.

Przyjrzał się uważniej kartce. Na wierzchu nic nie było napisane. Kiedy rozłożył papier, zobaczył treść dokładnie taką, jaką zapamiętała mademoiselle Gauthier, sztywną i dość formalną. Oddał kartkę Napierowi.

- Może istotnie guwernantka jest oportunistką - zgodził się. - Ale czemu miałyby go zabijać? Twarz Napiera stężała.

- Kobiety są istotami emocjonalnymi. Chociaż trzeba przyznać, że nikt, nawet guwernantka, nie uważa, że był to związek z miłości. Holding utrzymywał w Soho kochankę. Może dowiedziała się o tym.

- Wcale nie pasuje to do człowieka, który chce się żenić - zauważył Rutłweyn.

- Zerwał z kochanką dwa tygodnie temu - dodał Napier. - Powiedział jej, że zbliżają się jego zaręczyny. To mógł być motyw. Ale kochanki nie było w domu w dniu morderstwa.

- Przynajmniej ty o tym nie wiesz - mruknął Rutłweyn, spoglądając na Napiera.

Pomimo okropnych podejrzeń komisarza Rutłweyn miał wrażenie, że jakaś sprężyna, mocno skrecona w jego ciele, stopniowo rozwijała się, sprawiając mu ulgę. Zrozumiał, że właściwie do tej chwili wcale nie był

do końca przekonany, czy ma wierzyć w opowieść mademoiselle Gauthier o zaręczynach. Zubożałe kobiety często miały skłonności do wielkiego fantazjowania. Ta myśl nasunęła mu kolejne pytanie.

- Czy był jeszcze ktoś? Jakaś inna kobieta? Służąca grzejąca łóżko swojego pana? Coś takiego... - zadał pytanie Napierowi.

Komisarz wolno wypuścił powietrze.

- Była kiedyś służąca, która uważała się za faworytę Holdinga - powiedział spokojnie. - Udawała, podobnie jak kochanka, że nie czuła się urażona zaręczynami Holdinga, ale...

- A co z rodziną zmarłej żony? Napier wzruszył ramionami.

- Jest tylko siostra, która zawsze pozostawała w serdecznych stosunkach ze zmarłą. Podobno sprzeczali się czasem, co będzie najlepsze dla dzieci, dla córeczek żony Holdinga, ale nigdy nie było to nic poważnego - odpowiedział.

- Nadal więc podejrzewasz guwernantkę. Dlaczego? Jaka jest twoja teoria?

Twarz Napiera nagle stała się pozbawiona wyrazu.

- Nie mam żadnej teorii. I podejrzewam wszystkich.

- Kłamca - mruknął cicho Ruthveyn. Oczy komisarza zabłyśły niebezpiecznie.

- Musiałem ci powiedzieć, co wiem, bo nie miałem ochoty na wezwanie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i ponowne narażenie się na ostry język sir George'a. Ale moje myśli należą do mnie. Nawet królowa nie ma do nich prawa własności. A przynajmniej jeszcze nie ma.

Słyszając te słowa, Ruthveyn uśmiechnął się gorzko.

- Uważaj się więc za szczęśliwca. Kiedyś zagarnęli na własność moje.

Ale Napier przerwał tylko na moment.

- Natomiast jeśli chodzi o to, co wiem, to wiem, że Francuzka była ostatnią osobą, która widziała go żywe-

go. Wiem, że wybiegła z pokoju zbryzgana krwią. I wiem, że jeszcze dwie godziny później mówiła bez sensu. Ruthveyn tylko uniósł jedną brew.

- Cóż, śmiem twierdzić, że na widok narzeczonego, całego we krwi i wydającego ostatnie tchnienie, każda by...

W tej chwili zaskrzypiały drzwi. Jeden z urzędników wśliznął się cichutko do pokoju, położył jakiś dokument na biurku Napiera i wyszedł bez słowa. Ruthveyn zerknął na kartkę, która wyglądała jak lista.

Napier zaklął cicho i przeniósł wzrok z kartki na Ruthveyna.

- Do diabła, złożyłeś wizytę siostrze Holdinga?

- warknął.

Ruthweyn tylko wzruszył ramionami.

- Dlaczego? - zażądał wyjaśnień Napier. - Doskonale wiesz, że nie wolno ci się wtrącać.

Ruthveyn nie odpowiedział. Sam nie był do końca pewien, czemu to zrobił. Wiedział tylko, że chciał zobaczyć miejsce, gdzie mieszkała i pracowała mademoiselle Gauthier, i że miał nadzieję, iż jakiś szczegół w tym domu może mu coś powiedzieć. I chyba tak się stało.

Napier odłożył na bok kartkę i wstał.

- Ruthveyn, nie przeceniaj swoich wpływów - zagrzmiał, wychylając się i opierając obie dłonie na biurku.

- Wiem, że masz posłuchanie u królowej, o czym najlepiej świadczy tamta reprimenda, którą otrzymałem w sprawie Welhama. Ale nie próbuj się wtrącać do tego śledztwa. Rozumiesz? To nie ma nic wspólnego ani z tobą, ani z waszym bractwem, czy jak tam zwiecie wasze piekielne wiece. Nie pozwolę na to! A teraz wynoś się, zanim zdecyduję się pogrzebać troszkę i dowiedzieć się, czym tak naprawdę zajmuje się Towarzystwo Świętego Jakuba, i położę temu kres.

Ruthweyn gwałtownie wstał.

- Jesteś głupcem, Napier!

Podobnie jak komisarz pochylił się nad biurkiem i złapał kapelusz.

- Nie poszedłem na Belgrave Square, żeby się wtrącać w to, czym się zajmujesz.

- Po cóż więc? - zapytał Napier.

Ruthveyn odwrócił się i położył dłoń na klamce.

- To właściwie nie jest twoja sprawa - rzeki spięty - ale poszedłem... żeby zobaczyć.

- No tak! Szalony Ruthveyn! - W głosie Napiera dźwięczała pogarda. - Powiedz mi więc, co tym razem ujrzałeś? Krasnoludki? Chochliki? Ducha minionych świąt Bożego Narodzenia? Też mi bractwo!

Ruthveyn spojrział na niego, mnąc w dłoni kapelusz. Przy całej swojej arogancji i pogardzie Napier nie był w stanie dostrzec własnej naiwności. Nie umiał sobie wyobrazić, choćby przez ułamek chwili, że może być coś ważniejszego niż on sam i jego praca tutaj.

- Napier - warknął - to ty jesteś szalony, jeśli uważasz, że wszystkie grzechy i sekrety ludzi należą do ciebie i możesz wśród nich węszyć. Jest tyle rzeczy, które wymykają się ludzkiemu rozumowi. Jeśli tego nie wiesz, to znaczy, że się niczego nie nauczyłeś. Ja zaś naprawdę nie mam czasu, żeby edukować głupca.

Komisarz wyszedł zza szerokiego biurka. Twarz mu pobladła. Spoglądał na Ruthveyna z nasiloną intensywnością, z oczami błyszczącymi ze strachu.

- No dobrze, Ruthveyn. Odpowiedz mi więc, co zobaczyłeś? - zapytał.

Ach, może więc nie czuł takiej pogardy... Ruthveyn zmusił się, żeby rozluźnić uchwyt palców na rondzie kapelusza.

- Śmierć, Napier - odpowiedział. - Zobaczyłem śmierć. Podeszedł znowu do drzwi. Zaskoczony poczuł uchwyt

Napiera na swoim rękawie. Szybko wyswobodził się i odwrócił.

- Do cholery, Ruthveyn! - wrzasnął Napier. - Nie możesz tutaj przychodzić z takim stwierdzeniem. Na Boga, jeśli coś podejrzewasz, powiedz!

Ruthveyn, krzywiąc gorzko twarz, pomyślał, że Napier nie mógł się zmusić do powiedzenia tego, co chciał.

- W przeciwieństwie do ciebie, niczego nie podejrzewam. A wiem jeszcze mniej - odpowiedział.

- Ruthveyn, nie zwódź mnie. To poważna sprawa - rzucił.

- Sądzisz, że tego nie wiem? - Ruthveyn patrzył na niego z niedowierzaniem.

- Pomóż mi więc - zażądał komisarz. - Mówiłeś, że masz taki zamiar. Naprawdę?

Ruthveyna ogarnęło uczucie żalu i aż nazbyt dobrze mu znanej bezradności, budząc w nim złość. Co mógł zrobić? Co mógłby powiedzieć, żeby cokolwiek uległo zmianie?

Ale Napier nadal wpatrywał się w niego oczekująco. Ruthveyn, jak zwykle, unikał spojrzenia mu prosto w oczy.

- Widziałem krew - zaczął. - Krew, błyszczącą jak rozsypane na śniegu rubiny. I nie pytaj mnie, co chcę przez to powiedzieć, bo sam nie wiem. Po prostu obserwuj siostrę Holdinga. Ona może mieć...

Chryste, Napier, naprawdę nie wiem! Może natknęła się na coś?

Napier ściszył głos.

- Chcesz powiedzieć, że może być w niebezpieczeństwie?

Ruthveyn gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi.

- Litości, Napier! Wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie. Absolutnie wszyscy. Przez cały czas.

Wyglądało też na to, że śliczna mademoiselle Gauthier znajdowała się w znacznie większym niebezpieczeństwie niż inni. Była bowiem główną podejrzaną Napiera, bez względu na to, czy komisarz się do tego przyznawał, czy też nie.

Rozdział 5

Przypadkowy powrót do domu

Grace Gauthier wierciła się. Z wielu powodów. Przede wszystkim dręczył ją strach, wywołujący skurcz żołądka, jednak drugą przyczyną jej niepokoju stanowił fakt, iż było jej bardzo niewygodnie. Proste dębowe krzesło, na którym siedziała, miało oparcie nachylone pod takim kątem, że uwierało ją w plecy, a siedzenie było tak wyprofilowane, że miała wrażenie, iż siedzi na wałku z halek. Słuszne oburzenie, które skłoniło Grace do wyruszenia z Marylebone, zbladło w atmosferze złowrogich, oficjalnych pomieszczeń biurowych, w których pachniało wilgotną sadzą i desperacją. Znów zaczęła się kręcić na krześle, choć na niewiele się to zdało. Usiłowała też ignorować ukradkowe spojrzenia dwóch urzędników, z których jeden niemal spadł z wysokiego stołka na widok wchodzącej do pokoju Grace. Nie ulegało wątpliwości, że niewiele kobiet wkraczało w mury tego bastionu męskości, a już na pewno kobiety o jej pozycji społecznej były tu niezwykle rzadkimi gośćmi. Kiedy w końcu udało jej się jakoś wygodniej usadowić, drzwi do gabinetu pana Napiera otworzyły się gwałtownie, jakby wskutek wybuchu granatu. A potem z gabinetu wypadł sam granat, w błyszczących czarnych butach, szarej kamizelce i dopasowanym, czarnym żakiecie. Wyraz twarzy lorda Rutłweyna przypominał chmurę gradową.

Na szczęście nie zwrócił uwagi na Grace, tylko przeszedł obok niej i wyszedł z pokoju, pozostawiając ją sam na sam z drugim mężczyzną, który wydawał się jej znajomy.

Royden Napier spogląda! na nią z rozwścieczonym wyrazem twarzy.

W jakiś cudowny sposób Grace udało się wstać i śmiało spojrzeć mu prosto w oczy.

- Dzień dobry - odezwała się, wyciągając dłoń w rękawiczce. - Może pan mnie sobie przypomina, jestem Grace Gauthier.

- Owszem. Czego pani chce? - warknął. Grace pytająco przechyliła głowę.

- Jakie to dziwne - mruknęła. - Dokładnie to samo pytanie chciałam zadać panu.

Spojrzał na nią niepewnie. A potem, jakby zastanowił się nad swoją początkową reakcją, odwrócił się i przytrzymał otwarte drzwi do swojego gabinetu.

- Proszę więc wejść, *madam*.

- Dziękuję.

Grace weszła do środka z wysoko podniesioną głową i wyprostowanymi plecami, starając się naśladować swoją zmarłą matkę.

Zauważyła, że Napier byłby przystojnym mężczyzną, gdyby nie stały grymas, który marszczył mu czoło i wykrzywiał sympatyczne usta w całkowicie niemiły łuk.

- Dowiedziałam się, że wczoraj odwiedził pan dom mojej ciotki, panie Napier - odezwała się, odmawiając zajęcia miejsca na krześle, które jej zaproponował. - Ta wizyta bardzo wyprowadziła ją z równowagi. Muszę więc pana prosić o powstrzymanie się z następnymi wizytami.

Twarz Napiera spochmurniała.

- Proszę wybaczyć, panno Gauthier, ale to nie pani będzie o tym decydować.

Grace oparła dłonie na torebce.

- Obawiam się, że będę. Jeśli pan wróci, chyba nie będzie mnie dla gości - odparła.

- W tych okolicznościach...

- Z drugiej strony - przerwała mu, jeszcze wyżej unosząc głowę - jeśli przyśle pan wiadomość, że życzy sobie mnie widzieć, zjawię się tutaj. W pańskim biurze. Tego samego dnia.

Napier cały zeszywniał.

- Jest pani bardzo pewna siebie, *madam*.

- Możliwe. Ale moja ciotka jest osobą niezwykle wrażliwą.

- Wrażliwą? - burknął Napier. - Czy to inne określenie wyniosłości? Proszę nie zapominać, że spotkałem już pani ciotkę.

- Wrażliwa to innymi słowy delikatna - odparła niespe-szona Grace. - I bez względu na to, co pan myśli, ma pełne prawo być wrażliwa. To jest bardziej jej dom niż mój.

- Ale pani tam mieszka - rzekł Napier. Grace poczuła gorąco na twarzy.

- Boję się, że ciotka cierpi z powodu mojej obecności

- odpowiedziała. - A teraz uważa, że ściągnęłam na naszą rodzinę całkiem niewłaściwe zainteresowanie. Oczywiście wcale tego nie chciałam. I nie winię pana za to, że usiłuje pan wykonywać swoją pracę. Naprawdę bardzo bym chciała, żeby zabójca Ethana został jak najszybciej ujęty i gotowa jestem panu pomóc, jak tylko potrafię. Ale nie może pan nachodzić domu lady Abigail. Komisarz bez słowa uniósł wysoko brew. Grace wzięła głęboki oddech.

- Zamiast tego proszę posłać po mnie. Obiecuję, że stawię się od razu. - Wyciągnęła rękę. - Ubijamy interes, panie Napier?

Potrząsnął głową.

- Nie ubijam interesów, panno Gauthier. Grace opuściła rękę.

- Nie zabiłam pana Holdinga - stwierdziła spokojnie.

- Nie miałam żadnego powodu. Zaoferował mi dom i szansę na spokojne życie, a może nawet na szczęście.

- Jestem tego świadom - wyrzucił z siebie. Przechyliła głowę.

- Tak, jest pan tego świadom - mruknęła. - Ale czy ma pan pojęcie, co to oznacza dla kobiety takiej jak ja? Dla kobiety niezamożnej, która całe życie spędziła w wojskowych obozowiskach na daleko wysuniętych posterunkach, bez prawdziwego domu? Mam dwadzieścia sześć lat, panie Napier, i bardzo pragnę własnej rodziny. To właśnie zaoferował mi Ethan, że będzie moją rodziną. Ze spróbuje mnie pokochać, że podzieli się ze mną swoimi córeczkami. Może nawet da mi moje własne dzieci. Zrobiłabym wszystko, żeby to zachować. Czy może pan to zrozumieć?

Ku jej zaskoczeniu Napier odwrócił wzrok.

- Rozumiem desperację, panno Gauthier - rzekł spokojnie. - Widzę ją codziennie, w milionach postaci. I widzę, do czego pcha ludzi.

- Musi więc pan wiedzieć, że nigdy bym go nie skrzywdziła - szepnęła Grace.

Ale Napier zdawał się jej nie słuchać. Skupił wzrok na czymś za oknem, w jakimś punkcie gdzieś daleko poza ścianą deszczu, który znów powrócił, bębniąc o szyby niczym grad.

- Szanowałam Ethana Holdinga, panie Napier. Proszę mi uwierzyć, że chcę, aby znalazł pan jego zabójcę - powiedziała.

Nie patrząc na nią, Napier zaczął mówić:

- Mam nadzieję, że naprawdę pani tego chce. Bo rozwikłałam tę sprawę. Może pani być pewna.

- Dziękuję więc panu za determinację.

Jednak w duchu Grace westchnęła. Może przynajmniej zrozumiał jej punkt widzenia. Otworzyła drzwi. Napier nie odwrócił głowy.

Wyszła tak samo, jak przyszła, przez poczekalnię, mijając gapiących się urzędników, a potem w dół po scho-

dach. Ale kiedy dotarła na półpiętro, silna ręka złapała ją od tyłu za ramię i obróciła w drugą stronę.

- Co pani sobie wyobraża, do diabła! - zazgrzytał zębami markiz Rutłweyn.

Grace szeroko otworzyła oczy i usta, ale lord nie czekał.

- Proszę iść ze mną - rzucił szorstko i pociągnął ją na niższe piętro na słabo oświetlony korytarz.

- Nie wiedziałam, że mnie pan widział - wyznała.

- Nie musiałem pani widzieć - warknął.

- Proszę przestać mnie ciągnąć. Urwie mi pan rękę.

Zignorował jej słowa i, kiedy minęli kilkoro drzwi, ramieniem otworzył kolejne i wciągnął Grace do środka. Był to rodzaj magazynu, który rozjaśniało jedynie światło wpadające przez wąskie okna. W powietrzu wisiał zapach kurzu i starej skóry. Pomieszczenie było zastawione szafkami i regałami wypełnionymi do granic możliwości książkami.

- Lordzie Ruthveyn, proszę mnie puścić! - zażądała. Odwrócił się i przycisnął Grace do drzwi.

- Co pani mówiłem? - zapytał. Miał twarz pociemniałą z gniewu. - Co pani mówiłem, Grace? Czy nie wspominałem, że ma pani iść do domu i tam zostać? Że ma pani nie robić nic, absolutnie nic, dopóki nie dostanie pani ode mnie wiadomości?

Grace głośno zaburczało w brzuchu.

- Ale ja chciałam tylko, żeby Napier przestał...

- Posłuchaj mnie, Grace! - Uchwyt jego rąk na jej ramionach nie zelżał. - Próbuję ci pomóc. Nie mieszaj się do tego. Idź do domu. To niebezpieczna sprawa.

- Sądzę, że pan nie... nie rozumie. - Szukała odpowiednich słów.

- Co? - wybuchnął. - Czego mianowicie nie rozumiem? Że został zamordowany człowiek? A może tego, że jeszcze wydarzy się wiele złych rzeczy? Tak będzie, Grace. Napier wcale nie jest najgorszy z tego wszystkiego. Uwierz mi.

- Ale... - Grace z trudem przełknęła ślinę i wyprostowała się - ale nie mam już domu, do którego mogłabym wrócić. I wcale nie prosiłam o pańską pomoc.

Jego irytacja zdawała się jeszcze pogłębiać, nagle jednak wyraz twarzy mu się zmienił. Z błyszczącymi oczami Ruthveyn popchnął ją jeszcze mocniej do tyłu.

- Za późno. Masz już moją pomoc - odparł. Grace zaczęło szybciej bić serce.

- O, wypraszam sobie! - zawołała. - Oczekiwał więc pan, że będę tylko leżała na sofie, łkając i wachając sole trzeźwiące? A może to ja powinnam zapytać, co pan tutaj robi?

- Próbuję zapewnić ci bezpieczeństwo - rzucił chrapliwym głosem. - Próbuję rozgryźć, co podejrzewa Napier. Do diabła, Grace. Po prostu... po prostu nie powinnaś tu być. Z bardzo wielu powodów.

- Lordzie Rutłweyn, czy pozwoliłam panu zwracać się do mnie po imieniu? - zapytała.

Uniósł kąciki ust w kpiącym uśmiechu.

- Nie - szepnął, nadal trzymając ją za ramiona. - Nie pozwoliłaś, Grace. Czy mam przestać?

Powinna była powiedzieć: tak. Powinna być zła. Do licha, była zła. Ale wiedziała, że Rutłweyn nie mówił jedynie o zwracaniu się do niej po imieniu.

Nagle w pomieszczeniu pełnym lepkiego, stojącego powietrza zrobiło się za gorąco. A lord Rutłweyn znalazł się za blisko.

Jej wzrok padł na jego krawat i starannie wypracowaną złotą spinkę o dziwnie znajomym wzorze.

Czuta zapach wykrochmalonego płótna, narastającą wraz z jego złością woń drogiego mydła do golenia, a ponadto słodki aromat czegoś egzotycznego i zakazanego, który kazał jej myśleć z tęsknotą o upalnym, pełnym ścisku Kasbału,
o uwodzicielskiej muzyce, niosącej się pośród murów,
i o skrywanych wśród nich sekretach.

Jego zachrypnięty głos przywołał ją do rzeczywistości.

- Czy tego chcesz, Grace? - mruknął, a jego brzmienie sprawiło, że włosy stanęły jej dęba. - Żeby to wszystko przerwał? Nie jestem pewien, czy to teraz możliwe.

Czy tego chciała? Grace lekko kręciło się w głowie. Górował nad nią, niczym piękna, nieokiełznana męska bestia. W jej brzuchu zaczęło narastać coś głębokiego, zdradzieckiego.

Ale nikt nie drażni bezkarnie tygrysa.

Grace starała się odsunąć. Ruthveyn rozluźnił swój uchwyt, ale nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

- Co za szaleństwo - wymruczał jakby do siebie. - Piękne, rzadkie szaleństwo, co nie zmienia faktu, że pozostaje szaleństwem.

- Ruthveyn, o czym mówisz? - szepnęła. Zmęczenie i coś, co przypominało tęsknotę, czaiło się w jego oczach. W oczach, które, jak teraz zauważyła, nie były zupełnie czarne, ale obramowane kawowym brązem, z bursztynowymi cętkami. Grace pozwoliła sobie na głupotę i przesunęła wzrok na jego usta, na pełne, grzesznie upojne wargi, i wstrzymała oddech. Mocniej zacisnął ręce na jej ramionach.

- Myślę, mademoiselle Gauthier - zaczął cicho - że za chwilę uczynię coś, za co winny będę przeprosiny. Pewien eksperyment, który...

Grace przerwała mu, wspinając się na palce i przykładając usta do jego warg.

Ruthveyn ze zdziwienia szeroko otworzył oczy, po czym szybko przesłonił je powiekami. Odchyliła głowę i ich usta przywarły do siebie miękko w leciutkim pocałunku.

Grace wydłużyła go do minuty i odsunęła się, nadal czując na wargach jego smak.

- *Et voilà* - odezwała się bez tchu. - Twój eksperyment się skończył.

W odpowiedzi Ruthveyn cicho zaklął. Jego ciepłe ręce znikły z jej ramion i nagle wargi znów znalazły się na jej

ustach, a twarz Grace uwięzła pomiędzy jego dużymi, gorącymi dłońmi. Zaskoczona kobieta wydała stłumiony jęk. Gdy naparł na nią swoim ciałem, przyciskając do powierzchni solidnych, drewnianych drzwi, poczuła, jak coś wewnątrz niej się roztopia. Usłyszała metaliczny trzask zamka za plecami.

Tym razem w jego pocałunku nie było nic niepewnego, badawczego. Był twardy i niepokojąco zmysłowy. Ruthweyn otworzył usta, poszukując jej językiem. Grace ochoczo rozchyliła wargi, a zaskoczenie rozpląnęło się w nagłym przypiływie pożądania.

Podobnie jak tamtego dnia w klubowej bibliotece, ciepło jego dotyku rozprzestrzeniło się po jej ciele, wnikając zmysłowo poprzez skórę, wdzierając się w kości, roztopiając ją całą. Z cichym jękiem zadowolenia wsunął język w jej usta, ocierając się o jej język, aż poczuł, że zaczęła się trząść.

Oczywiście Grace całowała się już wcześniej. Ale nigdy tak jak teraz, gdy ręce, język i niemal całe ciało mężczyzny zagarniało ją kompletnie. Dobry Boże, jeśli Ruth-veyn nie przestanie, zupełnie straci wolną wolę, pozostanie niewolnicą jego dotyku. Już teraz nie była w stanie go odepchnąć.

Tytułem próby wsunęła dłonie pod ciepłą wełnę jego żakietu i zatrzymała je zdecydowanie dopiero na łopatkach. Reagując instynktownie, pozwoliła swojemu językowi splatać się z jego językiem. Z zawstydzeniem poczuła, że jej brzuch przywarł do twardej wypukłości spodni lorda.

Wir samotności i tęsknoty zaczął zaciskać się w ciele Grace. Ramię Ruthveyne'a ciasno opasywało ją w talii, druga ręka nadal ujmowała jej twarz. Dla kobiety, która od długiego czasu nie zaznała czułości, było to zbyt wiele. Zatraciła się w nim, pragnąc, aby te doznania pociągnęły ją w mroczne rejony, które zamieszkiwali tacy wła-

śnie, niebezpieczni mężczyźni. Wyrwał jej się jęk poddania.

Być może to właśnie ów dźwięk przywołał Rutlweyna do rzeczywistości.

Oderwał wargi od jej ust równie szybko, jak zaczął ją całować. Z cichym przekleństwem odsunął się od niej i dopiero wówczas Grace uświadomiła sobie, jak mocno przypiera! ją plecami do drzwi. Utrata oparcia w nim sprawiła, że z trudem utrzymała się na nogach.

Gdy Grace oparła się ciężko o drzwi, Rutlweyn zrobił krok do tyłu i coś znikło z wyrazu jego oczu.

Potem odwrócił się i podszedł do jednego z pozbawionych zasłon, upstrzonych przez muchy okien. Z lekko opuszczoną głową oparł ręce na parapecie.

Grace usiłowała zapanować nad zamętem w głowie. Co musiał sobie o niej pomyśleć?

- Milordzie, ja...

Uniósł jedną rękę, drugą niemal wbijając w zakurzone drewno parapetu.

- Proszę, nic nie mów.

Grace odzyskała na tyle siły, żeby zacząć się przesuwać w jego kierunku. -Ja...

- Błagam cię, Grace, zostań tam, gdzie jesteś - przerwał jej głosem nabrzmiałym emocją. - Mój mały eksperyment... to była niebezpieczna pomyłka.

Pomimo jego prośby Grace zbliżyła się do niego na nadal trzęsących się nogach i położyła mu dłoń na plecach, co spowodowało, że wzdrygnął się jak nerwowy ogier. Wzrok miał przykuty do strużek wody ściekających po szybie.

- Jesteś zły na siebie - mruknęła, na tyle głośno, żeby ją słyszał poprzez szum deszczu. - Ja zaś czuję się nieco zawstydzona. Ale to był tylko pocałunek. Musimy o nim zapomnieć, Rutlweyn. Żadne z nas nie jest teraz sobą.

Zamknął oczy. Głęboko wciągnął do płuc powietrze, po czym wolno je wypuścił.

- Obawiam się, że bardzo jestem sobą, mademoiselle Gauthier. Proszę, żeby pani zapamiętała, jeśli nic więcej, to chociaż to z tego epizodu - odezwał się w końcu.

No, była więc znowu mademoiselle Gauthier...

Nagle poczuła się bardzo niezręcznie i cofnęła się do drzwi. Zdawało się, że minęła wieczność, gdy tak stała, obserwując go. Nawet z opuszczonymi ramionami Ruthveyn sprawiał wrażenie bardzo barczystego człowieka, promieniującego męską siłą.

Był wysoki, mierzył dobrze ponad metr osiemdziesiąt, szczupły w pasie, o zgrabnych nogach w dobrze skrojonych, kosztownych spodniach. Mózg ostrzegał ją, że Ruthveyn to mężczyzna pełen sekretów, człowiek, z którym nie należało igrac. Na tę myśl Grace przymknęła oczy i przeszył ją dreszcz, głęboki, pierwotny. Przynoszący wstyd.

Dobry Boże, nic z tego nie rozumiała. Jej narzeczony jeszcze nie ostrył w grobie, a ona już pożałowała innego, pragnęła go tak, jak nigdy nie pragnęła, ba, nigdy nie miała nadziei pragnąć Ethana.

To musiał być stres. Dzień wcześniej w towarzystwie lorda Ruthveyna Grace zaczęła wierzyć, że naprawdę może jej pomóc. Nie, nawet więcej. Uwierzyła, a chwilami była wręcz przekonana, że jest jedynym człowiekiem mogącym jej pomóc.

Dzisiaj rozumiała oczywiście, jaka była głupia. Wyruszyła na poszukiwanie Rance'a, a wróciła z wizją romantycznego rycerza na białym koniu. Mężczyzny o głosie jak ciepły koniak i o hipnotyzującym dotyku. Tylko że lord Rutłweyn, ciemnowłosy i potężny, bardziej przypominał jakiegoś dzikiego pirata niż sir Galahada.

- Proszę o wybaczenie, mademoiselle Gauthier. - W końcu się odwrócił. - Na swoją obronę mogę tylko

powiedzieć, że minęło wiele czasu, od kiedy... no tak, minęło wiele czasu.

- Wolałabym, żeby mnie pan przeprosił za skarcenie mnie jak dziecka niż za coś, w czym uczestniczyłam z własnej chęci - powiedziała spokojnie.

Zignorował jej słowa.

- Proszę pójść teraz do domu. Nie było powodu, żeby przychodziła tu pani dzisiaj - rzekł ze znużeniem.

Przycisnęła obie dłonie do drzwi i oparta się o nie. W połowie chciała móc się stopić z drzwiami i zniknąć, w połowie zaś chciała... no cóż, czegoś zupełnie innego.

- Musiałam porozmawiać z komisarzem Napierem. Wczoraj przyszedł do mnie do domu i zdenerwował moją ciotkę. Poprosiłam go, żeby przestał nachodzić jej dom - odpowiedziała.

Rutłweyn miał ponury wyraz twarzy i jakby nawiedzone spojrzenie.

- Napier ma w nosie wrażliwość pani ciotki. I nie przejmie się pani losem, zwłaszcza kiedy dojdzie do wniosku, że może oskarżyć panią o morderstwo - odparł.

- Ale nie może, bo tego nie zrobiłam. A poza tym wie, że nie miałam motywu - powiedziała Grace, odchodząc od drzwi.

W końcu na nią spojrział, naprawdę spojrział.

- Niemniej pozostaje pani na jego liście podejrzanych. Policja zawsze w pierwszej kolejności podejrzewa małżonkę albo kochankę ofiary - rzekł, idąc wolno w jej kierunku.

- Nie byłam ani żoną, ani kochanką Ethana. Rutłweyn, zbliżywszy się do niej, spoglądał na nią spod w półprzymkniętych powiek niemal nienaturalnie nieruchomym wzrokiem.

- Waham się, czy nie przypomnieć ci, moja droga, że nie całujesz się jak niewinna dziewczyna - mruknął. Grace cofnęła się i wpadła na drzwi.

- *Et alors* - prychnęła. - Owszem, parę razy starano się o moje względy. Nikt mi nie odpowiadał. I co z tego? I co panu do tego?

- Chcę tylko wiedzieć, czy jednym z nich był Rance?

Zada! pytanie cichym głosem, niemal jakby się obawiał odpowiedzi. Rozwścieczyło ją to bardziej niż skradziony pocałunek.

- Czy to był Rance? - powtórzyła za nim i podniosła rękę. - Mój Boże, czy znów musimy do tego wracać?

Ale już w następnej chwili zachciało jej się śmiać; gdyby się nie roześmiała, mogłaby się rozplakać.

Uniesiona ręka opadła. Rance, też coś! Co to miało wspólnego z koszmarną sytuacją, w jakiej się znalazła? Czy tak bardzo potrzebowała rozrywki, żeby pozwolić sobie na... na co? Na uwiedzenie?

Przez szalonego człowieka? Który ją obraża.

- Każe mi pan zapomnieć o moim dobrym wychowaniu, lordzie Ruthveyn. Oboje powinniśmy się wstydzić - rzuciła ostro.

Rzeczywiście czuła zawstydzenie. Ethan nie żył. Fenella straciła jedyne brata. Eliza i Anna zostały sierotami. A ona, Grace, zatraciła się w pocałunku z obcym człowiekiem i zapomniała o nich.

Ruthveyn gwałtownie spuścił wzrok.

- Ma pani rację. To nie moja sprawa. Cofnął się, z grymasem na twarzy.

- Muszę iść. Ciotka Abigail czeka na mnie... z herbatą - mruknęła.

Omal nie powiedziała, że ciotka czeka na nią w domu, ale nie chciała kłamać lordowi Rutłweynowi.

Ostatnia histeria ciotki uświadomiła jej dobitnie, że właściwie nie ma domu.

Może kiedy to wszystko się skończy, jeśli znajdzie jakąś spokojną, małą wioskę we Francji, jeśli sprzeda całą biżuterię po matce i zatrudni jedynie kucharkę albo po-

kojówkę, może wtedy będzie ją stać na domek i spokojne życie na uboczu. Będzie daleko od ciotki Abigail, Belgrave Square. I lorda Ruthveyna. Nagle wizja zaczęła być bardziej kusząca. Ruthveyn schylił się gwałtownie i podniósł coś z podłogi. Zorientowała się, że była to jej torebka. Nie pamiętała, kiedy ją upuściła.

- *Merci* - wykrztusiła, biorąc ją od niego. Ruthveyn skłonił się bardzo oficjalnie.

- Czy mogę odwieźć panią bezpiecznie do domu? Grace nie mogła sobie wyobrazić bardziej niezręcznej sytuacji.

- Nie, dziękuję. Myślę, że szybki spacer przewietrzy mi głowę. - Udało jej się uśmiechnąć.

Ruthveyn w milczeniu przyjął odmowę, przeszedł obok Grace i otworzył drzwi.

* * *

Kiedy lord Ruthveyn dotarł do swojego powozu, był przemoknięty do szpiku kości. Zapomniał o parasolu, ba, zapomniał, że pada deszcz, dopóki nie uskoczył gwałtownie wprost do rynsztoka, aby nie wpaść na przewracającego się cukiernika.

Sprzedawca uliczny, niewidzący wiele zza pustej tacy, którą zasłaniał się od ulewy, popędził dalej w strugach deszczu. Ruthveyn, klnąc pod nosem, powlókł się wzdłuż alei Whitehall. Chlupotało mu w obu butach.

Gdy zbliżył się do powozu, zobaczył, że stangret z trudem panuje nad gniewem. Brodgen za długo czekał za rogiem, bez wątpienia wywołując wściekłość i pogróżki ludzi, którym blokował drogę.

Widząc zbliżającego się przemokniętego lorda, wskoczył na kozioł, patrząc buntowniczo z góry. Ruthveyn stracił cierpliwość.

- Do domu, do cholery! - ryknął, a potem był zdumiony, gdy biedny służący rzeczywiście go tam zawiózł.

Przez chwilę Ruthveyn siedział bez ruchu, gapiąc się na fronton okazałej rezydencji przy ulicy Uppon Grosvenor i rozważając, czy nie zawrócić i uciec na St. James Street. Po całkowitej utracie panowania nad sobą z Grace Gauthier nie miał nastroju na krzyki swojej rodziny. I nagle, poprzez ścianę deszczu, dostrzegł znajomy, doskonały owal twarzy wyglądającej z okna na piętrze przez zasłonę gładkich, czarnych włosów.

Anisha.

Jego siostra uśmiechnęła się szeroko, pomachała mu ręką i znikła.

No cóż. Nie było wyjścia. Ruthveyn pchnięciem ramienia otworzył drzwi powozu, niemal przewracając lokaja, który podszedł, żeby podstawić schodki. Brodgen stał już na chodniku z rękoma założonymi na piersiach i siniakiem na szczęce.

Ruthveyn przeszedł obok niego z lekkim zawstydzeniem.

- To był tamten facet z drewnem, prawda?

- Tak - odpowiedział masywny stangret. - Najwyraźniej zezłościł się, że wcześniej zajechałem mu drogę, skręcając w aleję Whitehall.

- Bardzo mi przykro. - Ruthveyn wylał trochę wody z lewego buta. - Powiedz Higgenthorpe'owi, żeby otworzył kredens z trunkami i dał ci butelkę najlepszej brandy.

Brodgen nadal trzymał ręce skrzyżowane na piersiach.

- Wystarczy mi dzin.

Ruthveyn próbował się uśmiechnąć z życzliwością, ale miał w tym niewielką wprawę, więc zamiast uśmiechu wyszło mu coś na kształt grymasu.

- Weź po butelce brandy i dzinu, żeby zrekompensować ból i całą resztę - rzucił, wchodząc po schodach.

- Tak, całą resztę - burknął za nim Brodgen.

Gdy tylko Ruthveyn wszedł do domu, rozpętało się piekło.

- Raju!

Ubrana w strój domowy Anisha zbiegła z góry po kilka schodów na raz i rzuciła się na niego, gniotąc fałdy swojego złocistego sari o jego mokre okrycie.

- Nie spodziewaliśmy się ciebie!

- Wujek Adrian! Wujek Adrian! - Tom przypędził za matką, żeby przywitać się z Rutłweynem. -

Teddy uczy się grać w faraona! I nie pozwala mi ze sobą grać!

- Dobry wieczór, Tom - Rutłweyn spoglądał na dół, modląc się, żeby chłopiec nie zaczął się wspinać po jego mokrej nogawce spodni.

Anisha pochyliła się i odsunęła synka.

- Thomasie, twój wujek dopiero wrócił do domu. Nie męcz go - skarciła chłopca.

- Ale to niesprawiedliwe, mammo! - Tom buntowniczo zacisnął małe dłonie w pięści.

Rutłweyn uległ i ukląkł obok chłopca, patrząc mu prosto w oczy. Powstrzymał się przed chęcią zmierzwienia mu włosów.

- Nauczę cię grać w faraona, Tom, kiedy będziesz większy. Obiecuję - zaoferował siostrzeńcowi.

- Czy to ty, Adrianie? - Wesoły, męski głos docierał z holu wejściowego. - Szybko, Higgenthorpe!

Ubij tłustego cielaka!

Rutłweyn wstał i ujrzał brata idącego ku niemu z kieliszkiem uniesionym w górę, niby w toaście. Luc miał na sobie coś, co wyglądało na nową jedwabną kamizelkę. Burzę złocistych loków poskramiała pomada do włosów.

- Jeśli nawiązujesz do historii o synu marnotrawnym, to wydaje mi się, że to ty nim jesteś, a nie ja.

Kiedy wróciłeś do domu? - zapyta! spokojnie.

- Chciałeś zapytać, kiedy uciekłem moim porywaczom? - Luc wysączył do dna zawartość kieliszka i posłał

Anishy konspiracyjny uśmiech. - To się stało wczoraj, staruszk. Czy stary, nudny Claytor nic ci nie powiedział?

- Dziwne, ale nie - odparł Ruthveyn.

W tym momencie ośmioletni Teddy wychylił się zza drzwi do holu. Rana ze szwami na jego czole zaczynała przybierać żółty odcień.

- Cześć, wujku.

- Dobry wieczór, Teddy - odpowiedział Ruthveyn i powrócił spojrzeniem do Luca.

- Powiedz mi, że nie uczysz tego dziecka hazardu - rzekł spokojnie.

Luc wzruszył ramionami.

- Chłopak i tak kiedyś musi się' nauczyć, Adrianie. Równie dobrze może się uczyć od najlepszego.

Ruthveyn tak mocno zacisnął zęby, że aż zaboląa go szczeka. Czasem zastanawiał się, czy po prostu nie rozumiał Luca, czy też nie było w nim wiele do rozumienia. Umysł brata był niczym płytki staw: rzucisz kamień, to tafla wody na chwilę się pomarszczy, ponieważ jednak nie jest głęboko, wkrótce woda na powrót się uspokoi.

Anisha przenosiła zmartwione spojrzenie od jednego brata do drugiego.

- Chodź, Raju, jesteś przemoczony - odezwała się, biorąc go za rękę. - Musisz zdjąć to ubranie. -

Przerwała i przywołała służącą. - Znajdź Fricke'a i powiedz mu, że buty pana wymagają wysuszenia - poleciła.

Ruthveyn poszedł za nią, bowiem gdyby tego nie zrobił, przerzuciłby sobie Luca przez kolano i złoil mu skórę, co wyglądałoby groteskowo, bo Luc miał już osiemnaście lat i potrafil walczyć.

Kiedy wchodził z Anishą po schodach, siostra przez cały czas coś mówiła swoim łagodnym głosem z lekkim akcentem. W przeciwieństwie do Ruthveyna, który kształcił się w St. Andrews i był przyuczony do roli urzędnika administracji państwowej i nababa, jego siostra była wycho-

wywana przez matkę i liczne kuzynki. Obdarzoną wyjątkową urodą Anishę od dziecka szkolono, jak zachowywać się dostojnie i z wdziękiem, jak uosabiać tradycyjną, an-gielsko-hinduską elegancję. Przyuczano ją do roli zony bogatego Anglika, chociaż takie mieszane małżeństwa stawały się coraz rzadsze.

- Grasz na zwłokę, Anisho - mruknął, przerywając jej potok słów.

Anisha szarpnęła go za ramię.

- Idziemy do twojego pokoju - zaordynowała - Przygotuję ci gorącą kąpiel.

Zamilkł na chwilę. Jego pokoje zajmowały połowę pierwszego piętra. Przy wejściu do prywatnego gabinetu ramieniem pchnął uchylone drzwi, po czym przeszedł do sypialni. Jego dwa koty, Silk i Satin, wstały ze swoich zagłębień na łóżku, zeskoczyły na podłogę i przebiegły po dywanie, przystając po drodze, żeby rozciągnąć tylne łapki.

Rutłweyn poświęcił chwilę, żeby je podrapać po pyszczkach, po czym wziął na ręce Satin i zwrócił się do Anishy:

- No dobrze, koniec zabawy. Opowiadaj - rzucił, sadzając sobie kota na ramieniu.

Ale siostra otworzyła drzwi do jego łazienki, podeszła do wanny i odkręciła kran.

- Mam nadzieję, że w bojlerze została jeszcze gorąca woda - powiedziała, przyklękając, żeby zakorkować odpływ. - Przyłapałam Toma i Teddy'ego bawiących się na zapleczu kuchni po...

Złapał ją za ramię i pociągnął do góry.

- Przestań, Anisho - rzekł zdecydowanym tonem.

- Co... co mam przestać? - zapytała, gdy Satin z prychnięciem zeskoczyła na dół.

- Nie jestem twoim mężem - stwierdził twardym głosem. - On nie żyje. A ja mam dom pełen służby, która może mi nalać wodę do kąpieli. Nie potrzebuję, żeby mi siostra usługiwała.

Anisha poczerwieniała i opuściła wzrok.

- Chciałam tylko być użyteczna.

- Nie, chciałaś uniknąć moich pytań - odparł. - Powiedz mi teraz, kto wyciągnął Lucana z aresztu?

- Tak, wiem, że jesteśmy dla ciebie tylko kłopotem.

- Anisha wyrwała się z jego uchwytu. - Jeśli nas już tutaj nie chcesz, Raju, możemy...

- Do cholery, przecież to ja po was posiałem! - przerwał jej, idąc za nią przez łazienkę. - Błagałem, żebyś opuściła Kalkutę, bo chciałem, żebyś tu mieszkała. Po prostu nie spodziewałem się, że Luc tak szybko i tak głęboko pokocha londyński styl życia.

W końcu odwróciła się do niego z szelestem jedwabnego sari.

- No dobrze, to ja wyostałam go na wolność! Poszłam do Rundle'a i sprzedałam moje brylanty.

Anisha wyciągnęła w jego stronę lewą dłoń i, jakby w celu podkreślenia swoich słów, poruszyła pozbawionymi ozdób palcami.

- Anisho! - Rutłweyn pochwycił jej rękę. - Sprzedałaś swoją obrączkę?

- Sprzedałam kamienie z mojej obrączki - sprostowała. - Złoto każe przetopić i zrobić komplet kolczyków do nosa.

Puścił jej rękę i odsunął się, po czym, widząc wyraz twarzy siostry, wybuchnął śmiechem.

- Och, Anisho, chciałbym to widzieć! Czy zaprezentujesz swoje nowe kolczyki w nosie na niedzielnej mszy u Świętego Jerzego?

Zaczerwieniła się zażenowana.

- Dobrze wiesz, że żartuję. Nie, nie pokażę się publicznie w niczym, co mogłoby wprowadzić cię w zakłopotanie - powiedziała.

Tym razem złapał jej obie ręce.

- Anisho, nigdy nie wprowadzisz mnie w zakłopotanie

- rzeki łagodnie. - Nigdy. Ale żadna kobieta nie powin-

na się rozstawać ze swoją obrączką, dopóki nie jest na to gotowa. Komfort Luca nie jest wart...

- Byłam gotowa - przerwała stanowczym tonem. - Od dłuższego czasu byłam gotowa, Raju. Sprzedaż brylantów to była moja decyzja. To ja postanowiłam wydać pieniądze na Luca. Zawsze powtarzałeś, że nie wolno gnębić kobiet, więc nie próbuj mi tego odmawiać!

Pokręcił głową.

- Jesteś zamożną kobietą, siostrzyczko. - Puścił jej rękę. - Możesz wydawać swoje pieniądze, jak ci się podoba. Proszę cię jednak, żebyś pomyślała o Lucu. Nigdy nie musiał się zmierzyć z konsekwencjami własnych czynów. Pamela go rozpuściła, a teraz ty jesteś bliska zrobienia tego samego.

- Naprawdę? - uśmiechnęła się do niego cynicznie.

- Spędzisz całe życie, ratując Luca - ostrzegł, unosząc brodę, żeby rozwiązać krawat. - Z chłopaka robi się wielki utracjusz.

- Uważasz mnie za taką naiwną? - zapytała. - Każę Lucowi płacić. Będzie pomagał chłopcom w nauce i bawił się z nimi, dziesięć godzin dziennie, dopóki nie znajdę nowego nauczyciela, a potem trzy godziny, przez cały rok.

- Chyba żartujesz? Pokręciła głową.

- Podejrzewam, że zanim wywiąże się z tych zobowiązań, będzie uważał pobyt w areszcie za wakacje. Poprosiłam Claytora, żeby przygotował formalną umowę, którą nazwał skrytem dłużnym.

Ruthveyn zdjął mokry płaszcz i rzucił go na bok.

- Naprawdę? Muszę przyznać, że to bardzo pomysłowe z twojej strony.

Jego siostra zmarszczyła nos.

- Fu, twój płaszcz cuchnie dymem - rzuciła z karcącym spojrzeniem. - To haszysz? Raju, znów nie możesz spać?

- Nie zmieniaj tematu - odparł, rozpinając jedwabną kamizelkę. - Rozmawialiśmy o Lucu. Nish, nie możesz

pozwolić, żeby uczył chłopców hazardu. Mówię ci, to się nie uda. - Usiadł i zaczął ciągnąć za but. - Do diabła, gdzie jest Fricke?

- Och, na litość boską, daj mi ten cholerny but - rzuciła Anisha, schylając się, żeby złapać but.

- Anisho, co za język! Co by powiedziała mama?

- Powiedziałyby, żebyś przestał się mnie czepiać.

Ruthveyn musiał przyznać, że chyba miała rację. Anisha uklękła, złapała but pod obcasem i szarpnęła mocno. Ale skóra nasiąkła wodą i nic się nie stało.

- Psiakrew! Chyba będzie nam potrzebne zzuwadło. Ponownie pociągnęła, ze złością, i tym razem but ustąpił. Anisha straciła równowagę i poleciała do tyłu, upadając na pupę. W jej oczach błyszczało rozbawienie. W końcu oboje wybuchnęli śmiechem.

A potem śmiech umilkł i słychać było jedynie szum wody lejącej się z kranu. Anisha oparła za sobą ręce i się wyprostowała. Sari i halki owinęły się jej wokół kolan. Mógł więc dostrzec, że na kostce, ponad czerwonym pantofelkiem, wyszywanym półszlachetnymi kamieniami, ma założoną bransoletkę z tygrysimi pazurami na szerokiej, złotej lince, która kiedyś należała do ich matki.

Ruthveyn nosił wisior z tego samego kompletu pod koszulą, blisko serca. Była to jedna z wielu rzeczy, które dzielili z Anishą. Och, on też kochał Luca równie mocno i, pod pewnymi względami, był wobec niego jeszcze bardziej opiekuńczy. Ale Luc nie należał jedynie do innego pokolenia, należał do innej kultury. Urodził się w zupełnie innych Indiach niż jego starsze przyrodnie rodzeństwo. Tak, Luc dzielił z nimi szkocką krew ich ojca, lecz jego matka była prawdziwą angielską różą. Nie było w nim nic z Rajputów, nic z człowieka wtajemniczonego. Szkoda, że chłopak nie wiedział, jakie ma szczęście.

Ruthveyn oderwał wzrok od bransoletki i spostrzegł, że siostra nadal zagląda mu głęboko w oczy.

- Raju, co się dzieje? - zapytała spokojnie.

- Nic - odparł. Uśmiechnęła się łagodnie.

- Nie możesz kłamać, bracie - powiedziała. - Wiesz, że nie umiesz. Wyczuwam w tobie jakiś niepokój. A zeszłej nocy twoje gwiazdy przepowiedziały, że rozpoczniesz tajemniczą podróż. Co się stało? Rutlweyn przesunął rękę po mokrych włosach i westchnął.

- Zdejmij mi drugi but, to może opowiem ci po kąpieli - odpowiedział.

Anisha, nie przestając patrzeć mu prosto w oczy, przetoczyła się na kolana.

- Podaj mi rękę.

- Anisha, tylko...

- Daj mi rękę - powtórzyła. Z oporem wyciągnął dłoń.

- Nie umiesz mnie czytać - ostrzegł.

- Umieć czytać ci z ręki i z twoich gwiazd - stwierdziła spokojnie. - A może też w twoim sercu? Anisha rozłożyła dłoń brata, przez pewien czas ją analizowała, przesuwając czubek palca wskazującego wzdłuż linii. Nagle przerwała i na dłuższą chwilę przykryła rękę Rutlweyna swoją dłonią.

- Och, to kobieta - odezwała się pewnym głosem, przymykając oczy. - A ty jesteś rozdarty.

- Można tak to ująć - mruknął Rutlweyn.

- Ta kobieta - ciągnęła dalej Anisha - jest przyczyną twojej bezsenności, twojej frustracji. Jest w twoich marzeniach, w twoich snach, doprowadza cię do szału, po części dlatego, że wydaje ci się erotycznie...

- Anisho!

Wygięła usta w sennym uśmiechu.

- W porządku - mruknęła, nie otwierając oczu. - Można zamiast tego powiedzieć, że uważasz ją za atrakcyjną, prawda? Masz dla niej wiele współczucia. Boisz się o nią.

Pociąga cię... ach, ale nie do końca jej ufasz, czyż nie tak?

Tu Anisha gwałtownie otworzyła oczy i zamilkła na długą chwilę.

- Raju, nie możesz... nie możesz w niej czytać.

- Hmm - mruknął Rutłweyn. Anisha ścisnęła mu rękę.

- Mam rację?

- Może - przyznał.

Anisha obrzuciła go chytrym spojrzeniem.

- Cóż, jest tylko jedna metoda, żeby to sprawdzić

- odpowiedziała, szczerząc zęby w uśmiechu. - I wydaje mi się, że oboje wiemy jaka. Jeśli więc rzeczona dama jest piękna...

- Skończmy tę dyskusję, Anisho - ostrzegł.

Ale jego siostra tylko uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Powiedz mi, braciszku, czy ta tajemnicza dama ma męża? Albo kochanka? Każda dama potrzebuje przynajmniej kochanka, nie sądzisz?

Ruthveyn nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć na to pytanie.

- Wydaje mi się, siostrzyczko, że powinniśmy to zagadnienie pozostawić owej damie - rzekł, wstając i pociągając ją ze sobą. - I skończmy już ten temat, zanim zacznę szukać męża, który ogrzałby twoje łóżko. - Myślę, że wolałabym po prostu wziąć sobie kochanka, Raju. - Anisha niewinnie zatrzepotała rękami.

- Czyż nie tak postępują londyńskie wdowy? Może zamiast męża udałoby ci się znaleźć mi kochanka?

Wydaje mi się, że lord Lazonby bardzo by mi odpowiadał.

Rutłweyn, który przez cały czas trzymał siostrę za rękę, przyciągnął ją bliżej do siebie.

- Uwierz mi, Anisho, kiedy to mówię - warknął.

- W chwili, gdy złapię Rance'a Welhama w twoim łóżku, natychmiast zapomnę o wzniosłych poglądach na ucie-

miężenie kobiet, ty zaś, moja droga, ponownie wyjdiesz za mąż, i to bynajmniej nie za niego.

- Hmm - bąknęła jego siostra.

- Anisho! - Szturchnął ją lekko. - Rozumiemy się?

- Tak, Raju! - Anisha ciężko westchnęła i puściła jego palce. - Rozumiemy się.

Za nimi rozległo się głośne chrząknięcie. Rutłweyn odwrócił się i ujrzał kamerdynera stojącego w drzwiach.

- Dobry wieczór, *sir* - odezwał się Fricke. - Czy mogę pomóc z drugim butem?

Rozdział 6

Herbatka dla dwojga

Grace czekała na nienadchodzące wciąż obramowane czarno zaproszenie na pogrzeb, siedząc w domu w Marylebone całe popołudnie i cały następny dzień. Ponuro pomyślała, że lord Ruthveyn byłby zadowolony z jej posłuszeństwa.

Zaraz jednak postanowiła w ogóle o nim nie myśleć. Odniosła w tej materii dość ograniczony sukces, bowiem wspomnienie pocałunku najwyraźniej wypaliło ogniem ślad w jej mózgu. Wydawało jej się, że nadal czuje gorący ciężar rąk markiza błędzących po jej ciele. A pod powłoką tego gotującego się ciepła tkwiła niepokojąca świadomość, jak bliska była wyjścia za mąż za człowieka, który nigdy nie wywoływał w niej takich emocji. Nigdy nie doświadczyła choćby najmniejszej chęci, żeby pocałować Ethana Holdinga czy uderzyć go w twarz; nigdy nie miało to znaczenia.

Żeby się czymś zająć, Grace spędziła niedzielne popołudnie, prasując i wietrząc żałobne ubranie. Z szacunku dla angielskiej wstrzemięźliwości odpruła też satynową falbanę przy swojej najlepszej czarnej sukni, którą kupiła w Paryżu na pogrzeb ojca.

Ponieważ nadal nie było pukania do drzwi, Grace napisała listy do każdego znanego sobie mieszkańca Paryża: do dawnej kucharki, do wuja, którego ledwie знаła, do ordynansa ojca i do półtuzina innych osób, prosząc

o pomoc w znalezieniu domku na wsi. Uzbierała się z tego żałośnie mała kupka listów, które położyła na stoliku w przedpokoju, żeby zostały wysłane poranną pocztą. Ale przynajmniej przez pewien czas była zajęta.

W poniedziałek stało się upokarzająco jasne, że czekała na próżno. Nie przysłano jej żadnego zaproszenia na pogrzeb i Grace musiała się zadowolić przeczytaniem długiego i kwiecistego nekrologu, który ukazał się w porannej gazecie. Płakała samotnie nad porannym tostem. Jej narzeczony spoczął już w grobie.

Oczywiście i tak wcale nie uczestniczyłaby w uroczystościach pogrzebowych. Ciotka Abigail ostrzegła ją, że w Anglii damy są uważane za zbyt delikatne istoty do takich spraw. Ale Grace bardzo chciała udać się do domu, a może raczej na Belgrave Square, żeby przynajmniej posiedzieć z Fenellą i innymi żałobnicami. Żeby spróbować pocieszyć Elizę i Annę. I żeby później zjeść posiłek w towarzystwie ludzi, którzy kochali i szanowali zmarłego.

Ale tak się nie stało. Zapomnieli o niej. A może, nie daj Boże, w jakiś sposób winili ją o to, co się wydarzyło?

Grace przez chwilę zastanowiła się nad tą możliwością. To ona go znalazła, gdy wydawał ostatnie tchnienie. To ona wypadła z jego gabinetu z rękami splamionymi krwią. Może lord Ruthveyn miał rację, ostrzegając ją przed Napierem. Była to myśl mrożąca krew w żyłach.

Lecz już we wtorek Grace odzyskała spokój i wzięła sprawy w swoje ręce. Włożyła czarną suknię do muślinowego pokrowca, po czym ubrała się gołębioszary strój spacerowy. Wyjęła kilka szylingów ze swoich oszczędności i udała się na Oxford Street, żeby kupić wieniec ze świeżych kwiatów i zamówić kabriolet. Przestała się przejmować i rozglądać, czy ktoś ją śledzi. Niech sobie śledzą; nie miała nic do ukrycia.

- Na Fulham Road, proszę - powiedziała dorożkarzowi.

Gdy stary, cuchnący powóz toczył się z terkotem po Park Lane, Grace wpatrywała się w zieloną głębię Hy-

de Parku i z całych sił usiłowała nie myśleć o tamtej ostatniej, okropnej nocy spędzonej przy Belgrave Square. I o lordzie Ruthveynie, jego surowych rysach i czarnych oczach o ostrym niczym stłuczone szkło spojrzeniu. Zamiast tego wołała wspominać okrągłe, znacznie weselsze, uśmiechnięte i pełne ożywienia oblicze pana Holdinga. Pan Holding.

Cóż, to było wiele mówiące, prawda? Także jego twarz jawiąca się jej jako rozmazana plama. Jakie to smutne. Ethan Holding, człowiek zasługujący na coś lepszego, umarł zaręczony z kobietą, która nie potrafiła instynktownie przywołać ani jego imienia, ani twarzy.

Może jednak istniało wytłumaczenie dla jej błędów. Przez ponad pół roku był panem Holdingiem, jej pracodawcą. Ethanem był dla niej przez niecałe sześć tygodni i, prawdę powiedziawszy, Grace nigdy nie czuła się swobodnie, używając jego imienia. W gruncie rzeczy w ogóle nie była przy nim zupełnie swobodna.

Pocieszała się, że wiele kobiet wychodziło za mąż, nie znając naprawdę swojego małżonka. Wierzyła, że poznała jego charakter. Jeśli jednak potrafiła tak szybko zapomnieć jego imię czy jego twarz, może nie było niczego dziwnego w tym, że jego rodzina jej się wyrzekła.

Zaraz za Little Chelsea Grace poleciała woźnicy zatrzymać dorożkę. Od zapachu i kołysania starego, skrzypiącego powozu zakręciło jej się w głowie. A może od pierwszego wspomnienia rąk lorda Ruthveyna na jej twarzy, zatracenia się w jego spojrzeniu. Zajrzał jej wtedy w głąb duszy i zobaczył... Co zobaczył?

To była przesada. To było śmieszne.

Dlaczego umiała zapamiętać tak dobrze jednego mężczyznę, a drugiego niemal wcale? Grace złapała wieniec i wysiadła.

- Dziękuję - powiedziała, kładąc na dłoni woźnicy monety. - Dalej już pójde pieszo. Dorożkarz spojrział na jej kwiaty.

- Chce pani dotrzeć na cmentarz West London? - Wyciągnął pokrzywiony palec w stronę Fulham. - Tędy będzie niedaleko, musi pani tylko skręcić w małą uliczkę w prawo.

Grace podziękowała mu i skierowała się do południowej bramy, a potem ruszyła wąskimi ścieżkami przecinającymi zieloną przestrzeń cmentarza. Doceniała uprzejmość woźnicy, choć wcale nie potrzebowała rady. Na prośbę pana Holdinga przychodziła tutaj co najmniej dwa razy w miesiącu i przyprowadzała ze sobą dziewczynki, żeby mogły złożyć na grobie matki wieńce z pięknych, szklarniowych kwiatów.

Holding nie szczędził pieniędzy, żeby czcić pamięć zmarłej żony. Wybudował dla niej mauzoleum w kształcie małej romańskiej świątyni, z białym portykiem podpartym dwiema doryckimi kolumnami. Grobowiec wyróżniał się nawet z daleka. Ale gdy teraz spojrzała w jego stronę, coś zwróciło jej uwagę.

Grace zasłoniła ręką oczy przed słońcem. Na szczycie schodków mauzoleum stali kobieta i mężczyzna, oboje ubrani na czarno.

- Fenella! - krzyknęła najgłośniejszym głosem, jak się odważyła. Było to wystarczająco głośno. Towarzyszący Fenelli

dżentelmen natychmiast odwrócił głowę. A potem demonstracyjnie zamknął grobowiec na klucz i położył dłoń na plecach Fenelli, ponaglając do zejścia po schodkach. Grace przyspieszyła kroku, ale oni oddalali się już ścieżką, nie pozostawiając jej wyboru, musiała pobiec za nimi albo zawołać. Na cmentarzu żadne z tych zachowań nie było właściwe.

Z przerażeniem obserwowała parę, która szybko skręciła i, przechodząc wzdłuż szpaleru nagrobków, znikła pomiędzy drzewami. Przez chwilę nie mogła złapać tchu. Dostała po nosie, ba, została zlekceważona.

Czy Fenella choćby zerknęła na nią? Trudno było to stwierdzić, gdyż miała twarz przesłoniętą gęstym welo-

nem. Jednak wyglądało na to, że działania Roydena Napiera zrobiły swoje. Josiah Crane bez wątpienia ją widział i nie można było pomylić się co do intencji jego zachowania.

Grace wspięła się po kilku schodkach tylko po to, żeby się przekonać, iż żelazna krata, znajdująca się za kolumnami, rzeczywiście jest zamknięta. Wewnątrz, omszała zwykle posadzka była oczyszczona i wyraźnie- widoczne były ślady niedawnego pochówku. Trzymając się jedną ręką żelaznej kraty, pochyliła się, żeby położyć wieniec. Starła się oprzeć go starannie o kratę, ale jednocześnie w dziwny sposób nie chciała go puścić.

Zaczęła sobie powtarzać, że Holding nie żyje. I że kurczowe trzymanie kwiatów nie przywróci mu życia.

Grace spojrzała w dół, na złowrogo wyglądające rośliny. W kwiaciarni wybierała je bardzo starannie: jasnożółte róże oznaczające przyjaźń i różnobarwne gałązki rzepiku. Rzepik symbolizował

wdzięczność. Nagle uświadomiła sobie, że nigdy naprawdę nie podziękowała panu Holdingowi za wszystko, co dla niej zrobił. Cóż, może nie było pomiędzy nimi miłości, ale czuła wdzięczność.

Po śmierci ojca dał jej nie tylko pracę, ale i nadzieję. Powierzył jej opiece dwójkę najśłodszych dzieci, jakie kiedykolwiek znała. I, prosząc ją o rękę, wyraził jej największy komplement, jaki mogła sobie wyobrazić.

Nie, nie kochała go. A dzisiaj była też dziwnie pewna, że nigdy by go nie pokochała. I dlatego jego śmierć stała się dla Grace jeszcze trudniejsza do zniesienia.

Zielone i żółte gałązki zaczęły coraz bardziej wirować jej przed oczami. Kiedy padła na kolana na zimne kamienie, po jej policzku spłynęła pojedyncza, ciepła łza. I właśnie tam, pośrodku cmentarza Brompton, Grace zaczęła płakać jak nigdy przedtem. Płakała, starając się stłumić gwałtowny szloch. Płakała z powodu niezrealizowanych obietnic i utraconej nadziei. Płakała z powodu osieroconych dzieci i dobrych ludzi mordowanych

z okrucieństwem o wiele wcześniej, niż Bóg zaplanował ich odejście.

I nadal nie mogła sobie przypomnieć twarzy Ethana Holdinga.

To zaś powodowało, że płakała jeszcze rozpaczliwiej.

* * *

Grace powróciła do domu ciotki wczesnym popołudniem, wlokąc się resztkami sił z Oxford Street i przynosząc bochenek chleba oraz świeżą rzepeę, o które prosiła ją pani Ribbings, kucharka. Gdy skręciła w Duke Street, zaskoczył ją widok stojącego na poboczu eleganckiego, błyszczącego, czarnego powozu miejskiego, z czerwono-złotym herbem na drzwiach, z parą wyniośle spoglądających lokajów, którzy rozsiedli się z tyłu, i z przycupniętym na koźle stangretem o czarnosinej szczęce. Pomyślała ponuro, że wszystko to pozostawało w ogromnym kontraście do jej odrapanej dorożki.

Mijając powóz, Grace obrzuciła trójkę służących ostrożnym spojrzeniem, po czym wspięła się po schodach, żeby wejść do domu. W holu czekała na nią Miriam z oczami wielkimi jak filiżanki.

- Nie zapomniałam - rzuciła Grace, podając jej zakupy. - Znalazłam nawet rzeżuchę dla cioci...

- Rzeżucha nie jest ważna, panienko - przerwała jej Miriam przenikliwym szeptem. - Przybył dżentelmen. Chciał się z panią widzieć.

- Do licha! - Grace zakłęła cicho. Nagle była absolutnie pewna, do kogo należał elegancki powóz.

Markiz Ruthveyn chyba nigdy nie widział wnętrza wynajętej dorożki.

Miriam podała jej kartę wizytową, potwierdzając podejrzenia.

Grace odłożyła wizytówkę, próbując zignorować dziwny skurcz żołądka. Naprawdę nie chciała znowu widzieć Ruthweyna.

- Czy mojej ciotki nie ma w domu?

- Udała się na spotkanie Kobiecego Koła Wstrzemięźliwości, panienko - odpowiedziała Miriam. - Ale dżentelmen pytał o panią i nie wydaje mi się, żeby podobało mu się długie czekanie.

- O nie, nie należy do ludzi umiejących czekać - cierpko zauważyła Grace. - No cóż, przynieś nam dzbanek świeżej herbaty, Miriam i...

- Taką herbatę, jak dla pani? Grace zastanowiła się przez chwilę.

- Tak, poproszę. Ja tylko pójdę szybko zmienić buty.

Popędziła na górę, żeby zdjąć zakurzone trzewiki i założyć miękkie klapki, oraz poprawić pasma włosów, które wysunęły się spod spinek. Na koniec przypudrowała czerwone plamy koło oczu. Nie potrzebowała niczyjego współczucia.

Nie musiała pytać Miriam, gdzie zaprowadziła lorda Ruthveyna. Jedynym pokojem odpowiednim do przyjęcia tak znamienitego gościa był salon, choć nawet tam naroża ścian były poobijane. Drzwi do salonu stały otworem.

Grace zawahała się w progu. Widziała plecy Ruthveyna stojącego przy oknie i wodzącego wzrokiem za jasno-żółtą bryczką okrążającą Manchester Square. Jego jedna ręka spoczywała na główce hebanowej laski, a drugą oparł na biodrze, odchylając czarny surdut i odsłaniając szarą, jedwabną kamizelkę. Widok tej kwintesencji męskiej elegancji sprawił, że Grace potrzebowała chwili, żeby pozbierać myśli. Ale ten czas nie był jej dany.

- Dobry wieczór, *mademoiselle* - odezwał się markiz, nie odwracając się od okna. - Mam nadzieję, że nie przyszedłem w nieodpowiedniej porze?

Grace odchrząknęła krótko.

- Robi pan to w sposób zbijający z tropu, milordzie.

- Przychodząc w niewłaściwym czasie? - Odwrócił się od okna i pytająco uniósł jedną brew.

- Nie, sprawiając wrażenie, że ma pan oczy z tyłu głowy. Denerwuje mnie to - odpowiedziała, dygając niedbale.

Markiz z wdziękiem zamachał jedną ręką przed nosem.

- To pani zapach, *mademoiselle*. Nie można go z niczym pomylić - mruknął.

- Ale ja nie jestem uperfumowana.

- I dlatego jest to pani zapach - odparł. - Czy mogę usiąść?

- *Mais oui*. - Grace, która przymykała drzwi, zdobyła się na uśmiech. - Chyba nie mam ochoty, żeby do mojego zdenerwowania i speszzenia dołożył się jeszcze kręcz szyi.

Rutłweyn skorzystał z jej zaproszenia i spoczął na delikatnym krzeselku. Zważywszy długość jego nóg, powinien na nim wyglądać groteskowo. Tymczasem wyglądał jeszcze bardziej niebezpiecznie, jak sokół siedzący na krawędzi nadmorskiego klifu śledzący krążące poniżej mniejsze stworzenia w poszukiwaniu czegoś, co skusiłoby jego wyrafinowane podniebienie.

Nagle powróciło do niej wspomnienie ich pierwszego spotkania, obraz ostrego oblicza lorda Rutłweyna unoszącego się ponad jej twarzą w pełnym słońca ogrodzie, jego prostych, gęstych włosów opadających na oczy. Wtedy, w stanie oszołomienia, Grace pomyślała, że ucieleśnia samego Lucyfera, pięknego, opalonego Lucyfera, ale jednak diabła. Teraz była jeszcze mniej pewna, co o nim myśleć.

- *Mademoiselle Gauthier*.

Jego niski, jedwabisty głos przywołał ją do rzeczywistości.

- Przepraszam nie słyszałam. - Grace uświadomiła sobie, że gapiła się na niego.

- Pytałem, czy miło spędziła pani dzień - powtórzył.

- *Merci*, tak... - Zawiesiła głos. - Prawdę mówiąc, nie. Miałam okropny dzień. Poszłam na cmentarz.

- Sama?

-Tak.

- Przykro mi. - Po raz pierwszy nie wpatrywał się w nią przenikliwym spojrzeniem. - Nikt nie powinien robić tego samotnie.

- Mówi pan tak, jakby miał w tej materii własne doświadczenia - odrzekła spokojnie.

Nadal na nią nie patrzył.

- Gdy byłem młody, straciłem żonę. To było... nie do zniesienia - odpowiedział w końcu.

- Bardzo panu współczuję - wyszeptała Grace. Zamilkł na jakiś czas, siedząc nieruchomo z rękami zaplecionymi na brzuchu. Brzegi wykrochmalonych mankietów wydawały się śnieżnobiałe przy jego brązowych dłoniach. Grace skojarzył się z ogromnym portretem, który kiedyś widziała wystawiony na sprzedaż na wioskowym bazarze, mającym przedstawiać Sulejma-na Wspaniałego na tronie - wyniosłego, opanowanego i bardzo monarszego.

Jednak Ruthweyn promieniował niespokojną męską energią. Znowu pomyślała o jego pocałunku, o jego wargach, które zawładnęły jej ustami z taką zręcznością i pożądaniem, jakich Grace wcześniej w ogóle sobie nie wyobrażała. Czy myślał czasem o tamtej chwili? Czy czuł obecne pomiędzy nimi zakłopotanie? Czy żar tamtego pocałunku nadal płonął na jego ustach?

Odruchowo dotknęła warg czubkami palców.

Błysk w oczach Ruthveyna zdradził ledwo tłumione emocje.

Grace opuściła rękę na kolana, zastanawiając się, dlaczego w pokoju nagle zrobiło się tak potwornie gorąco. Z tego żaru wybawiła ich Miriam, która przyniosła tacę z herbatą. Grace zajęła się jej nalewaniem, prowadząc jednocześnie zdawkową rozmowę. Cieszyła się, że nie trzęsły się jej ręce.

Doprawdy, co się z nią działo? Przecież to tylko mężczyzna. Przecież to tylko spotkanie przy herbacie.

Jed-

nak nie dawało się zaprzeczyć, że w lordzie Ruthveynie było coś nie z tego świata, coś niezwykle zmysłowego.

- To jest zielona herbata gunpowder, którą często pijaliśmy w domu - paplała, biorąc do ręki czajniczek. - Pamiętam, że była to ulubiona herbata sierżanta Welhama. Czy wypije ją pan w tradycyjnej postaci? A może wolałby pan z ciepłym mlekiem?

- Dziękuję, wolę samą herbatę - powiedział.

Grace uniosła stary, poobijany czajniczek i naląła napar z góry, wypełniając filiżanki do samego brzegu.

- Jest już posłodzona - uprzedziła. Lord Rutlweyn spróbował z namysłem.

-1 z miętą - powiedział, uśmiechając się lekko. - Muszę przyznać, że jest gorzka, mocna i wyśmienita, mademoiselle Gauthier. Czuję się niemal tak, jakbym znowu znalazł się w Kasbahu.

- Tak się pan czuje? - mruknęła, nalewając sobie herbaty. - Czy spędził pan tam dużo czasu?

Ruthveyn uniósł brew.

- W wesołym towarzystwie Rance'a Welhama? - zapytał - Wolałbym tego nie mówić.

- Sierżant Welham miał pewne niezbyt szczęśliwe przyzwyczajenia, milordzie. - Grace z brzękiem odstawiła czajniczek. -1 żył zbyt intensywnie. Mam nadzieję, że nie sprowadził pana na złą drogę.

Ruthveyn sęczył powoli herbatę, jakby grał na zwłokę.

- Może było dokładnie odwrotnie - powiedział w końcu. - Ale nie są to opowieści godne kobiecych uszu. Przyszedłem dzisiaj, żeby pani zrelacjonować, czego udało mi się dowiedzieć od śledczych ze Scotland Yardu prowadzących dochodzenie w sprawie śmierci pani narzeczonego.

- Prawie narzeczonego - uśmiechnęła się lekko. - Tak właśnie postanowiłam określać pana Holdinga. W ten sposób... w ten sposób to wszystko staje się łatwiejsze do zniesienia. Podejrzewam, że nie widzi pan w tym wielkiego sensu.

- To ma dla mnie ogromny sens - stwierdził spokojnie. Grace skupiła wzrok na filiżance z herbatą.

- Kiedyś zapytał mnie pan, czy kochałam pana Holdinga. Czy zrozumiałby pan, gdybym teraz powiedziała, że bardzo chciałabym go kochać?

Jego głos natychmiast złagodniał.

- Zrozumiałbym.

Czuła, że zaczyna jej się trząść broda.

- Nie umiem... nie umiem boleć z powodu jego straty - wyszeptała. - Nie jako męża. Żałuję, że zgodziłam się wyjść za niego. To, co kiedyś wydawało mi się bardzo właściwe, dziś wydaje mi się po prostu błędem.

- Czasem żal wyraża się lepiej poprzez pomoc w poszukiwaniu sprawiedliwości, mademoiselle Gauthier

- zauważył Rutłweyn. - Żalu nie można do niczego wykorzystać, natomiast, jak zauważyłem, zemsta potrafi przynieść ukojenie.

Ta uwaga w jakiś dziwny sposób ją uspokoiła.

- Nie chciałabym mieć w panu wroga, lordzie Ruthevyn. Coś na kształt uśmiechu pojawiło się na jego wargach.

- Czy mam pani zrelacjonować, co wiem? - zapytał.

- Może kiedy to uczynię, łatwiej pani będzie pozostawić sprawę w moich rękach.

- Zobaczymy - odpowiedziała. - Oczywiście, będę bardzo wdzięczna za wszystko, co może mi pan powiedzieć.

Dolna szczeka Ruthveyna poruszyła się znacząco.

- Owszem, zobaczymy - powtórzył za nią. - Po pierwsze, pan Napier został odwołany w związku z jakąś sprawą rodzinną. W czasie jego nieobecności policja opuściła dom. Czy zwrócono pani rzeczy?

- W sobotę przyjechał wóz z moimi walizkami. Wydaje mi się, że wszystko tam jest.

- To dobrze - mruknął Rutłweyn. - Rozumiem, że panna Crane wróciła do domu, pan Crane ponownie

otworzył biura firmy, a dzieci pana Holdinga pozostaną w rodzinie siostry ich matki, tak jak pani podejrzewała. Grace zasmuciła się.

- Oczywiście pogodziłam się z tym - rzekła cicho.

- Przynajmniej będą zadbane.

- Na pewno - przytaknął Ruthweyn. - Wczoraj odczytano testament. Holding pozostawił każdej dziewczynce solidny fundusz powierniczy i posag w wysokości trzydziestu tysięcy funtów.

- Wielkie nieba - powiedziała Grace.

- Holding ustanowił też rentę dla ważniejszych służących i kilka darowizn charytatywnych, natomiast resztę majątku oddał w ręce siostry.

- To ma sens - stwierdziła. - W końcu to dzięki firmie ich ojca rodzina stała się bogata. Czy nie pozostawił nic Josiahowi Crane? - Nie, ale nie oczekiwałbym tego, zważywszy, że pan Crane i tak jest współwłaścicielem firmy - rzekł Ruthveyn. - Mogę zapytać, *mademoiselle*, czy były jakieś napięcia pomiędzy panem Holdingiem i jego partnerem w interesach?

Grace pokręciła głową.

- Nie zauważyłam. Dlaczego pan pyta?

Markiz przez chwilę przyglądał się jej ze spokojem.

- Wiem z dobrych źródeł, że pan Crane miał długi

- rzekł w końcu. - Zdaje się, że spodobał mu się hazard.

Grace szerzej otworzyła oczy.

- *Mon Dieu*, przekleństwo Crane'ów? - mruknęła.

- Tak nazywała to Fenella. To właśnie w ten sposób ojciec Josiaha stracił swoją połowę udziałów w interesach. Proszę mi powiedzieć, czy bardzo jest zadłużony?

Ruthweyn wzruszył ramionami.

- Nie bardziej niż inni - przyznał. - Nic, czego nie mógłby spłacić we właściwym czasie. Ale lokalni szulerzy znają już jego nazwisko.

- Ma pan na myśli pana Quartermaine'a i jemu podobnych - dopowiedziała Grace.

Uniósł ciemne brwi.

- Zetknęła się już pani z naszym sąsiedztwem z piekła rodem? Mam na myśli oszustów karcianych, którzy odwiedzają takie miejsca. Quartermaine jest w miarę uczciwym człowiekiem.

- Co to oznacza? Ruthveyn się skrzywił.

- To oznacza, że zazwyczaj jest uczciwy - odpowiedział. - A poza tym dysponuje wieloma użytecznymi informacjami, jeśli tylko umie się je z niego wyciągnąć.

- A pan potrafi? - Grace obserwowała go sponad filiżanki.

- Umiem być przekonujący - rzeki Rutłweyn.

- Niewątpliwie to pański urok. Zauważyłam go od razu - cierpko rzuciła Grace.

Posłał jej szybkie, ostre niczym diament spojrzenie.

- Mademoiselle Gauthier, zaczynam myśleć, że ma pani więcej charakteru, niż początkowo sądziłem, a nigdy nie uważałem, że go pani brakuje.

- Dziękuję - odparła Grace. - Jestem z tego dumna. Czego jeszcze się pan dowiedział?

- Dowiedziałem się, że rywal w interesach, którego Holding wykupił, jest zrujnowany - Rutłweyn przerwał, żeby upić łyk herbaty. - I że Crane jest nieszczęśliwy z powodu tej transakcji. Widocznie ten manewr spowodował, że firma Crane and Holding przeinwestowała, co nie jest najwygodniejszą sytuacją dla hazardzisty, o którym głośno w całym mieście.

Grace zeszywniała.

- Mam nadzieję, że firma nie jest zagrożona?

- Nie sądzę - odpowiedział. - To zależy, kto będzie zarządzał stoczniami w przedsiębiorstwie. Może panna Crane zechce się tym zająć. Pewnie ma do tego prawo.

Grace zmarszczyła czoło.

- Nie wyobrażam sobie, by była tym zainteresowana.
- Niewiele kobiet chciałoby się tego podjąć - zgodził się Rutłweyn. - Nigdy nie wykazywała zainteresowania interesami?

Grace wzruszyła ramionami.

- Fenella układała życie towarzyskie pana Holdinga. Czasem odpowiadała na listy i organizowała biznesowe kolacje. Ale wydaje mi się, że nie znosiła zajęć tego typu. Zwykła była się śmiać i mówić, że matka często jej powtarzała, iż nie ma do tego talentu. Co zaś do pieniędzy, to pan Holding zawsze dawał jej wolną rękę. Materialnie niczego jej nie brakowało.

Rutłweyn westchnął i odstawił filiżankę.

- Śmiem więc twierdzić, że Josiah Crane powinien się spodziewać następnej wizyty naszego przyjaciela Napiera, gdy tylko ten dowie się o hazardowych długach - powiedział. - Co, być może, odwróci zainteresowanie komisarza od pani. Proszę mi powiedzieć, czy jest pani pewna, że tamtej nocy Crane opuścił dom Holdinga po kolacji?

- Zupełnie pewna. Sama go odprowadziłam do drzwi. Rutłweyn rozważał jej słowa.

- Czy może miał klucz do domu? Grace szeroko otworzyła oczy.

- Mógł mieć - odpowiedziała. - Od czasu do czasu przynosił rano pocztę i dokumenty, jeśli chciał, żeby pan Holding przeczytał je przy śniadaniu. Gdy pan Holding wyjeżdżał, często przysyłał listy do nas razem z pocztą pana Crane. Kiedy schodziłam na dół, znajdowałam je na stoliku w holu.

- Rozumiem. - Rutłweyn oparł obie ręce na udach, jakby zamierzał wstać. - To już jest coś.

- Lordzie Rutłweyn, jestem absolutnie pewna, że pan Crane nie zabił swojego kuzyna.

Twarz markiza pozostała bez wyrazu.

- To nie moje zmartwienie - odpowiedział. - To pani jest moim problemem.

- Dlaczego? - ostrym tonem rzuciła Grace. Zawahał się.
- Bo dostałem telegram od Rance'a, to znaczy lorda Lazonby, który kazał mi się tym zająć.
- Chce, żeby mi pan pomógł?
- Chce, żebym zajął się tą sprawą - sprecyzował Ruth-veyn - i żebym w każdy możliwy sposób chronił panią przed skandalem i pilnował, aby nie stała się pani żadna krzywda. Jeśli więc miałyby to oznaczać rzucenie Crane'a wilkom na pożarcie, zrobiłbym to.
- Nie będzie takiej potrzeby - odparła cierpko.

Na te słowa twarz Rutłweyna złagodniała. Zsunął dłonie z ud, na powrót rozsiadł się na krześle i się zamyślił.

- Mademoiselle Gauthier, czy nie sprawię pani nadmiernego kłopotu, prosząc o jeszcze jedną filiżankę herbaty? - odezwał się w końcu.

Grace była zaskoczona. Wydawało jej się, że już niemal wychodził. Naprawdę bardzo chciała, żeby sobie poszedł. Czyż nie tak?

- Proszę mi wybaczyć, powinnam była zaproponować panu dolewkę.
- Domyślałam się, że pani ciotki nie ma dzisiaj w domu
- rzekł Ruthveyn, ze wzrokiem skupionym na strumieniu nalewanej herbaty. - Mam nadzieję, że moja wizyta jej nie zdenerwuje.

Grace wzruszyła ramionami.

- Nie jestem przekonana, czy istnieje coś, co zadowoliliby ciocię Abigail. Zwłaszcza gdy chodzi o mnie. W końcu jestem córką mojej matki. Obawiam się, że zawiodła się na nas obu.
- Naprawdę? - mruknął. - Nigdy bym się nie domyślił. Posłała mu gorzki uśmiech.
- Moja matka popełniła mezalians, lordzie Rutłweyn
- wyjaśniła. - Była córką angielskiego lorda, ale miała czelność uciec ze zubożałym francuskim oficerem.

Spojrzenie ciemnych oczu Rutłweyna znów stwardniało.

- Czy to jest mezalians?
- Tak uważała jej rodzina. I na pewno pan myśli podobnie - odpowiedziała Grace.
- Z całym szacunkiem, mademoiselle Gauthier, lecz nie ma pani pojęcia, co myślę.
Grace opuściła wzrok.
- Przepraszam. Ma pan rację - przyznała.
- Jednak wszystko zostało wybaczone? Pani matka pojednała się z rodziną? - gładko kontynuował Rutłweyn.
Lekko wzruszyła ramionami.
- Moja mama była bardzo kochana. Jako dziecko od czasu do czasu przyjeżdżałam tutaj i moi dziadkowie zachęcali mnie, żebym myślała o ich domu jak o swoim. Ale dla mnie... - tu głos jej się załamał - dla mnie nadal domem jest Algieria. Tam byliśmy szczęśliwi we trójkę: mama, tata i ja.
Rutłweyn jakby czytał w jej myślach.
- Nie może pani wyjechać z Londynu, mademoiselle Gauthier - rzekł spokojnie. - Bo o tym pani myślała, prawda?
- Istotnie - przyznała.
- Pani stosunki z lady Abigail są nie do zniesienia? Grace się skrzywiła.
- Niewiele rzeczy jest tak naprawdę nie do zniesienia. Jednak jest mi nieprzyjemnie. Moja ciotka żyje przeszłością, gorzką przeszłością - odparła.
- Co to znaczy?
- Grace odetchnęła głęboko.
- Mama była wielką pięknoscią, która miała dobrze wyjść za mąż i uratować rodzinę przed ruiną. Kiedy wolała, jak to określiła ciotka, tak egoistycznie związać się z moim ojcem, zmarnowała swoje jedyne atuty - odpowiedziała.
- I to zrujnowało życie pańskiej ciotce... ale jak, dokładnie?

- Ciocia Abigail nigdy nie wyszła za mąż zaczęła mówić Grace. - Twierdzi, że nie było pieniędzy na posag ani nawet na sezon balowy dla niej. Ze wszystko zostało wydane na mamę, która tylko sprowadziła na rodzinę kłopoty. Przez wszystkie te lata ciotka mieszkała tutaj, stając się coraz bardziej zgorzkniała, a od śmierci mojego dziadka utrzymywała się z niewielkiej darowizny, na którą mógł sobie pozwolić aktualny dziedzic rodowego tytułu.

Ruthveyn skrzywił się pogardliwie.

- Co za nikczemna samolubność.

- Być może - westchnęła Grace. - Ale muszę ją znosić tylko, do kiedy Napier nie zakończy swojej pracy.

- A potem?

- A potem wrócę do Francji. - Zaplotła ręce na po-dołku. - Ponadto zaś postanowiłam, że będzie mi się to podobało. Musi. Zamieszkam w małym domku i będę wiodła spokojne życie. Chcę znaleźć, jeśli nie szczęście, to przynajmniej spokój.

- Spokój i szczęście - rzucił z cynizmem w głosie, odstawiając nietkniętą herbatę. - Życzę ci powodzenia, moja droga. - Rutlweyn gwałtownie zerwał się z krzesła i ponownie zbliżył się do okna, przy którym stał wcześniej.

- Milordzie.

Zakłopotana Grace również wstała i zbliżyła się do niego.

- Proszę o wybaczenie. Czy obraziłam pana czymś?

- Nie. Oczywiście, że nie - odpowiedział, nie patrząc na nią. Cynizm zniknął z jego głosu.

Przechyliła głowę, przypatrując się jego twardemu, ponuremu profilowi.

- Co się więc stało, jeśli wolno spytać?

Niemal chłopięcym gestem przesunął dłoń po grzywie atramentowoczarnych włosów. Grace znów zaczęła się zastanawiać, ile ma lat. Pomimo wysokiej, umięśnionej sylwetki mężczyzny w kwiecie wieku, Rutlweyn sprawiał

wrażenie człowieka bez wieku, a jednocześnie znacznie starszego, niż był naprawdę.

Kiedyś był żonaty. Pochował żonę. Może nawet miał dzieci?

Wielkie nieba!

Grace w swojej głupocie nigdy nie brała tego pod uwagę. A to oznaczało, że tak naprawdę niewiele o nim wiedziała. Nadal rozważała tę kwestię, gdy znów się odezwał, głosem tak cichym, że niemal nie do poznania.

- Widzisz te cienie, Grace? - Wpatrywał się w rząd domów za szybą. - Codziennie po zachodzie słońca, bez wyjątku, przepelzają przez ulicę, żeby nas przykryć. Tak właśnie wyobrażam sobie los. Jak czający się cień, którego nie sposób uniknąć. I wiemy, że nadciąga. Czasami, zanim opadnie mroczny welon, możemy nawet dostrzec strzępy tego, co leży dalej. A czasem to, co widzimy, jest po prostu urojeniem albo odbiciem naszych lęków.

Grace widziała na ulicy jedynie nianię Beesonów pchającą na chodniku wózek. Ale Rutłweyn zdawał się mówić dosłownie. Grace ponownie zaczęła analizować tę całą mroczną energię i siłę, które w nim drzemały, i przez moment pomyślała, jak by to było, gdyby nagle je uwolnił. Cofnęła rękę, znajdującą się już o centymetry od dotknięcia jego ramienia, w geście, który niewątpliwie byłby prózną próbą pocieszenia.

Zerknął przelotnie w jej kierunku.

- Mam nadzieję, że pewnego dnia odnajdziesz spokój, Grace. Ale Francja jest nadal niestabilna politycznie. Wyjazd z Anglii w niedalekiej przyszłości może być dla ciebie niebezpieczny. Podobnie zresztą jak pozostanie tutaj.

Już otwierała usta, żeby mu powiedzieć, jak absurdalne są jego słowa. Ale wypowiedział je z taką serdecznością, że nawet nie mogła go upomnieć, iż znów zwrócił się do niej po imieniu. Na dodatek zaś te słowa w jego ustach brzmiały niepokojąco trafnie.

- Nie umiem zobaczyć, co czai się w cieniu nadciągającym ku tobie, Grace. Nie mogę. Czuję się... ślepy - dodał.

- Nikt nie może znać przyszłości, milordzie. - Mówiąc to, czuła dreszcz przebiegający jej po plecach.

- Zresztą któż by chciał? Jestem pewna, że byłaby to straszliwa klątwa.

Przyłożył dłoń do szyby, szeroko rozstawiając palce, jakby tym gestem chciał powstrzymać cienie.

Nie pierwszy raz Grace przyszło do głowy, czy Rutłweyn nie wie czegoś, czego nie chce jej powiedzieć. Czyżby ten człowiek był jeszcze bardziej przerażający i należał do innego świata?

Przecież to czysty nonsens.

- Ciekaw jestem, czy mi wybaczyłaś? To, co się wydarzyło w Whitehall? - Jego niemal obojętne słowa przerwały jej rozważania.

Grace od razu wiedziała, o co mu chodzi.

- Ten pocałunek? Cóż, to był tylko pocałunek, milordzie. I, jak pan to wówczas zauważył, całowano mnie już wcześniej. Podejrzewam, że pana również, prawda? - Udało jej się zachować lekki ton.

Błysk czarnego humoru wykrzywił mu pięknie zarysowane, pełne wargi.

- Owszem, raz czy dwa. Grace wyciągnęła rękę.

- No to zgoda, wszystko zostało zapomniane - powiedziała.

- Zgoda - powtórzył za nią ciepłym, chrapliwym głosem. Odwrócił się i ujął jej dłoń, ale zamiast nią potrząsnąć,

podniósł ją do ust. Jednak w ostatniej chwili się zawahał. Patrzył jej prosto w oczy, czuła na palcach jego gorący oddech. Nagle coś się w nim załamało. Rutłweyn zamknął oczy i pociągnął ją w swoje objęcia.

- Chodź tutaj - wyszeptał.

Grace nierozsądnie dała krok do przodu, tęskniąc za dotykiem otaczających ją ramion. Lewą rękę, zimną od okiennej szyby, Rutłweyn oparł na jej ramieniu, za to

drugą, szeroką, silną i gorącą, zagarnął ją ku sobie, przygniatając jej suknię do jedwabiu swojej kamizelki. Natychmiast otoczyło ją jego ciepło, a wraz z nim zapach, już teraz boleśnie znajomy. Miała wrażenie, że zaczyna ją przenikać jego moc. Wiedziała, że to czyste szaleństwo, lecz w pewien sposób wydawało się nieuniknione.

- Chciałbym cię znowu pocałować - powiedział, wpatrując się w jej twarz.

Spoglądała na niego bez mrugnięcia okiem.

- Pytasz?

- Tak - rzucił chrapliwie. - A ty powinnaś odmówić. Z trudem przełknęła ślinę.

- A jeśli tego nie powiem?

- To będę cię całował, aż ci zmiękną kolana - powiedział - i jak cholerny głupiec będę mieć nadzieję, że poprosisz mnie o więcej.

Och, jakże go pragnęła! Wbrew logice i wieloletniemu doświadczeniu Grace pragnęła mu się poddać. Była już tak znużona samotnością. A może po prostu była słaba. Tak czy inaczej, przestała się przejmować. Czując dudnienie serca Rutlweyna koło swojej prawej piersi, uniosła brodę i przymknęła oczy.

Jego wargi musnęły jej usta w najłżejszej pieszczocie; raz, drugi, a potem znowu, jakby ją kusił.

Odpowiedziała, odchylając zapraszająco głowę, i poczuła jego usta opadające na jej wargi, gorące i rozchylone.

Pod wpływem jego dotyku coś obudziło się w niej, tętniąc życiem i blaskiem. Gdy jego usta zaczęły się powoli przesuwac, Grace oparła się o niego całym ciężarem ciała i zarzuciła mu ręce na szyję.

Rutlweyn wydał odgłos, ni to jęk, ni to westchnienie, i wsunął język głęboko w jej usta, splatając go z jej językiem. Wewnątrz Grace wszystko napięło się niczym łuk, poczynając od serca, a kończąc na brzuchu i jeszcze głębiej. Potem całe to naprężenie przerodziło się w ból, a kiedy jego usta wędrowały po jej wargach, przejmując

nad nią władzę, Grace poczuła się nieokiełznana, pożądana i zdumiewająco wolna.

W mgnieniu oka znalazła się przyparta do ściany, przygnieciona jego ciałem, czując jego wędrujące zgłodniałe dłonie. Jedna ręka spoczęła na jej piersi, grzejąc sutek i pogłębiając drżenie całego ciała.

Druga objęła wypukłość jej bioder, unosząc ją w jego stronę.

Lekko drażnił kciukiem sutek i jednocześnie przesunął usta na jej szyję, językiem dotykając zagłębienia ponad obojczykiem. Sprawilo to, że Grace miała ochotę na ściągnięcie w dół materiału sukni, żeby zapewnić mu swobodniejszy dostęp. Jej oddech stał się krótki, urywany. Markiz powrócił ustami na, jej wargi. Wyczuwała w nim desperację porównywalną z siłą jej emocji, pragnienie człowieka zgłodniałego ludzkiego dotyku. A może spragnionego miłości.

Ale to było niebezpieczne okłamywanie się. Nie była przecież niczego nieświadomą, naiwną dziewczyną. Czuła twardą wypukłość jego podniecenia napierającą na brzuch i wiedziała, że wszystko posunęło się za daleko. Udało jej się jakoś zapanować nad sobą i, drżąc z rozkoszy, oddawać mu gorące pocałunki, równocześnie zatrzymując się tuż przed krawędzią czegoś nęcącego i ciemnego. Instynktownie czuła, że za tą krawędzią całkowicie zatraciłaby się w jego mroku.

Rutłweyn musiał wyczuć jej wahanie i zaczął się wycofywać. Najpierw zelżał napór jego ud, potem torsu, aż w końcu pozostali tylko połączeni ustami. Odsunęli się od siebie, wymieniając jeszcze drobne, szybkie pocałunki. Rutłweyn przesunął wargi wzdłuż jej szczęki.

- Grace - wymruczał tuż za jej uchem. - Ach, Grace. Jego jedna ręka spoczywała na jej karku, obejmując

głowę. Obróciła się i, ponieważ po prostu tego chciała, oparła policzek na delikatnej wełnie jego surduta.

- Sam wiesz, że to szaleństwo - wyszeptała. Oddychała o wiele za szybko.

- Zupełne szaleństwo - zgodził się. - A co gorsza, nie zamierzasz mnie prosić o więcej, prawda?

- Nie. - Z trudem przełknęła ślinę. - To znaczy, nie zamierzam.

Rutłweyn ukrył twarz w jej włosach. Uświadomiła sobie, że drżał.

- Grace, nie możesz mi pozwolić, żebym ponownie to zrobił - szepnął.

- Nie mogę pozwolić? - Mówiąc to, poderwała głowę. - Jesteś mężczyzną, lordzie Rutłweyn.

Mężczyźni mogą brać to, co zostanie im zaoferowane. Ale co sądzić o mnie, która ci to zaoferowała?

Odsunął ją nieco od siebie i pochylił głowę, żeby spojrzeć jej prosto w oczy.

- Grace, jesteś kobietą, której życie w okrutny sposób zostało przewrócone do góry nogami. A ja chyba jestem łajdakiem, że wykorzystałem sytuację - odpowiedział.

- Co za wierutna bzdura...

- Na swoją obronę - przerwał jej, zdecydowanym ruchem przykładając palec do jej warg - mogę jedynie powiedzieć, że możliwość dotknięcia takiej kobiety jak ty jest dla mnie czymś tak niezwykle rzadkim... - Tu głos mu się załamał. - Właściwie nie mam nic na swoją obronę.

Grace odsunęła się, czując się bardziej samotna niż kiedykolwiek.

- Nigdy nie spotkałam nikogo podobnego do ciebie, Rutłweyn - rzekła, zaplatając ręce na piersiach. - Nie wiem, czy cię lubię, czy trochę się ciebie boję. Ale bez względu na to, jesteśmy dla siebie jak hubka i krzesiwo.

Znów charakterystycznym ruchem przeciągnął dłonią po włosach, mierzwiąc je.

- Grace, muszę cię o coś zapytać.

- Bardzo proszę - uśmiechnęła się. - Próbuje, Rutłweyn. Oboje mamy wszelkie powody by sądzić, że mogę powiedzieć: tak.

Słyszając to. spochmurniał. Zaciśnął dłoń w pięść.

- Grace, nie bądź okrutna, zwłaszcza dla siebie. Nie pocałuję cię znowu. Nawet nie będę próbował - powiedział.

Wybuchnęła śmiechem i opuściła ręce.

- Wiesz, Rutłweyn, naprawdę ci wierzę - odparła. - Przepraszam. To tylko twój dotyk... jakoś mąci mi w głowie. Ale mów dalej, proszę. Pytaj.

- Oczywiście nie mogłem wybrać gorszego momentu, żeby zadać pytanie - ostrzegł.

- Oboje mamy do tego talent - przyznała.

- Być może. - Rozprostował dłoń. - Tak czy inaczej, uważam... sędzę, że powinnaś zamieszkać ze mną.

Grace złapała się za serce.

- Słucham? Chyba się przestyszałam.

- Jako guwernantka - dodał pospiesznie. - Będę się lepiej czuł, jeśli zamieszkasz pod moim dachem.

- Jako guwernantka? - powtórzyła. - *Ca alor*sl Czyja?

- Mojej siostry - powiedział, chwytając ją za ramię i puszczając je jak oparzony. - Nie, oczywiście, nie mojej siostry, tylko jej dzieci. Mówię zupełnie poważnie. Siostra rozpaczliwie potrzebuje jakiegoś nauczyciela dla chłopców. A moi siostrzeńcy są... jakby to powiedzieć... trudni do poskromienia.

- Nawet gdybym była na tyle głupia, by się tego podjąć, nikt nie uważałby mnie za osobę o odpowiednich kwalifikacjach, żeby uczyć młodych mężczyzn - tłumaczyła Grace. - Będą potrzebowali lekcji matematyki i nauk przyrodniczych i...

- Daj spokój, Grace.

Rutłweyn podniósł jedną brew z tym lekko pogardliwym skrzywieniem ust, które tak szybko nauczyła się rozpoznawać. - Chyba nie wierzysz w to, że tylko mężczyźni są zdolni do takich rzeczy? Czy sugerujesz, że nie masz pojęcia o podstawach arytmetyki czy geografii?

Grace się zaczerwieniła. Prawdę powiedziawszy, zawsze była zafascynowana tymi przedmiotami i prędeej poleciałaby na księżyc, niż uczyła dzieci, jak szydełkować

czy rysować. Historia wojskowości i taktyka na polach bitwy były jej ulubionymi dziedzinami, była też całkiem biegła w geografii, gdyż sporo miejsc widziała na własne oczy. Poza tym jej błękitna krew i nieskazitelny francuski predestynowały ją do zawodu guwernantki. Rutłweyn wyczuł jej zainteresowanie.

- Nawiasem mówiąc, obaj nie mają jeszcze dziesięciu lat - ciągnął dalej - i całą swoją edukację odebrali w Kalkucie od nauczyciela, który był tak stary i tak źle widział, że nie mógł za nimi nadążyć. Krótko mówiąc, nie wiedzą niemal nic i są wisusami z piekła rodem. To zajęcie nigdy nie zapewni ci spokoju, ale przynajmniej mnie da chwilę wytchnienia.

- Ale... ale to brzmi...

- Owszem, egoistycznie - przerwał. - Podobno wszyscy mężczyźni są egoistami.

- Lordzie Ruthveyn, uprzejmie proszę, żeby mi pan nie przerywał - rzekła cierpko.

- Sama widzisz. - Tym razem uniósł obie brwi. - Od razu próbujesz poskromić mój brak manier.

- Och, to dla mnie żaden problem - rzekła surowym głosem. - A teraz pan odpowie na moje pytania.

- Bardzo proszę. - Cofnął się nieco od niej.

- Robi pan to dla Rance'a Welhama, nie z żadnego innego powodu?

Rutłweyn zawahał się przez moment.

- Tak, dla Rance'a - powiedział. - Jeśli zaś chodzi o mnie, to rzadko bywam w domu. Mam parę pokoi przy St. James.

- W siedzibie Towarzystwa Świętego Jakuba.

Jej wzrok ponownie przykuła dziwna, a jednocześnie niepokojąco znajoma spinka do krawata.

Dostrzegła, że pośrodku znajdował się maleńki, złoty krzyż.

- Grace, moja służba i moja rodzina są mi bezgranicznie oddani. W ich otoczeniu będziesz całkowicie bezpieczna - zapewnił.

- Nigdy nie czułam się zagrożona. A już z pewnością nie przez pana, nie w ten sposób. Natomiast jeśli chodzi o Napiera, to człowiek niewinny nie powinien się niczego obawiać. A ja jestem niewinna - stwierdziła Grace.

- Jest ogromna różnica pomiędzy „nie powinien” a „nie musi” - odparł spokojnie. - Grace, czy wierzysz, że zapewnię ci bezpieczeństwo?

Zastanowiła się przez chwilę.

- Wyobrażam sobie, że niewielu ludzi chciałoby panu wejść w drogę. Tak, ufam panu - powiedziała.

- A czy mi wierzysz, że może ci grozić niebezpieczeństwo? A przynajmniej ryzyko, że zostaniesz kozłem ofiarnym? I że twoje dobre imię może doznać uszczerbku? - ciągnął dalej.

- Wierzę, że pan jest o tym przekonany - przyznała.

- A ty nie możesz tu zostać. Sama to powiedziałaś niespełna pół godziny temu - kontynuował Ruthveyn.

Grace pojęła, że oferował jej drogę wyjścia. Nie tylko ucieczkę od ciotki Abigail, ale także ochronę. Przeraziła ją myśl o tym, że mogłaby jej potrzebować. Ale pan Holding nie żył i ktoś go zamordował.

- Może i nie mogę. - Głęboko wciągnęła powietrze do płuc i zastanowiła się. Przy nim będzie bezpieczna. Była tego pewna. Będą też dzieci, dzieci, które jej potrzebują. - Chyba musiałam oszaleć... ale ciekawa jestem, czy te wisusy z piekła rodem noszą jakieś imiona?

- Kiedy wychodziłem wczoraj wieczorem po kolacji, jeden nazywał się Thor, Młot Północy, a drugi Krwawy Eryk - odparł z powagą na twarzy. - Mój ulubiony stół do bilardu stał się łodzią wikingów, a oni z zapalem wiosłowali moimi zrobionymi na zamówienie kijami bilardowymi w kierunku Litwy.

- Doskonale - powiedziała Grace. - Przynajmniej mają jakieś pojęcie o historii Skandynawii i o geografii północnej Europy, że już nie wspomnę o tym, iż właściwie

oceniają wartościowe przedmioty z drewna. A naprawdę jak się nazywają?

- Tom ma sześć lat, a Teddy osiem - odpowiedział Rutłweyn. - Są synami mojej siostry Anishy. Jest wdową.

- Anisha? Niecodzienne imię - przerwała Grace.

- To prawda. - Rutłweyn zawahał się przez chwilę. - Wychowaliśmy się w Indiach. Może o tym nie wspominałem.

- Oboje?

- Właściwie jesteśmy Hindusami, z rodu Rajputów, ze strony matki. Może to nie jest takie oczywiste. Grace omiotła go wzrokiem.

- Nigdy bym nie pomyślała.

- Czy to ma dla ciebie znaczenie? Niepewnie zamrugła.

- Dobry Boże, w jakim sensie? - zapytała w zamyśleniu.

Cyniczny uśmiech wykrzywił mu usta.

- Powiedziałaś, mademoiselle Gauthier, że matka popełniła mezalians - przypomniał jej. - Często myślę, że podobnie było z moją matką.

Grace wybuchnęła śmiechem.

- Zaczyna mi się wydawać, że z każdą chwilą coraz bardziej pana lubię, lordzie Rutłweyn. Być może, wbrew wszystkiemu, będziemy się świetnie dogadywać.

- Spakuj więc swoje rzeczy. Jej uśmiech zniknął.

- Co? Teraz?

- A dlaczego nie teraz? - zapytał. - Co się może zmienić? Jeśli chodzi o ciotkę, to zaproponowałem ci pracę. Zostaw jej liścik. Wieczorem moi służący wrócą tu po twoje walizki.

- Taki pośpiech nie jest chyba konieczny. Ponownie wzruszył ramionami i oparł się o ramę okienną.

- Grace, idziesz czy nie? - mruknął.

Spojrzała za niego i zobaczyła, że zmierzch i cienie, o których mówił Ruthveyn, szybko się przybliżają. Lord też się przyglądał. I czekał. Wkrótce zapadnie ciemność. Ale czegoż się tak naprawdę bać?

Najprawdopodobniej tylko siebie i własnej głupoty.

Tak czy inaczej, przyjmie propozycję. Zamieszka z lordem Rutłweynem. Zaufa jego obietnicom i jego sile. Modliła się tylko, żeby ta decyzja okazała się słuszna.

I żeby była podjęta z właściwych powodów.

Rozdział 7

Mała sprzeczka rodzinna

Adrianie, jak mogłeś!

Rutlweyn wiedział, że kiedy siostra używała imienia nadanego mu przy chrzcie, była zła.

Tego wieczora lady Anisha miała na sobie złocistą suknię z prostym dekoltem obszytym satynową riuszką o barwie masła. Szeroki, rozkloszowany dół był zebrany z obu boków i przewiązany wstążeczkami ułożonymi w kształt różyczek. Całość niezwykle podkreślała jej ciepłą karnację w kolorze kości słoniowej. Ale teraz jasna twarz Anishy przybrała barwę przegotowanego łososia.

- Anisho, kochanie, usiądź.

Rutlweyn zza biurka obserwował siostrę krążącą po dywanie.

- Powiedz mi tylko, co o niej sądzisz. Czy masz jakieś istotne zastrzeżenia, jeśli nie liczyć mojej niezręczności w załatwianiu sprawy?

Anisha zamarła. Oczy jej błyszczały.

- Skąd mam wiedzieć, jakie mogę mieć zastrzeżenia? Dopiero co poznałam tę kobietę! - odparła.

Właśnie w takich chwilach Rutlweyn uświadamia! sobie, jak bardzo są do siebie podobni.

-1 to przy kolacji, kiedy rzuciłeś mi ją na kolana z serwetką niby świeżo wykrochmalony *fait accompli!* - ciągnęła Anisha. - Naprawdę, Adrianie, postawiłeś mnie

i twoją mademoiselle Gauthier w bardzo niezręcznej sy-

tuacji. Ona też zdawała sobie z tego sprawę. Nie zauważyłeś?

- Anisho, jeśli pozwolisz...

- Nie, nie pozwolę. - Odwróciła się gwałtownie i znów zaczęła nerwowo krążyć po pokoju. - To są moje dzieci, Adrianie. Jak możesz uważać, że wiesz, czego im potrzeba? Przecież od naszego przyjazdu nie spędziłeś z żadnym z nich nawet godziny!

Te słowa wzburzyły Rutłweyna.

- Och, nie żałuj sobie, Anisho! Wbij mi ten miecz! - Zerwał się z krzesła i podszedł do kredensu. - Masz ochotę na brandy? Daję słowo, że potrzebuję kieliszka trunku.

- Nie, nie chcę brandy! - Anisha ruszyła za nim przez pokój. - Chcę szacunku! Czy to nie ty powtarzasz, że powinnam żądać szacunku? Ze powinnam podejmować samodzielne decyzje?

Rutłweyn westchnął i wyciągnął z karafki korek, który zapiszczał przenikliwie. Miał trzydzieści trzy lata i był o sześć lat starszy od Anishy, ale siostra nadal potrafiła go rozwścieczyć jak kiedyś, gdy byli dziećmi. Nalał brandy, ale od razu odsunął ją od siebie z niesmakiem i oparł dłonie na mahoniowym blacie. W jego aktualnym nastroju alkohol byłby jak paliwo ciśnięte w rozpalony ogień piekła, zrodzonego ze złości, żądzy i świadomości, że siostra może mieć rację.

Powoli wciągnął powietrze głęboko do płuc, po czym wypuścił je w jednym wydechu. Powtórzył to. Potem jeszcze raz. I jeszcze, dopóki krew nie przestała mu dudnić w skroniach.

Czuł, że siostra znajduje się tuż obok.

- Anisho, wiesz przecież, że zależy mi na tych chłopcach - wyrzucił w końcu z siebie, ze wzrokiem wbitym w mrok ogrodu za domem. - Oddałbym za nich życie. Ale nie mogę... nie umiem tak łatwo odgrywać roli czulego wujka. Na miłość boską, ledwo mogę patrzeć im w oczy.

- Tak długo trzymałeś się z dala od ludzi, Adrianie, że już nie wiesz, na czym polega bliskość - szepnęła jego siostra. - Boisz się, że to, co zobaczysz, będzie cię prześladować. Ale oni są dziećmi. Nie rozumieją tego.

- Tak, Anisho, oni są dziećmi. I dlatego chcę, żeby byli zdrowi i radosni, czekający na to, co przyniesie im życie. A ty tego nie chcesz?

- Nawet gdybym miała dar jasnowidzenia, nie mogłabym zobaczyć moich dzieci - rzekła spokojnie. - Wiesz o tym. Ponadto zaś, Raju, chłopcy nigdy nie będą druidami ani Strażnikami. Na pewno nie spotkał ich ten pech. Urodzili się pod złymi gwiazdami i nie mają ani krztyny Daru. Oni są jak... jak Luc. Dzięki Bogu.

- Nie jestem pewien, czy należy być zadowolonym, że są jak Luc, moja droga - powiedział znużonym, bardziej ugodowym tonem. - Ale w tej drugiej kwestii masz rację. Powinienem inaczej to załatwić. Powinienem cię zapytać w sprawie zatrudnienia guwernantki. Ja tylko..

- Tylko co? - W jej głosie pojawiło się współczucie.

- Chciałem, żeby była tutaj - wykrztusił w końcu.

- I bałem się, że tak po prostu nie będzie chciała się do nas przenieść, więc szukałem jakiegoś pretekstu i pomyślałem o chłopcach. Ona uwielbia dzieci. To słyhać w jej głosie.

Anisha uniosła delikatnie zarysowane brwi.

- Ale dlaczego tutaj, Raju? Kim ona jest dla ciebie? Jego usta wykrzywił gorzki uśmiech.

- Nie tym, o kim myślisz. Prawda wygląda tak, że jest przyjaciółką Lazonby'ego, która wpadła w tarapaty. La-zonby poprosił mnie, żebym zapewnił jej bezpieczeństwo

- odpowiedział.

- Zapewnił jej bezpieczeństwo? - powtórzyła Anisha, dotykając dłonią jego ramienia. - Kim więc ona jest dla niego? Kochanką?

- Tylko przyjaciółką, Anisho. - Wyprostował się i upił łyk brandy. - Córką jego dawnego dowódcy. Ale nie po-

zwól sobie na zaangażowanie emocjonalne wobec La-zonby'ego. Obiecuj mi. On nie jest dla ciebie. Anisha zacisnęła usta.

- A ty oczywiście wiesz najlepiej?

- W tej sprawie tak. - Ruthveyn złapał ją za ramiona.

- Uwierz mi, Nish, wiodłem z tym człowiekiem hulaszcze życie, zaliczając każdy burdel i każdą palarnię opium od Casablanki po Edynburg. Znam jego podłe upodobania i zwyczaje, a mimo to nadal kocham go jak brata. Lecz ty go nie chcesz. Zresztą nawet gdybyś go pragnęła, zakazałbym ci tego. Opuściła długie, czarne rzęsy.

- Nie możesz mi zabronić - rzekła cicho. - Ale masz słuszość. Muszę myśleć o chłopcach. Nie chcę ponownie wyjść za mąż, nigdy. Może samotność jest lepszym rozwiązaniem.

- Ja cię tylko ostrzegam przed Lazonbym. A co sądzisz o Bessetcie czy Curranie? To przystojni młodzi ludzie i... no, ale to nie moja sprawa, prawda? - Uścisnął uspokajająco jej ramiona, po czym ją puścił.

- Posłuchaj, nie złość się z powodu mademoiselle Gauthier. Rano powiem jej, że już wcześniej załatwiłaś opiekę dla chłopców. Wymyślę inny pretekst, żeby ją tu zatrzymać, przynajmniej dopóki sytuacja się nie wyjaśni.

Anisha odchrząknęła.

- To może być bardzo niezręczne.

- Wiem - odpowiedział. - Jednak nie pozostaje nic innego. Nie mogę jej zabrać do jednej z naszych szkockich posiadłości. Napier pomyślałby, że uciekła.

Na delikatnej twarzy Anishy pojawiło się zaniepokojenie.

- O co chodzi, Raju? - zapytała, dotykając go lekko.

- Co zobaczyłeś? Jakie niebezpieczeństwo wisi nad nią?

- Nie... - Tu przerwał i w bezradnym geście podniósł do góry ręce. - Nie wiem, Anisho. Nic nie wyczuwam. Nic nie widzę. I to jest właśnie istota moich dylematów.

- Ach tak, twoi niepoznawalni! A więc ona jest jedną z nich. - Jej twarz złagodniała.

Rutłweyn ponownie oparł dłonie na blacie kredensu i spuścił głowę.

- Tak, ona jest jedną z nich - powiedział cicho.

- Jesteś pewien?

Obrócił głowę, żeby na nią spojrzeć.

- Na tyle, na ile mogę być pewny, bez skompromitowania dziewczyny. I proszę, już więcej tego nie sugeruj.

Anisha zaczerwieniła się lekko.

- Ale ona jest taka śliczna z tymi swoimi jasnymi włosami i owalną buzią. Ach, Raju, może ja też zanadto się pospieszyłam. Co mówiłeś o jej kwalifikacjach? - zapytała.

Wziął brandy i poprowadził Aniszę w stronę wytartych, skórzanych foteli stojących przy kominku.

- Była guwernantką u właściciela stoczni o nazwisku Holding, który mieszkał w Belgravii. Dwie dziewczynki, mniej więcej w wieku Toma i Teddy'ego - rzekł ze znużeniem.

- Coś mi to przypomina. - Anisha, która zajęła się układaniem sukni, poderwała głowę. - Czekał, czy to nie ten, którego zamordowano?

- Tak, to ten.

Rutłweyn usiadł i wypił resztę brandy. Czuł palenie trunku przepływającego przez przełyk. Musiał się jeszcze napić. Do diabła, potrzebował czegoś więcej niż alkohol.

- I teraz boisz się, że ten szaleniec przyjdzie, żeby ją zabić?

- Nie przyjdzie, dopóki dziewczyna będzie pod moją opieką - obiecał. - Bardziej prawdopodobne wydaje mi się to, że Napier spróbuje ją aresztować.

- Napier! - prychnęła Anisha, prostując się w fotelu. - Czy nie dość już zrujnował ludziom życia? Oskarżył Rance'a! Wsadził do więzienia niewinnego człowieka!

- To był ojciec Napiera - sprostował Ruthveyn.

- Oczywiście nie chcę przez to powiedzieć, że po śmierci starego Napiera jego syn nie wyrządził żadnego zła.

Anisha zaplotła dłonie na podołku. Sprawiała wrażenie lekko zawstydzonej.

- We wszystkim jestem zbyt pochopna - powiedziała.

- Miałam dziś nie najlepszy dzień, Raju, i nie jestem w dobrym nastroju. Skoro mademoiselle Gauthier jest przyjaciółką Rance'a i ma doświadczenie w pracy z dziećmi...

Ruthveyn przez chwilę badawczo przyglądał się siostrze.

- Na czym polegał zły dzień, Anisho? Czy twoje poirytowanie wiąże się z czymś innym niż sprawa Grace? - zapytał spokojnie.

- Hmm, więc dla ciebie to już jest Grace - powiedziała, nie patrząc na niego.

- Moja droga, co się stało?

Ruthveyn instynktownie pochylił się, żeby pochwycić jej spojrzenie, ale nie na wiele się to zdało.

Druidzi rzadko potrafili czytać w sobie nawzajem, a Anisha, bez względu na to, czy się do tego przyznawała, czy też nie, była jedną z nich. Dorastanie w jej towarzystwie było być może zbawienne dla Ruthveyna, bo nauczyło go odczytywać i rozumieć ludzi tak, jak robili to zwykli śmiertelnicy. A teraz widział smutną i nieszczęśliwą minę siostry.

- Czy Luc znowu jest w tarapatach? Naprawdę powinnaś przestać się tym przejmować.

Opuściła wzrok na turecki dywan i potrząsnęła głową.

- Nie, chodzi o to, że dostałam kolejny liścik od doktora von Althausena - przyznała. - Ten człowiek będzie mnie tak długo prześladował, dopóki nie ucieknę przed nim do Kalkuty.

Posłał jej zachęcający uśmiech.

- Anisho, może rozważysz... Oczy jej rozbłysły.

- Ale ja nie jestem Strażnikiem, Raju.

- Nie, bo jesteś kobietą - zgodził się. - Strażnicy istnieją dla takich ludzi jak ty.

- Nie potrzebuję twojej ochrony - odparowała. - Ani Rance'a czy Currana! I nie chcę spędzić choćby minuty w tej jego starej piwnicy, porażana prądem. Przecież ja nawet nie mam Daru. Kieruję się mądrością astrologii. Ciężko pracowałam, żeby doszlifować umiejętności. Nie pomniejszaj ich.

Ruthveyn wziął do ręki pusty kieliszek i zaczął go obracać tak, aby odbijało się od niego światło ognia z kominka.

- Uważasz więc, że jedynie patrzysz w gwiazdy i czytasz z ręki, tak? - mruknął, obserwując, jak rżnięty kryształ rozbłyskuje światłem. - Jesteś bardzo podobna do Lazonby'ego, Nish. Zawsze próbujesz zaprzeczać oczywistości. Von Althausen może się od ciebie sporo nauczyć i pomóc ci dalej szlifować zdolności.

- Nikt nie będzie mi w tym pomagał! - odparła z ogniem, unosząc się z fotela. - Chcę tylko studiować gwiazdy, Raju. One nie są przedmiotem interpretacji.

- W rzeczywistości są, tylko nie wydają ci się takie, moja droga - odpowiedział.

- Ale ty nie chcesz współpracować z von Althausenem - zarzuciła mu. - Dlaczego ja mam to robić?

Ruthveyn powoli wypuścił powietrze z płuc. Miała absolutną rację. Owszem, Ruthveyn był oddany Strażnikom i ich wielkim celom. Ale w przeciwieństwie do wielu innych, nie chciał wzmacniać czy choćby rozumieć swoich zdolności. Chciał je utracić i gotów byłby dosłownie oddać duszę diabłu, żeby to osiągnąć.

Lecz nie mógł. Jego dusza została sprzedana już dawniej, bowiem wizje dręczyły go, od kiedy tylko pamiętał. Jako dziecko uważany był za dziwaka. Za wybryk natury. Nikt, poza matką, nie mógł go trzymać czy chociażby spoglądać mu dłużej prosto w oczy. Dopóki nie pojawiła

się Anisha. Nawet jego ojciec, w którego żyłach krążyła moc Daru, uważał go za odmieńca. Istniał powód, dla którego matka Ruthveyna wyszła za mąż dopiero w wieku trzydziestu lat, o czym za późno przekonał się jego ojciec. Pochodziła z rodu Rishika i obdarzona była taką mocą, że bali jej się nawet członkowie własnego klanu. Jej bogata rodzina uznała za doskonałe posunięcie wydanie ślicznej księżniczki za utytułowanego Anglika i polityczne związanie się z Anglią. Lecz ten związek zaowocował potężną mieszaniną krwi, której rezultatem był Ruthveyn, dziwaczne, zamknięte w sobie, nieokazujące uczuć dziecko.

Ukrycie prawdziwej natury za fasadą formalności i dystansu wymagało od Ruthveyna zaangażowania całej siły woli i całej odwagi. Jedynie w Hindustanie, w kraju, gdzie królowała formalność i dystans, mógł skutecznie funkcjonować w roli dyplomaty. Ale bezwzględność ojca i wdzięk matki okazały się korzystną mieszanką. Przeżył.

A teraz chciał nakłonić siostrę, żeby uczyniła to, czego sam nie chciał zrobić?

Ruthveyn z brzękiem odstawił kieliszek.

- W porządku, Anisho, powiem von Althausenowi, że nie przyjdiesz. I poproszę,¹ żeby cię więcej nie namawiał - rzekł.

- *Dhanyavaad*, Raju.

Jej ręce, wyraźnie rozluźnione, spoczęły na poręczach fotela.

Obrzucił ją taksującym spojrzeniem.

- A ty pomyślisz o tym, żeby dać szansę Grace? - zapytał. - Mam nadzieję, że przynajmniej spróbujesz się z nią zaprzyjaźnić. Jeśli nie dla mnie, to może dla naszego drogiego druha Rance'a?

Jej oczy rozbłysły na moment, ale Anisha szybko złagodniała.

- Dobrze, bracie - stwierdziła. - Jak zwykle wiesz, jakich słów użyć, żeby ubić interes. Jednak najpierw coś dla mnie zrobisz.

Nie podobało mu się brzmiące w jej głosie zdecydowanie.

- Mów.

Mocniej zagłębiła się w fotelu.

- Opowiesz mi wszystko, wszystko, co podejrzewasz i co widziałeś, a co ma związek z uwikłaniem mademoiselle Gauthier w sprawę tego morderstwa - powiedziała.

- Do tego - odparł spokojnie, ujmując pusty kieliszek - będę potrzebował więcej brandy.

* * *

Grace zamieszkała w ogromnym domu lorda Ruthveyna w Mayfair z poczuciem pewnego skrepowania. Sam dom był urządzony ze spokojną elegancją, bez ostentacji, do której Grace przyzwyczała się w Belgravii, ze śladami wpływów wschodnich przy wyborze tkanin i przedmiotów artystycznych, nadających wnętrzu przyjazny charakter.

Dwaj chłopcy, Teddy i Tom, okazali się piekielnymi psotnikami, ale po trzech dniach spędzonych z nimi w pokoju do nauki Grace nie była całkowicie zrozpaczona. Mali nicponie okazali się inteligentni, niemal za bardzo, i chętni do nauki, dopóki uczenie się było działaniem twórczym i dopóki mogli dać upust swojej małpiej energii.

Dzieci przywiozły z Indii ogromną, wrzeszczącą papugę o imieniu Milo, która uczepiła się Silk i Satin, zarozumiałych kotek Ruthveyna, okazujących pogardę niemal wszystkim. Grace musiała się wiele napracować, żeby to trio miało zakaz wstępu do pokoju do nauki.

Braki w formalnym wykształceniu chłopcy rekompensowali w dziedzinie fizyki doświadczalnej i chemii. Przykładem były proce, które pozwalały na stłuczenie

szklanki z odległości pięćdziesięciu kroków, czy świadczący o wyobraźni eksperyment z klejem domowej roboty, wskutek którego skarpetki przykleiły się Teddy'emu do butów. Trzeciego dnia pobytu w domu Ru-thveya Grace przyłapała ich pod stolikiem do kawy w pokoju do nauki, potrzęsających małym słoikiem pełnym czegoś mętnego i groźnie syczącego. Okazało się, że była to tylko soda i ocet winny, co dało pretekst do krótkiego wykładu o reakcjach egzotermicznych, po którym nastąpiła lekcja o odpowiednim czyszczeniu zaplamionych dywanów. Chłopcy zakończyli ją na czworakach, czyszcząc dywan.

Grace nie bardzo wiedziała, co myśleć o siostrze lorda Rutłweyna. Lady Anisha Stafford była spokojną, egzotyczną piękną o bystrych, czarnych oczach swojego brata i tej samej co on skłonności do zagładania ludziom w głąb duszy. Chociaż Anisha miała kremowobiałą cerę, rysy jej twarzy były znacznie bardziej egzotyczne niż Rutłweyna. A może wrażenie obcości potęgowała jej skłonność do snucia się po prywatnych pokojach, omotanej w jaskrawy, bogato haftowany jedwab, z jednym końcem przerzuconym przez ramię. Pewnego dnia Grace zauważyła Anishę ubraną w luźne pantalone. Wyglądała jak prawdziwa księżniczka, przeniesiona wprost z haremu jakiegoś indyjskiego mogola.

Jednak przez większość czasu lady Anisha była idealną angielską panią domu. Traktowała Grace jak gościa. Grace otrzymała sypialnię dwukrotnie większą od jej dawnego pokoju. Ściany obito wzorzystym jedwabiem w żywych odcieniach złota i zieleni, a zielone, aksamitne zasłony przetykane były złotą nicią. Do sypialni przylegał cud współczesności: łazienka z żeliwną wanną, połączoną z kafłowym piecem, po rozpaleniu w którym z kranu płynęła gorąca woda. Grace nigdy wcześniej nie widziała nic podobnego.

Zaproszono ją także do spożywania kolacji z całą rodziną, z wyjątkiem lorda Rutłweyna, który uczestniczył w wieczornym posiłku jedynie pierwszego dnia. Natomiast do kolacji zawsze zasiadał brat Rutłweyna, anielsko przystojny młody łajdak, którego istnienie nieco zaskoczyło Grace. Podobnie jak jego ręka na jej kolanie pewnego wieczora podczas jedzenia ryb. Ale Grace nauczyła się w czasie spędzonym w wojskowych obozach, że widelec do ryby może być świetnym narzędziem obrony. Lord Lucan Forsythe zniósł ten cios jak mężczyzna -jedno krótkie stęknięcie, a potem cisza. Grace ucieszył fakt, że rana nawet nie zaczęła ropieć.

Była absolutnie pewna, że jest to koniec jej kłopotów z lordem Lucanem. Młodzieniec był łatwy do odczytania i przewidywalny w swoim postępowaniu. Grace postanowiła się z nim zaprzyjaźnić, co udało się bez trudu.

Kiedy kilka dni później wyruszyła na poszukiwanie zawieruszonego gdzieś podręcznika gramatyki Teddy'ego, w oświetlonej słońcem oranżerii natknęła się na zajętą szyciem lady Anishę. Chłopcy, jak co dnia o czwartej po południu, wybrali się ze swoim wujkiem na spacer.

- *Puk!* - Papuga Milo zeskoczyła ze swojej żerdzi. - *A angielski jeniec! Wypuście mnie!*

Na ten odgłos lady Anisha oderwała wzrok od robótki i uśmiechnęła się lekko.

- Cicho, Milo - powiedziała. - Dzień dobry, mademoiselle Gauthier. Czy Luc zabrał chłopców do parku?

- Tak, *madam*. - Grace podniosła się spod palmy, pod którą ostatnio chował się Teddy. - Muszę przyznać, że jest bardzo solidny. Niewielu atrakcyjnych młodych mężczyzn miałyby czas dla swoich siostrzeńców.

Uśmiech Anishy zniknął.

- Och, proszę mi wierzyć, że mocno zachęcałam Luca, aby znalazł na to czas.

- *Pomocy-pomocy-pomocy!* - zachrypiał Milo. - *Angielski jeniec! Wypuście mnie!*

Anisha ze znużonym uśmiechem odłożyła na bok robótkę i wstała.

- No dobrze, ty tyranie - powiedziała, kierując się w stronę wiklinowej klatki.

- Mademoiselle Gauthier, czy przyłączy się pani do mnie? Właśnie posłałam po herbatę.

- Oczywiście. Bardzo dziękuję.

Z głośnym krzykiem ptak podleciał i przysiadł na oparciu krzesła Anishy. Nieco skrepowana Grace przeszła po kamiennej posadzce i usiadła na krześle wskazanym jej przez lady Anishę. Żałowała, że czuje się tak niezręcznie w towarzystwie siostry Ruthveyna. Wielokrotnie już przekonała się, że łatwo jest jej rozszyfrować mężczyzn, chociażby Ruthweyna i jego brata - wiedziała od razu, komu ufać. Kobiety były znacznie trudniejsze do przeniknięcia. I nie chodziło o to, że nie ufała lady Anishy. Po prostu nie była pewna, czy jest przez nią mile widziana.

- Milo jest piękny. I żyje w zgodzie z kotami - zauważyła.

- *Angielski jeniec!* - wrzasnął Milo, który naprawdę wyglądał wspaniale, ze swoim jasnozielonym upierzeniem i potężnym amarantowym dziobem.

- *Pomocy! Pomocy! Pomocy!*

Przebierając łapkami, przemieścił się za Anishą i zaczął dziobać jej zwieszające się kolczyki.

- Silk i Satin były dość zde gustowane, gdy się zjawiliśmy - przyznała Anisha. - Oczywiście mój brat traktuje je jak rozpieszczone księżniczki. Milo szybko nauczył się nisko im kłaniać.

Jednak uwagę Grace przyciągnęło coś innego.

- Ojej, co pani wyszywa? Czy to jest jedwab? -Tak.

Anisha położyła materiał na stoliczku do herbaty i rozprostowała zagniecenia na granatowej tkaninie.

- To będzie prezent dla Adriana na Boże Narodzenie. - Widząc jej zdumione spojrzenie, Anisha się roześmiała. - Dla mojego brata - wyjaśniła. - Nie podał pani swojego imienia?

Grace zastanowiła się.

- Nie wiem - przyznała. - Mógł to zrobić. Kiedy spotkałam go po raz pierwszy w Towarzystwie Świętego Jakuba, byłam... byłam bardzo poruszona. Opowiadał pani o tym?

Anisha pokręciła głową.

- Nie, ale przedstawił mi pani sytuację. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu - powiedziała.

- *Mais non*, przecież zajmuję się pani dziećmi! Musi pani wszystko o mnie wiedzieć. - Grace z roztargnieniem dotknęła haftu. - Ależ to wszystko jest ręczna robota! To zachwycające, lady Anisho. Anisha znów się roześmiała. Grace pomyślała, że jej śmiech przypomina dźwięk srebrzystych dzwoneczków, zabarwiony delikatną nutą obcego akcentu.

- Mój haft jest dziwaczną mieszaniną tradycji Wschodu i Zachodu - wyznała Anisha. - Kobiety z klanu Rajputów dumne są ze swoich haftów, zwłaszcza z wyszywania wzorów metaliczną nitką. Niestety, moja robótka wygląda jakby zrobiło ją dziecko w szkole.

- Och, nie, nikt nie pomyliłby tego z robótką dziecka.

- *Śliczne, śliczne* - odezwał się Milo, łypiąc jednym pomarańczowym okiem. - *Ślicznie, ślicznie*.

Milo miał słuszość. Srebrną nicią lady Anisha wyszyła na granatowym jedwabiu coś, co wyglądało jak rozgwieżdżone nocą niebo, chociaż Grace potrafiła zidentyfikować jedynie dwie grupy gwiazd.

Były wykonane z ogromną precyzją, a otaczał je ozdobny szlak z wyszytym werselem.

- To są gwiazdne konstelacje, prawda? To musi być nocne niebo - powiedziała Grace.
- Tak, takie jak w nocy w dniu urodzin Adriana.
- Bardzo ładny pomysł - mruknęła Grace. - Kiedy się urodził?
- Dziewiętnastego kwietnia, tuż po północy. W Anglii jego znak zodiaku to Baran.
- Mam słabe pojęcie o astrologii - rzekła Grace. Lady Anisha wzruszyła ramionami.
- No cóż, i tak większość uważa, że to głupstwa. Grace uważniej przyjrzała się tekstowi. To był wiersz wyszyty delikatną, metalową nicią. Lekko dotykając haftu palcem, śledziła napis:
*Mój duch opiekuńczy dobrze wie,
Ze nie przepowiadamy wydarzeń źle,
Wszak jesteśmy braćmi różanego krzyża,
Mamy masońskie słowo i dary wróża.
To, co ma się wydarzyć, wieszczymy bezbłędnie.*
- Co to jest dokładnie? - zapytała Grace.
- Fragment wiersza Adamsona - odpowiedziała Anisha.
- Tak, *Muzy żałobne* - mruknęła Grace. - Próbowałam to kiedyś przeczytać, ale nie dałam rady. Dzięki Bogu nie musiała pani haftować całego wiersza. Anisha ponownie się roześmiała.
- To zabrałoby mi chyba całe życie. Grace przechyliła głowę, żeby lepiej przyjrzeć się haftowi.
- Co to znaczy? Anisha spoważniała.
- To rodzaj ody do przyjaciela, który odszedł. - Zawahała się przez moment. - Podobno to byli różokrzyżowcy... O, proszę zobaczyć, tu jest krzew różany. Zna pani ten symbol?

- Byli tajnym stowarzyszeniem mistycznym, prawda? A może nadal są?- rzekła Grace w zamyśleniu. Lady Anisha posłała jej dziwne spojrzenie.

- Wydaje mi się, że stowarzyszenie się rozpadło, podobnie jak wiele innych.

- Jacy ludzie należeli do różokrzyżowców? Anisha uniosła jedno delikatne ramię.

- Sądzę, że ludzie nauki, a przynajmniej tego, co w ich czasach uchodziło za naukę - wyjaśniła. - Alchemia, astrologia, filozofia. Studiowali także mity Greków i druidów, mogli mieć też jakieś związki z masonerią.

- Druidów? - Grace nadal patrzyła na wyhaftowany tekst. - Czyż oni nie składali ofiar z ludzi?

Lady Anisha wzięła do ręki robótkę.

- Och, otóż i Begley z tacą! Begley, postaw ją tutaj, a potem bądź tak miły i przynieś nam drugą filiżankę - powiedziała.

- Ja przyniosę - Grace wykonała ruch, jakby miała się podnieść.

- Nie - Anisha powstrzymała ją ruchem ręki. - Proszę zostać. Chciałabym porozmawiać. Proszę mi powiedzieć, jak sobie radzą moje dzieci. Czy są bardzo krnąbrne?

Grace przedstawiła opinię, że chłopcy są bystrzy, ale nie poddają się dyscyplinie. A potem opowiedziała o zdarzeniu z sodą.

Anisha zacisnęła usta.

- Łobuzy! Nie odziedziczyli tego po mnie. Podobnie jak Adrian byłem grzecznym, dobrze ułożonym dzieckiem.

Przypomniało to Grace o pytaniu, które chciała zadać. Lord Rutłweyn bowiem sprowadził ją do tego domu w takim pośpiechu, że nie zdążyła się niczego dowiedzieć o przeszłości chłopców. Jednak zawahała się. Tymczasem przyniesiono drugą filiżankę i Grace przyglądała się, jak Anisha nalewa herbatę.

- Czy to indyjska herbata? - zapytała.

Anisha odstawiła czajniczek.

- To zwykła chińska ze sklepu przy Oxford Street - powiedziała. - W niektórych rejonach Indii zaczęto uprawiać herbatę na eksport, ale rzadko się ją tam pija. Czasami jest parzona mocna z dodatkiem przypraw, które nazywamy *chai masala*, ale po jej wypiciu nie można spać przez tydzień. Nawiasem mówiąc, czy poznała pani doktora von Althausena?

- Nie - odpowiedziała, przyjmując od Anishy filiżankę.

- Jest pewnego rodzaju uczonym w Towarzystwie Świętego Jakuba. Szalonym uczonym, jak w tej przerażającej powieści - wzdrygnęła się Anisha.

- Czym właściwie jest Towarzystwo Świętego Jakuba? Wiem, że nie do końca jest to zwykły klub dla dżentelmenów.

- Ach, szczerze mówiąc, to przede wszystkim grupa awanturników i kupców - uśmiechnęła się łagodnie Anisha. - Mężczyźni, których charakteryzuje naturalna ciekawość świata, jak w przypadku von Althausena i herbaty.

- Herbaty?

- Był przyjacielem mojego ojca - ciągnęła dalej Anisha. - A teraz wspólnie z moim bratem wyhodowali hybry... jak się mówi?

- Hybrydę? - zgadła Grace.

- O właśnie. Von Althausen pojechał do Indii i wyhodował dla Adriana specjalne gatunki herbaty do uprawy. Ale nic więcej o tym nie wiem. Lucan twierdzi, że te herbaty uczynią nas bogatymi, to znaczy jeszcze bogatszymi. No, ale ponoć w Anglii nigdy nie mówi się o pieniądzach.

Grace uśmiechnęła się lekko.

- Chyba że ktoś naprawdę ma pieniądze, o których opowiada. W innym przypadku wszyscy będą udawać, że to bardzo wulgarne - powiedziała.

Lady Anisha znów roześmiała się serdecznie i nagle jakby runęła oddzielająca je ściana.

- Adrian wspomniał, że jest pani pół-Angielką, ale mówi pani jak prawdziwa Szkotka. Wielu ludzi pracujących w Kompanii pochodzi ze Szkocji, podobnie jak mój ojciec - rzekła.

Grace była zdziwiona.

- Za słabo znam język, żeby wyczuć różnicę - przyznała. - Ale w drzewie genealogicznym miałam jakiegoś szkockiego przodka i to, co dziwne, po francuskiej stronie rodziny.

- Niewiele wiem o Francji. Czy jest tam ładnie? - zapytała Anisha.

Grace uśmiechnęła się.

- Sama niewiele widziałam we Francji. Wychowałam się w Afryce Północnej. Mój ojciec był żołnierzem.

Anisha przeniosła wzrok na czajniczek, który chwiał się na jej kolanach.

- To tak, jak mój mąż. Grace skorzystała z okazji.

- Lady Anisho, czy mogę zapytać, jak długo Tom i Teddy wychowują się bez ojca?

Anisha westchnęła i podniosła wzrok.

- Przez całe życie.

- Bardzo przepraszam, chyba musiałam źle zrozumieć - rzekła cicho Grace.

- Och, nie jestem wdową długo. Po prostu mój mąż nigdy nie był w domu - wyjaśniła Anisha. - John był kapitanem Bengalskiej Artylerii Konnej. Został zabity w bitwie pod Sobraon.

- Przeciwno Sikhom w Pendżabie? To była kontrowersyjna wojna, prawda? - mruknęła Grace.

Lady Anisha wzruszyła ramionami.

- Nie dla Kompanii Wschodnioindyjskiej.

- Bardzo pani współczuję, lady Anisho. Jestem pewna, że to ciężkie przeżycie także dla dzieci - powiedziała Grace.

Anisha uśmiechnęła się blado.

- Są trochę nieokiełznani - przyznała - ale wierzę, że nie tak źli, jak uważa Raju.
- Raju?
- Tak, jeszcze jedno imię! - roześmiała się lady Ani-sha. - Adrian to jego imię od chrztu. Ale w młodości nazywaliśmy go pieszczotliwie Raju.
- Raju - powtórzyła Grace, usiłując naśladować lady Anishę. - Co to znaczy?
- Mniej więcej rozpieszczony mały książę - znów zaśmiała się Anisha.
- A był taki?

Kobieta przewróciła oczami.

- O tak! Moja mama była zwariowana na jego punkcie.
- A pani rodzice... czy to był związek z miłości?
- Grace natychmiast poczuła, że się czerwieni. - Przepraszam. Proszę o wybaczenie. Nie powinnam zadawać takich pytań.
- Wszystko w porządku - odpowiedziała Anisha.
- Nie, to było małżeństwo ze względów politycznych. Mój dziadek istotnie był księciem, albo kimś takim, w Rajputanie. Ale dziś na takie mieszane małżeństwa patrzy się krzywo, zresztą są niepotrzebne, bo teraz w Indiach mieszka dużo Angielek.
- Mam jednak nadzieję, że to był szczęśliwy związek
- cicho rzuciła Grace.

Lady Anisha ponownie wzruszyła ramionami.

- Nie sądzę, żeby to było małżeństwo, jakie którekolwiek z nich wybrałoby dobrowolnie. Ale moja matka była wielkiej urody, a mój ojciec był bardzo bogaty. Podejrzewam, że mogli gorzej trafić. Natomiast drugie małżeństwo mojego taty z matką Lucana, Pamelą, tak, to było małżeństwo z miłości. Rozmawiały długo, głównie o dzieciństwie lady Ani-shy w Indiach. Nawet jeśli bolało ją niewygodne porównanie pomiędzy własną matką i macochą, nie dawała tego po sobie poznać. Przez cały czas zachowywała się

z wdziękiem i elegancją, jakiej mogłaby się od niej uczyć niejedna szlachetnie urodzona Angielka. Grace świadoma była jednak, że życie Anishy w Londynie nie było usłane różami. Stare plotkary z londyńskich elit towarzyskich, takie jak ciotka Abigail, tylko zmuszone siłą uznałyby lady Aniszę Stafford za „jedną z nich”.

Grace umiała jej współczuć. Sama przybyła do Anglii z zamiarem rozpoczęcia nowego życia i zapomnienia o żałobie. Lecz zamiast tego została uwikłana w następną tragedię, która jeszcze się nie zakończyła i, jeśli wierzyć Ruthveynowi, była niebezpieczna. Co gorsza, budziła się w niej obawa, że zaczyna się zakochiwać w swoim wybawcy, a to było niedopuszczalne.

Tak, czasami rozpaczliwie pragnęła uciec z Anglii.

Najwyraźniej Milo rozumiał jej uczucia.

- *Pomocy, pomocy!* - zaskrzeczał. - *Wypuście mnie, wypuście mnie!*

Rozdział 8

Obciążające dowody

Lord Ruthveyn, z cygarem w ręku, zszedł po słabo oświetlonych naściennymi lichtarzami schodach do piwnicy. Tę trasę wielokrotnie w ciągu dnia pokonywali członkowie Towarzystwa i służba, bowiem właśnie w tych ciemnych, przypominających lochy pomieszczeniach Belkadi składował skrzynki najlepszych europejskich win, a doktor von Althausen miał swoje laboratorium.

Dalej wzdłuż kamiennego korytarza ciągnął się szereg pokoi, używanych z rzadka, głównie z okazji różnych uroczystości albo modlitwy czy medytacji. Ruthveyn otworzył pierwsze drzwi po prawej stronie korytarza, prowadzące do dużego pomieszczenia oświetlanego światłem wpadającym przez wysokie, zakratowane okna, znajdujące się poniżej balustrady tarasu na parterze.

Siedzący przy stole lord Bessett opuszczał podwinięty rękaw koszuli. Miał zmęczoną twarz i cienie pod oczami. Obok niego von Althausen, trzymając jedno ze swoich srebrzystych narzędzi, pochylał się nad generatorem elektrycznym i coś w nim ustawiał.

- Udało się? - zapytał Ruthveyn, siadając na jednym z pustych krzeseł.

Lord Bessett skrzywił się i pokręcił głową.

- Nie jestem w tym dobry - powiedział, rzucając smutne spojrzenie w stronę doktora. - Po dwóch tygodniach nadal nie udało się wywołać elektrycznością żadnych wizji.

- Cierpliwości, cierpliwości przyjacielu. - Von Althausen oderwał wzrok od swojego urzędnika i zrobił kwaśną minę na widok cygara Ruthveyna.
- Ruthveyn, chcesz nas wysadzić? Nie wszyscy z nas mają skłonności samobójcze - prychnął.
- Co? Ledwo się tli. - Ruthveyn uniósł rękę, w której trzymał cygaro.
- To jest laboratorium, *um Gottes willen!* Odłóż to! - warknął doktor. Bessett skierował zamglone spojrzenie na Ruthveyna.
- Uwielbiam, kiedy ci wymyśla. Nikt inny by się na to nie odważył. Ruthveyn uniósł jedną brew i zgasił cygaro.
- Wymyśla? To ty, przyjacielu, wyglądasz, jakby ciebie zwymyślał wcześniej - rzekł łagodnie. Bessett zapiął mankiet i wstał, żeby założyć surdut.
- To była ciężka noc. Sam wiesz, jak to jest, stary.
- Mózg! Mózg! - mruknął von Althausen, przykrywając swoją maszynę materiałem. - Wszystko tkwi w mózgu! To nic innego, tylko elektryczność. To musi być to. Dowiódł tego Galvani.
- Ale Bessett nie jest nieżywą żabą - spokojnie zauważył Ruthveyn. - Nie możesz uczyć jego mózgu, jak ma się kontrolować, jeśli...
- Czy ja ci mówię, jak masz wykonywać swoją pracę, Ruthveyn? Czy mówię? - Von Althausen odwrócił się i wbił wzrok w Ruthveyna.
- Nie mam żadnej pracy - odparł markiz wesoło.
- Jesteś Strażnikiem - prychnął doktor i pochylił się, żeby się czemuś przyjrzeć. - I jednym z druidów. To są poważne obowiązki...
- Owszem, ale to nie jest praca. O ile sobie przypominasz, jestem emerytowanym dyplomata - przerwał mu Ruthveyn.
- Wedle mojej wiedzy jesteś emerytowanym szpiegiem - zripostował Bessett, z powrotem opadając

na krzesło. - Ale oczywiście królowa ma prawo nazywać cię, jak jej się podoba. Dieter, czy masz tu jakąś butelkę? - zwrócił się do doktora.

- Naturalnie. W szafce. - Głos doktora dobiegł spod stołu, gdzie stały skrzynki z narzędziami.

Była dopiero czwarta po południu, ale Ruthveyn zlitował się nad przyjacielem.

- Siedź, bo jeszcze zemdlejesz. Przyniosę ci - powiedział.

Wstał i zaczął przeszukiwać szafki, aż znalazł zakurzoną butelkę armaniaku i trzy prawie czyste szklaneczki. Służba miała zakaz wchodzenia do laboratorium i sprzątania, bowiem pomieszczenie wypełnione było różnymi niebezpiecznymi i osobistymi sprzętami, których rola nawet Ruthveynowi nie była do końca znana.

Znajdowała się tu wszelkiego rodzaju aparatura optyczna: mikroskopy, soczewki, w kącie na drewnianej ramie stał jeden z tych nowo wynalezionych aparatów fotograficznych. Był też cały asortyment szklanych butelek i zlewek, wszystkie wykonane ręcznie według szczegółowego opisu von Althausena, a także cyrkle, inne przyrządy pomiarowe i stosy opasłych, oprawionych w skórę tomiszczy dotyczących nauk, od astrologii po zoologię, które zostały wyjęte z półek w głównej bibliotece i zniesione do gabinetu doktora, aby już nigdy nie wrócić na wyższe kondygnacje.

Ruthveyn omiół to wszystko spojrzeniem, powrócił do zniszczonego drewnianego stołu i, nalewając trunku, kątem oka obserwował swojego młodszego przyjaciela. Geoff był lordem Bessettem od niedawna i tytuł ciążył mu jak kamień. Ruthveyn wiedział, że wynikało to z wielu skomplikowanych powodów, ale przede wszystkim z tego, że Geoff nigdy się nie spodziewał, iż odziedziczy tytuł i majątek.

W przeciwieństwie do Ruthveyna, który dorastał ze świadomością, że tytuł i majątek ojca przejdą na niego,

Geoff nigdy tego nie oczekiwał. Nigdy, dopóki jego znacznie starszy brat nie zmarł nagle. Do i tak trudnego życia Geoffa doszedł głęboki żal po stracie. Młody człowiek zdobył znane nazwisko i fortunę jeszcze przed otrzymaniem spadku, jako partner w należącej do jego ojczyma firmie MacGregor&Company. Poza licznymi zdolnościami metafizycznymi Geoff nosił w sobie talenty artystyczne i był piekielnie uzdolnionym architektem.

Ruthveyn skończył rozlewać, gdy von Althausen w końcu usiadł na jednym z krzeseł.

- Wypijmy toast za Fraternitas Aureae Crucis - powiedział Ruthveyn, z śmiechem wznosząc szklaneczkę.

-*Auf uns!* - odpowiedział doktor.

Przez jakiś czas pili w zgodnej ciszy. Ruthveyn niepostrzeżenie obserwował cienie pod oczami Geoffa. Choć sporadycznie się kłócili, młody człowiek był mu bardzo bliski. Mimo że z kręgów bractwa wiedział wcześniej o istnieniu Geoffa, spotkali się przypadkiem w Afryce Północnej, gdzie młody architekt nadzorował budowę siedziby rządu francuskiej kolonii.

Trochę później Ruthveyn i Lazonby natknęli się na Geoffa w dużo gorszym stanie, w przedpokoju marokańskiego burdelu, gdzie został oskubany z pieniędzy przez parę podejrzanie wyglądających Francuzów.

W gruncie rzeczy przypominało to pierwsze spotkanie Ruthveyna z Lazonbym, chociaż wówczas obaj nie tylko mieli zmętniały wzrok. Spoczywali nadzy na obitych czerwonym jedwabiem kanapach. Na podłodze pomiędzy nimi stała fajka wodna z czterema węzami, do której niemal się przykleiły dwie ochocze ślicznotki. Cała czwórka odpoczywała jak w letargu, syta po czymś, do czego pasowało tylko jedno określenie: orgia. I wtedy, pod koniec owego wieczoru, spojrzął jak przez mgłę na swojego nowego partnera w rozpuście w chwili, gdy sierżant przekreślił się, szukając swojej koszuli.

I był tam.

Niewątpliwy znak na jego ciele. Znak Strażnika. Jego rozmyślania przerwał głos Geoffa.

- Poproszono nas o przyjęcie akolity. Z Toskanii - rzucił, nie adresując słów do nikogo.

Ruthveyn oderwał wzrok od trunku i zmarszczył czoło.

- W jakich okolicznościach?

- Chłopak został przyprowadzony przez jednego z Adwokatów, signora Vittorio, któremu lekarze powiedzieli, że umiera - wyjaśnił.

Ruthveyn spojrzął na von Althausena.

- Lekarze zawsze tak mówią, natomiast rzadko jest to prawda - zauważył.

- To rak - rzucił Geoff - a w Toskanii jest bardzo niepewnie.

- Krążą pogłoski o wojnie z Austrią i o odsunięciu od władzy wielkiego księcia Leopolda - powiedział von Althausen.

- Dokładnie. Vittorio uznał, że najlepiej będzie, jeśli chłopiec zostanie tutaj - rzekł Geoff.

- Czy chłopak ma Dar? Czy tym się trapi Vittorio? Geoff się skrzywił.

- Jest taka możliwość i dlatego Vittorio martwi się, że chłopiec może zostać wykorzystany w złej sprawie. Rozumiem jednak, że nie jest potężnym druidem.

Ruthveynowi nie podobał się ten pomysł. Wiedział, że niezwykle często bardzo młodzi ludzie, tacy jak Lazonby za młodu, nie byli w pełni gotowi do zaangażowania się w sprawy Bractwa. Albo byli rozdarci i źli, jak on sam. Niewielu przychodziło tutaj jak Geoff, który wychował się pod opieką babki, potężnej szkockiej wróżki czytającej przyszłość w szklanej kuli, i był pogodzony z przeznaczeniem. Życie Strażnika wymagało niemal całkowitego poświęcenia, prawie jak życie zakonne, i prawdziwej akceptacji swojego losu. Ruthveyn był przekonany, że lepiej w ogóle nie wiązać się z Bractwem, niż być zaangażowanym połowicznie.

Von Althausen i Geoff nadal wpatrywali się w niego.

- Musimy mieć większość głosów - odezwał się Geoff spokojnie. - Mam trzy, wliczając w to głos Aleksandra. Lazonby i Manders są nieobecni. Czy skorzystasz z prawa weta?

Ruthveyn zastanowił się. W czasie całego życia Założyciel miał prawo do dwunastu głosów sprzeciwu. Tak ustalili, zakładając Towarzystwo Świętego Jakuba. Mieli szczęście, bo udało im się zwerbować do pomocy kilku uczonych, wykształconych ludzi, takich jak von Althausen, oraz paru kapłanów, jak wielebny Sutherland. Ale głosowanie i związana z nim odpowiedzialność spoczywały na Założycielach.

- Czy chłopiec został poddany inicjacji? Czy nosi znak? - zapytał.

- Nie umiem powiedzieć. Jednak za parę miesięcy może tu przyjechać z właściwymi dokumentami od Vittoria - odpowiedział Geoff.

- To się nie spodoba Belkadiemu. Nie lubi Włochów - ostrzegł Ruthveyn.

- Belkadi nie lubi połowy ludzkości, z tobą włącznie. A poza tym nie jest Założycielem - obojętnie stwierdził Geoff.

- A Włosi nie znoszą Londynu, bo jest tu zimno, mokro i w ogóle paskudnie. Czy ktoś rozmawiał z chłopcem? - ciągnął dalej Ruthveyn.

Von Althausen chrząknął.

- Kto ci narobił dziś do śniadania, Ruthveyn? - mruknął. - Postąpiłbyś rozważnie, przyjmując go. Kto wie, kiedy któryś z was będzie potrzebny gdzie indziej? Już teraz Lazonby ugrzązł w Szkocji, a Manders roznieca swoje polityczne ognie.

Doktor miał rację. A Vittorio był uczciwym człowiekiem, który służył Bractwu, jeszcze zanim Ruthveyn przyszedł na świat. Lord uświadomił sobie, że jego za-

chowanie ma związek nie z akolitą, tylko z własnym dziwnym, ponurym nastrojem.

- Jaka jest jego data urodzenia? - zapytał.

- Czternasty kwietnia - odpowiedział Geoff. Ruthveyn odsunął pustą szklaneczkę.

- Dobrze, ale pošlijcie wiadomość Lazonby'emu - rzekł.

- Uważaj sprawę za załatwioną - Geoff osuszył swoją szklaneczkę i wykonał ruch, jakby chciał wstać.

W ostatniej chwili Ruthveyn złapał go za ramię.

- Mam dziś paskudny humor. Niewątpliwie należy mi się złożenie skóry.

Geoff uśmiechnął się blado.

- Cóż, gdyby nie fakt, że od wieków nie spałem dłużej niż trzy godziny, wyzwiałbym cię na pojedynek, ty głupi ośle.

Mękę bezsenności dzielił z Geoffem. Nie z Lazon-bym, który spał jak niemowlę, a po wypiciu alkoholu chrapał jak monstrualna lokomotywa. Ruthveyn gestem głowy wskazał sufit.

- Na górze mam lekarstwo na bezsenność. Twarz Geoffa była jakby pozbawiona wyrazu.

- Obawiam się, że musiałem ten zwyczaj pozostawić w Maroku, przyjacielu.

Ruthveyn wzruszył ramionami.

- To nie opium.

- Opium. Haszysz. To wszystko niszczy mózg, Ruthveyn.

- Być może - spokojnie odparł Ruthveyn - ale człowiek musi jakoś przeżyć.

Von Althausen odstawił swoją brandy.

- Powtarzam ci, chłopcze, że są to związki chemiczne, które wpływają na rozum - powiedział, rzucając Ruthveynowi ostrzegawcze spojrzenie. - Powinny być używane wyłącznie od święta, i to tylko wówczas, gdy będą służyć wydobyciu informacji, a nie ich stłumieniu, a to w twoim przypadku nigdy nie miało miejsca. Dobrze ci radzę, rzuć to.

- Tak, a potem mam się zalać w trupa jak polowa dżentelmenów w Londynie? - Rutłweyn zerwał się z krzesła. - Nie widzę wielkiej różnicy.

- Rób, jak chcesz. Ale często lepiej jest zmierzyć się samemu ze swoimi demonami - odparł doktor.

- Powiedział człowiek, który nigdy nic nie brał - skomentował Rutłweyn.

Jednak prawdę mówiąc, zaczynał się obawiać, że przyjaciele mogą mieć rację. Po raz pierwszy od długiego czasu zaczął się zastanawiać, czy niepokój, który odczuwał, nie był czymś więcej niż tylko bezsennością i wizjami.

Wszystko się jeszcze pogłębiło, gdy Anisha i Luc zjawili się z chłopcami. Choć trudno było to wyjaśnić, czuł się bardziej samotny niż kiedykolwiek, gdy jego dom był pełen ludzi, na których mu zależało. Może działało się tak dlatego, że czuł się zmuszony trzymać ich na dystans. Potrzeba wznoszenia emocjonalnej szklanej ściany, oddzielającej go od tych, których kochał, stała się już jego drugą naturą.

A teraz jeszcze mademoiselle Gauthier mieszkała w jego domu. Piękna, elegancka Grace, która sprawiała, że miał ochotę stłuc tę szklaną przegrodę. Grace, która budziła w nim opiekuńcze instynkty i która nic mu nie dała z siebie - częściowo dlatego, że nigdy się nie nauczył prosić. A po części dlatego, że nie śmiał.

Z początku było dla niego wyzwaniem oddzielenie czystej żądzy od fascynacji. Z wyjątkiem kobiet druidów, nigdy nie spotkał takiej, której nie potrafiłby w końcu odczytać, choć musiał przyznać, że niektóre były trudniejsze do rozszyfrowania niż inne. Było też parę takich jak Angela Timmonds czy Melanie, jego żona, które siłą woli potrafił odizolować. Dopóki nie pojawiło się głębokie, prawdziwe uczucie, może nawet miłość,

W młodości Rutłweyn tego nie rozumiał. Zbyt późno pojął okropną prawdę, że im bardziej człowiekowi na czymś zależy, tym szerzej otwierają się drzwi do Ha-

desu, że razem z obiektem swojego pożądanego stają się niczym para luster zawieszonych naprzeciwko siebie, które umożliwiają zagłębienie coraz głębiej i głębiej, w nieskończoność.

Och, niewątpliwie nie ożenił się z Melanie z miłości. W wieku dwudziestu trzech lat był jeszcze nieopierzony, zbyt pochłonięty walką z własnymi demonami. A Melanie była śliczna, z tymi miękkimi lokami w kolorze miodu i ogromnymi, błękitnymi oczami, a jej delikatna kobiecość poruszała go. Co gorsza, pozycja jej ojca, który był jednym z najbardziej wpływowych ludzi w Kompanii Wschodnioindyjskiej, skłoniła jego ojca do ubicia interesu, zanim jeszcze Rutłweyn doszedł do wniosku, że istotnie chce zawarcia tego związku.

Z początku cieszyła go łatwość, z jaką mógł ją odizolować od siebie - dopóki nie zrozumiał, zbyt późno, że właściwie było dokładnie odwrotnie. Minęło wiele tygodni, zanim pochłonięty pracą, uświadomił sobie, że Melanie zamknęła się przed nim emocjonalnie, wybierając milczące cierpienie i tęsknotę za młodym kapitanem, którego ojciec nie pozwolił jej poślubić. Nie czekała na dotyk Ruthveyna, ledwie go tolerowała.

Ale byli już po ślubie. A kapitan wcale nie tęsknił za Melanie. W niewielkim kręgu towarzyskim w Kalkucie udało mu się znaleźć pocieszenie z inną posażną piękną.

Ożenił się z siostrą Rutłweyna.

Ruthveyn nie przestawał płynąć w tonącej łódce swojego małżeństwa, widząc jeszcze nadzieję, której już nie było. Melanie, z różowymi, wydętymi ustami i błyszczącymi oczami, wzbudzała w nim współczucie, dopóki jak ostatni głupiec nie zaczął pragnąć, żeby się w niej zakochać.

Zanim się ożenił, Rutłweyn był bardzo rozchwytywany. Samotne żony pracowników Kompanii i oficerów najwidoczniej doceniły urok jego egzotycznych, ciemnych oczu. Na dodatek Dar, nawet jeśli stłumiony, dodawał

mu niezwyklej, niemal hipnotycznej energii. Przy niewielkim wysiłku potrafił wprawić kobiety w stan dziwnego, seksualnego letargu, którego nawet dzisiaj jeszcze nie rozumiał.

Ruthveyn wcześniej się nauczył, że jeśli starannie będzie wybierał sobie partnerki, nie będzie się do nich przywiązywał i zablokuje umysł, wówczas jego ciało znajdzie ukojenie, zanim mózg mu eksploduje. Później dowiedział się, że haszysz, a potem opium, są w stanie w niepojęty sposób uspokoić jego umysł, nie tłumiąc wściekłego pożądania seksualnego, które zdawało się wiecznie w nim palić.

Jednak im bardziej Melanie dystansowała się od niego, tym bardziej chciał ją zobaczyć.

I pewnego wieczoru zasłona się uniosła. Leżąc na niej w łóżku w bezkسیężycową noc, przy zgaszonym świetle, na co zawsze nalegała, Ruthveyn spojrzał na żonę, czując coś na kształt budzącej się miłości, i jego umysł rozżarzył się niczym błyskawica na ciemnym niebie. W jednej potwornej, porażającej chwili zobaczył to. Zobaczył nie tylko jej zniweczone marzenia, ale także to, co się z nimi stanie.

Zbyt późno oderwał się od jej ciała. O wiele za późno.

- Ruthveyn?

Do rzeczywistości przywołało go głośne pukanie do drzwi. Ruthveyn rozejrzał się dookoła i stwierdził, że Geoff już poszedł, a von Althausen spogląda na niego zza stołu.

- Odpowiedz, na litość boską - jęknął.

Ruthveyn podszedł do drzwi i je otworzył. W korytarzu stał Belkadi, odziany w nieskalanie czarne ubranie, jakby włożył je przed chwilą, i śnieżnobiałą koszulę.

- Na górze jest chłopak z dość zwięzłą notką ze Scotland Yardu - powiedział cichym głosem.

- Diabli nadali! Co znowu? - zaklął Ruthveyn.

- Komisarz Napier jest w drodze tutaj i prosi o chwilę twojego czasu. - Tu majordomus zawahał się. - Przeku-

piłem chłopaka. Mówi, że chodzi o tę Francuzkę, która mieszka u ciebie. O córkę Gauthiera. Ruthveyn zaklął jeszcze gwałtowniej. Napier był ostatnią osobą, której potrzebował w tym stanie ducha, w jakim się znajdował. I oczywiście nikomu w klubie nie powiedział o tym, że Grace przeniosła się do jego domu. Ale człowiek o zdolnościach Belkadiego nie potrzebował Daru, żeby wiedzieć o dwóch trzecich spraw dziejących się w Londynie. W końcu był jakiś powód, poza czystym uczuciem, dla którego Lazonby sprowadził go do Bractwa. Belkadi był wcieleniem Machiavellego. Ruthveyn zacisnął dłoń na klamce; Przez głowę przebiegały mu tysiące myśli. Ogarnęła go instynktowna chęć ochrony Grace.

- Gdzie był Napier w ubiegłym tygodniu?

- Czuwał przy łożu umierającego bogatego wuja w Birmingham - odpowiedział Belkadi.

- Ha, to zawsze wyciąga krewnych z różnych kątów. Ruthveyn ruchem głowy wskazał na kamienne schody.

- Niech ktoś go zaprowadzi do gabinetu. Będę tam na niego czekał.

Na górze w klubie panowała cisza. Mijając bibliotekę genealogiczną, Ruthveyn dostrzegł pana Sutherlanda, jednego z kapłanów, pochylającego się nad czymś, co wyglądało jak opasła Biblia, bez wątpienia pożyczona, Bóg jeden wie, pod jakim pretekstem, od jakiejś niczego nie-podejrzewającej rodziny. Sutherland wierzył, że Bóg wybaczy mu te drobne kłamstwa.

Przed palarnią się zawahał. Wewnątrz lord Curran Alexander siedział przy oknie z laską przewieszoną przez oparcie fotela. Alexander, jeden z ulubionych protegowanych Ruthveyna, był kolejną ofiarą wojny. W jego przypadku chodziło o tragiczne wycofanie się Anglików z Kabulu.

Ruthveyn także tam był, woził przesyłki dyplomatyczne i usiłował wybadać, skąd wieje wiatr, jeśli chodzi

o Akbara Khana. Nie musiał długo czekać. W dzień po przybyciu Ruthveyna afgański książę albo jego słudzy wbili nóż, i to całkiem dosłownie, w serce brytyjskiej Armii Indusu. Nawet największy głupiec mógł przewidzieć, co się stanie. Ruthveyn widział to ze wszystkimi przerażającymi szczegółami.

Niestety, takie wizje nigdy nie ujawniały konkretnej daty. Ruthveyn, nieprzytomny z rozpaczy, uzupełnił prowiant i skierował się na wschód, w nadciągającą afgańską zimę, żeby dotrzeć do Jalalabadu z ostatnim błaganiem

O pomoc. Towarzyszył mu jedynie mały oddział żołnierzy

1 Alexander. Jednak obaj wiedzieli, że jadą na próżno.

W końcu okazało się to największym niepowodzeniem Ruthveyna w całym paśmie nieszczęść.

Dotarli na miejsce pięć dni przed wycofaniem się Anglików przez przełęcz Jagdalak. Nie było żadnej nadziei.

Jednak oni z Alexandrem przeżyli, czego nie można powiedzieć o ludziach, którzy przebywali tę drogę później. Szesnaście tysięcy Anglików, w większości kobiet i dzieci, zamarzło po drodze albo zostało zabitych.

Zastanowiło go, dlaczego teraz o tym pomyślał. Miało to coś wspólnego z Grace, ale nie potrafił dokładnie powiedzieć co. Zsunął rękę z futryny drzwi i ruszył dalej. Miał złe przeczucia związane z Roydenem Napierem. Złożenie wizyty w Towarzystwie Świętego Jakuba było bardzo do niego niepodobne.

Dzień był wyjątkowo pogodny, więc w bibliotece pomimo chłodu otwarto oba okna. Ruthveyn chciał je zamknąć, ale się rozmyślił. Po co dbać o komfort Napiera. Im szybciej się stąd wyniesie, tym lepiej. Nalał więc sobie kolejną szklaneczkę brandy i podszedł do otwartego okna, żeby przyjrzeć się wejściu do zgubnego piekła Quartermaine'a. Obok drzwi stał Pinkie Ringgold, śmiejąc się wraz z Maggie Sloane, jedną z ambitnych londyńskich dziewcząt, od czasu do czasu sypiającą z Nedem Quartermaine'em.

Ale nawet najciekawszy widok za oknem nie był w stanie na dłużej przykuć jego uwagi. Przysiadł na parapecie i rozejrzał się. Chociaż ten prywatny gabinet, jeden z sześciu pokoi przeznaczonych do studiów i czytania, był ulubionym pomieszczeniem Ruthveyna w siedzibie Towarzystwa, to od czasu spotkania z Grace Gauthier nawet tu nie zajrzał.

Może unikał tego pokoju celowo. To miejsce zawsze będzie mu się z nią kojarzyło. Nawet teraz, gdy zamknął oczy, czuł w pomieszczeniu jej zapach. Dokładnie pamiętał, jak wyglądała tamtego dnia, siedząc na sofie naprzeciwko okna, z rękoma elegancko złożonymi na kolanach, i to pomimo paniki w oczach i smutku, który dostrzegał na jej twarzy.

Nie wiedział, co o niej myśleć. Czyjej wierzyć, czy też, kiedy padła zemdlna w jego ramiona, po prostu ją pocałować.

Jedno tylko wiedział. Wiedział, że nie kochała Holdinga. Wiedział, bo ją o to dość bezlitośnie spytał. Już wtedy był nią zafascynowany.

Potrzebował całej siły woli, żeby w ciągu paru minionych dni trzymać się od niej z daleka, żeby ufać, iż jego dobrze wyszkolona służba dba o jej bezpieczeństwo. Ograniczył się do przesiania jej jednej czy dwóch notek, żeby przekazać, jak mało się dowiedział, i nadal wiódł pustelnicze życie w swoim apartamencie na górze. Chociaż, precyzyjnie rzecz ujmując, nikt nigdy nie oskarżył go o bycie mnichem.

Nagle drzwi otworzyły się i do środka wszedł jeden z lokajów, poprzedzając Roydena Napiera.

Służący bez słowa uklonił się Ruthveynowi i wyszedł, pozostawiając komisarza stojącego na tureckim dywanie.

Ruthveyn uniósł szklaneczkę.

- Dzień dobry, Napier. Przyłączysz się do mnie? - rzucił swobodnie.

Napier obrócił głowę w stronę okna.

- Ruthveyn, ty łajdaku, przestań udawać, że to jest towarzyska wizyta - warknął.
- Z całym szacunkiem, Napier, ale nie potrafię sobie wyobrazić sytuacji, w której moglibyśmy być w tym samym towarzystwie. Niemniej, może zechcesz się napić - odpowiedział lord, odchodząc od okna.

Obaj wiedzieli, że był to subtelny przytyk. Ruthveyn nic sobie nie robił z całych tych arystokratycznych pretensji, ale wcześniej się nauczył, że mieszanina jego znaczącego tytułu i wielu pokoleń arystokratycznych przodków budzi niechęć u wielu Anglików. Nie wahał się z tego skorzystać.

- Idź do diabła, Ruthveyn - prychnął Napier, krocząc po dywanie. - Tym razem posunąłeś się za daleko.

- Doprawdy? - uśmiechnął się Ruthveyn. - Bez względu na to, co takiego zrobiłem, wolałbym być rugany na siedząco. Jeśli chcesz, możesz do mnie dołączyć. Albo nie.

Co powiedziawszy, minął Napiera, na tyle blisko, żeby podkreślić znaczenie swoich słów. I chociaż niezbyt mu wychodziło odczytywanie komisarza, wyczuwał, że temperatura w pokoju znacznie się podniosła.

Napier zacisnął pięści i podszedł za nim do stojących obok dwóch krzeseł.

- Nie jesteś dżentelmenem, tylko podłym manipulatorem, który wykorzystał Scotland Yard, który kłamał mi prosto w twarz i który kolejny raz próbuje oszukać kata...

Ruthveyn przerwał mu uniesieniem ręki.

- Zgadzam się na podłego manipulatora - powiedział, siadając - ale protestuję przeciwko tej części o kłamstwach. Co takiego skłamałem?

- Od samego początku kręciłeś w interesie tej Francuzki. Wiedziałem o tym od pierwszej chwili, a teraz...

- Ale co skłamałem? - ponownie przerwał mu Ruthveyn.

To powstrzymało na chwilę Napiera.

- Twierdziłeś... przyszedłeś do mojego biura i powiedziałaś...
- Ze ktoś z pracowników Holdinga przyszedł do mnie
- dokończył Ruthveyn.
- Sugerowałaś, że to ktoś ze służby! A nie narzeczona zabitego! - wrzasnął Napier.
- Dokładnie mówiąc, guwernantka należy do służby. Od wielu miesięcy pracowała dla Holdinga - stwierdził spokojnie Ruthveyn.
- Dobrze wiesz, że jest różnica! - zawołał Napier, a jego prawa powieka zaczęła niepokojąco drgać. - A teraz ukrywasz zbiega.

Ruthveyn uniósł brwi.

- Zbiega? To poważny zarzut, stary. Rozumiem, że masz nakaz aresztowania mademoiselle Gauthier - rzucił lekko.

Czerwona ze złości twarz Napiera przybrała jeszcze intensywniejszą barwę.

- Nie, ale mogę go mieć.

Ruthveyn w zamyśleniu popijał brandy.

- Tak sądzisz? No cóż, dlaczego więc go nie załatwisz?

- mruknął w końcu.

- Na Boga, dałbym sobie rękę uciąć, żeby się dowiedzieć, czym trzymasz w szachu rząd - zazgrzytał zębami Napier.

Prawda była taka, że niemal niczym. Ruthveyn cieszył się wdzięcznością królowej, która nigdy nie wiedziała, kiedy znów będzie potrzebować jego usług. I gotów był w każdej chwili, na wezwanie jej ministrów, wyruszyć i uczynić wszystko, dla każdego, jeśli tylko nie będzie to wymagało złamania ślubowania Strażników. W rzeczywistości bowiem, bez względu na to, jak źle się z tym czuł, nie wszystkie jego „dyplomatyczne misje” były całkowitą porażką, jak Jagdalak. Czasami, może nawet częściej niż czasami, robił coś skutecznie. Pomagał ratować życie i Anglików, i Hindusów, zapobiegał nieszczęściom.

Świadomość tego była mu pociechą podczas długich, mrocznych nocy.

Rutłweyn uśmiechnął się lekko.

- Ta wiedza byłaby ci zupełnie niepotrzebna, Napier, gdybyś potrafił udowodnić, że mademoiselle Gauthier jest morderczynią. Podałbym ci ją na srebrnym półmisku

- powiedział, wyciągając otwartą dłoń.

- Mam więc nadzieję, że masz większy półmisek

- warknął Napier, sięgając do kieszeni. Wyciągnął złożony papier ze złamaną pieczęcią z czerwonego wosku i rzucił go Ruthveynowi.

Rutłweyn ostrożnie wziął dokument do ręki, nie patrząc w oczy Napiera i uważając, żeby nawet nie musnąć ręki komisarza. Mimo to poczuł skurcz w żołądku.

Nie wyglądało to dobrze. Wiedział o tym, zanim jego wzrok spoczął na wyraźnym, pedantycznym piśmie. Wiedział, przeczuwał podobnie jak Lazonby, czuł w trzewiach, nie rozumiejąc jak ani dlaczego, bez żadnych wizji.

Rutłweyn przeczytał pismo raz i zerwał się na nogi. Podeszedł do okna, odwrócił się do światła i przeczytał je ponownie. Spojrzał na Napiera dopiero wówczas, gdy odzyskał panowanie nad sobą. Oczywiście Napier deptał mu po piętach. Rutłweyn skupił wzrok gdzieś w okolicy lewego ucha komisarza.

- Kiedy to zostało napisane?

- Na litość boską, przecież jest data! - Napier pokazał palcem. - Holding napisał to przekłete pismo na tydzień przed śmiercią. Najwyraźniej poszedł po rozum do głowy.

-1 gdzie to znaleźliście?

- Kiedy wróciłem, powiedziano mi, że jeden z moich ludzi znalazł list wsunięty pod fałszywe dno jej szkatułki na listy. Był ukryty celowo. Dlatego wcześniej go nie znaleźliśmy - wyjaśnił Napier.

- Nigdy tego nie widziała - Rutłweyn złożył kartkę i podał Napierowi.

- Co chcesz przez to powiedzieć? List był w jej rzeczach. - Napier patrzył na niego z niedowierzaniem.
 - Ktoś inny musiał go tam umieścić.
 - Oszalałeś, człowieku? - Napier wytrzeszczył oczy.
 - Holdinga nie było - Ruthveyn oddychał miarowo, tłumiąc narastające uczucie paniki. - Przed swoją śmiercią przez dwa tygodnie był w Liverpoolu. Macie sam list, bez koperty, bez adresu, bez znaczka. To jest zupełnie bezwartościowe, Napier. Ba, pachnie podstępem.
 - Uważasz policjantów za kompletnych idiotów? - Komisarz spojrział na niego spod łba. - Poza tym pytaliśmy o to jego współnika w interesach, Crane'a. Powiedział, że Holding pisał do niej codziennie w czasie swej nieobecności. Zawsze wysyłał listy osobiste razem z korespondencją firmy, dla oszczędności. Wszyscy tak robią.
 - Czy Crane przyznał, że widział ten właśnie list?
 - Nie, bo...
 - Tak właśnie myślałem.
 - ...bo codziennie rano kładł zapieczętowane listy na stoliku w holu i szedł dalej - warknął Napier. - Nie miał ani czasu, ani skłonności, żeby czytać te wszystkie bajdurzenia. Ta kobieta jest niebezpieczna i mściwa, Ruthveyn. Waham się jedynie, czy zostawić ją w twoim domu z nadzieją, że po jakimś czasie w końcu zadźga cię kuchennym nożem. Ruttweyn z odrętwieniem wpatrywał się w komisarza.
 - Nie aresztujesz jej - rzekł beznamiętnie. - Jeśli spróbujesz, sprawię, że stracisz pracę. Jeśli mi się to nie uda, stracisz życie...
 - Ty... nie masz prawa grozić urzędnikowi królewskiemu!
 - Właśnie to zrobiłem - rzeki Ruthveyn. - Nie aresztujesz jej. Zostawisz mi tę sprawę albo pożałujesz chwili, kiedy przyszedłeś na świat. Rozumiesz, Napier?
 - Idź do diabła!
- Napier ruszył do drzwi i je otworzył.

Ruthveyn wyszedł za nim z gabinetu.

- Znajdź St. Giles'a - rzucił ze złością w stronę przechodzącego lokaja. - I podstaw mój powóz.

Nie zważając na wyglądające z pokoi klubowych i odwracające się w ich stronę głowy, kłócili się, schodząc po schodach.

- Musisz ponownie zbadać ten przypadek, Napier. Coś musiało nam umknąć - powiedział ponuro Ruthweyn.

- Nam? - ryknął komisarz. - A, nawiasem mówiąc, Ruthveyn, czy wiesz, że ten twój wzór cnót jest uzbrojony w parę pistoletów?

To go zaskoczyło.

- To chyba nie jest niezgodne z prawem, prawda?

- Tak samo jak arszenik, ale niewinne kobiety nie trzymają puszek trucizny ukrytej pomiędzy bielizną. Komisarz zatrzymał się na chwilę, żeby odebrać od lokaja płaszcz, i wyszedł na zewnątrz.

- Napier, nie bądź głupi - ciągnął Ruthweyn. - Sam powiedziałaś, że Holding przez dwa tygodnie codziennie pisał do niej listy. Czy tak się zachowuje człowiek, który odzyska rozum?

Poryw wiatru sprawił, że drzwi za nimi zatrasnęły się z hukiem.

- A więc wydaje ci się, że wszystko jest dla ciebie jasne, tak? - Napier spojrział na niego, skrzywiony z niesmakiem. - Sądysz, że nie słyszałem o twoich wyjątkowych zdolnościach? Ze nie docierają do mnie plotki

O tym miejscu? Na Boga, jeśli tylko będę mógł, po zakończeniu tego śledztwa położę kres twoim działaniom

I całemu twojemu Towarzystwu Świętego Jakuba.

Ruthweyn pomyślał, że ludzie próbowali to zrobić przez czternaście wieków. Być może Fraternitas Aureae Crucis straciło wiele krwi, ale nie zostało złamane, i Napier nie będzie miał więcej szczęścia niż inni.

Chciał złapać Napiera za ramię, ale niechcący dotknął jego gołego nadgarstka.

- Do diabła, Napier, chciałem...

W głowę Rutłweyna bolesnym ostrzem wdarło się jasne światło. Wszelkie emocje Napiera eksplodowały ogniem - wściekłość, pogarda i nienawiść, kłębiące się w jego mózgu jak węże. Usiłował myśleć, skupić się. Próbował wmówić sobie, że to doświadczenie jest warte ogromnego cierpienia. Ale nic się nie stało. W przypadku Napiera rzadko udawało mu się coś zobaczyć.

- Do diabła, co się z tobą dzieje? - Głos komisarza docierał do niego z daleka.

Rutłweyn gwałtownie cofnął rękę i odetchnął głęboko, tłumiąc przyływ emocji. Jasność natychmiast przygasła.

- Na litość boską, Rutłweyn, masz źrenice jak półpen-sówki. Naprawdę wyglądasz prawie jak szalenciec - mruknął Napier.

- Na miły Bóg, posłuchaj mnie! Widziałem niebezpieczeństwo! A ty ignorujesz je na własne ryzyko. - Spojrzał Napierowi prosto w oczy.

Ten odwrócił wzrok i machnął ręką w stronę przejeżdżającej dorożki.

- Czy wiesz, że kiedyś takich ludzi jak ty palono na stosie? - powiedział, ale słyhać było drżenie w jego głosie. - Idź teraz i zrób przegląd sił swojego Bractwa. Będą ci bardzo potrzebne.

Rutłweyn, ciągle jeszcze rozwścieczony i chwiejący się na nogach, obserwował, jak Napier wsiada do powozu i odjeżdża. Gdy jednak dorożka przejechała, jego oczom ukazał się równie niemiły widok. Na chodniku naprzeciwko, pod klubem Quartermai-ne'a sterczał Jack Coldwater, mając obok siebie uśmiechniętego szeroko i dłubiącego w zębach Pinkiego.

- Och, te przekłete otwarte okna! - głośno zarżał Coldwater. - Wygląda na to, że znów się pozarliście. Rutłweyn ruszył przez St. James Place.

- Najwyższy czas, Coldwater, żebyś się nauczył szanować starszych i ważniejszych od siebie - zauważył ponuro.

Mężczyzna uskokczył w bok.

- No, no, za chwilę chyba znów stracisz swój osławiony spokój,. Rutłweyn. Coś z Lazonbym? Słyszałem, że wysłałeś go do Edynburga w jakichś podejrzanych interesach Towarzystwa - powiedział.

- Na czym polega twój problem, Coldwater? Czy Lazonby zgwałcił w więzieniu twoją matkę? - warknął Rutłweyn.

Na te słowa na obliczu młodego człowieka pojawił się wyraz niczym nieskrywanej nienawiści. Rzucił się do przodu z pięściami. W mgnieniu oka Rutłweyn drugi raz przygwoździł Coldwatera do ściany, tym razem solidnej, ceglanej, uważając, by nie spojrzeć mu w oczy.

- Uspokój się - wycedził przez zęby.

Pinkie upuścił wykałaczkę i wepchnął się pomiędzy nich.

- Musisz się stąd wynieść, Jack - odezwał się, opierając dłonie na piersiach obu mężczyzn. - Proszę go puścić, milordzie. Niech pan pomyśli, jak to wygląda.

Napomnienie, które padło z ust Pinkiego Ringgolda, było niezwykle upokarzające. Rutłweyn ustąpił.

- Pewnego dnia, Coldwater - tu przerwał, żeby mocniej ścisnąć kołnierz przy koszuli młodzieńca - pewnego dnia cię uduszę.

- Tylko wówczas, jeśli Lazonby nie dopadnie mnie pierwszy - odpowiedział reporter.

Pinkie mocno szturchnął Rutłweyna łokciem. Lord z przekleństwem na ustach puścił w końcu Coldwatera, który pognał ulicą w ślad za odjeżdżającą dorożką Napiera.

Rutłweyn odwrócił się i krótko skinął głową Pinkiemu.

- Chyba powinienem ci podziękować - wydusił. Pinkie splunął na chodnik tuż pod nogi Rutłweyna.

- Proszę mi nie dziękować - powiedział. - To istotnie wyjątkowo dokuczliwy łajdak, ale lubię go. W przeciwieństwie do niektórych, uważających się za kogoś lepszego, niż są w rzeczywistości.

Rutłweyn tylko się uśmiechnął.

- Obrażasz teraz moich przodków czy Belkadiego?

- Proszę sobie wybrać - odparł Pinkie, wszedł do klubu Quartermaine'a i zatrzaskał drzwi.

* * *

Kwadrans później powóz Rutłweyna zatrzymał się przed jego domem. Wsiadłszy, lord rzucił kilka poleceń Brogdenowi, po czym udał się do środka.

- Mademoiselle Gauthier? - zwrócił się szorstko do Higgenthorpe'a.

Majordomus wziął od niego kapelusz i laskę.

- W cieplarni, milordzie.

Rutłweyn przeszedł przez hol i dotarł do korytarza prowadzącego do przeszklonego pomieszczenia.

Anisha siedziała w swoim ulubionym rattanowym fotelu, z tyłu za nią przycupnęła papuga, a krzesło stojące obok zajmowała nowa guwernantka.

- *Angielski jeniec! Pomocy! Pomocy!* - zaskrzeczał ptak, prostując zielone skrzydła.

- Raju! Co za niespodzianka! - Anisha odłożyła robótkę i podbiegła do niego.

Grace podniosła się i dygnęła.

- Anisho, mademoiselle Gauthier. - Rutłweyn uklonił się sztywno.

Ale Anisha spoglądała na przedmiot, który wystawał mu spod pachy.

- Co tam masz, Raju? -A, to...

Niemal zapomniał o słoju z cytrynowymi dropsami.

- To dla Toma i Teddy'ego. Brzęczy mi w powozie od czasu naszej ostatniej rozmowy - powiedział, podając jej słoik.

Anisha szeroko otworzyła oczy.

- Kupiłeś cały słoik? Dla dwóch małych chłopców?

Z uczuciem pewnego zniecierpliwienia Rutłweyn postawił cukierki na stole. Do licha, przecież próbował.

- Czy dzieci nie lubią słodczy? Siostra uśmiechnęła się z rozczuleniem.

- Następnym razem poproś sprzedawcę, żeby ci dał małą torebkę dropsów - poradziła. - Teraz schowam słoik, a ty możesz go dać im później, pod warunkiem, że będę im wydzielała porcje. Oczywiście miała rację. Nic nie wiedział o dzieciach.

- Jak sobie życzysz - powiedział sztywno, po czym skierował uwagę na Grace. - Mademoiselle Gauthier, czy jeździ pani konno?

- *Moi?* - Poderwała głowę, a na jej twarzy pojawiła się panika. - Dlaczego... tak... tak, jeżdżę.

- Chciałbym, żeby wybrała się pani ze mną na przejażdżkę - powiedział.

- Z panem?

- Do parku - wyjaśnił krótko. - Czy kwadrans wystarczy pani, by się przebrać?

Odłożyła na bok czytaną książkę, wstała rzuciła niepewne spojrzenie na Anishę i ponownie dygnęła.

- Tak, milordzie. Piętnaście minut.

- Dziękuję - rzekł.

Odwrócił się i wyszedł, czując na plecach palące spojrzenie Anishy.

Grace sprawiła się nawet lepiej, niż zapowiedziała. Gdy dziesięć minut później zbiegł po schodach, ubrany w buty do kolan, bryczesy, z palcatem pod pachą, napotkał Grace odzianą w damski odpowiednik stroju do konnej jazdy, składający się z prostego, czarnego kostiumu i białej bluzki. Jej prześliczny kapelusik, ozdobiony trzema czarnymi piórami, był wiązany z boku na kokardę.

Pomimo kotłującej się w nim burzy Rutłweyn nadal był mężczyzną niepozabawionym zdolności docenienia kobiecego piękna, a Grace niewątpliwie stanowiła ucztę dla męskich oczu. Ponadto miała to odwieczne francuskie za-

miłowanie do eleganckiej prostoty, która mogła przyćmić najbardziej wymyślne kreacje z jedwabiu i satyny.

Zgodnie z poleceniem, Brogden kazał przyprowadzić ze stajni konia Ruthveyna i drobną gniadą klacz. Grace sprawiała wrażenie zupełnie swobodnej i z minimalną pomocą wskoczyła lekko na siodło.

Zakręciła, pochwyciła jego wzrok, i ruszyła u jego boku w stronę Hyde Parku.

Gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem słuchu chłopców stajennych, przysunęła się bliżej, patrząc na niego zmartwionym wzrokiem.

- Co się stało?

- Chcę z tobą porozmawiać z dala od domu - rzucił szorstko.

Po paru minutach dotarli do głównej alei parkowej, Rotten Row. Rutłweyn narzucił szybkie tempo i wkrótce znacznie wyprzedzili powozy i jeźdźców, którzy przyjechali tutaj wyłącznie po to, żeby się pokazać.

Kiedy przejechali przez most, ponownie ukradkiem zerknął na Grace i zobaczył, że dziewczyna ma mocno zaciśnięte usta i twarz białą jak mleko na tle połyskującej czerni wstążek od kapelusza.

Wyglądała, jakby na coś się przygotowywała. Ale na co? Na podsumowanie dnia? Na złe wiadomości? Po raz pierwszy w życiu rozpaczliwie pragnął umieć zobaczyć i odczytać myśli drugiego człowieka.

Ale czemu chciał poznać myśli Grace, skoro miał tylko zapytać ją o prawdę? Znał jej charakter.

Dokonał wyboru w chwili, gdy zdecydował się jej pomóc.

Lecz wobec listu przyniesionego przez Napiera analityczny mózg Rutłweyna nakazywał mu przynajmniej rozważyć możliwość, że pożądanie i wszechogarniająca go czułość, jakie żywił wobec Grace, mącą mu umysł. Czy było możliwe, że pomimo swoich talentów niczego się nie nauczy! w kwestii oceny ludzkich charakterów? Pierwszy raz od czasu swojego małżeństwa Rutłweyn nie był całkiem pewny.

Do diabła, źle znosił takie wątpliwości. Nie wierzył, że Grace jest zabójczynią, ale czy nie było możliwe, że coś ukrywała? A może część historii zachowała dla siebie? Rutłweyna niepokoiło nieco to, że tak rozpaczliwie chciał wiedzieć, że tak bardzo zaangażował się w Grace. Tak jak to powiedział Anishy, czuł się ślepy.

Na miłość boską, w jaki sposób zwykli ludzie wykuwają relacje pomiędzy sobą? Jak zwykły mężczyzna wierzy kobiecie do tego stopnia, w jakim on powinien zaufać Grace? Myśl, że nigdy jej nie odczyta jak innych ludzi, była równie zabawna, co zniechęcająca. A myśl, że nigdy nie spojrzy na siebie jej oczami, była po prostu... zniechęcająca.

Prosta akcja skuszenia Grace, żeby go pocałowała, okazała się dla niego nowym, szalenie erotycznym doświadczeniem. W przeszłości, jeśli nie liczyć paru wyjątków, kiedy zaczynał zabiegać o względy kobiety, wiedział od samego początku, że go pragnęła. Ale Grace obudziła w nim ogromne podniecenie polowaniem, jak w lwie goniącym za lwicą. A kiedy drżała pod wpływem jego dotyku, krew żywiej zaczynała mu pulsować nie tylko w sercu.

Dobry Boże!

Czy to właśnie robił?

Zalecał się do Grace Gauthier?

To niemożliwe. Po prostu niemożliwe. To nie był już eksperyment, nie smak pokusy. Grace, nawet jeśli nie była całkiem niewinna, z pewnością, wedle jego standardów, nie należała do kobiet doświadczonych. Na dodatek Rutłweyn nie miał zamiaru ponownie popełniać tego samego błędu i się żenić. Gdy ich intymne relacje się pogłębią, okno umożliwiające zajrzenie w głąb duszy niemal na pewno się otworzy. I Grace się przekona, że popełniła błąd, że związała się z wybrykiem natury, jak nazywała go Melanie.

Prawda jednak wyglądała tak, że logika w zawrotnym tempie traciła na znaczeniu. Rutłweyn nie był w stanie jasno myśleć od owego nieszczęsnego pocałunku w Whitehall. Noce, i bez tego bezsenne, stały się torturą pośród skrzywionych prześcieradeł i żalonym zaspokojeniem, jakiemu się nie oddawał od wieku chłopięcego. Płonął dla Grace całym sobą, całą duszą, albo tym, co z niej pozostało. I chociaż mógł mieć niejedną chętną kobietę, nawet nie brał tego pod uwagę. Dosyć miał już zwierzęcego parzenia się i połowicznego zaangażowania.

Przed nimi zamajaczyła kępa drzew i niewielka polanka. Kiedy tam dotarli, Rutłweyn sprowadził swojego konia ze ścieżki. Grace podążyła za nim.

- Co się stało? - zapytała.

Rutłweyn zmusił się, żeby oderwać wzrok od delikatnie pulsującego punktu na jej szyi i od pożądliwych myśli.

- Grace, czy masz broń? - zapytał spokojnie. Wzdrygnęła się niemal niezauważalnie.

- Co? Nie! - Zawahała się jednak. - Właściwie to tak, mam broń taty.

- Twojego taty?

- Parę pięciostrzałowych rewolwerów, prezent rocznicowy od mamy. Ale nie mam żadnej amunicji, więc chłopcy nie mogą... - Tu zmarszczyła czoło. - O Boże! Co się stało?

Rutłweyn zamknął na moment oczy i pozwolił, żeby uczucie ulgi rozlało się po całym ciele.

Rewolwery jej zmarłego ojca. Oczywiście, że je miała. Wszystko, co posiadała, najprawdopodobniej znajdowało się w tych trzech starych kufrach, które jego służba przyniosła z Marylebone. Była przecież, jak to wcześniej sama zadeklarowała, dzieckiem armii.

Rutłweyn zeskoczył ze skózanego siodła, które zaskrzypiało pod jego ciężarem. Przywiązał swojego wierzchowca, po czym pomógł zsiąść Grace, przytrzymując ją

w pasie. Sprawiała wrażenie chudej, niemal zbyt chudej. Odruchowo pomyślał, czy przypadkiem nie je za mało. - *Merci* - podziękowała.

Rutłweyn nie cofnął rąk, tylko przyciągnął ją bliżej siebie, chłonąc jej zapach i przesuwając wzrokiem po twarzy dziewczyny. Grace na chwilę oparła dłonie na jego ramionach, po czym opuściła ręce. To był znak, najprawdopodobniej od samego Boga. Zmusił się, żeby puścić Grace.

- Wiedziałaś, że Ethan Holding zamierza! zerwać wasze zaręczyny? - zapyta! spokojnie.

Zamarła.

- Słucham?

- Na tydzień przed powrotem z Liverpoolu. - Rutłweyn patrzył jej prosto w oczy. - Holding napisał do ciebie list. Zmienił zdanie w sprawie wiązania się z tobą. Zamrugła.

- Czy to jakiś żart? Kto ci to powiedział? - wyszeptała.

- Napier.

- Cóż, myli się. Nie było żadnego listu. I nie odniosłam wrażenia, żeby pan Holding zmienił swój stosunek do mnie.

- Grace, przypominasz sobie liścik, który tamtej nocy ktoś wsunął ci pod drzwi? Ten, który nie miał żadnego sensu? - naciskał Rutłweyn.

- Nigdy go nie zapomnę. - Przyłożyła do ust palce drżącej ręki. - Pisał w nim, że chce wyjaśnić, nie... że chce przeprosić.

- I nazwał cię panną Gauthier - przypomniał jej Rutłweyn. - Powiedziałaś, że to było bardzo dziwne.

- Tak, kiedy korespondowaliśmy ze sobą.

- Ale czy nie miałyby to sensu wówczas, gdyby zerwał zaręczyny? Albo sądził, że je zerwał? - dopytywał Rutłweyn.

- Pewnie tak. - Opuściła rękę i spoglądała zmieszana. - Ale on nie zerwał. Wiedziałabym przecież.

Poza tym

podczas kolacji byłoby wyczuwalne pewne napięcie prawda? '

Ruthveyn nic z tego wszystkiego nie rozumiał.

- Wspomniałaś, że kłócił się z panem Crane. Zmarszczyła brwi.

- Naprawdę? - mruknęła. - Tak, padło parę ostrzejszych słów. Ale nie nazwałabym tego kłótnią.

Rutłweyn zaczął nerwowo chodzić po niewielkim trawniku z ręką założoną na plecach, w zamyśleniu uderzając palcatem o but. W końcu się odezwał:

- Grace, Napier pokazał mi list zrywający zaręczyny. Ale może ktoś ci go nie doręczył? Albo schował? Ostatnią możliwością pozostaje zwykle fałszerstwo, co oznaczałoby, że wszystko zostało wymierzone w ciebie.

Ale Grace pokręciła głową.

- Rutłweyn, jestem zupełnie pewna, że mężczyzna mógłby się ze mną zaręczyć, a potem się rozmyślić.

Tyle że Holding tego nie zrobił - powiedziała.

- Jak możesz być tego pewna? Wzruszyła ramionami.

- Po prostu wiem. Potrafię świetnie ocenić charakter człowieka. Ale skoro chcesz argumentów, to proszę bardzo. Kiedy postanowiliśmy się pobrać, gdy tylko wracał do domu, zawsze przychodził do pokoju lekcyjnego. Całował dziewczynki, a potem... - zawiesiła głos.

- I co potem? - ponaglił ją.

- A... a potem demonstracyjnie nachylał się nad moją ręką - mówiła dalej drżącym głosem - całował ją i oświadczał, że jestem jego królową. I że dziewczynki są jego księżniczkami. I że wszyscy będziemy żyli długo i szczęśliwie w pałacu. Takie głupoty, ale uważaliśmy, że to świetne żarty, i wszyscy zaczynaliśmy pokładać się ze śmiechu. Tak właśnie zrobił tamtego dnia... kiedy zginął.

Rutłweyn stłumił irracjonalne uczucie zazdrości na myśl o Holdingu roszczącym sobie prawo do Grace. Usłyszał też w jej głosie nutę głębokiego żalu. Powie-

działa, że nie kochała Holdinga, i nie miała powodu, żeby kłamać, jednak po raz pierwszy od śmierci Melanie czuł się zmuszony śledzić każdą zmianę wyrazu twarzy kobiety w poszukiwaniu informacji o tym, co czuła.

Lazonby wierzył, że wszystkie emocje człowieka odzwierciedlają się na twarzy i nie potrzeba czytać w ludziach, wystarczy ich obserwować. Ponadto utrzymywał, że jest to bardziej talent niż dar.

Czymkolwiek by to było, Rutłweyn chciałby to posiadać.

- Boże, trudno w to wszystko uwierzyć - mruknął. Przez jej oblicze przemknęły kolejno różne emocje, ból szybko zastąpiło uczucie gniewu. Cała zeszywniała.

- A ty mi nie wierzysz - stwierdziła matowym głosem.

- Tego nie powiedziałem, Grace - zaprotestował.

- Wydaje mi się, że powiedziałeś - rzuciła ostro.

- Nie... ja tylko... nie rozumiem tego wszystkiego.

- To całkiem proste. Albo komuś ufasz, albo nie. Nie ma żadnych gwarancji - odparła.

Uświadomił sobie, że miała rację. W jej świecie istotnie sprawa wyglądała tak prosto.

Rutłweyn szukał słów, którymi mógłby wyrazić, co czuje, ale Grace ciągnęła dalej, mówiąc najostrzejszym głosem, jaki kiedykolwiek słyszał z jej ust.

- Pozwól, że to zrozumiem. Policja znalazła w moich rzeczach broń taty, z czego wynika, że muszę żywić złe zamiary. Na dodatek ktoś podrobił pismo pana Holdinga i napisał list, aby stworzyć motyw, dla którego go zabiłam.

- Grace, nie powiedziałem...

- Ale jeśli to wszystko jest prawdą, jeśli jestem uzbrojoną w pistolety morderczynią - przerwała głośniejszym tonem - to dlaczego po prostu nie zastrzeliłam nieszczęśnika? Dlaczego miałabym się posłużyć nożem? I po co ta kartka wsunięta pod drzwi? - Głos Grace przybrał nieco histeryczną nutę.

- Szczerze mówiąc, bardzo się cieszę, że zostawiłam paradną szablę taty jego bratu. Bóg jeden wie, o co by mnie jeszcze oskarżono.

Ruthveyn złapai ją za ramię.

- Grace, oni znaleźli list w twoich rzeczach. Schowany w twoich rzeczach - podkreślił.

Zamarła. Poszukała spojrzeniem jego twarzy.

- O Boże. To... to niemożliwe.

- List był ukryty w czymś, co Napier nazwał pudełkiem na listy. Pod podwójnym dnem - powiedział

- Podwójnym dnem? To nonsens. Moje pudełko na listy jest wyłożone aksamitem. Owszem, denko nie jest przyklejone, już od wielu lat, ale żeby nazywać to podwójnym dnem...? - rzekła pustym głosem.

- Grace, ja tylko...

Szeroko otwartymi, przerażonymi oczami, jakie miewają dzikie stworzenia złapane w potrzask, pochwyciła jego wzrok.

- O Boże - wyszeptała. - Ktoś naprawdę chce mnie obciążyć morderstwem, prawda? Ktoś chce, żebym Cofnęła się i objęła się rękami, jakby za chwilę miała zwymiotować.

Przesunął się w jej stronę.

- Grace, uspokój się. Musimy to przeanalizować - Dowiedział cicho.

- Już to zrobiłeś - odpowiedziała. - Ja też. Widzę jak to wygląda. Nie znasz mnie. Nie możesz wiedzieć w co masz wierzyć.

Wyciągnął ręce.

- Grace, wydaje mi się, że cię znam - stwierdził spokojnie.

- Wydaje ci się. Ale nie wiesz na pewno. Gwałtownie szarpnęła za wodze klaczy.

- Chcę wrócić do domu. Zabierz mnie z powrotem, Rutfweyn. Pozbieram swoje rzeczy.

To nie mogło się wydarzyć. Złapał ją za ramię i obrócił do siebie, powodując, że klacz się spłoszyła.

- Grace, nie bądź głupia. Nie prosiłem, żebyś się wyniosła.

- A więc i ty też jesteś głupi - szepnęła. - Och, przeklinam dzień, w którym wróciłam do Anglii! I przeklinam dzień, w którym cię ujrzałam.

- Grace - odezwał się, łapiąc ją za ramiona i przyciągając bliżej. - Co ty mówisz?

- Nie byłam gotowa na spotkanie kogoś takiego jak ty

- powiedziała płaczliwie. - Nie byłam gotowa, żeby uwierzyć, iż mogłabym... och, już nie wiem! Chcę po prostu wrócić do ciotki Abigail. Proszę.

Zranił ją. Znaczył więc coś dla niej.

Po raz pierwszy w życiu Ruthveyn uświadomił sobie, że musi podjąć ryzyko. Miał przed sobą dwie drogi, musiał wybrać jedną z nich. Musiał ślepo zawierzyć Grace, ufając jedynie swemu sercu. Z niewiadomego powodu żadne inne zdolności nie były w stanie mu pomóc w zrozumieniu dziewczyny. Nawet teraz, gdy trzymał ją blisko siebie, gdy była tak blisko, że mógłby ją pocałować, obnażając ich wzajemne emocje, nawet teraz czuł jedynie rzeczywistość.

- Grace - miażdżył w uścisku jej ramiona. - Wierzę ci. Ani przez chwilę nie podejrzewałem, że byłabyś zdolna kogokolwiek skrzywdzić. A skoro mówisz, że Holding nie zerwał zaręczyn, to też ci wierzę.

- Nie, nie wierzysz. Chcesz wierzyć. Ale nie wierzysz

- wyszeptwała.

Nagle ponownie poczuł nieprzepartą chęć, żeby ją pocałować, całować do utraty zmysłów. Żeby ją oszołomić swoim dotykiem i pokazać, co do niej czuł. Lecz obiecał, że jej nie tknie, nie w ten sposób. Chciał, nie, potrzebował, żeby Grace uwierzyła sercem, a nie rozumem, zmaconym silną mieszaniną żalu i żądy, iż mówił prawdę, gdy deklarował, że jej ufa. Wziął ją więc w ramiona, siłą przyciągnął do siebie. W końcu uległa i z drzeniem przytuliła się do niego.

Nieco niezgrabnie zsunął jej z głowy kapelusik i pozwolił sobie na przyjemność przyłożenia warg do jej włosów.

- Do diabła, Grace, nie mów mi, w co wierzę - wyszeptał. - Po prostu nie rób tego, dobrze? Ufam ci. I obiecuję, że dowiem się, kto za tym wszystkim stoi. Rozumiesz?

- Ale... ale nie możesz powstrzymać Napiera. Przesunął dłoń po luźnym paśmie włosów opadającym na jej skroń.

- Już to zrobiłem - powiedział, czując ciężar w żołądku. - Chyba musiałabyś złożyć mu na piśmie przyznanie się do winy, żeby odważył się przekroczyć próg naszego domu z nakazem aresztowania. Próg naszego domu.

Tak, Grace należała teraz do niego, a przynajmniej mieszkała pod jego dachem, pod jego opieką. Położył dłoń na karku dziewczyny i przytulił ją, obejmując drugą ręką. Należała do niego w jedyny sposób, jaki interesuje prawdziwego dżentelmena. Bez względu na to, czy była winna, czy niewinna, obiecał jej strzec. Pierwszy raz w życiu nie był przekonany, czy słuszność i prawda miałyby w tym przypadku jakieś znaczenie.

Długą ciszę, która zapadła, zakłócał jedynie śpiew ptaka i cichy szum liści zaczynających się zabarwiać kolorami jesieni.

- Grace? - Palcem uniósł jej brodę.

- Dziękuję, Ruthveyn. - Spojrzała na niego załzawionymi oczami. - Po prostu... dziękuję.

Lecz nadal dygotała.

Puścił ją i cofnął się, przypominając sobie, co jej obiecał. I sobie. Pochwyił wodze swojego konia i odwiązał je od gałęzi.

- Chodź - rzucił chrapliwym głosem. - Przejdźmy się, Grace, zanim znów się zapomnę. Przespaceruj się ze mną i opowiedz mi wszystko, co wiesz o każdym mieszkańcu domu przy Belgrave Square.

Możesz to zrobić?

- Dobrze.

Uśmiechnęła się drżącymi wargami i złapała wodze swojej klaczy.

Ruszyli obok siebie, z końmi człapiącymi za nimi.

- Zaczniemy więc od majordomusa. Czyż to nie lokaj zawsze okazuje się winny? - powiedział Ruthveyn.

Wreszcie się roześmiała.

- Nie biedny Trenton! Uwielbiam go.

- Poważnie, Grace, musimy zrobić listę. Każę Belkadiemu gruntownie zbadać ich życie, wykopać różne brudy. Jeśli będzie trzeba, spotkam się z każdym z nich - powiedział.

- Ale w jakim celu? Co takiego ci powiedzą, czego nie powiedzieli Napierowi? - zapytała.

Ruthveyn pomyślał, że powiedzą mu bardzo dużo. I natychmiast poczuł strach.

Przeszli niemal przez cały park, z głowami pochylonymi ku sobie, pograżeni w rozmowie. Gdy szli wzdłuż stawu Serpentine, Grace po kolei opowiadała o służących. Niestety, żaden z nich nie wydawał się nikim szczególnym, nikt nie okazywał morderczych skłonności.

W pobliżu Park Lane tłum zaczął gęstnieć. Jeźdźcy i powozy zmierzały w stronę Rotten Row, ale na trawnikach i na ścieżkach królowały nianie z wózkami. Kiedy dotarli do Grosvenor Gate, Ruthveyn miał wrażenie, że Grace poczuła się może odrobinę lepiej.

Ale nie trwało to długo.

W pobliżu końca stawu Serpentine niewysoka, jasnowłosa kobieta pilnowała dwóch małych dziewczynek, które rzucały na trawę kawałki chleba w nadziei na zwabienie trzech kaczek pływających w wodzie. Za nimi leżał koc z koszykiem i śladami pikniku

W pewnej chwili jedna z kaczek wbiegła pomiędzy dziewczynki. Obie odwróciły się, piszcząc z zachwytu. Większa rzuciła się w pogoń przez koc. Kaczka zatrzepotała skrzydłami, zakwakała z niesmakiem i łukiem zawróciła w stronę wody.

Ale dziewczynka przestała obserwować kaczkę.

- *Mademoiselle*¹. - zawołała, biegnąc ku Grace. - *Mademoiselle*, proszę poczekać!

- Anno! - Z rozbłyśniętymi nagle oczami Grace puściła wodze i wyciągnęła ręce, żeby pochwycić dziewczynkę w objęcia. - Och, Anno, jak ślicznie wyglądasz! Jakże za tobą tęskniłam! Podekscytowane dziecko cofnęło się.

-*Mademoiselle*, mam teraz kucyka! I mały powóz. Ciocia pozwala mi nim jeździć - wyrzuciło w pośpiechu słowa.

Grace znieruchomiała przez chwilę, żeby natychmiast rozjaśnić się w uśmiechu.

- Naprawdę? - rzuciła. W tym czasie zbliżyła się do nich mniejsza dziewczynka. - I Eliza! Pokaż mi swoje wspaniałe warkocze. Bardzo eleganckie!

Dziewczynka rozpromieniła się, pokazując dziurę po zębie.

- Panna Effinger mi je zaplotła.

- Czy może pani nas odwiedzić? - nie przestawała mówić Anna. - Proszę! Mogłabym pokazać pani kucyka. I dałabym pani powozić.

- Jest brązowy - wtrąciła się Eliza. - Nazwałyśmy go Kakao.

Ale przez trawę zdążyła już w ich stronę zaniepokojona blondynka.

- Anna! Eliza! Uspokójcie się - zawołała z wyraźnym, kontynentalnym akcentem.

Grace puściła dziewczynkę i podniosła się.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała. - Jestem... byłam ich guwernantką. Nazywam się Grace Gauthier. - Wyciągnęła rękę.

Jasnowłosa kobieta przyjęła podaną dłoń i uśmiechnęła się, ale w jej uśmiechu niewiele było ciepła.

- Dzień dobry. Jestem panna Effinger - powiedziała.

- Miło mi panią poznać. Pani Lester bardzo panią wychwala - stwierdziła Grace.

- Przesadza.

Rutłweyn podszedł bliżej; rękę z palcatem trzymając za plecami.

- Lord Ruthveyn, do pani usług - odezwał się z ukłonem. - Jestem przyjacielem mademoiselle Gauthier.

Grace poczerwieniała.

- Tak, jakże niegrzecznie się zachowałam.

Panna Effinger, z trudem ukrywając zdziwienie, dygnęła lekko.

- Bardzo mi miło, milordzie. Proszę jednak wybaczyć, ale za rogiem czeka na nas powóz - mruknęła.

- Proszę mi więc pozwolić złożyć koc.

Ruthveyn oddał Grace wodze swojego konia. Nie sądził, żeby panna Effinger nie słyszała bólu w głosie Grace, która mówiła:

- Czy dziewczynki dobrze się czują? Śpią w nocy? I wróciły do nauki?

- Czują się naprawdę świetnie. Sądzę, że świeże powietrze dobrze im robi - odpowiedziała panna Effinger.

- Mamy ogromne podwórko, *mademoiselle!* Tam właśnie jest kucyk. I mamy własną fontannę! I jeździmy dookoła niej powozikiem! Elizie nie wolno powozić, tylko ja mogę! - zapiszczała Anna.

- A więc przyjechałyście na Belgrave Square jedynie z wizytą? - zapytała Grace, gładząc Annę po włosach.

- Tak, żeby zobaczyć, jak sobie radzi panna Crane, i zapakować parę rzeczy z pokoju lekcyjnego. Pani Lester uznała, że tak będzie najlepiej dla dziewczynek - chłodnym tonem odpowiedziała panna Effinger.

- Bardzo rozsądnie. Jestem pewna, że pokocha pani Annę i Elizę, tak jak ja je pokochałam - rzekła Grace. Ponownie uśmiechnęła się do dziewczynek i cofnęła się. Ruthveyn widział, ile ją to kosztowało. - Już je pokochałam.

Z cierpkim uśmiechem panna Effinger wzięła od Ruthveyna koszyk z włożonym do środka kocem.

- Bardzo panu dziękuję, milordzie. Ruthveyn zauważył, że Grace zawahała się.

- Panno Effinger - zawołała w końcu.

Kobieta odwróciła się.

- Słucham?

- Czy mogę napisać? Do dziewczynek - zapytała Grace. Panna Effinger dygnęła lekko.

- To bardzo mile z pani strony. Może jednak najpierw napisałaby pani do pani Lester - powiedziała. Była to najłagodniejsza odmowa, jaką można było wymyślić, ale Ruthveynowi zrobiło się żal Grace. Stali na skarpie nad wodą, obserwując oddalającą się trójkę, która okrążyła szerszy kraniec Serpentine i skierowała się w stronę Hyde Park Corner, gdzie czekał duży, miejski powóz. Koło niego stały dwie damy.

- Popatrz, to Fenella - szepnęła Grace. - I pani Lester.

Rude włosy młodszej kobiety istotnie trudno było pomylić. Grace podniosła rękę, żeby pomachać. Ale obie kobiety celowo zaczęły spoglądać w inną stronę, jedna nawet otworzyła drzwi powozu, jakby chciała wsiąść do środka. Ruthveyn przysunął się bliżej i ujął dłoń Grace, ściskając jej palce.

Był to czuły gest, którego unikałby niemal odruchowo wobec każdego innego człowieka. Ale kontakt fizyczny, wszelki kontakt fizyczny z Grace, był dla niego czymś niezwykle naturalnym. Gdyby pozwolił sobie na głębszą analizę tego faktu, mógłby się poczuć poważnie zbity z tropu.

Ale ani przez chwilę nie pozwolił sobie na takie roztrząsania. Cały skoncentrował się na Grace, słyszał niemal, jak serce jej pękało. Dobrze wiedział, że często największym bólem był nie ten, zadany ciosem noża zbrodniarza, ale wywołany przez tysiące małych zranień, spowodowanych bezmyślnymi komentarzami, zimnym dystansem i potępiającymi spojrzeniami. Ruthveyn wiele by oddał, aby jej tego oszczędzić.

Zrozumiał, że Grace nie zrobiła krzywdy Holdingowi. Było po prostu niemożliwe, żeby uczyniła coś takiego

dzieciom, na które spoglądała z taką miłością. Poczul wstyd, że kiedykolwiek jej nie wierzył. Stali więc, patrząc, aż dziewczynki znalazły się w polowie wzgórza. Eliza wsunęła jedną rękę w dłoń Anny, drugą podała pannie Effinger i w podskokach pokonała dalszą drogę w dół.

Usłyszał stłumiony szloch, który wyrwał się z gardła Grace.

- Wyglądają na szczęśliwe, prawda? Najbardziej w świecie chcę, żeby były szczęśliwe - powiedziała.

- Sądzę, że dziewczynkom jest dobrze. Może też rodzina zmieni swoje podejście. Może potrzebuje więcej czasu - rzekł spokojnie.

- Dobrze wiesz, Rutłweyn, że to nie ma żadnego znaczenia. Odeszły z mojego życia.

Grace zamarła, z wyrazem przerażenia na twarzy.

- *Mon Dieu*, myślisz, że coś usłyszą? Sam wiesz, że dzieci będą słyszały plotki. Nic na to nie poradzą - powiedziała głuchym głosem.

Rutłweyn nie starał się udawać, że jej nie zrozumiał.

- Jestem pewien, Grace, że nikt nie wytoczył przeciwko tobie żadnych oficjalnych oskarżeń - zaczął mówić, modląc się, żeby to była prawda. - Nie ośmieliliby się. A już z pewnością nie w obecności dzieci. Chodź, pójdziemy do domu. Powietrze zrobiło się chłodne.

Chwilę później powóz odjechał. Grace odwróciła się do Rutłweyna, uśmiechając się przez łzy.

- Czyż nie to właśnie Anglicy określają mianem ostrego cięcia?

- Może panie nie będą mogły cię zupełnie odciąć od rodziny - zasugerował.

- Chyba oboje wiemy, że to nieprawdopodobne. Ale dziękuję - mruknęła

Rutłweyn pomógł Grace dosiąść konia i w milczeniu ruszyli przez park. Wyglądała tak, jakby po raz pierwszy straciła nadzieję. Jakby żywcem wyrwano jej serce z pier-

Rozdział 9

Żołnierz Fortuny

Sierżant Welham?

Grace zamarła w drzwiach oranżerii i patrzyła, niedowierzając własnym oczom.

- Grace? - Rance Welham podniósł się z rattanowego fotela, stojącego w pobliżu fotela lady Anishy. -

Grace Gauthier, słowo daję! I jeszcze piękniejsza!

Ruszył przez oranżerię, stukając obcasami wysokich butów po kamiennej posadzce. Ku zaskoczeniu Grace, złapał ją wpół, uniósł i szaleńczo okręcił dookoła.

- Na Boga, dziewczyno, ale wychudłaś. Grace poczuła, że spiekła raka.

- Sierżancie, czuję się dobrze. Proszę, postaw mnie. Ze śmiechem spełnił jej prośbę, po czym zwrócił się

do Ruthweyna:

- A ty, stary... - Tu przerwał, żeby go uściskać, co przerodziło się w serdeczne poklepywanie po plecach.

- Grace, ten łajdak nie zasługuje na to, żeby ci buty czyścić, a ja słyszałem, że zostałeś u niego guwernantką?

- I bardzo jestem z tego zadowolona - powiedziała. Lady Anisha wyłoniła się z oranżerii.

- Prawda, że to cud? - skierowała słowa do brata. - Zjawił się godzinę temu, czając się za oknami jak Satin, kiedy zostanie przyłapana na podkradaniu smacznych kęsków z kuchni.

- Czałem się, Nish? - Rance odwrócił się i cmoknął lady Anishę w policzek. - A mnie się wydawało, że tylko rozeznaję się w sytuacji. Sama wiesz, że stare nawyki żyją w żołnierzu.

- Sądziłem, że wyjechałeś na wiele tygodni. Mademoiselle Gauthier gotowa sobie pomyśleć, że jej skłamałem

- odezwał się zimnym głosem Ruthveyn. Rance mrugnął do Grace:

- Szukałaś mnie? Oczywiście, że wróciłem pospiesznie. Musiałem się przekonać, że moja Grace znalazła właściwą opiekę.

- Zapewniam cię, że twój pośpiech był zupełnie niepotrzebny - rzucił Ruthveyn.

Słyszając to, Rance roześmiał się ponownie, odrzucając głowę do tyłu.

- No tak, Adrianie, jak zwykle mnie wyprzedziłeś. Takie już moje szczęście, że przebywam na jakiejś wyprawie, kiedy najpiękniejsza dziewczyna w całej Afryce Północnej zjawia się w Londynie - powiedział.

Lady Anisha przewróciła oczami.

- Muszę zejść na dół i porozmawiać z panią Henshaw o kolacji. Zostaniesz, Rance? - zapytała.

- Nie, nie, dziękuję. Razem z Bessettem mamy już plany na dzisiejszy wieczór - odparł.

- Aha - rzekła Anisha, kierując się ku schodom.

- Ciekawe, czy dotyczą kilku długonogich tancerek z... -Anisha! - skarcił siostrę Ruthveyn i odezwał się do gościa: - Pozwolisz, że zapytam, Lazonby, po co się tu zjawiałeś, jeśli nie chodzi ci o darmowy posiłek?

Rance w zamyśleniu podrapał się po brodzie.

- Szczerze mówiąc, chciałem zamienić parę słów z Grace. Nie masz nic przeciwko temu? - zapytał.

Ruthveyn zawahał się przez chwilę, po czym stwierdził gładko:

- Absolutnie nic. - Odwrócił się do Grace i ukłonił lekko. - *Mademoiselle*, dziękuję za pani miłe towarzyszy-

stwo. Lazonby, rozumiem, że trafisz potem sam do wyjścia?

- Grace, dlaczego mi nie powiedziałaś, że mieszkasz w Londynie? - zapytał Rance, gdy usadowili się w fotelach w oranżerii.

- Zamierzałam to zrobić, gdy tylko usłyszałam, że znów wypuszczono cię z więzienia. Ale ciotka Abigail oświadczyła, że nie wypada, aby niezamężna dama szukała towarzystwa dżentelmena, z którym nie jest spokrewniona - wyjaśniła, spuszczać oczy.

- Ale wolno jej szukać towarzystwa jego przyjaciół - zauważył Rance.

- To było trudne - przyznała ucziwie. - Nie chciałam iść do twojego klubu, ale... ale to była konieczność.

Rance uśmiechnął się, a jego niebieskie oczy rozbłyły.

- Cóż, jestem dziwnie spokojny, że już mnie nie potrzebujesz. Nie mogłaś się znaleźć w lepszych rękach niż Rutłweyna - stwierdził.

Grace obawiała się, że dokładnie tam się znajdowała, w rękach Rutłweyna, i to w każdym sensie. Zapomniała też, jak czarujący potrafi być Rance i jak jest przystojny, jeśli takiego twardziela można nazwać przystojnym.

Rutłweyn powiedział kiedyś, że bez wątpienia może go nazwać swoim najlepszym przyjacielem.

Jakie to dziwne. Lord Rutłweyn był uosobieniem gracji drapieżnika ukrytej pod maską elegancji i uprzejmości. Był też diabelnie przystojny. Rance przypominał pełnego wdzięku, kipiącego energią rozbójnika, zawsze pachnącego skórą, z drobnymi zmarszczkami wokół wesołych, niebieskich oczu.

Nagle klepnął się dłońmi po udach.

- No cóż, Grace, dużo wody upłynęło, odkąd opuściliśmy El-Bahdja, prawda? - powiedział z błyskiem w tych swoich niebieskich oczach.

- Tak. Straciłeś ojca. Było mi bardzo przykro, gdy się o tym dowiedziałam - mruknęła.

- A ty, Grace, straciłaś swojego. - Twarz mu sposepniała. - Trzykrotnie uratował mi życie. Henri Gauthier był odważnym człowiekiem.

- I dobrym ojcem - dodała. - A twój... och, Rance, tak walczył o ciebie. Nigdy się nie poddał. To bardzo smutne, że odszedł.

- Wydaje mi się czasami, że żył właśnie dla tej walki

0 mnie - przyznał Rance, zagłębiając się bardziej w fotelu. - Myślę, że przy życiu trzymała go determinacja, żeby mnie pomścić i wydobyć z więzienia.

- I teraz wyszedłeś. Rance wzruszył ramionami.

- Cóż, wyszedłem z więzienia dzięki wytrwałości ojca

1 wpływom Rutłweyna - rzekł ponuro. - Ale chyba zemsta zajmie trochę czasu.

Kiedy wspominał o zemście, mówił bardzo podobnie do Rutłweyna. Z zimną pewnością. Zdecydowanie. I nagle Grace zaczęła rozumieć, co ich ze sobą łączyło.

- Powiedz mi, czy mój tata od początku wiedział, że byłeś poszukiwany? - zapytała spokojnie.

Rance roześmiał się i oparł potężne dłonie na kolanach.

- Grace, skarbie, każdy żołnierz w legionach jest poszukiwanym człowiekiem - powiedział, pochylając się w jej stronę. - Wiesz o tym. To jest miejsce dla uciekających łobuzów. Legioniści są brutalni i gwałtowni. Twój tata rzadko zaprzyjaźniał się ze swoimi podkomendnymi, żeby trzymać tę całą hołotę z dala od ciebie.

- Och, tata ufał mojej ocenie łajdaków i łobuzów. Przecież zaprzyjaźnił się z tobą - rzekła, posyłając mu lekki uśmiech.

- A niektóre sprawy rozciągają się poza grób - stwierdził z przekonaniem Rance. - Przysiągłem, że zawsze będę cię strzec, i uczynię to, jeśli Rutłweynowi się nie uda. Ale jemu się powiedzie, uwierz mi. Tak, powiedziałem Henriemu, kim jestem i jaki jestem. Wiedział od początku.

- Ale dlaczego gazety nie przestają na ciebie polować? I stale padają pytania o twojego ojca. Kręci! się tutaj jakiś reporter o nazwisku Coldwater.

Twarz Rance'a spochmurniała.

- Coldwater? Chyba w końcu będę musiał się z nim rozprawić. Nie tylko on, ale połowa Londynu ma obsesję na punkcie mojego uwolnienia - powiedział.

- Bo zeznający przeciwko tobie świadek zginął w podejrzanych okolicznościach? Czytałam o tym w „Chronicie”. Kim był człowiek, którego zabójstwo ci zarzucają? - zapytała.

Rance spoważniał.

- Cóż, zabiłem wielu ludzi, skarbie - rzekł spokojnie. - To żołnierska dola. Ale nie zabiłem lorda Percy'ego Peverila, spadkobiercy wielkiego majątku i książęcego tytułu. Jego wuj był członkiem Rady Królewskiej i miał posłuchanie u starego króla. Niestety, źle sobie wybieram wrogów.

- Był twoim wrogiem? Rance uśmiechnął się krzywo.

- Peveril był po prostu przerośniętym dandysem, który oszukał mnie przy grze w karty, kiedy byłem młody, popędliwy i nie rozumiałem, że nie mam co robić przy karcianym stoliku - odpowiedział. - Z dziesięć osób także widziało, jak oszukiwał. Ale od tamtego czasu upłynęło dużo wody. Powiedz mi, co sądzisz o moim przyjacielu Ruthveynie?

Grace zawahała się.

- Myślę, że jest bardzo życzliwy. Rance wybuchnął śmiechem.

- Grace, takim komplementem robisz mu krzywdę! Nikt nie uważa, że Ruthveyn jest życzliwy.

Powiedz mi szczerze. Zawsze umiałaś podsumować charakter człowieka lepiej niż jakakolwiek znana mi kobieta.

To była prawda. Ojciec często wspominał o jej zdrowym rozsądku, zwłaszcza w kwestiach dotyczących męż-

czynn. Ale w przypadku lorda Ruthveya czuła dziwną niepewność. To, co wobec niego odczuwała, zdawało się płynąć wyłącznie z jej głupiego serca, a kiedy ją pocałował, również z innych, nowych miejsc. Było też to hipnotyzujące ciepło jego dotyku...

- Grace... - ponaglił ją Rance. Przeniosła wzrok na okno.

- Dobrze - powiedziała. - Myślę, że jest nieco przerażający. Jego spojrzenie przeszywa mnie na wylot. Sprawia, że czuję się...

Bezpieczna. Bez tchu. Przestraszona. Sobą i nim. Ale tych słów nie zamierzała wypowiedzieć na głos. Zamknęła oczy.

- .. Nie wiem, jak się przy nim' czuję - dokończyła. Rance pochylił się i pochwycił jej rękę.

- To jest dobry człowiek, Grace. - Mówił cichym i chociaż raz poważnym głosem. - Owszem, jest enigmatyczny. Może nawet nieco z innego świata. Ale zaufaj mu. Uwierz, że się tobą zaopiekuję. Jeśli zaś chodzi o to, co do niego czujesz... cóż, zaufaj sobie, dziewczyno. Twój ojciec miał rację.

Wykazujesz się niebywałym zdrowym rozsądkiem w ocenie mężczyzn. A także dobrym gustem.

Zakłopotana Grace spoglądała rozszerzonymi oczyma. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, może żeby go zbesztać. Ale jaki miało to sens? Rance zawsze mówił to, co myślał, i posiadał niesamowity dar odgadywania myśli innych.

Gwałtownie wypuściła powietrze.

- Ledwo co pochowałam narzeczonego, Rance - powiedziała i dodała: - To znaczy zrobiłabym to, gdybym mogła być na pogrzebie.

Rance uśmiechnął się.

- Czy mam to traktować jako naganę dla mnie za zbyt śmiały język? Czy może masz pretensję do samej siebie, że się zakochałaś? I jedno, i drugie byłoby stratą czasu, Grace. Jest, jak jest.

- Rance, *arretel* - Gwałtownie zerwała się z fotela. - Dziękuję, już wystarczy.

Zaśmiał się ponownie i złapał ją za rękę.

- Na Boga, jesteś wykapaną córeczką tatusia - powiedział, pociągając ją z powrotem na fotel. - W porządku. Przesadziłem. Ale teraz posłuchaj mnie i pozwól mi być przez chwilę poważnym.

Popatrzyła na niego ostrzegawczo.

- *Oui*. Bardzo proszę - rzuciła. Rance puścił jej dłoń.

- Cokolwiek byś zrobiła, nie wspominaj Roydenowi Napierowi, że jesteśmy przyjaciółmi. Czuje do mnie wielką nienawiść - ostrzegł.

- Dlaczego? Czyżbyś i jemu udzielał porad sercowych? - Kiedy Rance spojrział na nią spode łba, złagodniała. - No, już dobrze, przepraszam. Dlaczego miałby cię nienawidzić?

- Wysłanie mnie za kraty i skazanie na szubienicę było ostatnim wielkim osiągnięciem jego ojca. Końcowym, wspaniałym sukcesem wymiaru sprawiedliwości, jak sądził. W rzeczywistości byłem jedynie kością rzuconą oszalałej ciżbie radykałów w celu pokazania, że nawet szlachetnie urodzony dżentelmen może zostać pociągnięty do odpowiedzialności, jeśli złamie prawo - powiedział Rance.

Grace w przerażeniu szeroko otworzyła oczy.

- Miałeś pokazowy proces? I kosztowało cię to osiem lat w legionie? To długi czas na wędrowanie po pustyni

- szepnęła.

Oboje wiedzieli, że nie miała na myśli geografii Algierii. Rance wzruszył ramionami.

- Royden Napier nie ucieszył się, widząc, jak po śmierci jego ojca odwołano wyrok i zakwestionowano jego motywy - przerwał, posłał jej uśmiech i zerwał się na nogi.

- No cóż, było...

- ...minęło - dokończyła Grace, wstając.

Pospiesznie pochwycił jej dłoń i pocałował przez rękawiczkę.

- Nie zobaczymy się, dopóki twoja sytuacja się nie rozwiąże, Grace. Chyba że będziesz mnie potrzebowała. Wtedy wystarczy, że pošlesz wiadomość do Towarzystwa Świętego Jakuba.

Zatrzymam się tam, dopóki nie znajdę sobie miejsca, gdzie mógłbym się ustatkować - powiedział.

- Rance, ty nigdy się nie ustatkujesz - stwierdziła ze spokojem Grace.

Roześmiał się i oboje skierowali się w stronę drzwi.

- Pewnie masz rację, Grace. I najprawdopodobniej nie będziesz mnie potrzebowała. Znajdujesz się w rękach człowieka o wiele bardziej wpływowego niż ja.

- Naprawdę? - zapytała cicho. Uśmiech Rance'a zniknął.

- Napier go nie ruszy - stwierdził pewnym głosem.

- Potrzebowałby do tego niezwykle długiego i niezawodnego miecza, miałby bowiem tylko jedną szansę osiągnięcia szyi Ruthveyna. I Napier dobrze o tym wie.

W tym momencie usłyszeli energiczne, równe kroki na schodach i po chwili w drzwiach pojawił się lord Ruth-veyn. Był świeżo przebrany w ciężki, czarny żakiet, a niebywale gęste, wilgotne jak po kąpieli włosy miał zaczesane do tyłu. W kremowej, brokatowej kamizelce i z wielkim rubinem błyszczącym na najmniejszym palcu prawej dłoni wyglądał jak prawdziwy książę Rajput. Tak przynajmniej Grace wyobrażała sobie indyjskiego księcia.

- A, tu jesteś, Adrianie! - zawołał przyjacielsko Rance.

- Zapomniałem powiedzieć, że mam dla ciebie złe wieści.

Lord Ruthveyn uniósł do góry obie brwi w protekcyjnym grymasie.

- Mów dalej, Lazonby.

- Belkadi wyrzucił cię z gościnnego apartamentu - powiedział. - Mamy z wizytą księdza z wioski w Lincolnshire, starego znajomego Sutherlanda. Ja natomiast, niestety, staruszkę, zająłem drugie mieszkanie.

Ruthveyn przeniósł wzrok z Rance'a na Grace i z powrotem.

- Godna uwagi zbieżność - rzekł sztywno. - Po prostu... zdumiewająca.

* * *

Tego wieczoru przy kolacji Ruthveyn przyłączył się do rodziny po raz pierwszy, odkąd Grace przybyła na Upper Grosvenor Street. Poza lordem Lucanem, w podnieceniu opowiadającym o zawodach bokserkich w Southwark, które zamierzał obejrzeć następnego dnia, reszta spożywała posiłek w milczeniu. Pojawienie się lorda Lazonby jakby przytłumiło Aniszę i jej brata. Grace nie rozumiała powodu.

Tego wieczoru udała się do swojego pokoju, żeby napisać list do Fenelli w złudnej nadziei, że powstała pomiędzy nimi przepaść może zostać zasypana. Napisała, jak się ucieszyła spotkaniem Anny i Elizy w Hyde Parku i że ma nadzieję, iż dziewczynki będą szczęśliwe w nowym domu. Potem zastanowiła się i podarła list, ciskając strzępy na żarzące się węgle. Najwyraźniej jej przyjaźń z Fenellą skończyła się i tak pozostanie, dopóki nie zostanie złapany morderca Ethana. Grace winiła o to częściowo Napiera, który niewątpliwie szeroko rozsiewał swój jad.

Okropna prawda była taka, że nikt z Belgrave Square, nawet kucharz czy gospodyni, nie napisał do niej listu z wyrazami współczucia czy choćby pożegnaniem. A ona tak bardzo ich wszystkich lubiła. Może wszyscy doszli do tego samego wniosku bez pomocy Napiera. Była zaręczona... no, niemal zaręczona z Holdingiem, którego zamordowano. Znalazł się list sugerujący, że Holding ją rzucił. Pewnie policja ostrzegła przed nią służbę. Można to było zrozumieć, zważywszy że ktoś zadał sobie wiele trudu, by podrzucić obciążające dowody pod jej drzwi.

Znów zaczynał ją ogarniać strach. Grace rzuciła się na łóżko, przypominając sobie ostatnie spotkanie z Roydenem Napierem. Powiedziała mu wtedy: *Bardzo pragnę własnej rodziny. To właśnie zaoferował mi Ethan, że będzie moją rodziną. Ze spróbuje mnie pokochać, że podzieli się ze mną swoimi córeczkami. Może nawet da mi moje własne dzieci. Zrobiłabym wszystko, żeby to zachować.* Teraz nawet w jej własnych uszach te słowa brzmiały podejrzanie. Na pewno Napier zanotował je w swoim oprawionym w czarną skórę notesie, żeby móc je zacytować przeciwko niej. Nic dziwnego, że Rutłweyn kazał jej nic nie mówić. Czasami miała wrażenie, że jedynie jego wiara i siła sprawiają, iż nie pograżyła się w żalu i rozpacz. A dzisiaj, gdy przez chwilę bała się, że mógłby stracić do niej zaufanie, po raz pierwszy w życiu miała chęć się poddać.

Ale jego siła podtrzymała ją. Czasami wydawało się, jakby wszystko, co działo się pomiędzy nimi, naprawdę było im pisane przez los. Ba, sam Rutłweyn zasugerował coś takiego w dniu, kiedy się pierwszy raz spotkali. Może Grace zaczynała w to wierzyć tylko po to, żeby mieć w co wierzyć. A może wyobraziła sobie, że to tłumaczy niezaprzeczalne pożądanie, które do niego czuła. Rance jak zwykle się nie mylił.

Z westchnieniem wstała z łóżka i pozbierała rzeczy, a potem długim korytarzem przeszła do pomieszczenia ze wspnianą wanną, żeby wziąć długą, gorącą kąpiel. Później próbowała czytać zużyty egzemplarz *Muz żałobnych*, który wzięła z biblioteki Rutłweyna. Szybko jednak zrezygnowała z lektury, uznawszy ją za zbyt głęboką i filozoficzną.

O dziesiątej położyła się do łóżka, ale wierciła się, nie mogąc zasnąć. O dwunastej, słysząc nawoływania strażników, gwałtownie usiadła na łóżku z nagłym przekonaniem, że coś było nie tak i że nie ma to nic wspólnego z Roydenem Napierem.

- Pss, panno Gauthier!

Tym razem cichy głos przedarł się przez mgłę, którą spowity był jej mózg.

- Tom? - odrzuciła kołdrę. - Tom, co się stało?

- Proszę pani, Teddy jest chory - wyszeptał gdzieś z okolic nóg łóżka. - Chyba powinna pani przyjść. Ale Grace już zsunęła się na podłogę i szukała kapci.

- Co to znaczy, że jest chory? Boli go brzuch czy ma gorączkę? - dopytywała, chwytając szlafrok.

- Wymiotuje. Może pani przyjść? Proszę. I niech pani nic nie mówi mamie.

Grace złapała go za rękę i ruszyła w stronę drzwi.

- Tom, wiesz dobrze, że tego nie mogę obiecać - powiedziała spokojnie. - Czy Teddy zjadł coś, czego nie powinien? Proszę, nie ukrywaj nic przede mną.

Ale Tom nie chciał powiedzieć nic więcej.

Dwa pokoje dalej, w sypialni chłopców, Teddy'emu udało się zapalić lampę. Leżał pod prześcieradłem, zwinięty w kłębek. Na jej widok usiadł z trudem. Spojrzał na nią żałośnie.

- Znów rzygałem. I czuję się już lepiej - powiedział, jakby chciał ją uspokoić.

- Teddy, co się stało? Masz gorączkę? - Grace pospiesznie podbiegła i usiadła na brzegu łóżka. Chłopiec odwrócił wzrok. Blizna na jego czole zdawała się ognistoczerwona na kredowobiałej twarzy.

- Po prostu rzygałem. To nic takiego. Czuję się już dobrze. Naprawdę.

- Powiedzmy raczej, że wymiotowałeś - łagodnie poprawiła go Grace. Rzeczywiście plamy na przodzie jego nocnej koszuli dobitnie o tym świadczyły. Ale w głosie chłopca było zbyt wiele lizusostwa jak na jej gust. Gdy poważnie przejęta, z podejrzliwością odgarnęła włosy z jego buzi, żeby dotknąć czoła, zorientowała się, że miał włosy wysmarowane czymś obrzydliwie lepkiem.

- Teddy, kochanie, co zrobiłeś? Najlepiej będzie, jeśli mi powiesz - poprosiła.

- Zjadł słodycze od wujka.

Grace obejrzała się i zobaczyła, że Tom przycupnął na sąsiednim łóżku z kolanami podciągniętymi do brody. - Słodycze? - powtórzyła.

Tom tylko wzruszył drobnymi ramionami, po czym pokazał palcem na podłogę.

Gdy Grace spojrzała w dół, zobaczyła stary nocnik, wyciągnięty spod łóżka, żeby był pod ręką na taką ewentualność. Tłumiąc jęk, wstała i poświeciła tam lampą. W jednej trzeciej wypełniony był obrzydliwą, jasnożółtą mazią, wśród której pływały grudki czegoś, co podejrzenie przypominało rozpuszczone bryłki cukru.

Jak dropsy cytrynowe.

Jak mnóstwo dropsów cytrynowych.

Grace złapała się za głowę.

- Teddy, nie zrobiłeś tego.

- Owszem, zrobił - wyrwał się Tom.

- Skarżypyta. Też zjadłeś trochę - rzucił ze złością Teddy.

- Zjadłem dwanaście. I nie rzy... nie wymiotowałem - pisnął Tom.

Grace odwróciła się do niego, nadal trzymając uniesioną lampę.

- A ile zjadł twój brat?

Tom ponownie wzruszył ramionami i pokazał palcem na pusty słoik stojący na nocnym stoliku.

- Resztę - stwierdził prosto.

Grace odstawiła lampę i przyjrzała się naczyniu.

- Och, Teddy! Chyba nie cały słoik? - spytała. Teddy złapał się za brzuch, który zaczynał wyglądać jak balon.

- Chyba tak. I wszystko zwróciłem - przyznał ponuro. Grace ponownie usiadła na łóżku chłopca.

- Tom, przynieś bratu czystą koszulę nocną - rzuciła i odwróciła się do Teddy'ego: - Chodź tutaj. Chcę obejrzeć twoje włosy.

Chłopiec pochylił się do przodu. Dwie żółte grudki tkwiły w jego jasnych włosach, zlepiając je w ogromne kołtuny.

- Oj, Teddy! - westchnęła Grace. - Czy czujesz się na tyle dobrze, żeby wstać, abym mogła zmienić ci pościel?

Zrezygnowany Teddy zsunął się z łóżka.

Jak szybko stwierdziła Grace, żółta kleista masa na szczęście znajdowała się tylko na poduszce.

Najwyraźniej chłopiec zasnął z buzią pełną słodyczy. Grace starała się nie śmiać, przypominając sobie wyraz przerażenia na twarzy lady Anishy, gdy Ruthveyn przyniósł cały słoik łakoci. Słusznie wyczuwała ogrom możliwej katastrofy.

Teddy zdawał się czytać w jej myślach.

- Czy powie pani mamie? - zapytał nieszczęśliwym głosem.

- Muszę, kochanie. Jest twoją mamą, a ty jesteś bardzo chory - spokojnie powiedziała Grace.

- Już nie - odparł z ciężkim westchnieniem. - Ale znów się źle poczuję, gdy jej pani powie.

Grace ponownie przyłożyła mu rękę do czoła i, tak jak się spodziewała, nie miał gorączki. Chłopiec rzeczywiście sprawia! wrażenie zdrowego. Ale w pokoju było zimno, bo ogień na kominku przygasł.

Błyskawicznie zmieniła powłoczkę na poduszce i wytarła maż z twarzy Teddy'ego.

- Chodź ze mną do pomieszczenia za kuchnią. Musimy usunąć te lepkie grudy z twoich włosów i zdjąć z ciebie nocną koszulę - powiedziała, wyciągając rękę.

Razem przeszli korytarzem i w dół na niższe piętro. Na podeście schodów widoczna była smuga światła, padająca przez uchylone drzwi. Drzwi do prywatnego gabinetu Rutłweyna, gdzie nigdy nie była. Zaciekawiona, zwolniła nieco. W tym właśnie momencie jeden ze srebrzystych kotów wsunął nos w szparę w drzwiach, odchylił je bardziej i wszedł do środka.

Wewnątrz, na długiej, obitej skórą sofie rozpierał się lord Ruthveyn, otoczony chmurą dymu. W jednej ręce trzymał papierosa, na drugiej opierał głowę. Miał zamknięte oczy. Na stojącej przed nim pikowanej otomanie znajdowała się taca z karafką i pustym kieliszkiem. Był ubrany w luźny kaftan i obszerne, białe spodnie i zdawał się nieświadomy czyjejkolwiek obecności. Sprawiał wrażenie człowieka oddającego się bezmyślnemu odpoczynkowi.

Grace pociągnęła Teddy'ego i szybko minęli uchylone drzwi. W końcu rozpoznała słodkawy zapach dymu, którym czasami było nasycone ubranie Ruthveyna. Wyglądało na to, że tej nocy jeszcze ktoś przesadził w oddawaniu się przyjemnościom, i to nieco mniej niewinnym niż dropsy cytrynowe.

- Wujek Adrian znowu wygląda bardzo dziwnie - wyszeptał Teddy, gdy schodzili po schodach.

- Ciiii. Jest zmęczony - powiedziała Grace. - Ma dużo obowiązków.

A poza tym jego siostra mówiła, że nigdy nie śpi, co być może tłumaczyło ten stały wyraz znużenia wyryty na jego twarzy.

Kiedy znaleźli się w kuchni, posadziła Teddy'ego na brzegu stołu kuchennego i sprawnie ściągnęła z chłopca koszulę nocną. W przeciwieństwie do pokoi na górze, tutaj od starej kamiennej posadzki było ciepło.

- Nie powinieneś się bać swojego wujka. Po prostu nie spał - powiedziała, rzucając koszulę i lepką powłoczkę na poduszkę do kosza na brudną bieliznę.

- On nigdy nie śpi - stwierdził chłopiec. - I wcale nie powiedziałem, że się go boję. Po prostu wyjaśniałem, bo jesteś tu nowa. I myślałem, że to ty możesz się go bać.

Grace wzięła do ręki pogrzebacz.

- Na Boga, Teddy. Nie boję się lorda Ruthveyna. - Uklękła i nieco zbyt energicznie zaczęła grzebać w palenisku.

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Wszyscy się go boją - stwierdził obojętnie. - Ale nie ja. Tom też nie. Ale wszyscy służący się go obawiają, z wyjątkiem Higgenthorpe'a.

- Bez sensu. Dlaczego wszyscy mieliby się bać twojego wujka?

Grace weszła do pomieszczenia za kuchnią, żeby napełnić rondel ciepłą wodą.

- Bo ma Dar.

Chwilowo zajęta ustawianiem rondla Grace spojrzała przez ramię.

- Jaki dar, Teddy? Kto mu go dał? Chłopiec wsunął ręce pod uda.

- Nie wiem, kto mu go dał - mruknął. - Wiem tylko, że z tego powodu służący nie mogą go dotykać. A pani Henshaw powiedziała pomocy kuchennej, żeby nigdy nie spoglądała wujkowi w oczy, bo wtedy przewidzi jej śmierć.

- To brednie opowiadane przez służbę, Teddy. Jednak Grace nie mogła przestać o tym myśleć, gdy stawiała rondel na stole i szukała garnka ze smalcem.

- Po co to? - zapytał podejrzliwie Teddy. Grace postawiła garnek ze smalcem koło rondla.

- Chcę trochę popracować nad tą lepką mazią, żeby cię nie bolało przy rozczesywaniu. Później użyjemy mydła i spłuczemy włosy ciepłą wodą. Potem cię wysuszymy przy ogniu, zanim wrócisz z powrotem do łóżka. Skoro zjadłeś całą beczkę dropsów cytrynowych, chyba nie grozi ci przeziębienie.

- To nie była cała beczka. To strasznie dużo - zaprotestował Teddy.

Ogień w kuchni rozpalał się, oświetlając pomieszczenie ciepłym, złocistym światłem. Grace nachyliła się, żeby wetrzeć trochę smalcu w pozlepiane włosy chłopca. I wtedy właśnie dostrzegła na jego ramieniu dziwny znak. Złapała go za rękę i odwróciła ku sobie.

- Teddy, co to jest?

-Nic.

Grace przyjrzała się znakowi. Choć koślawy i rozmazany, nagle wydał jej się znajomy. Widziała go już wcześniej, i to nie na frontonie siedziby Towarzystwa Świętego Jakuba. Nie, to było znacznie dawniej.

- To nie jest nic, Teddy. Sam to narysowałeś? - zapytała cicho.

Ramiona chłopca opadły:

- To zwykły atrament. Zmyje się - odpowiedział.

Grace odwróciła go bardziej w prawo. Znak przypominał herb rodowy, który zamiast typowej tarczy miał kształt liścia ostu z krzyżem w środku i z czymś, co przy sporej dawce wyobraźni można by uznać za skrzyżowane pióro i miecz. Nie ulegało wątpliwości, że ten sam dziwny symbol był wygrawerowany na złotej spince do krawata Ruthveyne. Brakowało jedynie liter pod spodem.

- Dlaczego narysowałeś sobie ten znak, Teddy? Ponownie po dziecięcemu wzruszył ramionami.

- Czasem ludzie mają taki symbol. -Kto?

- Dziadek. Ale dziadek nie żyje. A poza tym to jest tylko znak - powiedział.

Miał rację. To był tylko znak.

- W porządku, Teddy. Pochyl się nad rondlem, dobrze? - rzuciła.

Pół godziny później Grace siedziała na ulubionym krześle pani Henshaw, które przysunęła bliżej kuchennego paleniska. Trzymała na kolanach na wpół śpiącego Teddy'ego, w czystej koszuli nocnej i z niemal suchymi włosami. Na szczęście Grace nie musiała ich obcinać. Ostatni raz przeczesła włosy chłopca palcami, po czym wstała i wyniosła go z kuchni.

- Umieć chodzić - zaprotestował, a potem opuścił głowę na jej pierś i szybko ponownie zasnął.

Na górze światło nadal wydostawało się z gabinetu Ruthveyne. Zerknąwszy do środka, Grace zobaczyła lor-

da wciąż siedzącego na sofie w kłębach dymu. Ale tym razem siedział po turecku z zamkniętymi oczami. Stojący na otomanie kieliszek brandy był do połowy pusty, a srebrzysty kot zniknął. Mały Tom spał mocno, gdy Grace kładła jego brata z powrotem do łóżka. Przykryła chłopca, zgasiła lampę i ruszyła korytarzem, powtarzając sobie, że Ruthveyn nie jest jej zmartwieniem. Wiedziała też, że zejście na dół oznaczało proszenie się o kłopoty. A może o coś więcej.

Jednak kiedy znalazła się przed swoim pokojem i kładła rękę na klamce, nagle zawróciła. Powiedziała sobie, że przynajmniej może otworzyć okno i kazać Ruthveynowi położyć się spać. Uznała, że tego chce przeznaczenie.

Na biurku w gabinecie stała lampa z knotem skręconym tak, że dawała niewiele światła. Ruthveyn siedział w dziwacznej pozycji, z rękami opartymi na kolanach, i zdawał się nie wiedzieć o jej obecności.

Tytułem próby Grace przekroczyła próg pomieszczenia. Był to piękny, prywatny pokój, bez wątpienia najbardziej niezwykły w całym domu, pełen książek i egzotycznych dzieł sztuki. Nad kominkiem wisiał groźnie wyglądający muszkiet o długiej lufie, a sprawiająca wrażenie wykonanej ze szczerego złota figurka hinduskiego czterorękiego bóstwa z głową słonia stała na rogu rzeźbionego biurka z mahoniowego drewna. W przeciwległym rogu znajdowała się mosiężna, ażurowa misa z *potpourri*, piękna, ale niespełniająca swojej roli wobec kłębow dymu otaczających Ruthveyna.

Zebrawszy się na odwagę Grace zamknęła za sobą drzwi i na palcach przeszła przez luksusowy dywan, miękki jak wiosenna trawa.

- Milordzie - szepnęła.

Natychmiast, walcząc z opadającymi powiekami, otworzył jakby rozmarzone oczy.

- Grace - powiedział spokojnie.

- Jest prawie pierwsza w nocy - stwierdziła, zatykając korkiem karafkę z brandy. - Co robisz, zamiast spać? - Medytuję - odpowiedział.

- Medytujesz?

- Myślę o... nie myślę. To jest cel, prawda? - zabelkotal. To, co mówił, nie miało najmniejszego sensu.

- Chyba najlepiej będzie, jeśli położysz się do łóżka - rzekła łagodnie.

Jego spojrzenie stało się jeszcze bardziej nieobecne.

- Nie. Nie mogę spać.

Grace pochyliła się, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

- Ale nie możesz przez całą noc pić i palić - powiedziała, podnosząc ze srebrnej tacy tłący się jeszcze niedopałek. - Nic dziwnego, że tak okropnie wyglądasz. A nawiasem mówiąc, co to jest dokładnie? - zapytała, podsuwając mu niedopałek przed oczy.

W krzywym uśmiechu uniósł kącik ust. Grace widziała ciemny zarost na jego policzkach i nad górną wargą. W stroju, na który nie miała wpływu cywilizowana sztuka krawiecka, nie wzbudzał aż tak wielkiego respektu.

- To jest papieros, moja droga Grace - powiedział.

- Wiem, co to jest papieros. Mam wrażenie, że to my, Francuzi, wymyśliliśmy tę nazwę. Chciałabym się jednak dowiedzieć, co jest w środku tego papierosa - rzekła.

- Turecki tytoń - odparł spokojnie. -I?

- Zioła. -I?

Wzruszył ramionami. -1 hasz.

- Chciałeś powiedzieć kif albo haszysz - zwróciła mu uwagę. - Chyba zapomniałeś, że widziałam nieco świata.

- Być może. - W jego głosie brzmiało ostrzeżenie, żeby go nie prowokować.

Nie zamierzała tego robić. Zamiast tego przestawiła tacę na biurko i usiadła naprzeciwko niego na otomanie.

Niemal stykali się kolanami. Napięcie, które zwykle bilo od całej postaci Ruthveya, osłabło. Grace miała wrażenie, że po raz pierwszy zobaczyła w nim zwyczajnego człowieka, bardzo przystojnego i wyglądającego groźnie, ale zwyczajnego w sposób, jakiego nie potrafiła do końca opisać.

Nadal siedział zupełnie rozluźniony, z nogami skrzyżowanymi tak, że gołe stopy opierał na udach. Zauważyła, że miał długie palce u nóg, a wąskie stopy równie piękne, jak dłonie. Uszyty ze złocistego jedwabiu przetykanego srebrną nicią kaftan, który miał na sobie, błyszcząc kontrastował z luźną tkaniną białych spodni. W talii przepasany był szeroką, czarną szarfą. Pomyślała, że wyglądałby zupełnie na miejscu na pokładzie pirackiego okrętu, z kordelasem zatkniętym za pas, albo w swoim haremie. - Dlaczego? - zapytała cicho, starając się nie patrzeć na szeroką, odsłoniętą, męską klatkę piersiową. - Dlaczego to palisz?

- Uspokaja mnie.

- Nigdy nie wyglądasz na niespokojnego. Właściwie zawsze wyglądasz niepokojąco opanowanie. Czy chcesz powiedzieć, że haszysz koi ból fizyczny?

- Nie cierpię fizycznie.

Uśmiechnął się nieco sennie i machnął ręką w kierunku rzeźbionej, drewnianej szkatułki stojącej na biurku. - Noc jest długa, moja droga. Spróbuj.

- Nie muszę. Wystarczy tego, co znajduje się w powietrzu, żeby pozbawić mnie przytomności - powiedziała.

Uniósł czarną brew.

- Boisz się, moja Grace?

- Nie jestem twoją Grace - odpowiedziała. - I wcale się nie boję. Ale powinieneś pomyśleć o chłopcach. Nie można liczyć na to, że będą spali przez całą noc, albo że nie zaczną myszkować tam, gdzie nie powinni, Ruthveyn.

Najwyraźniej wcześniej nie przyszło mu to do głowy, spojrzał bowiem na szkatułkę i zmarszczył czoło.

Grace naprawdę czuła się lekko odurzona.

- Tak nie może być - powiedziała, wykonując ruch, jakby zamierzała wstać. - Otworzę tu okno i świeże powietrze...

W mgnieniu oka ręka Rutłweyna wystrzeliła do przodu, łapiąc ją za nadgarstek i pociągając do siebie. Drugie szarpnięcie i niema] leżała na nim.

- Dlaczego tu przyszłaś, Grace? - zapytał niebezpiecznie cichym głosem.

- Puść mnie, Ruthveyn.

- Nie. Przyszłaś tutaj z własnej woli. Wiesz, że nie położę się do łóżka. Nie sam. Wiesz też, że nie jestem w pełni trzeźwy. Dlaczego więc? - Jego oddech był słodki od brandy i narkotyku.

Szarpnęła się do tyłu, ale trzymał ją mocno za rękę. Nie odrywał wzroku od jej oczu.

- Przyszłam, żeby pomóc...

- Kłamiesz - przerwał jej łagodnie. - Kłam, jeśli to ci poprawia nastrój, Grace. Ale nie oszukuj siebie. Zrozumiała, że miał rację. Omiotła spojrzeniem jego twarz. Kiedy patrzył na nią tymi pozbawionymi wieku, wszystkowidzącymi oczami, zaglądał prosto do jej serca i widział to, czego pragnęła od samego początku. Teraz jej ciało wyginało się nad nim, jedną rękę opierała na sofie za jego głowę, druga była unieruchomiona w mocnym uścisku, ich twarze znajdowały się tuż obok siebie. W brzuchu czuła ból jak z głodu.

Na miłość boską, jak do tego doszło?

Niepewnie polizała wargi.

- Może to jest po prostu... przeznaczenie - wyszeptała. A potem pocałowała go.

Rozdział 10

Smak pokusy

Ruthweyn odwrócił do niej głowę i oddał jej pocałunek, ospale przesuwając po jej wargach swoje, zmysłowo pełne. I natychmiast przeniknęło ją coś gorącego i oszałamiająco słodkiego. Grace otworzyła usta. Ruthveyn rozchylił własne, wydając cichy jęk, będący męskim, bolesnym odgłosem poddania się, po czym wsunął język głęboko w jej usta. Zaczął rytmicznie ssać, wywołując ogarniającą dziewczynę falę ciepła, która spływała coraz niżej i niżej, aż do ud.

Nagle, wcale nie ociężale, przesunął się na sofie, pociągając ją tak, że usiadła na nim okrakiem. Zadarł jej szlafrok, odsłaniając kolana, i wsunął dłonie w jej włosy. Leżał teraz rozciągnięty pod nią, opierając się o bok sofy, i wpatrywał się w Grace ciemnymi oczami. Na chwilę ziemia przestała się kręcić.

- Jeśli to jest przeznaczenie, Grace, niech nas poprowadzi - rzekł spokojnie.

W odpowiedzi przyłożyła dłoń do jego policzka i przymknęła oczy. Wziął głęboki, drżący oddech. Grace miała wrażenie, że jego mrok przesącza się w nią i przepływa jak magnes szukający północy, a potem odpływa w noc.

I nie był to jedynie efekt haszyszu czy szaleństwo zbyt długo tłumionej namiętności. Wydawało się, że jakaś metafizyczna siła wezbrała pomiędzy nimi, czysta i oczyszczająca. Podobnie było tamtego ranka w siedzi-

bie Towarzystwa Świętego Jakuba, kiedy po raz pierwszy dotknął jej twarzy i kiedy w niezrozumiały sposób wyrwała się ze swojego ciała, aby powrócić do niego uwolniona, przynajmniej na pewien czas, od strachu i bólu.

Ruthveyn, z palcami nadal wplątanymi we włosy Grace, przyciągnął ją do siebie i znów zaczął całować. Były to długie, narkotyczne pocałunki, które wprawiały ją w drżenie.

W życiu każdej chyba kobiety przychodzi taka chwila, kiedy uświadamia sobie ona, że wszystko, czym się kierowała - jej duma, cnota czy też rozsądek - naprawdę nie są warte, by się ich kurczowo trzymać. A może po prostu napotyka coś, dla czego warto porzucić dawne zasady.

Miała wrażenie, że Ruthveyn, jedną ręką trzymający ją za biodro i wsuwający powoli język w jej usta, był właśnie tym czymś. Tej nocy nie przerażał jej drzemający w nim mrok, taki po prostu był i był dokładnie tym, czego pragnęła. Kiedy więc jego wargi opuściły jej usta, aby znaczyć ognisty szlak wzdłuż szyi, wygięła się do tyłu i pozwoliła, żeby pochwycił zębami brzeg flanelowej koszuli nocnej. Gdy szarpnął, rozwiązując pierwszą tasiemkę, koszula pod szyją rozchyliła się. Z jękiem zadowolenia położył dłoń na materiale, chwytając pierś dziewczyny.

- Grace, nie powinnaś tu być - wymówił jej imię niby modlitwę.

- Rozumiem, co się dzieje. Rozumiem cię. Myślisz, że tak nie jest, ale nie jestem naiwna - wyszeptała. Nie spierał się, tylko opuścił rozchylone usta na jej szyję, a potem zaczął całować obojczyk.

- Taka piękna - mruknął i przesunął w górę ręce, żeby zsunąć z jej ramion szlafrok.

Zrzuciła szlafrok, który zsunął się z jej pleców i upadł na podłogę. Gdy przesunął się pod nią, Grace poczuła na swoim łonie twardy, gorący ucisk jego męskości. Zamknęła oczy i pomyślała, jak długo na to czekała. Jak

długo czekała na mężczyznę, który potrafił obudzić w niej takie pragnienia. I nigdy nie mógłby to być żaden inny mężczyzna.

Rozumiała teraz, jak bliska była popełnienia ogromnego błędu: wyjścia za mąż bez miłości i pograżenia się w pustym życiu. Może na tej jednej nocy wszystko się skończy, ale jej wspomnienie warte będzie dla niej o wiele więcej niż całe nieudane życie. Być może, gdyby Rutłweyn był trzeźwy, odmówiłby jej nawet tego. I gdyby jej życie nagle się nie zawaliło, nigdy by do niego nie przyszła. Ale nie zamierzała teraz o tym myśleć. Nie tej nocy.

Z cichym westchnieniem zaczęła się nad nim poruszać, a ogarniające ją pragnienie zagłuszało wstyd, jaki mogłaby odczuwać. Jedwabne ubranie Rutłweyna zmysłowo ślizgało się po jej udach. Jego dłonie zuchwale wędrowały po jej ciele, gorące i żądające.

Pod wpływem impulsu wyciągnęła ręce do czarnej szarfki, którą był przewiązany.

- Co to jest? - wyszeptała, rozwijając jeden koniec.

- To kamarband, tradycyjna hinduska szarfa. Rozwiąż - rzucił chrapliwie.

Drżące ręce Grace niezbyt dobrze dawały sobie radę z tym zadaniem, ale w końcu jedwabny węzeł został rozsupłany. Złocista tkanina odsłoniła umięśnioną, lekko przyprószoną ciemnymi włosami klatkę piersiową Rutłweyna. Jedno ramię przecinała wypukła, jasna blizna. Przesunęła wzdłuż niej palcem.

- Co się stało? - zapytała.

Rzucił spojrzenie w stronę kominka.

- Mój wygląd nie spodobał się pasztuńskiemu strzelcowi.

- Aha. To ten muszkiet nad kominkiem? - Nachyliła się, żeby pocałować bliznę.

- Miałem wybór: on albo ja - mruknął Rutłweyn, zajęty ciężarem jej piersi w swoich dłoniach.

Grace mocniej rozchyliła kaftan. Spostrzegła, że miał na szyi złoty łańcuch z wisiorkiem, wyglądającym jak kawałek oprawionej w złoto kości. Wydawało jej się, że to jakiś pazur. Zamierzała zsunąć mu kaftan z ramion, ale Ruthveyn ujął jej głowę i przyciągnął do siebie, żeby znów ją pocałować. Znalazła się tak blisko niego, że wyczuwała powolne, rytmiczne bicie jego serca. Czuła jego ciepło, tę czystą, niemal zmysłową energię przenikającą jej ciało. Miała ochotę zderzyć z siebie ubranie i położyć się obok niego, by leżeli jak para kochanków.

Ponownie zanurzył palce w jej włosach. Szeroko rozłożoną drugą dłoń położył na jej plecach, przytulając jej ciało do swojego. Grace na długo zatraciła się w jego pocałunku. W końcu uniosła się lekko, żeby na niego spojrzeć.

Leżący w tak zmysłowej pozie, bez rezerwy na twarzy Ruthweyn wyglądał jak chłopiec, którym był kiedyś, jak piękny, ciemny Apollo o atramentowoczarnych rzęsach kładących się na policzkach. Grace jedną ręką ujęła jego twarz i pocałowała go czule, a jej serce poszybowało niebezpiecznie wysoko.

Ruthweyn przylgnął ustami do jej policzka, we wrażliwym miejscu tuż koło ucha.

- Grace - odezwał się, kładąc ręce na jej koszuli nocnej. Bez pytania rozwiązał pozostałe tasiemki i wolno ściągnął materiał z ramion dziewczyny. Gdy góra bawełnianej koszuli zsuwała się z jej ciała. Grace stopniowo czuła powiew chłodnego powietrza na ramionach, a potem na obnażonych piersiach.

- Grace, jakże tego pragnąłem - wyszeptał.

Nieco skrępowana, zamknęła oczy. Gorące ręce Ruthveyna ześlizgnęły się z jej żeber, aby ująć w dłonie obie piersi. Delikatnie, jakby była najbardziej kruchą istotą na ziemi, okrążył kciukami jej sutki, sprawiając, że nabrzmiały z rozkoszy.

- Och... - Grace odrzuciła do tyłu głowę.

W jakiś sposób podciągnął się, żeby usiąść, czuła pod sobą napinające się niemożliwie mięśnie jego brzucha. Grace znalazła się na nim, siedząc okrakiem, z kolanami po obu stronach jego bioder. Rozmarzone, tkliwe spojrzenie utkwił w jej oczach. Przyciągnął ją do siebie i przymknął powieki, wędrując ustami ku jej piersi. Przez długą chwilę ssał, okrążając językiem pierś, drażniąc i ogarniając ją kuszącym ciepłem swoich warg. Grace miała wrażenie, że lada moment umrze z rozkoszy i pragnienia, które pęczniało coraz bardziej gdzieś w głębi jej brzucha i sprawiało, że oddychała z trudem.

- Proszę - wystękała, wbijając paznokcie w szerokie plecy Rutłweyna. - Proszę, Rutłweyn, tylko... Tylko co? Grace nie miała pojęcia, o co go błagała. Rutłweyn jeszcze raz zatoczył koło wokół brodawki, po czym oderwał usta.

- Adrian - wyszeptał. - Powiedz to, Grace.

- Adrian. Adrianie, proszę. Było to raczej westchnienie.

- O co prosisz, moja Grace? - Ocierał się policzkiem o jej pierś, drapiąc ją szorstkim zarostem. - Jeśli to przeznaczenie, to jestem do twojej dyspozycji.

Grace odsunęła się odrobinę, pochwyciła brzeg koszuli nocnej i ściągnęła ją z siebie. Jego oczy rozbłysły z uznaniem, ale położył dłonie na jej żebrach, po obu stronach, jakby chciał ją odsunąć od siebie.

- Nie - poprosiła, wyciągając palce, żeby rozwiązać sznurek przytrzymujący jego spodnie. Ale Rutłweyn wziął ją na ręce i wstał. Gdy wstawał, Grace instynktownie owinęła nogi wokół jego talii i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Nie, Rutłweyn, poczekaj.

- Nie w ten sposób, kochanie - wyszeptał w jej włosy. Okręcił ją, jakby nic nie ważyła, i poniósł w głąb mrocznego pokoju. Ramieniem otworzył drzwi w obło-

zonej boazerią ścianie i wąskim korytarzem przeszedł do pokoju oświetlonego lampami stojącymi kolo szerokiego łóżka z baldachimem. Leżąca na pościeli Satin zerwała się z łóżka, przeciągnęła i umknęła.

Adrian położył Grace na środku materaca, pozwalając, żeby zagłębiła się w puszystą miękkość wełny i pierza. Obserwowała go spod współprzymkniętych powiek. Gdzieś po drodze zgubił złocisty kaftan i teraz miał na sobie jedynie swoje dziwaczne spodnie, długie, jedwabne szarawary, opuszczone nisko na biodrach. Była dziwnie pewna, że pod spodem nic nie nosił.

Smuga ciemnych włosów zaczynała się pod piersiami Rutłweyna i ciągnęła się w dół płaskiego jak gładki, beżowy marmur brzucha, żeby zniknąć gdzieś pod sznurem przytrzymującym spodnie. I nagle Grace poczuła chęć, by przesunąć dłonie po tym brzuchu, dotknąć tych ciepłych warstw lekko owłosionych mięśni, wsunąć ręce pod jedwab i poczuć drżenie pod wpływem jej dotyku.

Przekreśliła się i oparła na łokciach, z lekko uniesionym jednym kolaniem, i obserwowała go uważnie. - Jeśli jesteś moim przeznaczeniem, to chodź tutaj, Adrianie.

Zawahał się przez chwilę, jakby miał jej odmówić. Potem jednak na jego twarzy pojawił się wyraz poddania i oparł kolano na materacu. Na czworakach przypełznął do niej jak zwinny, smukły, dziki kot. Jedwabne spodnie niemal zsunęły mu się z bioder, a kościany wisiołek kołysał się na szyi.

Grace oparła ręce na jego brzuchu i poczuła, że zadrżał. Jego proste, gęste włosy opadły do przodu, przysłaniając twarz, gdy opuścił głowę i pocałował ją mocno, głęboko wdzierając się językiem w głąb jej ust, poruszając nim rytmicznie. Jego intencje były jasne nawet dla Grace.

Przesunęła dłonie niżej, zaczepiając kciuki o brzeg jedwabnych spodni i ściągając je w dół, poniżej wypukło-

ści pośladków Ruthweyna. Na swoich udach poczuła wyzwoloną ze spodni twardą męskość, długą i jedwabście ciepłą.

Adrian, jakby chciał odwrócić jej uwagę, pogłębił pocałunek, ujmując w dłonie jej twarz. Ale napór jego męskości był niedwuznaczny i niepokojący. Tytułem eksperymentu Grace przesunęła dłoń w dół jego brzucha. Adrian chwycił ją i pociągnął jeszcze niżej, zapraszając, by go dotknęła. Grace musnęła czubek jego członka i niemal zahipnotyzowana patrzyła, jak mężczyzna wstrzymuje oddech.

- Chcesz tego? - wycharczał, spoglądając na nią przymglonymi oczami. - Powiedz, że tego chcesz. Niepewnie przeniosła rękę niżej i przesunęła po całej długości członka. Zadygotała pod wrażeniem gorącej, jedwabistej skóry pod palcami i płataniny włosów w dole. Nigdy sobie nie wyobrażała, że fizyczna miłość może tak wyglądać, dać tyle przyjemności w dotykaniu, tyle ciepła w kontakcie z gołą skórą, tyle bolesnego pragnienia. To wszystko pojawiło się w szalenie skomplikowanej mieszance emocji, w której się pogrążyła, pragnąc jeszcze więcej.

Ciało Adriana, nadal opierającego się na kolanach, zawisło nad nią, gorące i ochraniające. Wdychała zapach jego mydła, dymu papierosowego i męskiego potu, i znów miała to dziwne wrażenie ściskania w żołądku. Połaskotał ją ustami za uchem i delikatnie pociągnął za małżowinę.

- Grace? - szepnął pytająco.

Wiedziała, o co pyta. Pragnęła go od tamtego pierwszego dnia, od spotkania w bibliotece. Pomimo bólu, strachu i zagubienia pociągał ją w sposób zdecydowanie wykraczający poza zwykłe zainteresowanie. Teraz jednak czuła się niezręcznie i nie na miejscu. Taki mężczyzna jak Adrian na pewno miał dziesiątki kochanek, bardziej doświadczonych niż ona.

Teraz jednak znajdowała się tutaj i to jej pragnął ten ciemny mężczyzna, nie do opisania piękny i atrakcyjny. Oddychając nierówno, podciągnęła kolana i pozwoliła, żeby ciężar jego ciała spoczął pomiędzy jej nogami. Adrian jedną ręką delikatnie umieścił gładki koniuszek swej męskości pomiędzy fałdami jej kobiecości.

- Chcesz tego, Grace? - wychrypiał niskim głosem.

- Powiedz. - Tak.

Była wilgotna z pragnienia. Wszedł w nią pewnym, zdecydowanym pchnięciem, rozciągając ją mocno. - Och!

Adrian zamarł, a Grace zagryzła wargi.

- O Boże! - Odetchnęła głęboko. - To jest... czy my?...

Wydał z siebie dźwięk, ni to śmiech, ni to jęk, i opuścił głowę, żeby zetknąć się z nią czołem.

- Jesteśmy jeszcze daleko, Grace.

- Och - powiedziała, czując się bardzo głupio. Obrzucił ją niepewnym spojrzeniem, w którym pojawił się cień skruchy. - Ach, Grace, zawsze pozostaniesz zagadką - wyszeptał.

- Naprawdę? - zapytała wysokim, słabym głosem. Ku jej uldze, wycofał się nieco i zawahał. Widziała drobniutkie kropelki potu, które pojawiły się na jego czole.

- Jeśli mamy to zrobić - mruknął jakby do siebie

- najlepiej zrobić to szybko.

- Nie wydaje mi się, żeby Szekspir miał na myśli...

- wyszeptała Grace.

Ale Adrian wybrał ten moment, żeby zacząć działać. Jednym głębokim, pewnym pchnięciem wdarł się w nią z okrzykiem czystej, męskiej satysfakcji. Grace była pewna, że już nigdy w życiu nie będzie w stanie chodzić.

- Och! - zawołała, szeroko otwierając oczy.

Znów zamarł bez ruchu i pochylił głowę, żeby musnąć wargami czubek jej nosa.

- To już koniec, kochanie. Nie ruszaj się i wiedz, że za chwilę ból przejdzie.

Grace z trudem przełknęła ślinę.

- Adrianie, a może nie powinniśmy...

- Nie. Przeznaczenie nigdy się nie myli. Pocałował ją delikatnie i, jakby chcąc to udowodnić, wycofał się troszkę, aby łagodnie wsunąć się w nią z powrotem.

- Ach - jęknęła cicho.

Ból był niezwykły. Słodki. Ból, który właściwie nie był bólem, tylko obietnicą nadchodzącej rozkoszy. Grace zmusiła się, żeby się rozluźnić, żeby otworzyć się na niego. Jego wielkość i napór nadal wydawały się nie do zniesienia, ale przerwanie tego teraz było po prostu niemożliwe. A to, co do niego czuła, ta pozbawiająca tchu potrzeba sprawienia mu radości, była niewyobrażalna.

Jak zahipnotyzowana patrzyła, jak Adrian zamyka oczy i powoli wsuwa się w nią. Potem ustalił rytm, poruszając się w tę i z powrotem. Ich ciała połączyły się w delikatnym, starym jak świat tańcu.

Grace przymknęła oczy, koncentrując się na niezwykłym uczuciu jedności z Rutłweynem. Przesunęła jeszcze wyżej prawą nogę, ciesząc się dotykiem jego umięśnionej łydki i uda oraz porastających je włosów. Narastało w niej napięcie, tęsknota, której Adrian zdawał się nie odczuwać. Miał piękną, niemal beztroską, młodzieńczą twarz, gdy poruszał się nad nią, opierając się na szeroko rozstawionych ramionach. Przy każdym pchnięciu jego czarne włosy połyskiwały w świetle lampy.

- Adrianie, chciałabym... - zaczęła.

- Wiem, Grace - powiedział.

W swojej naiwności myślała, że kochanie się będzie pospieszne i szaleńcze, że przemożna namiętność sprawi, iż koniec, jakikolwiek by był, nastąpi szybko. Ale każdy ruch Adriana był celowy i wykalkulowany, by podsycać trawiącą ją żądzę. Czuła palące pragnienie, narasta-

jący apetyt na Adriana, na to, czego potrzebowała, co tylko on mógł jej dać.

Otworzyła usta, żeby błagać o to, by poddać się całkowicie, ale opuści! się na nią, przykrywając ją swoim ciałem. Obejmując ją silnym ramieniem, Adrian przytuli! Grace do siebie.

Powoli wsunął język w głąb jej ust, jednocześnie wdzierając się swoim członkiem głęboko w jej ciało, ustalając idealny, zmysłowy rytm. Wrażenie było oszalamiające. Zapach wilgotnej skóry, czystej pościeli i seksu wirował wokół niej, wywołując gorący zawrót głowy, gdy Adrian kochał ją, zdawało się, niemal w nieskończoność. Wiła się pod nim, wyginając się w łuk i błagając o wyzwolenie. Już miała wrażenie, że za chwilę oszaleje, gdy Adrian uniósł się nad nią, z twarzą wykrzywioną jak w cierpieniu.

- Chodź do mnie, moja Grace. O Boże! Taka słodka... - wyszeptał.

Tak, to było właśnie to, czego pragnęła. Przyszła tutaj z zamiarem oferowania mu siebie. I w tej chwili namiętności i rozkoszy Grace nie dbała, kogo to z niej czyni. Ostrożność, podobnie jak jej cnota, uleciały z wiatrem. Uniosła ku niemu biodra, on zaś pchał i pchał, aż nagle coś oślepiająco jasnego, niczym błyskawica, wybuchło w jej głowie, sprawiając, że zadrżały wszystkie jej nerwy. Rozkosz zalała ją serią kolejnych fal, aż zatraciła poczucie miejsca i czasu. Jej ciało i serce poszybowały ku niemu.

Kiedy powróciła do siebie, znów miała to nieziemskie wrażenie, jakby opuściła swoje ciało, ale tym razem było ono tysiące razy silniejsze i bliskie czystej, niebiańskiej szczęśliwości. Otworzyła oczy i zobaczyła Adriana, patrzącego na nią miękkim wzrokiem. Wysunął się z niej i leżał lekko zwrócony na bok.

- Grace - Przechylił głowę i otarł się policzkiem o jej policzek. - Grace, nie masz pojęcia...

Ku jej zdumieniu głos mu się załamał pod wpływem jakichś nienazwanych emocji, sięgających daleko poza zwykle zaspokojenie, poza przyjemność.

- O czym? - spytała. Uśmiechnął się sennie.

- O niczym.

Potem pochylił się i zaczął szukać na podłodze spodni. Dotarło do niej, że oddawał swoje nasienie do nocnika. Uporał się z tym szybko i z jękiem zadowolenia opadł na nią.

Przez chwilę Grace czuła się dziwnie ograbiona. Głupie uczucie, zważywszy na fakt, iż okazał przezorność i wyświadczył jej ogromną uprzejmość.

- Chodź, prześpij się - powiedziała spokojnie, opierając sobie jego głowę na ramieniu.

Przyłożył szorstki policzek do jej twarzy.

- Jestem za ciężki - mruknął.

- Nie. Jest idealnie - odszepnęła.

Ale nie miało to znaczenia. Czuła już otaczające ich ramiona Morfeusza i pełne odprężenie Adriana.

* * *

Ruthveyn poruszył się, słysząc bicie zegara gdzieś w głębi domu. Wtulony w ciepło Grace liczył uderzenia - w sumie trzy, jeśli nie spał, gdy zegar bił po raz pierwszy. Obejmował Grace, która leżała na boku. Z drugiej strony Silk przytulała się do jego pleców, mrużąc jak zwykle.

Ostrożnie, żeby nie obudzić ani dziewczyny, ani kotki, Ruthweyn obrócił się, aby podrapać Silk za uchem. Gdy uniósł się na łokciu, zobaczył, że jedna lampa zgasła, ale druga nadal się paliła, nadając ciepły blask twarzy Grace i jej długim, jasnym włosom, rozrzuconym na jego poduszce. Patrząc na nią, Ruthweyn poczuł, że coś niebezpiecznie się w nim zmieniło.

Grace. Jego kochanka.

Czując skruchę, ale wcale nie żałując tego, co się zdarzyło, przesunął palcem po jej lekko uniesionych brwiach. Miała klasyczną urodę angielskiej róży. Teraz, gdy jej zwykle pełna ekspresji twarz była odprężona, mógł się rozkoszować widokiem miękkiej linii jej ust i wystających kości policzkowych. W nocy w pewnym momencie zrobiło jej się zimno, więc okrył ją kołdrą. Teraz przypominał to sobie z trudem, bowiem spał jak zabity. Naprawdę nie pamiętał, kiedy ostatni raz tak spał, bez dręczących snów. Po raz pierwszy od długiego czasu obudził się wypoczęty.

I trzeźwy. Bolesnie, dotkliwie trzeźwy.

Jasno przypomniał sobie miniony wieczór. Wszechogarniającą potrzebę potwierdzenia swoich praw do Grace. Cielesne zaspokojenie wykraczające poza doznania, jakich dotąd doświadczył, w sferę, o której istnieniu nie miał pojęcia. Nic, poza erotycznym przepływem wspólnej energii i więzi pomiędzy dwojgiem kochanków, dających sobie siebie nawzajem z całą słodką, zmysłową niepewnością. Umysł Grace był całkowicie, cudownie dla niego niedostępny.

Po części odpowiadał za to haszysz. A może, jak to sugerowała, było to po prostu przeznaczenie.

Skrzywił się w mroku. Niewątpliwie właśnie w to chciałby wierzyć, ale nie był na tyle naiwny.

Pozostawał jeszcze tylko jeden, dręczący problem.

Oczywiście wiedział, że Grace była dziewicą. Nie miało sensu udawać, że pozbawienie jej dziewictwa było błędem, popełnionym pod wpływem odurzenia i tłumionej żądz. Teraz, mając bardziej klarowny umysł, Rutłweyn pochylił się, żeby pocałować ją w policzek, modląc się jednocześnie, by mu wybaczyła, by tego nie żałowała.

Śpiąca Grace nie żałowała niczego. Przytuliła się do niego z sennym, westchnieniem zadowolenia. Jej krągłości były niezwykle kuszące. Leżąc pomiędzy Grace

i kotką, Ruthweyn przewrócił się na plecy i zasłonił dłonią oczy. Nie należał do ludzi, którzy użalają się nad sobą. Naprawdę tak myślał o przeznaczeniu, jak powiedział. Niemniej rozsądniejsza część jego istoty żałowała, że naraził na szwank jej dziewictwo i jej serce. A także swoje. Ale taki rodzaj narkotycznego letargu sprawiał, że człowiek ulegał najprymitywniejszym instynktom.

W przeszłości to były opium i dziwki - i bynajmniej nie odczuwał z tego powodu dumy. Ale przynajmniej jego partnerki wiedziały, na czym stoją, a narkotyczne upojenie wystarczało, żeby trzymać demony z dala od siebie. Tak wyglądało jego dawne życie. A raczej jego życie pomiędzy. Długie, stracone lata, kiedy porzucił dyplomatyczną służbę i wędrował bez celu po pustyni, czasem całkiem dosłownie.

W końcu jednak hedonistyczne wędrowki zawiodły go do Algieru i do burdelu, gdzie wpadł na Lazonby'ego, a potem do Tangeru, w którym natknął się na Geoffa. Te spotkania przypomniały mu o przyrzeczeniu, jakie złożył ojcu i babce. Powoli zaczął na nowo akceptować, że nigdy nie zmieni tego, kim jest, i że jeśli nadal będzie wieść beztroskie, pozbawione zasad życie, jego dni będą naprawdę policzone.

Tak więc wraz z Geoffem wyruszyli za Lazonbym do Londynu, żeby wcielić w życie wielki plan założenia Bractwa i uwolnić Rance'a od ciężących na nim zarzutów. Pomagając Lazonby'emu, Rutłweyn odnowił znajomość z królową i przyjął podziękowania od wdzięcznego narodu. Wcześniej już, bez rozgłosu, otrzymał tytuł markiza Rutłweyn w nagrodę za swoje tak zwane wysiłki dyplomatyczne za granicą. Nawet teraz czuł się czasami jak Judasz, który otrzymał trzydzieści srebrników. Ale teraz nie musiał o tym myśleć. Lazonby był na wolności, Bractwo powoli się odbudowywało, a samego Ruthveyna rzadko wzywano przed oblicze królowej. Był na emeryturze i najbardziej obchodziła go teraz Grace.

Odwrócił się, żeby ją wziąć w objęcia, i spostrzegł, że mu się przygląda.

Uśmiechnęła się sennie i przytuliła do niego.

- Zastanawiam się, o czym myślisz - powiedziała spokojnie.

Spojrzał na nią.

- Nic ważnego. Ale musimy porozmawiać, Grace - odpowiedział, muskając wargami jej czoło.

Uniosła ku niemu niebieskie oczy.

- Nie mamy o czym. Wiem, jak stoją sprawy, Adrianie. Czy nie możemy po prostu cieszyć się tą krótką chwilą, którą mamy dla siebie?

Czy rozumiała? Miał nadzieję, że tak. Nigdy, poza swoją żoną, nie pozbawił kobiety dziewictwa. Nie miał pojęcia, czego się po nim spodziewała. Jednak poczuł pewną ulgę, że tak krótko rozprawiła się z tym tematem.

- A może powiedziałaś mi, jak twoim zdaniem wyglądają sprawy, Grace?

Roześmiała się cichutko.

- Myślę, że nie powinnam była schodzić wieczorem na dół - powiedziała. - Myślę, że skusiłam cię, żebyś zrobił coś, czego w innych okolicznościach byś nie...

- Przestań, Grace - przerwał. - Ponoszę odpowiedzialność za...

Podniosła do góry rękę.

- Czy mogę skończyć? - zapytała. - Nie, nie biorę na siebie całej winy. *Oui*, to ty jesteś winien temu, że odurzyłeś się, paląc haszysz. Tej nocy oboje popełniliśmy sporo błędów, chociaż wcale nie narzekam na to, co z nich wynikło.

Objął ją mocniej i przyłożył usta do czubka jej głowy.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Na moment się zawahała.

- Chcę powiedzieć, że nie mam w zwyczaju kusić moich bogatych pracodawców i skłaniać ich do małżeństwa. To w ogóle nie wchodzi w grę - odpowiedziała.

Zamilkł na dłuższą chwilę, nieco zdumiony silną mieszaniną odczuwanej ulgi i rozczarowania. Nie chciał się ponownie żenić. Nawet z Grace. A fakt, że był już częściowo w niej zakochany, tylko wzmocniał to postanowienie. Wiedział bowiem, jak by się to skończyło: im bardziej by ją kochał, tym byłoby gorzej. Taki był jego los. W jakiejś okropnej, najmniej odpowiedniej chwili, może gdy będzie się znajdował w niej, na skraju wyzwolenia, piekielne wrota wypadną z zawiasów. Nie mógł ponownie żyć w ten sposób, czekając, aż się wydarzy to, co nieuniknione. Czekając i znając najgorsze. A może przeznaczeniem Grace było dać mu tuzin zdrowych dzieci i przeżyć go o dekadę? To jednak byłoby pod pewnymi względami jeszcze gorsze. Codziennie rano o wschodzie słońca zwlekałby się z łóżka, wiedząc nie tylko to, że jego dni z nią są policzone, ale ile ich będzie, a może nawet jak się zakończą.

Na tę myśl mocniej przytulił Grace do siebie. Dobry Boże, nigdy nie będzie w stanie zostawić jej tak, jak zostawił Melanie, i wyruszyć z misją w imieniu Imperium Brytyjskiego. Wiedział już, że kariera i ojczyzna nigdy nie wygrają z jego potrzebą bycia z Grace. Nawet nie będzie próbował użyć tego jako wytłumaczenia.

Nie było sposobu, aby jej to wszystko wyjaśnić.

Nagle na łóżko wskoczyła Satin. Wdzięczny za odwrócenie uwagi Rutłweyn usiadł, żeby podrapać kotkę pod brodą. Oczywiście lepiej by było, gdyby tego nie robił. Uświadomił to sobie w chwili, gdy palce Grace pogłaskały jego biodro.

- Hmm, bardzo interesujące...

Odwrócił się i położył z powrotem, opierając się na jednym łokciu.

- Co, ten znak? To tatuaż - powiedział.

- Tyle to sama wiem. Czasem Berberowie mają tatuaże - zauważyła.

- Nie podoba ci się? Niektórzy tego nie lubią.

Roześmiała się kokieteryjnie.

- Chciałeś powiedzieć, że nie podoba się niektórym kobietom.

Zmusił się do uśmiechu.

- Owszem, wspominały o tym.

- Ale chyba niewiele miało zastrzeżenia, zważywszy na to, jak wygląda reszta twojego ciała - mruknęła z uznaniem. - Mogę jeszcze raz zobaczyć?

- Dlaczego? Wzruszyła ramionami.

- Po prostu wydaje mi się znajomy.

Niechętnie usiadł ponownie. Zwykle znak był umieszczany na lewym biodrze, chociaż Rutłweyn często widywał go w innych miejscach. Jego ojciec miał go na ramieniu.

- Co to jest? - zapytała Grace, przesuwając zimnym palcem po jego skórze. - Już go gdzieś widziałam, i to nie tylko na drzwiach wejściowych w siedzibie Towarzystwa, ale i gdzieś indziej.

Odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć.

- To często spotykany symbol. Różne jego odmiany widziałem w całej Europie, na drzwiach, na freskach, wplecione w herby rodowe, podobnie jak lilia andegaweńska - powiedział.

- Och, wcale nie jest tak bardzo popularny - mruknęła, nie przestając wodzić palcem po tatuażu. - Te litery na dole, FAC, i pióro skrzyżowane z mieczem, to wszystko jest bardzo dziwne. A na górze widnieje kartusz z krzyżem.

- To jest szkocki osiet - rzekł. - Rodzina mojego ojca pochodzi ze Szkocji, więc używają tego znaku. Ale czy mogę już schować się razem z tobą pod kołdrę? Wyglądasz na ciepłą i zachęcającą.

Uśmiechnęła się i przesunęła na bok.

- Teddy narysował sobie taki znak na ramieniu - zauważyła, gdy już zaczynał się czuć swobodnie. - Masz pomysł, dlaczego?

Znów wzruszył ramionami.

- Mój ojciec miał taki tatuaż, może więc Teddy zobaczył go, kiedy ojciec leżał chory? Ale jak już mówiłem, wcale nie są takie rzad...

- Tak, już mówiłeś, nie są rzadkie - przerwała. - Ty masz tatuaż. Ale znak na pośladku Rance'a Welhama wygląda jak blizna, prawda? Jak... jak piętno?

Odwrócił się, patrząc na nią z niedowierzaniem. Uniosła do góry rękę, żeby go powstrzymać.

- Nawet nie próbuj zmieniać tematu i oskarżać mnie o jakikolwiek związek z pośladkami Rance'a. Nie widziałam ich. I wcale nie chcę ich oglądać. Chociaż wiem z pewnego źródła, że są wspaniałe - oświadczyła.

- Naprawdę? - burknął.

- Naprawdę - potwierdziła. - Młoda żona porucznika, wypiwszy trochę za dużo szampana, zdradziła mi najdrobniejsze szczegóły. Udało jej się dobrze mu przyjrzeć, choć wolę nie myśleć, w jaki sposób to osiągnęła.

Ruthveyn gapił się na nią. Wszelkie racjonalne myśli uleciały mu z głowy. Dodatkową konfuzję wywoływał fakt, że zsuwająca się kołdra odsłoniła jedną różową pierś Grace, której czubek stwardniał pod wpływem panującego w pokoju chłodu.

Grace opuściła rękę na poduszkę.

- Ale ja też już gdzieś widziałam ten symbol - powiedziała bardziej do siebie niż do niego. - Nie mogę tylko skojarzyć, gdzie ani kiedy. Czy powiesz mi, co to jest naprawdę? I dlaczego gonosisz?

Rutlweyn leżał obok niej bez ruchu, zastanawiając się, co ma powiedzieć. Prawdę mówiąc, nie był to sekret. Wystarczyło długo poszperać w starych dokumentach, co robili uczeni związani z Bractwem, żeby w końcu znaleźć fragmenty informacji. A po złożeniu ich razem wyłaniał się obraz tak nieprawdopodobny, że nikt by w niego nie uwierzył.

W ciszy panującej w pokoju rozległo się jego westchnienie.

- Znak jest nazywany piętnem Strażnika - powiedział wreszcie. - To stary symbol, od wieków znany na północy, podobnie jak krzyż celtycki. W niektórych szlacheckich rodach szkockich, tych starszych, przekazywany jest z pokolenia na pokolenie. Dziwna tradycja i tyle.

- Aha. Luc też ma ten znak? Zawahał się.

- Nie - przyznał w końcu. Przechyliła głowę i spojrzała na niego.

- Rozumiem. A dlaczego nazywany jest piętnem Strażników?

Zaśmiał się.

- To ma związek ze starą legendą, a także z Towarzystwem Świętego Jakuba i jego powstaniem - odpowiedział.

Grace uśmiechnęła się.

- To brzmi odrobinę jak Hellfire Club, gdzie bogaci, rozwiązli dżentelmeni odprawiają sekretne obrzędy i ceremonie. Może nawet pozbawiają dziewczęta cnoty? Och, prawda, to było dziś w nocy. Ruthveyn odwrócił się z niedowierzaniem i zobaczył, że Grace ledwo powstrzymuje się od śmiechu. Dla ponurego człowieka to było zbyt wiele. Gwałtownie przetoczył się na nią. Grace wybuchnęła perlistym śmiechem.

- Jęcza! Cicho bądź! - zawołał i pocałował ją.

Żartobliwy nastrój szybko przerodził się w coś znacznie poważniejszego. Ruthweyn przesunął się, całkowicie przygniatając ją swoim ciałem, torsem rozplaszczając okrągłe, pełne piersi. Zanurzył głęboko język w jej ustach. Powolnymi ruchami sondował słodką otchłań aż dziewczyna zaczęła jęczeć pod nim, jego członek zaczął pulsować z pożądania, a umysł zaczął się bawić myślą o tym, żeby ją ponownie posiadać.

Ale nie byłoby to rozsądne. Niechętnie odsunął się wpatrując się w cudowną, słodką twarz Grace i zastana-

wiając się, co ich czeka w przyszłości. Uderzyła go ironia sytuacji. Czyż nie uznał wcześniej, że najbardziej się obawia poznania przyszłości?

Przyjął więc, że nie czeka ich wspólna przyszłość. Ale już teraz byli jak para radosnych kochanków. Już teraz zachowywali się, jakby... no cóż, jakby jednak czekała ich wspólna przyszłość. Przyszła do nich naturalnie. Spontanicznie. Jak namiętność, która tak szybko ich połączyła.

Leżąc pod nim Grace westchnęła i zaczęła okręcać wokół palca pasmo włosów.

- Widzę, że nie zamierzasz mi powiedzieć. Miał pustkę w głowie.

- O czym?

- O Strażnikach - odpowiedziała, ponownie wzdychając.

- To tylko stara legenda. Nikt już w nią nie wierzy

- powtórzył.

Grace obserwowała, jak Rutłweyn przesuwając poduszkę i podciąga się na łóżku. Przesunęła się także i oparła głowę na jego ramieniu.

- Powiedz mi. Zachowam wszystko w tajemnicy - poprosiła.

- Skoro sobie tego życzysz, chociaż nie pojmuję, dlaczego cię to tak ciekawi. - Zawahał się, ale kiedy nic nie odpowiedziała, ściszył głos i ciągnął dalej: - Legenda ma związek ze starymi opowieściami o ludziach, którzy są potomkami dawnych celtyckich kapłanów. - Masz na myśli druidów?

- Właściwie były trzy rodzaje celtyckich kapłanów

- odpowiedział. - Między innymi druidzi, którzy byli filozofami. Ale też poeci zwani bardami, i prorocy, tak zwani *vateis*. Tak przynajmniej mówią.

- Domyślam się, że ludzie z twojej legendy nie byli filozofami i poetami, tylko prorokami - mruknęła Grace.

- Mieli dar jasnowidzenia?

- Coś w tym rodzaju - odpowiedział Adrian. - Celtyccy kapłani przybyli do Anglii, gdy na Galię najechali

Rzymianie, a kiedy rzymskie legiony dotarły tutaj, przenieśli się bardziej na północ. W końcu zostali schryścianizowani i wchłonięci przez tutejszą ludność, ale wierzono, że Dar nadal przekazywany jest z pokolenia na pokolenie, zwłaszcza na północy kraju.

- Cóż, w tej historii jest więcej prawdy niż legendy

- zauważyła Grace.

- Owszem, trochę prawdy jest - wykręcał się Adrian.

- Tak czy inaczej, legenda powiada, że Dar powoli zanikał i na początku średniowiecza prorocy byli niemal nieznani. Ci, którzy się rodzili, często byli prześladowani. W Hiszpanii ścigała ich Inkwizycja. W innych miejscach palono ich na stosach, tak jak Joannę d'Arc. Później, w Ameryce, niektórych topiono, oskarżonych o czary. Zwłaszcza kobiety były na to narażone.

- Zawsze ta sama historia, *n'est-ce pas?* Wybitne kobiety szybko są tępione, w ten czy inny sposób.

Ale opowiadaj dalej - mruknęła Grace.

Adrian przyciągnął ją bliżej do siebie.

- Legenda mówi, że pomimo prześladowań i coraz rzadziej występującego Daru, na skutek szczęśliwego zbiegu okoliczności, pewna szkocka szlachcianka poczęła wyjątkowe dziecko - kontynuował. - Dziecko, wielką prorokinię pochodzącą od dawnych celtyckich kapłanów, którzy emigrowali na północ, nazwano później Sy-billą. Nie było to jednak dziecko męża kobiety, ale jej kochanka, wysłannika francuskiego króla.

- O Boże, wiemy, dokąd to zmierza - powiedziała Grace.

- Rzeczywiście - mruknął Adrian. - Kiedy odkryto zdradę, jej mąż zabił Francuza. Jednak ostatecznie na świat przyszła zdrowa dziewczynka Sybilla, znana też jako Dar, bowiem posiadała niespotykane zdolności przepowiadania przyszłości. Niestety, jej matka powoli podupadała na zdrowiu i w końcu umarła, bo pękło jej serce.

- O Boże - powtórzyła Grace. - Dziecko znalazło się w sierocińcu?

Adrian skinął głową.

- Brat matki, znaczący jezuita, wziął dziecko i na rozkaz Kościoła przewiózł je do Francji, by oddać pod opiekę arcybiskupowi Paryża. Zabrał ze sobą liczną eskortę, składającą się z rycerzy, mnichów i szlachty, których nazywał po prostu strażnikami. Najprawdopodobniej to on nazaczył ich wszystkich symbolem, żeby nie zapomnieli o swoich obowiązkach i mogli się zawsze rozpoznać. Ale we Francji wydarzyło się coś złego. Dziecko zostało porwane przez szaleńca, zakonnika, który uważał dziewczynkę za wcielenie samego diabła. A może chciał ją wykorzystać do niegodziwych celów. Tak czy inaczej, Strażnicy ruszyli za nim przez Sekwanę na Ile Saint-Louis. Schwytany, początkowo udawał, że odda dziecko, a potem chciał się podpalić z małą, którą trzymał na rękach.

- Och! Czy dziewczynka zginęła? - podskoczyła Grace.

- Nie - Adrian pokręcił głową, ocierając czarne włosy o poduszkę. - Jej wujowi udało się uratować ją z płomieni i w wielkim pośpiechu Strażnicy wyruszyli w stronę Mostu Marii, który był jedyną drogą wiodącą do Paryża. Jednak w chwili, gdy jeźdźcy wjechali na most, niebo przecięła błyskawica.

Trafiony piorunem most, z ogromnym hukiem zawalił się do spienionej rzeki, posyłając na śmierć większość Strażników. Niektórzy twierdzili, że zarwanie się mostu było znakiem boskiego gniewu.

- Zarwanie się mostu? Jesteś pewien? - ostrym tonem rzuciła Grace.

- Tak Ale w tym wszystkim wujowi udało się uratować z dzieckiem i uciec do Szkocji. W obawie przed całym światem ukrył dziewczynkę w górach, gdzie wiodła prawie normalne życie. W końcu wyszła za mąż i urodziła dwanaścioro dzieci i wszystkie nosiły w sobie Dar. Strażnicy zostali wyznaczeni do opieki nad małymi dziećmi i kobietami.

- A opieka nad mężczyznami?
- Dorosły mężczyzna powinien sam strzec swojego honoru i swoich mocy, a często, jeśli przychodził na świat w określonym czasie, strzec innych.
- Podwójne obowiązki, prawda?

Utkwił spojrzenie w mroku pokoju i uśmiechnął się lekko.

- Być może.
- Czyli dostałeś ten znak przy urodzeniu?
- Nie, dopiero jako młodzieniec - odpowiedział. - Ale historia znaku gdzieś zaginęła w przeszłości. Jeśli nie liczyć tej starej legendy, którą ci przytoczyłem, nikt tak naprawdę nie pamięta wiele.
- Czy jesteście spokrewnieni z'Rance'em?
- Najprawdopodobniej. - Wzruszył ramionami. - Miał znak. Ja też miałem znak.
- Jak go zauważyłeś?

Adrian odwrócił się do niej z krzywym uśmiechem.

- Moja droga, jesteś zupełnie jak Anisha, nie przestajesz drażnić - stwierdził. - To było w domu rozpusty pewnego rodzaju, podczas orgii pełnej opium, mężczyzn i kobiet i jeszcze paru rzeczy. Tak, widziałem Lazonby'ego nago. Możemy już o tym nie rozmawiać?

Grace poczuła gorący rumieniec zawstydzenia, ale dopytywała dalej, płonąc z ciekawości.

- A więc wypalone piętno albo tatuaż znajdują się nie tylko na waszych ciałach, ale ten sam znak jest wryty na portykach waszych domów, wygrawerowany na zastawie stołowej, na spinkach do krawatu. I nikt tego nie zauważył?

Ponownie wzruszył ramionami.

- Ten sam symbol widnieje na nadprożach, na tarczach herbowych i na gobelinach w całej Francji i Szkocji, a także w odleglejszych miejscach. Co on oznacza? Nie wiemy. Wiemy tylko, że za młodu zostaliśmy naznaczeni i poznaliśmy tę samą historię, którą ci właśnie opo-

wiedziałem. Powiedziano nam, żeby powitać każdego naznaczonego w ten sposób jak brata i strzec go jak siebie samego.

- A... a czy wy wszyscy posiadacie Dar?

Na jego ustach znów zagościł cień uśmiechu.

- Moja droga, czyż ci nie mówiłem, że Dar jest tylko legendą?

Posłała mu leniwy, chytry uśmiech i przeciągnęła się jak Satin po drzemce.

- Widzę, że znaleźliśmy się w impasie - stwierdziła. - Proszę bardzo, miej swoje sekrety, skoro mi nie ufasz.

Usiadł gwałtownie, pociągając ją ze sobą.

- Grace, to nie tak.

- W porządku. To nie tak. Ale nawet gdybym miała rację, respektowałabym to. - Oparła rękę na muskularnej ścianie jego torsu i pocałowała go w usta. - Porozmawiajmy o czymś innym.

- Na przykład?

Pocałowała go ponownie, powoli, mocniej.

- Porozmawiajmy... o nas - mruknęła, odrobinę odsuwając usta.

- O nas?

- Chcę wiedzieć, czy będziesz moim kochankiem, Adrianie - wyszeptała. - Dopóki wszystko się tu nie wyjaśni z Napierem i będę mogła wrócić do Paryża. Zrobisz to? Jeśli będziemy bardzo ostrożni, bardzo dyskretni, zgodzisz się?

- Grace, to byłoby zbyt nierozsądne i ryzykowne - powiedział.

- Potrafisz temu zaradzić, tak jak to zrobiłeś dziś w nocy - rzekła, całując go znowu.

Spojrzał na nią z uwagą.

- Grace, czyżbyś uważała, że jesteś mi coś winna?

- Wiele ci zawdzięczam - przyznała. - Ale mnie chodzi o to, że jesteś wspaniałym, utalentowanym kochankiem. Oczarowałeś mnie swoim dotykiem. Szczerze mó-

więc, wątpię, żebym po wyjeździe z Anglii jeszcze kiedyś spotkała kogoś takiego jak ty. Chciałabym wyjechać bez poczucia żalu.

Rutłweyn uważnie przysłuchiwał się jej słowom, uczciwym i prostym, bez błagalnej, poruszającej serce nuty. Zaczynał rozumieć, że Grace należy do tych rzadko spotykanych kobiet, których uczciwość przyprawiała go o utratę tchu.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował z zapałem.

- A więc nie będziemy niczego żałować - wyszeptał.

Potem położył ją na plecach i ponownie zaczął ją kochać, tym razem ustami, rękoma i całym sercem.

I przez cały czas ani przez chwilę nie myślał o wrotach do piekła,

i wszystkim, co trzeba, co należy, a co powinien. Kiedy skończył, kiedy Grace krzyknęła cicho pod nim i drżąca zapadła w sen, wstał z łóżka i skierował się do gabinetu, żeby uczynić to, co już dawno powinien zrobić. Zaniósł swoją drewnianą szkatułkę do łazienki, wyrzucił jej zawartość do porcelanowej miski klozetowej i pociągnął za sznurek.

Może nie odpowiedział jeszcze na pytanie Grace. Ale z pewnością odpowiedział już sobie na jedno z własnych pytań.

Rozdział 11

Zgadywanka

I to jest wszystko? - Lord Lazonby złożył na powrót kartkę papieru i niecierpliwie postukał nią o blat klubowego stolika. - Poza liścikiem wsuniętym pod jej drzwi, czy to jest jedyny dowód, jaki Napier ma przeciwko Grace?

- Oczywiście to nie jest oryginał. Poleciałem Claytorowi skopiować go słowo po słowie. - Rutłweyn sięgnął po czajniczek z herbatą i przekonał się, że jest pusty.

Lazonby gwizdnął cicho.

- Gotów jestem się założyć, że ten stary zakuty łeb Royden musiał się nieźle wściec, kiedy zjawił się twój człowiek, żądając okazania dowodów. Oddałbym wszystko, żeby to zobaczyć - Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Trzymaj się od niego z daleka - ponuro rzucił Ruthveyn. - Jeśli się będziesz mieszał, zaszkodziś Grace.

- Dokładnie to samo powiedziałem jej parę dni temu w twojej oranżerii - zgodził się Lazonby w zamyśleniu. - Może potrzebny jest nam ktoś obdarzony większą intuicją. Ktoś taki jak Bessett, kto będzie w stanie odczytać prawdę z tego dokumentu.

- To by zadziałało, gdyby notatka była napisana ręką mordercy - zauważył Rutłweyn.

- Tak, i gdyby Bessett właśnie nie wyjechał do Yorkshire na żniwa - mruknął Lazonby. - Zresztą i tak byłby to daleki strzał. Co mi przypomina... gdzie byłeś przez

cały tydzień, stary? Sprawiasz wrażenie wyjątkowo wypoczętego. Widzę, że Londyn zaczyna ci dobrze robić.

- Trzymajmy się tematu - zasugerował Ruthveyn, pstrykając palcami na klubowego lokaja. Służący bez pytania pobiegł po więcej herbaty.

- I nie widziałem cię o siódmej rano od... chyba nigdy

- ciągnął Lazonby. - A może w ogóle nie kładłeś się spać.

Ale Ruthveyn rozłożył list i zajął się jego ponownym czytaniem.

- Czy możemy skupić się na kłopotach Grace, a nie na braku mojego życia towarzyskiego? - mruknął.

- Ostatnio dotarło do mnie, że mam teraz pod swoim dachem dwoje dzieci, a ty zająłeś moje pokoje na górze w klubie.

- Dokładnie mówiąc, twój apartament zajął ksiądz

- sprecyzował Lazonby. - A skoro o nim mowa, czy widziałeś, co przywiózł Sutherlandowi?

Cudownie ilustrowany manuskrypt. Znalazł go w ruinach na wyspie Man, gdzie podobno mieszkali kapłani druidów. Notatki w dziele Strabona *Geographica* wyjaśniają...

Ruthveyn podniósł rękę.

- Od kiedy interesujesz się starożytnymi tekstami? Nawet gdyby przywiózł Świętego Graala, nie tłumaczyłoby to, dlaczego zrezygnowałeś z mojego apartamentu

- powiedział.

Lazonby wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- W gruncie rzeczy spodziewałem się, że teraz mi za to podziękujesz.

Ruthveyn powoli wypuścił powietrze. Nie wiedział, czy dziękować Lazonby'emu, czy go przeklinać za to całe piekło, w którym żył po tym, jak kochał się Grace, piekło gorsze niż to, w jakim żył, gdy tylko jej pożałował. Chociaż teraz przynajmniej znowu sypiał po nocach.

Nie dotknął jej od tamtej nocy, nie zamienił słowa, jeśli nie liczyć błahych konwersacji przy obiedzie.

Snuł się po własnym domu jak cień, nigdy nie siedział długo

w jednym miejscu, przy każdej okazji obserwował ją ukradkiem. Czuł, że coś go zjada od wewnątrz, jakiś niepokój i pragnienie, znacznie głębsze i bardziej wyprowadzające z równowagi niż zwykle seksualne pożądanie.

Lazonby najwyraźniej zrozumiał, że posunął się za daleko.

- To jak mogę pomóc w związku z kłopotami Grace?

- zapytał.

Rutlweyn wymienił znaczące spojrzenie z przyjacielem. Łączył ich niejedyn sekret i o pewnych sprawach nie musieli nawet mówić.

- Znajdź mi Pinkiego Ringgolda - rzucił ponurym głosem. - Trzy dni temu Belkadi poprosił go, żeby sprawdził wszystkich okolicznych fałszerzy, którzy potrafiliby podrobić pismo Holdinga, ale nic od niego nie słyszeliśmy. Zniknął też z lokalu Quartermaine'a.

- Znajdę go - uśmiechnął się drapieżnie Lazonby.

- Zawsze mi to dobrze wychodzi w przypadku złodziei i morderców. Ale tak na marginesie, jak wyglądał oryginalny charakter pisma Holdinga?

- Zupełnie zwyczajnie. - Ramiona Rutlweyna opadły.

- Prawdę mówiąc, Rance, każdy mógł napisać tę notatkę, chociaż w pierwszej kolejności na myśl przychodzi Josiah Crane. Codziennie widział odręczne pismo Holdinga i miał całe biuro pełne próbek.

- Ale czemu miałby go zabijać? Przecież po nim nie dziedziczył.

- Chyba że przekona Fenellę Crane, by wyszła za niego za męża. Wówczas stałby się właścicielem całej firmy.

Lazonby gwizdnął.

- Dobry Boże! Jeśli więc przyjmiemy, że ten list zosta! sfalszowany, musimy również przyjąć, że wszystko zostało zaplanowane z premedytacją.

- Co masz na myśli, mówiąc jeśli? - zapytał groźnie Rutlweyn.

Lazonby ponownie zagwizdał.

- Jezus Maria, Adrianie, przecież wiem, że list jest sfalszowany! Nie musisz się bać o moją lojalność wobec ciebie czy Grace. Czy Napier może ją aresztować? - La-zonby w zamyśleniu zabębnił palcami po stole.

- Nie ośmieli się. Wie, że jest pod moją opieką. - Ruth-veyn ścisnął nos u nasady, żeby zapanować nad bólem głowy. - Ale na wszelki wypadek wysłałem St. Giles'a, żeby złożył wizytę paru znajomym urzędnikom magistratu i zadbał, aby nie zosta! wystawiony żaden nakaz aresztowania. Jeśli będę musiał, sięgnę jeszcze wyżej. Także Belkadi skłoni! jednego z lokajów Holdinga, żeby postarał się poznać wszelkie sekrety, jakie mogliby mieć jego pracownicy, więc...

-A ty uważałeś, że Belkadi przysparza samych kłopotów - przerwał mu Lazonby.

- Okazał się całkiem pomysłowy - przyznał Ruthveyn w chwili, gdy na stole pojawił się dzbanek ze świeżo zaparzoną herbatą. - A teraz, stary, chcę, żebyś poszedł w ślady Pinkiego i wyniósł się stąd.

- Czy powiedziałem coś nie tak? - Lazonby odsunął krzesło.

- Nie. Ale będę miał specjalnych gości na śniadaniu, Napiera i Quartermaine'a.

- Napiera i Neda Quartermaine'a? - powtórzył Lazonby. - Rozum ci odjęło?

- Podejrzewam, że obaj będą bardzo zaskoczeni. - Ruthveyn spokojnie nalał sobie herbaty do filiżanki.

- Ale uważam, że najwyższy czas, żeby się poznali, nie sądzisz?

Lazonby wzruszył ramionami i wyszedł z jadalni.

Ruthveyn chwycił egzemplarz „Chronicie” i rozłożył na stole. Nagłówek na pierwszej stronie, będący przyczyną jego narastającego bólu głowy, nadal bił go w oczy, urągający i złowróźbny: *Nikogo nie aresztowano w sprawie morderstwa przy Belgrave Square.*

Artykuł przedstawiał nieciekawy obraz uzbrojonych po zęby bogaczy z Belgravii oraz obojętnej, nieangażują-

cej się w wyjaśnienie sprawy policji. Nie był to rodzaj krytyki, który stojący na czele Ministerstwa Spraw Wewnętrznych sir George Grey, będzie w stanie długo tolerować. Jeszcze parę takich artykułów, a posypią się żądania aresztowania ze strony najważniejszych osób w kraju. Ruthveyn ciekaw był, czy ten dziennikarski paszkwil zawdzięczał Jackowi Coldwaterowi.

Na tę myśl podniósł się i wyrzucił gazetę do kosza na śmieci, po czym kopnął go w kąt.

* * *

Grace właśnie kończyła pić kawę, gdy do jadalni wszedł lord Lucan Forsythe, ubrany w modną kamizelkę w paski, ze starannie ułożoną szopą złocistych loków. Pomyślała kwaśno, że marzeniem wielu młodych panien byłoby przejechanie dłonią po tych lokach.

Lucan zatrzymał się w progu.

- Mademoiselle Gauthier! - zawołał, jakby nigdy nie jadła śniadania o siódmej rano. - Dzień dobry.

Czyżbym miał przyjemność dotrzymać pani towarzystwa przy kawie i zapiekance z ryby?

- Na to wygląda, lordzie Lucanie.

Grace spojrzała na niego sponad filiżanki i westchnęła w duchu. Było jej smutno i nie miała nastroju na żadne towarzystwo. Zmusiła się, żeby dodać:

- Wcześniej pan wstał. Chyba przygotowuje się pan do porannego spaceru.

- Tak, tak, do spaceru!

Lord Lucan uśmiechnął się z napięciem, od razu skierował się ku bufetowi pod ścianą i zaczął nakładać sobie jedzenie na talerz. Tak jak starszy brat wygląda! niczym diabeł wcielony, młody człowiek przypominał z wyglądu anioła. Jednak Grace miała wrażenie, że to właśnie lord Lucan miał złe skłonności. Zawstydziała się nieco swoich myśli i złagodniała.

A więc wstał wczesnym rankiem. I co z tego? Był wobec niej miły i flirtował z nią tylko odrobinę, zwłaszcza od kiedy zagoiła mu się rana na rękę po wbitym widelcu. Świetnie sobie radził z chłopcami i spędzał z nimi wiele czasu, chociaż Grace niedawno odkryła, dlaczego. Miał dług zaciągnięty u siostry.

Odwrócił się od bufetu i z brzękiem postawił talerz na stole.

- *Mademoiselle*, czy mogę pani dolać gorącej kawy?

- Kawy? - Grace oderwała wzrok od imponującej góry zapiekanki na jego talerzu. - Och, tak. *Merci*.

- Z cukrem? - zapytał, nalewając.

- Piję czarną, bez niczego.

- Czy mogę nałożyć pani zapiekanki?

- Nie, ale jest pan bardzo miły.

Uśmiechnął się ponownie z lekkim napięciem. Teraz Grace była już tego zupełnie pewna. O coś mu chodziło. W takich sprawach intuicja zwykle jej nie zawodziła.

Lord Lucan usiadł przy stole i strzepnął serwetkę.

- Czy ma pani jakieś plany na dziś? - zapytał uprzejmie.

Grace uniosła brwi.

- Poza zajęciami guwernantki? Nie. Obowiązki wypełnią mi cały dzień - odpowiedziała lekko.

- Ojej. To musi być bardzo uciążliwe. - Zrobił współczującą minę.

- Życzę więc, lordzie Lucanie, żeby nigdy nie musiał pan podejmować pracy zarobkowej. To bardzo ogranicza życie towarzyskie - zaważyła.

Roześmiał się, jakby była najmądrzejszą istotą na świecie.

- Mój brat na pewno podziękuje pani za tę radę, *mademoiselle*. Zastanawiałem się też nad spacerem - dodał. - *Oui?* - mruknęła Grace z zamierającym uśmiechem.

- Zastanawiałem się, czy dałaby się pani namówić i pójść z chłopcami zamiast mnie? Widzi pani, mój przy-

jaciel Frankie, to znaczy Francis Fitzwater, jest w dość kiepskim stanie i kolega poprosił mnie, żebym go odwiedził i zobaczył...

- Frankie Fitzwater - cierpki głos dobiegał od strony drzwi - jest czarującym, do cna zepsutym chłopcem. Ma zły wpływ na innych. Jest źle wychowany. Czasem nawet zachowuje się po chamsku. A jeśli jest w kiepskim stanie, to z pewnością ma to coś wspólnego z końmi. A raczej z końskimi wyścigami. Albo z grą w karty. Lub z czymś jeszcze gorszym.

Grace odwróciła głowę i zobaczyła lady Aniszę stojącą w drzwiach z rękami założonymi na piersiach.

- Dzień dobry, Nish. Ślicznie dziś wyglądasz. - Młodzieniec podskoczył, żeby podać jej krzesło.

- Gadasz głupstwa, Luc. - Anisha weszła do jadalni. - A nawiasem mówiąc, w piątek jest dzień Świętego Michała. Jeśli więc masz zamiar umknąć przed ustalonymi obowiązkami, możesz spłacić swój dług nie własną pracą, ale pieniędzmi ze swoich dochodów. Jednak do tego czasu, jeżeli chcesz się zwolnić ze swoich dwóch godzin z chłopcami, rozmawiaj ze mną, a nie z Grace.

Luc spuścił głowę.

- Dobrze, wezmę chłopców. Dałem ci słowo dżentelmena i go dotrzymam - powiedział.

- Świetnie - odparła siostra.

- Ale Frankie naprawdę jest w złym stanie, przysięgam ci, Nash. - Lord Lucan spoglądał oczami wygłodniałego bassetta. - Kochanka go przegnała i pił przez trzy dni, od piątku do poniedziałku. A teraz Morrison mówi, że nie mogą go wyciągnąć z łóżka. Pomyślałem... pomyślałem, że obu nam poprawi się humor, jeśli poproszę, żeby poszedł dziś ze mną do Tattersall kupić to szare ubranie.

Anisha w milczeniu naląła sobie kawy, nałożyła jedzenie na talerz i usiadła przy stole. Wzięła do ust kęs zapiekanki i z przekleństwem wbiła widelec w resztę.

- Do licha, Luc, nie patrz tak na mnie! Uważasz mnie za zupełną idiotkę?
- Nie, oczywiście, że nie - Luc ponownie zwiesił głowę. - Uważam, że jesteś życzliwa. I masz litość w sercu. Tak, jak... jak mademoiselle Gauthier.

Anisha cisnęła widelec.

- Do diabła! - rzuciła pod nos. - No to idź. Ale następnym razem chciałabym usłyszeć nazwisko Fran-kiego Fitzwatera przy okazji czytania nekrologów w gazecie!

Lord Lucan, zapominając o górze jedzenia na talerzu, zerwał się, głośno ucałował siostrę i wybiegł.

Anisha oparła łokcie na stole i złapała się za głowę.

- O Boże, jakąż jestem głupia: Grace odchrząknęła.

- Gdy tylko wszedł do jadalni, od razu wiedziałam, że coś knuje - stwierdziła. - Z przyjemnością wezmę chłopców na spacer. To moja praca.

Anisha wstała i podeszła do jednego z ogromnych okien wychodzącego na ogród na tyłach domu.

- Prawdę mówiąc, ta mgła nie rozejdzie się przez najbliższą godzinę. Nie ma pośpiechu - odezwała się, jednym palcem uchylając zasłonę.

- Jak pani sobie życzy - powiedziała Grace. Miała jednak dziwne wrażenie, że lady Anishy chodzi o coś więcej. Odsunęła krzesło z zamiarem odejścia.

- Och, proszę jeszcze nie odchodzić. Proszę się jeszcze napić kawy - rzekła lady Anisha.

Grace posłuchała, zastanawiając się jednocześnie, czy można utopić się w kawie. Od trzech dni ta kobieta obrzucała ją badawczymi spojrzeniami, chociaż nie mogła nic wiedzieć. Ale teraz w oczach Anishy tliło się coś więcej. Spekulacja.

Cóż, obie mogą walczyć tą samą bronią.

Anisha odstawiła dzbanek.

- Czy to nie dziwne, ile czasu Adrian spędza w domu? I jaki jest niespokojny? O co może chodzić? - rzuciła w zamyśleniu.

Grace zawahała się przed udzieleniem odpowiedzi. Sama chciałaby wiedzieć, o co chodzi. Przez cały tydzień Ruthveyn obchodził ją szerokim łukiem, jednak często czuła na sobie jego palący wzrok. A w nocy czuła dotyk jego gorących dłoni, usta nieustannie błędzące po jej ciele, a nawet ciężar jego ciała. Ale to były tylko wspomnienia. Owszem, bardzo żywe i niebezpiecznie bliskie jej sercu. Jednak Ruthweyn nie zaprosił jej ponownie do swojego łóżka i Grace była absolutnie pewna, że nigdy tego nie zrobi. Być może bez narkotycznej euforii nie była warta ryzyka.

- Z pewnością nie mogę spekulować na temat lorda Ruthweyna - powiedziała Grace. - Ale skoro rozmawiamy o dziwnym zachowaniu, miałam zamiar wspomnieć pani o osobliwym postępku Teddy'ego. Kiedy był chory w niedzielę, zauważyłam, że sobie narysował coś dziwnego na ramieniu. - Naprawdę? - Anisha powróciła do śniadania. - Cóż, niemal wszystko, co robi Teddy, jest dziwne. Co narysował? Mam nadzieję, że nie fragmenty kobiecej anatomii, bo rozmawialiśmy już na ten temat. Grace nie mogła się nie roześmiać: to było takie typowe dla Teddy'ego.

- Nie, narysował ten dziwny symbol ze spinki do krawata lorda Ruthweyna. Ten ze złotym krzyżem. Kiedy zapytałam o to Teddy'ego, odparł, że jego dziadek miał taki znak - wyjaśniła. Lady Anisha na moment zbladła. A potem powiedziała z machnięciem ręki:

- Ach, to. To taka rodzinna tradycja. Zwykły tatuaż. Proszę się tym nie przejmować.
- Rodzinna tradycja - powtórzyła Grace.

- O co chodzi? Czyżby widziała pani przypadkiem ten symbol gdzie indziej? Bo jeśli tak, to mogłybyśmy o tym porozmawiać, jak na dorosłe damy przystało.

- Po prostu znak wydał mi się dziwnie znajomy - odrzekła spokojnie. - Czy pani bracia też go mają? Siedząca na drugim końcu stołu lady Anisha obrzuciła ją badawczym spojrzeniem.

- Cóż, nie jestem pewna. Chyba każdy może sam o tym zdecydować. A co pani sądzi? Gdyby miała pani zgadywać? - zagadnęła w końcu.

- Gdybym miała zgadywać - Grace mówiła wolno - powiedziałabym, że Ruthveyn ma tatuaż, a lord Lucan nie.

- Hm, ciekawe - rzuciła Anisha.

- A gdyby chciała pani wiedzieć'na pewno, czy brat sypia ze służącą, powinna chyba pani sama go o to zapytać - dodała Grace.

Lady Anisha odetchnęła tak głęboko, że zakrztusiła się kawą i musiała gwałtownie wykasłać się w serwetkę.

- To dopiero bezpośrednio stwierdzenie, Grace' - powiedziała, gdy doszła do siebie. - Ale, jeśli mam być szczerą, już go o to pytałam. I jak zwykle nic mi nie chciał powiedzieć.

- Cóż, pani brat nie jest głupi. Śmiem twierdzić, że potrafi odróżnić kobietę chcącą tylko wbić w niego swoje pazury od takiej, która po prostu ceni go takim, jaki jest i ma nadzieję ułożyć sobie życie. Tak bym zgadywała - spokojnie stwierdziła Grace.

- Chyba dobrze pani zgaduje - zauważyła Anisha.

- Tak. I dobrze gram w karty - dodała Grace - Jeśli nie liczyć mojego błędu, kiedy grałam z Rance'em Welhamem... o, przepraszam, z lordem Lazonby. Ale to przestałam robić wiele lat temu.

Na twarzy Anishy pojawił się chytry uśmiech.

- Tak, pod żadnym pozorem nie może pani grać z tym hultajem. Tak dobrze gra w karty, że każdy myśli, iż

oszukuje. Z grubsza z tego powodu został oskarżony o morderstwo.

- Przepraszam, ale nie rozumiem.

- Myślę, że był tak dobry, iż ktoś uznał, że musi oszukiwać. Ale ponieważ nie umieli go przyłapać na oszustwie, sami postanowili zagrać nieuczciwie.

- Chodzi pani o lorda Percy'ego Peverila? - zapytała Grace.

Anisha wzruszyła szczupłymi ramionami i wzięła do ręki filiżankę z kawą.

- Wszystko świadczy o tym, że był zupełnym kretynem. Nie, to musiał być ktoś inny. Ale to tylko moje przypuszczenia - rzekła w zamyśleniu.

- Obie dzisiaj dużo zgadujemy - zauważyła Grace. - Jak pani sądzi, czy lord Lazonby też ma taki znak? A jeśli tak, to gdzie?

Anisha uniosła brwi.

- Cóż, podejrzewam, że ma. Ale nie potrafię powiedzieć, gdzie.

Grace zawahała się przez moment.

- Ja potrafię - stwierdziła.

Podniosła się od stołu, zamknęła drzwi i opowiedziała historię żony porucznika.

- Miałam wtedy dwadzieścia jeden lat i wychowywałam się w armii, gdzie nie panują najelegantsze obyczaje. Ale opowieść tamtej kobiety była tak dokładna w szczegółach, że zapadła mi w pamięć - dodała widząc, że Anishy oczy wychodzą na wierzch.

- W jakich szczegółach? - Anisha cała zamieniła się w słuch.

- Dotyczących tego znaku. Kiedy go opisała, miałam absolutną pewność, że już go gdzieś widziałam - wyjaśniła Grace.

- W Afryce Północnej? To chyba niezbyt prawdopodobne?

- Cóż, to zależy, co dokładnie ten symbol oznacza - odpowiedziała Grace.

Lady Anisha odsunęła krzesło i wstała.

- Uważam, że najlepiej będzie, jeśli przygotujemy się do spaceru. Będziemy mogli porozmawiać o wielu rzeczach. Oczywiście mam na myśli przyrodę - powiedziała.

W ostatniej chwili Grace złapała ją za ramię.

- Teddy powiedział mi jeszcze coś. Powiedział, że służący wierzą, iż lord Rutłweyn potrafi spojrzeć komuś w oczy i odczytać z nich godzinę jego śmierci - rzekła spokojnie.

Krew odpłynęła z oblicza Anishy. W pokoju zapadła cisza.

- Wielki Boże - wyszeptała w końcu. - Jesteśmy tutaj niespełna pół roku. Szybko wymyślają niestworzone historie, prawda?

- Służący zawsze będą mówić - pocieszyła ją Grace - ale Teddy przede wszystkim wydawał się tym bardzo ubawiony. Jeśli zaś chodzi o mnie, to nie zamierzam nikomu przysparzać kłopotów. Na pewno nie będę powtarzać plotek, no, z wyjątkiem anegdoty o pośladkach Rance'a.

- To była dobra opowiadka - przyznała z uśmiechem Anisha.

- Za dobra, żeby się nią nie podzielić - uśmiechnęła się w odpowiedzi Grace. - A wracając do pani brata, Anisho, musi mi pani uwierzyć, że nie chcę mu wyrządzić krzywdy. Nigdy mu się nie odwdzięczę za to, co dla mnie uczynił. Ale martwię się o niego. Mam nadzieję, że powie mi pani, jeśli uzna, iż mogłabym coś zrobić, aby mu pomóc.

- Albo nie. To znaczy nie robić. Bo mój brat sam decyduje o sobie, Grace - stwierdziła Anisha.

- To świetnie - uśmiechnęła się Grace i otworzyła drzwi. - Chyba zawarłyśmy dżentelmeńską umowę.

* * *

- To jakiś żart? - Royden Napier cisnął kartkę na stół śniadaniowy.

- Skądże znowu - zaprzeczył Ruthveyn, siadając na krześle i wskazując mu sąsiednie. - To jest śniadanie. Spróbuj śledzi, są naprawdę wyśmienite.

Siedzący po drugiej stronie stołu Ned Ouartermaine wyciągnął swoje długie nogi i zaplótł szczupłe palce.

- Twoja bezczelność nie ma granic. - Napier ponownie wziął do ręki kartkę. - Ściągnąłeś mnie pod pretekstem, o tutaj, niech spojrzę, „przełomowych informacji w sprawie morderstwa Holdinga”.

Jakbyś i bez tego nie był uciążliwym problemem dla wszystkich spod numeru cztery! Masz pojęcie, co by powiedział sir George o moich kontaktach z bukmacherem i miłośnikiem wyścigów konnych?

- Strach pomyśleć, co? - odezwał się Ouartermaine. - Może zapytam go o to, kiedy następnym razem odwiedzi mój klub.

Napier zeszywniał. Wargi mu zbieleły.

- Na miłość boską, siadaj wreszcie - machnął ręką Rutłweyn. - My, Szkoci, musimy pogodzić się z faktem, że połowa Londynu jest zadłużona u takich ludzi, jak mój szacowny sprzymierzeniec.

- Jestem człowiekiem interesu, Napier, i nie mogę poświęcić panu całego dnia. Lordowi Rutłweynowi udało się mnie przekonać, że w moim najlepiej pojętym interesie leży podzielenie się z panem pewnymi informacjami. Daję panu pięć minut z mojego niezwykle cennego czasu. Czy chce pan usłyszeć, co mam do powiedzenia? Czy też mam przekazać informacje bezpośrednio sir George'owi?

Tak, naprawdę widuję go od czasu do czasu.

Z tymi słowy wyjął jeszcze jedną kartkę i położył ją na stole.

Komisarz odsunął krzesło i usiadł.

- Przepraszam, ale obecny tu Ruthveyn uważa, że może łamać obowiązujące w tym kraju prawo - rzeki sztywno.

Na skinienie ręki Rutłweyna przyniesiono gorący półmisek i postawiono na stole.

- Proszę spróbować dla poprawy humoru - zasugerował.

Napier łypnął spode łba, ale Ouartermaine z zainteresowaniem spojrzął na talerz.

- Co to jest?

- Makrouty, rodzaj pieczonych ciasteczek nadziewanych owocami i oblewanych miodem. Belkadi nauczył naszego szefa kuchni przygotowywać ten specjał i inne frykasy.

- Może ja też się nauczę - powiedział Quartermaine, którego zamiłowanie do dobrego jedzenia nie było sekretem.

Wyciągnęli równocześnie ręce i otarli się dłońmi. Ruthveyn na moment spojrzął w oczy Quartermaine'a. Poczul ostry błysk światła w skroniach i na mgnienie oka ujrzał obraz, jak scenkę za oknem, która przemyka przed oczami w czasie podróży powozem.

Cofnął gwałtownie rękę.

- Proszę, ja wezmę później.

Quartermaine wziął ciasteczko, zaczął je obracać w palcach, potem ugryzł i z zadowoleniem zaczął smakować.

- O, piekielnie dobre - stwierdził.

- Wspaniałe, prawda? - zgodził się Rutłweyn. - A to mi coś nasuwa na myśl, Ouartermaine. Czy wiesz, co Berberowie robią z człowiekiem, który próbuje ich okraść?

- Nie mam zielonego pojęcia - odparł Ouartermaine, unosząc ciasteczko do ust.

- Obcinają mu rękę, tę, którą się je. Ouartermaine zakrztusił się ciasteczkiem.

- Jesteś praworęczny, Ouartermaine? - mruknął Ruthveyn. - Tak, tego właśnie się obawiałem.

Namawiam cię do ponownego zastanowienia się nad twoją strategią.

Quartermaine'owi udało się w końcu przełknąć.

- A uważasz, że co konkretnie mam zamiar ukraść?

- zażądał odpowiedzi.

- Szefa kuchni. Belkadi bardzo źle mógłby na to zareagować. Proponuję, żebyś zrezygnował ze spotkania z kucharzem, a zamiast tego dał ogłoszenie do „Timesa”

- rzekł Rutłweyn.

Przez chwilę Ouartermaine wyglądał, jakby miał go trafić szlag. Odłożył na talerz resztkę ciastka i podsunął Roydenowi Napierowi kartkę.

-Jestem potrzebny po drugiej stronie ulicy. To jest informacja, której pan szuka. Proszę dać znać, jeśli będziecie mieć jeszcze jakieś pytania - powiedział.

Napier rozłożył kartkę i przebiegł ją wzrokiem.

- Co to za spis?

- Długów karcianych Josiaha Crane'a - warknął Ouartermaine. - Z nazwiskiem wierzyciela lub adresem, z datą zaciągnięcia długu i informacją, czy został spłacony, czy też nie. Jak widać, na nieszczęście dla pana Cra-ne'a znakomita większość jest nieuregulowana.

- Słodki Jezu... - wyszeptał pod nosem Napier. Ouartermaine odsunął talerzyk z resztką ciasteczka.

- A ty - obrzucił ponurym spojrzeniem Rutłweyna - będziesz pamiętać, mam nadzieję, o naszej umowie? Nigdy nie pokazuj się w moim lokalu.

Rutłweyn tylko się uśmiechnął.

- Jeśli chodzi o tę historię z obcinaniem rąk, chyba pomyliłem Berberów z Arabami. Wydaje mi się, że Berberowie od razu podrzynają gardło - mruknął.

Ouartermaine uśmiechnął się szyderczo, złożył Ruthveynowi wulgarną i anatomicznie niewykonalną propozycję, po czym wyszedł z pokoju. Ale wyraźnie pobladł. Ouartermaine nie był tchórzem, lecz tylko głupiec chciałby narazić się Belkadiemu. Rutłweyn pomyślał, że byłaby to interesująca rozgrywka.

Wzruszył ramionami i wziął do ręki pozostawione przez Quartermaine'a ciasteczko.

- Prawdziwy Szkot nie może pozwolić, żeby się zmarnowało, prawda, Napier? - rzucił, wsadzając makrouta do ust.

Jednak komisarz nadal wpatrywał się w listę długów.

- Od jak dawna o tym wiesz? - zapytał głuchym tonem.

- O szczegółach? - powiedział Rutłweyn, przełykając ostatni kęs i wstając od stołu. - Uważam też, że przyszedł czas, aby wyprawić się na drugi brzeg rzeki.

Napier wstał i ruszył za nim.

- Co? - rzucił niepewnie. - Gdzie?

- Do Rotherhithe - odpowiedział Rutłweyn, kierując się ku schodom. - Do portu handlowego w Surrey. Mam wielką ochotę poznać bliżej Josiaha Crane'a.

Na półpiętrze Napier złapał go za ramię.

- Do diabła, Rutłweyn! Znowu wtrącasz się w policyjne dochodzenie. Nie pozwolę na to.

Rutłweyn pohamował irytację.

- Z całym szacunkiem, Napier, gdyby nie ja, nie prowadzilibyście tego śledztwa, a przynajmniej tej jego części. Człowiek pokroju Quartermaine'a nie rozmawiałby z policją nawet gdyby zwisał z mostu, trzymając się jedynie paznokciami, a ty byłbyś jedynym przechodniem.

- Do diabła, to nie...

- Teraz jadę do Rotherhithe - powiedział Rutłweyn, zagłuszając go. - Jestem zwykłym obywatelem i mam do tego pełne prawo. Nie możesz mnie powstrzymać. Radzę, żebyś nie próbował. Ba, sugeruję, żebyś udał się tam ze mną.

Komisarz zacisnął usta.

- Zrobisz wszystko, żeby odwrócić zainteresowanie od tej kobiety i chronić ją, prawda? - zazgrzytał zębami.

- Owszem - odparł ostro Rutłweyn. - Zrobię wszystko. Idziesz czy nie?

- Czy to rozkaz, milordzie? - warknął Napier. - Jeśli tak, po prostu to powiedz. Nie mam ochoty na kolejną wizytę sir Greville'a Steele mówiącego mi, jak mam wykonywać swoją pracę, zwłaszcza kiedy stoję z dokumentami pośród urzędników magistratu.

- Posunąłeś się tak daleko? - Rutłweyn starał się opanować nagłą falę strachu. - Tak czy inaczej, marnujesz tylko czas, Napier. Mademoiselle Gauthier jest niewinna.

- Jeśli tak uważasz, to oszalałeś na punkcie tej kobiety. Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewał. Zawsze słyszałem, że nie masz serca.

- Też to słyszałem - lekko uśmiechnął się Rutłweyn. - No to jak, pójdziemy nad rzekę? Czy pojedziemy moim powozem? Jest lepiej resorowany niż dwukółka.

Napier wyrwał płaszcz z rąk stojącego w pogotowiu lokaja.

- Chyba lepiej będzie, jeśli pójdę, bo inaczej wszystko zepsujesz - warknął.

Rutłweyn wskazał komisarzowi drzwi.

- Prowadź.

Wyszli na zewnątrz, w gęstą, żółtawobiałą mgłę, przesyconą zapachem palonego węgla, końskiego łajna i fetorem znad przepływającej obok rzeki. Rutłweyn pomyślał, że nigdy nie przyzwyczai się do tego smrodu, który mógł wypalić włosy w nosie. Ale była to część tajemnicy Londynu, welon ukrywający tysiące grzechów, niechętnie ujawniający sekrety miasta. Ironią było to, że wybierali się do Josiaha Crane'a, żeby unieść zasłonę znad jego tajemnic.

- Myślę, że rozsądniej będzie pojechać powozem - rzucił, bezskutecznie usiłując dostrzec drzwi wejściowe do klubu Quartermaine'a po drugiej stronie ulicy.

Napier burknął coś potakująco i Rutłweyn skinieniem ręki przywołał powóz. Czekali cierpliwie na chodniku w milczeniu, które spotęgowało się jeszcze, gdy wsiedli do pojazdu.

- Chciałbym wiedzieć tylko jedno - przerwa! ciszę Napier, gdy skręcali na rogu St. James Street. Rutłweyn pytająco uniósł brwi.

- Skąd wiedziałeś? - Napier odwrócił się i zaczął wyglądać za okno. - Skąd wiedziałeś, że Quartermaine usiłuje ukraść Belkadiemu szefa kuchni?

Ale Ruthveyn, nic nie mówiąc, rozsiadł się wygodnie na siedzeniu.

* * *

W Surrey portowy Londyn kipiał życiem, zaczynając od tragarzy pędzących pośród mgły z ogromnymi ciężarami na barkach, a na przewoźnikach łodzi towarowych, pływających w tę i z powrotem pomiędzy statkami i nabrzeżem, kończąc. Brodgen sprawnie manewrował powozem Rutłweyna po ruchliwej Rotherhithe Street, wciskając się pomiędzy wóz załadowany workami ziarna i stos klepek, które rozsypały się na bruk.

Tak jak mówiła Grace, biura firmy Crane and Holding znajdowały się przy Swan Lane, pod numerem trzydziestym piątym, tuż obok Albion Yard i głównego doku. Jednak w nieszczęsnej mgłę Brodgen niemal je minął, po czym w ostatniej chwili skręcił, zarzucając Napiera na bok powozu. Komisarz zaklął pod nosem i zmierzył Rutłweyna kolejnym ponurym spojrzeniem, jakby uważał go za osobiście odpowiedzialnego za to zdarzenie.

Na ile Rutłweyn był w stanie dojrzeć we mgłę, biura wyglądały podobnie jak pozostałe budynki w tej części Londynu, to znaczy były zniszczone przez deszcze i wiatry.

Wewnątrz niewielkiego holu czekało kilku interesantów. Jeden trzymał pod pachą zwinięte w rulon rysunki, dwaj pozostali mieli na sobie ciepłe robocze ubranie. Rutłweyn domyślał się, że byli to nadzorcy robotników.

Za wąskim kontuarem, za wysokim biurkiem siedział pryszczaty młodzieniec, który zaznaczał coś

w oprawionej w zielone płótno księdze, wyglądającej na księgę rachunkową. Rutłweyn zbliżył się i chrząknął. Szybko jednak przekonał się, że jego podróż była nadaremna.

- W cz... cz... czym mogę panom pomóc? - Młodzieniec wstał od biurka. Twarz mu poczerwieniała. Rutłweyn uśmiechnął się i wyciągnął do młodego człowieka dłoń ze swoją wizytówką.

- Chciałbym porozmawiać z Josiahem Crane. To jest mój znajomy, pan Napier - powiedział. Ale ku irytacji Rutłweyna młodzieniec nie spojrzał na niego ani nie przyjął wizytówki.

- Bar... bar... bardzo mi przykro, milordzie, ale pana Crane'a nie ma i nie spodziewamy się go tu dzisiaj.

Ta przemowa brzmiała jak recytacja i Rutłweyn pomyślał, że chłopak pewnie dość często musiał ją wygłaszać. W tym momencie drzwi za kontuarem otworzyły się i do holu z szelestem sukni weszła ubrana na czarno dama w welonie. W jednej ręce trzymała koszyk, na ramiona zarzuciła sobie cienki płaszcz.

- Chyba powinnam wziąć księgę rachunkową i pocztę, Jim - powiedziała, odwracając się. Była to Fenella Crane, ubrana do wyjścia.

- Dzień dobry, panno Crane - odezwał się Rutłweyn. Odwróciła głowę w stronę kontuaru.

- Przepraszam, ale nie zauważyłam panów. Lord Ruth-veyn, nieprawdaż?

Rutłweyn ściągnął kapelusz z głowy i ukłonił się.

- W rzeczy samej. Miło mi znów panią widzieć. - Przesunął się. - Czy poznała pani już mojego znajomego, pana Napiera?

- Kogo? O tak. Jak się pan miewa?

Wyraźnie się skuliła i Rutłweyn natychmiast poczuł się jak łajdak. Oczywiście, że spotkała już Napiera tej nocy, gdy został zamordowany jej brat, i prawdopodobnie jeszcze wiele razy później.

Nieśmiały, jękający się młodzieniec zamknął księgę rachunkową i wręczył ją dziewczynie. Rutlweyn zauważył, że poczerwieniała na twarzy i wyglądała niezbyt dobrze. To musiał być stres.

- Czy jest tu gdzieś miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać bez świadków, panno Crane? - zapytał spokojnie, gdy się zbliżyła.

- Ależ naturalnie. - Wsunęła księgę pod ramię i, wskazując na kontuar, dodała: - Proszę podnieść ten łańcuch i wejść do środka.

Ruszyli za nią do niewielkiego, wyraźnie nieużywanego gabinetu. Nieliczne meble pokrywała warstwa kurzu, a okna były zasłonięte.

Rutlweyn otworzył się na emocje obecne w pomieszczeniu, ale nie wyczuwał nic, poza tętniącym pośpiechem, który dostrzegł już wcześniej. Dzięki Bogu nie widział żadnych nieżywych królików ani zakrwawionego śniegu. Znow zaczął się zastanawiać, czy jego wizje nie były czymś nienormalnym.

Czy pannie Crane groziło niebezpieczeństwo? A jeśli tak, to kto jej zagrażał?

Panna Crane nie usiadła, nie zaproponowała też im, by usiedli. Gdy tylko drzwi się zamknęły, odwróciła się do Napiera.

- Czy coś się stało? Czy schwytano mordercę Ethana? - zapytała niskim głosem, bez tchu.

Napier pokręcił głową.

- Jeszcze nie, ale...

- Ale mieliśmy nadzieję, że porozmawiamy o tej sprawie z panem Crane - wtrącił się Rutlweyn. -

Mamy pytania dotyczące finansów. Rozumiem, że go tu nie ma?

Komisarz obrzucił go wściekłym spojrzeniem, a panna Crane zwróciła się do Rutlweyna.

- Tak, jest chory - powiedziała, obracając się, żeby postawić koszyk na biurku. - Mój biedny kuzyn cierpi na.... aaaah!

Z wrzaskiem odskoczyła od mebla, gdy coś wypadło spod niego i przebiegło po bucie Napiera.

- Co to jest, u diabła? - Mężczyzna cofnął się gwałtownie.

- Och! - Panna Crane przyłożyła ręce do serca.

- Chyba zwykły szczur - rzekł Rutlweyn, klękając, żeby zobaczyć, gdzie znikło stworzenie. Ale nic nie zauważył.

- Nigdy się do tego nie przyzwyczaję - stwierdziła panna Crane. - Ale to jest ryzyko związane z pracą w porcie.

Opuściła rękę i kopnięciem posiała pod biurko białą, kanciastą puszkę.

- Josiah mówi Jimowi, że musi wykładać truciznę i raz w miesiącu wzywać tępiciele szczurów, ale wątpię, żeby go słuchał.

- Może przydałby się kot? - podsunął Rutlweyn.

- Uważam, że koty są niezastąpione. Ale co pani mówiła wcześniej?

- O tak, o Josiahu. Ma dolegliwości wątrobowe, lecz tak naprawdę nie jest w formie od kiedy... cóż, od kiedy spadła na niego ta dodatkowa odpowiedzialność. Może mogliby panowie zajrzeć za dzień czy dwa? Uprzedzę go o tym.

Rutlweyn zerknął na koszyk. Obok szklanego słoika z czymś, co wyglądało na zioła, znajdowała się tam też zwinięta gazeta i, sądząc po zapachu, kawałek świeżego chleba owinięty w ściereczkę.

- Wybiera się pani do niego z wizytą? - zapyta! Ruth-veyn.

- Poprosił mnie o to. Pomyślałam więc, że mogę zabrać jego pocztę i może jeszcze księgę rachunkową na wypadek, gdyby poczuł chęć... zrobienia z nią czegoś.

- Tu machnęła zamasyście ręką.

- Czy to jest bezpieczne, *madami* - zapytał Napier. Odwróciła się do niego.

- Słucham?

Napier wymienił ostrożne spojrzenie z Ruthveynem.

- Może lepiej by było, dopóki wszystko się nie wyjaśni...

- Chyba nie chce pan powiedzieć, że mój kuzyn ma coś wspólnego z tą okropną sprawą!

- Nikogo nie możemy przestać podejrzewać - powiedział Napier.

- Co za nonsens! - Panna Crane trzęsła się z oburzenia. - Mój kuzyn nie ma takich skłonności, *sir*.

Naprawdę przejechaliście taki szmat drogi, kierując się tak niedorzecznymi podejrzeniami?

- Z tego, co wiemy, nie aprobował postępowania Ethana Holdinga, który wyeliminował konkurencję biznesową przez zaniżenie wartości kontraktów - rzucił Ruthveyn. - Może to było powodem ich kłótni w nocy, kiedy zginął Holding?

- Kłótni? - skrzywiła się panna Crane. - Może się trochę posprzeczali, ale to wszystko. Co dokładnie panowie sugerują?

Ruthweyn i Napier znowu wymienili spojrzenia.

- Och, chwileczkę, już rozumiem. Zatrudnił pan tę kobietę, prawda? Podejrzewam, że panu również zawróciła w głowie. Naprawdę, to nie jest pański interes! - Następnie zaatakowała Napiera. - A pan zasugerował mi i pani Lester, że to ona jest morderczynią! Mój Boże, czy widział pan artykuł w dzisiejszej „Chronicie”? Może Holding postąpił głupio, ale wy nie robicie nic. Przynajmniej w końcu zmniejszymy nasze straty.

Ruthweyn pomyślał, że i tak nie uchroni to Cra-ne'a od bankructwa.

- Wiemy, że pan Crane miał niespłacone długi karciane - warknął Napier, wyraźnie rezygnując z wszelkiej dyplomacji. - A to, szanowna pani, sugeruje podniesiony poziom finansowej desperacji. Słyszając to, zamilkła na chwilę.

- Josiah miał swoją słabość - przyznała w końcu. - Jaki człowiek jej nie ma? Ale poradzi sobie. Zaopiekuję się nim. Ethan nigdy nie umiał załatwiać takich spraw.

- Można po prostu sprzedać firmę i spłacić wierzycieli Crane'a - zasugerował Napier. Rutłweyn nie musiał widzieć twarzy panny Crane, żeby wiedzieć, że poczerwieniała.

- Josiah nigdy nie zgodziłby się na to! Nasz dziadek umarł, budując firmę. To nasz rodzinny skarb - powiedziała.

W rzeczywistości jednak Josiah Crane miałby w tej kwestii niewiele do powiedzenia. Fenella Crane posiadała teraz kontrolny pakiet akcji przedsiębiorstwa. Rutłweyn zadał sobie pytanie, czy to możliwe, żeby nie była tego świadoma?

Ale kobieta schwyciła koszyk i skierowała się ku drzwiom.

- Życzę obu panom miłego dnia. I bardzo proszę, panie Napier, żeby zechciał pan mnie nie nachodzić, dopóki nie będzie pan miał czegoś sensownego do powiedzenia - rzuciła przez ramię.

Rutłweyn miał na końcu języka propozycję, że zabiorą ją i jednym powozem pojedą odwiedzić pana Crane'a. Ale wiedział, że na pewno by odmówiła. Wyszli więc na zewnątrz, na ostre jesienne powietrze, obaj nieco zbici z tropu.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za nimi, komisarz odwrócił się do Rutłweyna.

- Naprawdę, to nie jest pański interes! - powiedział, udatnie naśladowując głos panny Crane.

- Nie mogłeś się powstrzymać, prawda, Napier?

W rzadziejcej mgle Rutłweyn podniósł rękę, żeby dać znać Brodgenowi.

- Tak, przyznaję, dałem się omotać prawdziwemu szatanowi w damskim wcieleniu. Może mademoiselle Gau-

thier mimo wszystko zadzga mnie we śnie i sprawi, że ziszczą się twoje marzenia.

- Nie można żądać zbyt wiele - powiedział Napier. Ale powiedział to takim głosem, że Ruthveyn po raz pierwszy wyczuł, że komisarz zastanawia się nad swoją opinią o Grace.

- Może udałoby się przekonać pannę Crane, żeby to ona wykonała to zadanie? - zaproponował Ruthveyn, otwierając drzwi powozu. - Wyraźnie bardzo mnie nie lubi.

- Za to bardzo lubi swojego kuzyna, prawda? - zauważył Napier, gdy wsiadali do powozu.

- Może zadał sobie trochę trudu, żeby być miłym

- mruknął Rutłweyn, po czym opowiedział o tym, jak to kiedyś Holding miał nadzieję na małżeństwo tych dwojga.

Napier zmrużył oczy.

- Ha! - rzucił w zamyśleniu. - Nigdy o tym nie pomyślałem. A gdyby się pobrali, przedsiębiorstwo stanowiłoby własność...

- Chyba zaczniesz dostrzegać mój punkt widzenia

- powiedział Ruthveyn.

- Ale nie ma dowodu na to, że Josiah Crane był w domu - rzucił Napier, gdy powóz ruszył. - A twoja sugestia, że miał klucz, wedle zeznań odźwiernego Holdinga okazała się nietrafiona. Niemniej można mieć wrażenie, że dzisiaj Crane po prostu nas unikał. A dziewczyna zaprowadziła nas do pustego gabinetu. Zresztą sprawia wrażenie naiwnej na tyle, żeby go osłaniać.

- Wydaje mi się o wiele bardziej prawdopodobne, że facet unika wierzycieli. A najlepszym miejscem po temu jest łożo boleści - odparł Rutłweyn.

Napier opadł na siedzenie, gdy powóz ruszy! do przodu.

- Pewnie masz rację - rzekł z westchnieniem.

- To prawdziwy miód dla moich uszu - stwierdził Ruth-veyn.

Rozdział 12

Zauroczenie

Parę dni po tej dziwnej wyprawie do Rotherhithe Ruthweyn znów miał sen o przełęczu Jagdalak i brutalnej rzezi na śniegu. Potem śnieg przekształcił się w ciągnące się w nieskończoność piaski pustyni i wszystko splątało się z wizją królików i ciałem Fenelli Crane spoczywającym na polu białych maków. Maki falowały, jakby poruszane wiatrem i nie była to już panna Crane, ale Grace. Leżała śmiertelnie nieruchoma pośród kwiatów, z otwartymi, niewidzącymi oczami, trzymając w ręce zakrwawiony nóż.

Obudził się zlany potem, macając rękami po materacu i próbując ją znaleźć. Nic.

Usiadł gwałtownie na łóżku, usiłując złapać oddech.

Nie było jej. Nie było jej tutaj, bo sam siebie przekonał, że byłoby to nierozsądne dla nich obojga. Ale jeśli trzymaniem się od niej z daleka skazał ją na jeszcze gorszy los? Czy o to chodziło we śnie? Nadal czuł w uszach dudnienie swojego serca, a strach ścisnął mu gardło.

Cholerny świat! To było jakieś szaleństwo.

Przeciagnał ręką po twarzy i siłą woli uspokoił oddech, wciągając powietrze głęboko i powoli, dopóki nie poczuł, że się odpręży, a zaciśnięta dłoń puszcza trzymany kurczowo brzeg kołdry. Podciągnął kolana i jeszcze przez jakiś czas oddychał miarowo, dopóki nie rozjaśni-

ło mu się w głowie i nie przypominał sobie wszelkich rozsądnych powodów, dla których Grace nie znajdowała się w jego łóżku.

Jednak w tej mrocznej, niepewnej chwili przebudzenia jej nieobecność intuicyjnie wydała mu się niewłaściwa, a strach zdawał się realny. Powtarza! sobie, że to był tylko sen, a nie wizja, i że w przeciwieństwie do swojego przyjaciela Aleksandra nigdy nie miał proroczych snów. Owszem, bywały przerażające, lecz nigdy złowróżbne.

Przynajmniej od jakiegoś czasu sypiał w nocy, dokładnie od kilkunastu ostatnich dni. Pewnie długo to nie potrwa. Bezsensowność zawsze powracała, zawsze z zapamiętanymi fragmentami nocnych horrorów, balansującymi na krawędzi jego pamięci jak nocni zabójcy. Wcześniej uciszał je każdym środkiem, który miał pod ręką, opium, alkoholem, seksem bez zobowiązań. Lista jego grzechów była długa. Ruthveyn z roztargnieniem podniósł Satin, która spała zwinięta w kłębek koło jego nóg, i przyłożył do policzka jej futro. Kotka zaczęła mruzczyć. Poczł dziwne zadowolenie, że jest we własnym domu, w swoim łóżku, ze swoimi kotami. Jednak miał wrażenie, że czegoś brakuje.

Satin mruzczała przez jakiś czas, jakby chciała go uspokoić, ale po chwili jej kocia cierpliwość się wyczerpała.

- Zostawiasz mnie? - mruknął, gdy kotka wysliznęła się z jego objęć, żeby się wtulić w ciepłe zagłębienie na poduszce.

Może był to znak. A może zawodziła go samodyscyplina. Napier powiedział o nim, że jest bez serca. Ale teraz, w mroku, wysunął się z pościeli i nagi podszedł do krzesła, żeby wziąć szlafrok. Zarzucił go na siebie i wyszedł przez gabinet na korytarz.

Brakowało mu Grace, tęsknił za nią z trudnym do pojęcia bólem, zważywszy, jak krótko się znali. Kochał się z nią dwa razy tej samej nocy i znał już rytm jej oddechu,

gdy spała. Znal zapach jej skóry. I sposób, w jaki wierząc się, przesunęła się na środek łóżka, żeby się do niego przytulić.

Na górze nie wahał się, tylko pchany siłą, której nie rozumiał, otworzył drzwi do pokoju Grace. Lekkie firanki były zaciągnięte, lecz rozsunięte ciężkie aksamitne zasłony wpuszczały blade światło pełnego księżyca. Grace leżała pośrodku łóżka, z jedną ręką na poduszce i twarzą oświetloną księżycową poświatą.

Zamknął za sobą drzwi i przysiadł na brzegu łóżka. Wszelkie obawy znikły w chwili, gdy przyłożył dłoń do policzka dziewczyny. Wszystko było dobrze. Jego sen był wyłącznie snem, jaki może się przyśnić wielu ludziom.

Poruszyła się, przekręciła na plecy i obróciła twarz pod jego dłonią.

- Grace - szepnął. Gwałtownie otworzyła oczy.

- Adrian? - Uniosła się na łokciach, a jej ciężkie, jasne włosy opadły na jedno ramię. - Adrian, co...? Chłopcy?

- Nie, miałem tylko.... dziwny sen. - Nagle poczuł się głupio.

Jej wzrok złagodniał, zmiękł, a senny uśmiech wykrzywił usta.

- Czy był miły?

- Nie, to był zły sen.

Czekała, wsparta na łokciach, przesuwając wzrok na jego.

- Zastanawiałem się, Grace - powiedział, czując się jak niezgrabny uczeń.

- Cóż, znajdujesz się w mojej sypialni - zauważyła. - Mam nadzieję, że i nad tym się zastanowiłeś.

- Niespecjalnie - bąknął. Brakowało mu słów.

- Hm - mruknęła. - Ciekawa jestem, czy myślałeś o odpowiedzi na pytanie, które ci zadałam.

Położył dłoń na jej policzku. Wiedział, o co jej chodzi.

- Dokąd pojedziesz, kiedy to wszystko się skończy?
 - Do Paryża - odparta spokojnie. - Wczoraj dostałam list od wuja. Znalazł dla mnie odpowiedni dom.
 - Do Paryża - powtórzył, cofając dłoń. Oczywiście tego się spodziewał.
- Usiadła. Miała bawełnianą koszulę nocną zawiązaną pod szyją i szeroko otwarte, jakby udręczone oczy.
- Adrianie, długo się nad tym zastanawiałam - wyszeptała. - Myślę, że chyba powinnam jechać niedługo. Nie mogę znieść tego czekania w Anglii z mieczem Napiera nad głową. Jeśli ma podstawy, niech mnie zaaresztuje na promie.
 - Grace, dlaczego chcesz wyjeżdżać? Odwróciła wzrok.
 - Chłopcy potrzebują prawdziwego nauczyciela, a ja... cóż, nie ma tutaj dla mnie życia. Chciał powiedzieć, że może być.
- Oczywiście mógł się z nią ożenić. Pewnie pomyślałaby, że zwariował, albo też, gdyby mu uwierzyła, nie życzyłyby sobie tego. Jednak powodowany, jak sobie wmawiał, chęcią osłaniania jej, wyszeptał:
- Grace, nie jedź. Mógłbym zapewnić ci tutaj życie. Mógłbym oż...
- Uniosła rękę i przyłożyła palce do jego ust.
- Nie. Nie, Adrianie. Proszę - szepnęła. Odsunął jej rękę.
 - Dlaczego? Grace, moje nazwisko zapewniłoby ci ochronę...
 - Nie - ucięła cichym, głuchym głosem. - Pomyśl chociaż, jak by to wyglądało z punktu widzenia policji. Mój drugi bogaty pracodawca, moje drugie zaręczyny? A tak naprawdę, Adrianie - tu spojrzała na niego żałośnie - naprawdę wcale cię nie znam. Ukrywasz przede mną jakąś część siebie. Czy możesz temu zaprzeczyć?
- Teraz z kolei on odwrócił wzrok -Nie.

-1 może ty też mnie nie znasz - dodała łagodnym tonem. Położyła mu rękę na udzie w pocieszającym geście. - W innym czasie, w innym miejscu być może wszystko pomiędzy nami ułożyłoby się inaczej. Ale jesteśmy tu i teraz. Pożadam cię. Podziwiam cię i jestem ci głęboko wdzięczna. I uważam, że powinniśmy się tym zadowolić.

- Ta uwaga o pożądaniu łagodzi cios. - Udało mu się uśmiechnąć.

Ale w coraz większym stopniu uświadamiał sobie, że się zakochuje w Grace, w jej spokojnym wdzięku i dobroci.

Często, kiedy na niego nie patrzyła, obserwował ją, gdy zajmowała się chłopcami, gdy im czytała późnym popołudniem, gdy po obiedzie spacerowali w ogrodzie. Ale jak zwykle, jak przez całe dotychczasowe życie, spoglądał przez wiecznie obecną szklaną szybę. Czasami dosłownie. I właśnie w takich chwilach, stojąc z ręką przyciśniętą do okna, myślał o tym, jakim szczęśliwym człowiekiem był Ethan Holding, mając w perspektywie małżeństwo z nią.

On nie miał do tego prawa. Lecz tej nocy miał nadzieję.

- Tak bardzo cię pragnę, Grace - wyszeptał. - Nawet teraz, chociaż jestem całkowicie trzeźwy, nadal cię pragnę. Bez względu na to, kim jestem, kim byłem w przeszłości, tu i teraz płonę z pożądania.

Grace odchyliła róg kołdry. Ruthveyn wiedział, że zapraszała go, żeby się z nią kochał, tu i teraz, bez czekania na jutro. Bo podziwiała go i pożądała, a on pragnął wraz z nią przebić tę szklaną tafelę.

Zamierzał z wdzięcznością przyjąć jej zaproszenie. Położył się więc obok niej na łóżku, wsunął pod nią jedną rękę i mocno przyciągnął do siebie.

Oparła policzek na jego ramieniu i musnęła pocałunkiem jego szczękę.

- Zamknąłeś drzwi na klucz? - zapytała szeptem.

- Tak. Czy chłopcy mogą tu wejść?

- Tom kiedyś przyszedł - powiedziała. Pogładził ją po włosach.

- Cóż, będę więc się musiał schować w szafie, prawda, Grace?

Zaśmiała się cicho.

- Z tymi szerokimi ramionami? Myślę, że powinieneś spróbować się ukryć za zasłonami.

Płonąc z nagłej niecierpliwości, usiadł, opierając się na poduszkach, wziął ją w ramiona i posadził sobie na kolanach. Pocałował ją lekko i odsunął się, wsuwając dłonie w rozpuszczone włosy Grace i obracając jej twarz w stronę księżycowego blasku. Patrzyła na niego pełnym szczerości spojrzeniem, gorącym od budzącego się pożądania.

Ruthveyn opuścił usta na jej wargi i poczuł, że dziewczyna drży. Całował ją powoli, smakując ją, stopniowo rozbudzając w niej namiętność. Możliwość otworzenia umysłu, a nawet części serca, jak to robili inni ludzie, była dla niego największym luksusem.

Tak, jeszcze raz będzie się kochał z Grace i weźmie to, co do niego nie należy. Z czystym umysłem miał zamiar całować ją i zagłębiać się w niej, dopóki nie oślepi go słodkie uderzenie wyzwolenia, błogosławiona ulga, jaką mogła mu dać jedynie Grace. Chciał pozostać z czymś, najpewniej ze złamanym sercem, co przypominałoby ją, gdy wszystko pomiędzy nimi się skończy, gdy dziewczyna wyjedzie. I chciał dać jej także część siebie. Chciał jej dać wszystko, co zostało z jego serca.

Przez ostatnie trzy dni usiłował się przekonać, że już nigdy nie powinien jej dotykać, że będzie to najrozsądniejsze dla nich obojga. Ale los spletał mu figła. Los przyprowadził go tutaj i teraz pragnął Grace z ogniem i desperacją, które wykluczały wszelką logikę. Całował ją jak zgłodniały, przytrzymując jej głowę ramieniem, a drugim przytulając ją mocno do siebie.

Grace oddawała mu pocałunki z takim samym ogniem, bez jakiegokolwiek niepewności. Splotła język z jego językiem i lekko muskała dłonią jego żebra. Ruthveyn chciał jej dotykać, aby zatonać w pożądaniu, czując z drżeniem wzruszenia jej ciało, wyraźnie nagie pod płócienną nocną koszulą.

Zawsze kiedy ją obserwował, wyobrażał sobie, że jej dotyka w ten sposób, zdejmując z niej ponury, żalobny strój, wszystkie krynoliny i halki. Że rozpiną gorset, krępujący piersi. Jego marzenia nigdy się nie kończyły. Ale teraz trzymał ją niemal rozebraną w ramionach, ona zaś oddawała mu pocałunki. Uniósł powieki i spojrzał na nią. Piersi Grace unosiły się w szybkim, płytkim oddechu, ich czubki wyraźnie sterczały pod tkaniną. Ogarnięty żądzą Rutłweyn pochylał głowę i pochwycił w wargi jeden słodki gruzełek, sprawiając, że jęknęła głośno. Przez koszulę ssał w zatraceniu, zwilżając materiał, który zaczął przylegać do sutka.

Jeszcze raz okrążył językiem ciemną otoczkę i przeniósł uwagę na drugą pierś. Grace wsunęła dłoń w jego włosy.

- *Mon Dieu* - wyszeptała. Słowa więły jej w krtani.

W przypiływie niecierpliwości pospiesznie zaczął rozwiązywać tasiemki, powodując, że jedna zacisnęła się w supeł.

- Proszę - powiedziała, pomagając mu szybko i sprawnie. Nocna koszula zsunęła się z jednego ramienia Grace

i Rutłweyn powrócił ustami do jej piersi. Całował i ssał, aż zaczęła wic się w jego objęciach. Jej pośladki ocierały się o jego nabrzmiąły członek. Ogarniająca go żądza była niczym żywe stworzenie wgryzające się w trzewia. Dość brutalnie wziął w usta długi sutek i ugryzł. Grace jęknęła. A kiedy zaczął uśmierzać ból, lekko liżąc sutek czubkiem języka, słodkim szeptem zaczęła go błagać, żeby ją posiadał.

Rozum podpowiadał mu, że to za szybko, za dużo. Była niedoświadczona. Ale wydawała się równie ogarnięta namiętnością jak on. Położył ją na łóżku, w rozchełstanej koszuli. Nie był w stanie się powstrzymać: pochylił się nad nocną szafką i zapalił lampę. Przykręcił knot, po czym znów opadł na poduszki i nakazał sobie zwolnić tempo.

W migoczącym świetle przesunął zgłodniałym spojrzeniem po jej ciele, rejestrując opuchnięte wargi, naprężone, różowe sutki, nadal jeszcze wilgotne od jego ust, i jej potargane przed chwilą włosy. Dobry Boże, jakże pragnął natychmiast znaleźć wyzwolenie w jej ciele. Ba, nie był nawet pewny, czy wytrzyma tak długo. Była to dość upokarzająca myśl.

Ale zapalenie lampy chyba było błędem. Twarz Grace poczerwieniała z zakłopotania. Pochylił się i znów ją pocałował.

- Nie czuj się skrepowana, Grace. Jesteś namiętną istotą - mruknął, na chwilę odrywając od niej usta. Zaśmiała się gardłowo.

- Czuję się... taka rozebrana - szepnęła. - Taka spragniona ciebie, a jednocześnie taka, hm... jakby to powiedzieć? Frywolna.

Przesunął dłoń w dół, żeby poczuć przez koszulę ciepło jej kobiecości.

- Powiedziałbym, że nie jesteś wystarczająco rozebrana.

Wstał niecierpliwie, rozwiązał pasek szlafroka i pozwolił, żeby srebrzysty materiał opadł na podłogę. Na widok jego uwolnionej męskości Grace szeroko otworzyła oczy.

- Wszystko w porządku, kochanie - uspokoił ją, opierając jedno kolano na łóżku.

Ostrożnie go dotknęła, przesuwając ciepłe palce wzdłuż członka i powodując, że Rutłweynowi zaczął się rwać oddech. Ponownie podniosła na niego wzrok.

- Adrianie?

- Może już wystarczy - wydyszał, cofając się. Przeniósł spojrzenie na brzeg jej koszuli nocnej, która teraz owijała jej nogi na wysokości kolan, odsłaniając doskonale łydki i zgrabne stopy.

- Zdejmij to, Grace. Pozwól mi cię zobaczyć - wyszeptał.

Posłusznie uklękła, złapała dół koszuli i powoli ściągnęła ją przez szczupłe ramiona. Stała skąpana w ciepłym świetle lampy, z uniesionymi piersiami i nadal twardymi, błyszczącymi od wilgoci brodawkami.

Ruthweyn poczuł suchość w ustach i postanowił zwolnić. Chciał ją smakować. Chciał delektować się nią w pełni, zanim zatraci się w gorączkowym pośpiechu. Grace miała łagodnie zaokrąglony brzuch z wklęsłym pępkiem. Była szczupła w biodrach, a jej ostatnie żebra rysowały się lekko ponad talią.

Drobne, kształtne piersi sterczały kusząco.

Przemknęło mu przez myśl, jak wyglądałaby z pełnymi, okrągłymi piersiami i dużym brzuchem, w którym nosiłaby jego dziecko. Ale ta smutna myślomal nie pozbawiła go męskiego zapachu.

O to nie mógł jej nigdy poprosić, nie chciał ponownie cierpieć.

Odezwał się głosem ochrypłym z bólu.

- Połóż się, Grace.

Uczyniła to z szeroko otwartymi oczami. Gdy się kładła, jej złociste włosy rozsypały się na poduszce. Ponownie oparł kolano na łóżku i ujął w dłoń członek. Nagle chciał rozsunać jej nogi i wejść w nią natychmiast. Chciał parzyć się z nią jak zwierzę. Jej kobiecość budziła w nim coś głęboko zwierzęcego.

Może było to napięcie związane z pragnieniem, a raczej z problemem zbyt wielkiego pragnienia.

Bowiem nie mógł sobie wyobrazić chwili, w której porzucenie Grace byłoby dla niego łatwe - w przeciwieństwie do Angeli Timmonds i innych kobiet. Jednak nie miało to znaczenia. Bo to Grace go porzuci.

- Pragniesz mnie, Grace? - wyszeptał.

- Tak - odpowiedziała cicho.

Położył się obok niej, rozpaczliwie pragnąc poczuć jej nagie ciało. Wziął ją w ramiona. Zaczął ją znów całować, myśląc, że nigdy mu się to nie znudzi. Całował jej piersi, brzuch, powoli przesuwając się coraz niżej. Położył dłonie na jej udach, rozsunął łagodnie i pocałował ją tam również.

Grace gwałtownie jęknęła, słodko, niepewnie.

- Adrianie?

- Leż spokojnie, kochanie, i pozwól mi sprawić ci przyjemność - powiedział.

Zobaczył poruszające się mięśnie jej szyi. Pochylił głowę i lekko przesunął językiem po jej gorącej kobiecości. Instynktownie pod nim zadygotała. Drażnił ją krótkimi, słodkimi muśnięciami, aż jej oddech stał się pospieszny, a ręce zaczęły gnieść prześcieradło po obu stronach bioder.

- Och! - jęknęła. - Och, nie mogę... nie mogę...

Ale mogła. I był to dla niego słodki widok. Jej nogi zeszywniały, oddech przerodził się w rozkoszne, pełne pożądania sapnięcia. Poczul rozlewającą się w niej przyjemność. Był to moment jego triumfu. Ruthveyn odchylił się nieco i wsunął członek w gorącą, mokrą dolinę pomiędzy jej udami. Nie mógł czekać. Nie mógł znaleźć słów, żeby zapytać. Zarzuciła mu ręce na szyję. Nadal jednak miała zamknięte oczy. W panującej w pokoju ciszy słycać było jej oddech. Zapach kobiecego podniecenia i ciepło kochania były bardziej erotyczne niż wszystko, czego kiedykolwiek doświadczył. Pchnął głębiej, uczynił to bez wahania.

Krzyknęła cicho i wyciągnęła ręce, jakby chciała go powstrzymać. Ruthweyn czuł krople potu zbierające się na górnej wardze, gdy usiłował pozostać bez ruchu.

- Adrianie? - Był to cichy szept, bez tchu.

- Przyzwyczaisz się do tego, kochanie. Nie ruszaj się... nie ruszaj... - wystękał.

Wsunął dłonie pod jej pośladki i uniósł ją lekko. Usłyszał, że jej oddech się uspokaja. Nadal jednak potrzebował całej siły woli, żeby natychmiast nie wtargnąć w nią głęboko i ulżyć sobie w jej ciele. Na Boga, chyba był lepszym, zręczniejszym kochankiem? Nie przypominał sobie, żeby jakkolwiek jego partnerka opuszczała jego łóżko rozczarowana. Owszem, Grace była niedoświadczona, ale stanowiła uosobienie namiętności i jeśli ją poprowadzi, jeśli poświęci dość dużo czasu, żeby nauczyła się syreniego śpiewu własnego ciała, uda mu się jeszcze raz doprowadzić ją do szczytu.

W jakiejś części było to egoistyczne podejście: chciał ją uzależnić od siebie, ujarzmić, na ile to było możliwe. Ale po części chodziło o to, że wiedział, czym jest prawdziwe kochanie się, i upłynęło wiele czasu, od kiedy pierwszy raz połączył swoje ciało z piękną kobietą w powolnym, pełnym gracji tańcu, jakim powinien być akt seksualny.

Może przyszedł czas, żeby się pohamował i odnalazł w sobie dyscyplinę, którą zwykle miał. Może nadszedł czas, żeby poszukał czegoś więcej niż pospiesznego zaspokojenia, żeby otworzył się na to, co nastąpi. Zebrał siły i pchnął głębiej. Grace szeroko otworzyła oczy. Dobry Boże, nie chciał jej skrzywdzić. Był pod każdym względem potężnie zbudowanym mężczyzną i przez chwilę poczuł się jak brutal. Kiedy jednak zaczął się poruszać w niej w tę i z powrotem, usłyszał, że Grace westchnęła, i poczuł, że się pod nim rozluźniła.

Wolno, och, jak wolno, rozbudzał w niej namiętność, wdzierając się głęboko i wycofując z cudowną powolnością. Znowu. I znowu. Poruszał się w niej, trzymając się ostro na wodzy, całkowicie przykrywając ją sobą i unosząc jej biodra.

- Adrianie? - odezwała się ponownie z nutą niecierpliwości w głosie.

Bardzo dobrze. Słodka tortura była bardzo dobra.

- Nie ruszaj się, kochanie - ostrzegł ją, nie zmieniając cudownie powolnego rytmu.

- Adrianie... Chcę...

Czul na policzku jej oddech.

- Cierpliwości, najśłodsza. Kochanie się może być powolne, Grace. Może być długim, pełnym szacunku aktem. Możemy razem znaleźć boską ekstazę. Mamy całą noc.

Ale w rzeczywistości nie mieli całej nocy. To były skradzione chwile, za parę godzin zaczną się po domu kręcić służba. Lecz Rutłweyn pragnął dzielić z Grace coś głębszego, innego od swoich dawnych doświadczeń w sztuce miłosnej.

Jej oddech znów zaczynał się rwać.

- Adrianie - szepnęła, niespokojnie poruszając się pod nim.

- Zaufasz mi, Grace? Pozwolisz, żeby to była podróż pełna rozkoszy? - Pocałował ją w policzek.

- Ale... ja chcę... - wystękała, wbijając paznokcie w jego ramię.

Wiedział, czego chciała. I zamierzał w końcu jej to dać. Lecz wiedział, że po to właśnie się urodził, dla niej i dla tej powolnej szczęśliwości. Teraz, opanowawszy w końcu swoje ciało, pragnął przedłużyć ich rozkosz najbardziej, jak mu się uda. Chciał się nią nasycić, stać się nią, poczuć witalne siły budzące się pomiędzy nimi. Poruszał się w niej powoli, koncentrując się na każdym jej westchnieniu, na każdym oddechu.

Znów zaczął całować ją w usta, powoli i głęboko, poruszając językiem w rytm pchnięć członka.

Chłonał jej namiętność i oddawał ją wzmocnioną po wielekroć, aż Grace zaczęła się wyginać, unosząc ciało ku niemu. Nigdy nie czuł takiej władzy nad kobietą. Nigdy nie czuł takiej potrzeby. Ale smakował każdą chwilę samokontroli.

- Tylko nie przestawaj. Nie przestawaj - błagała.

- Nie przestanę, ale...

Wsunął otwartą dłoń pod jej łopatki i przysiadł na piętach, pociągając za sobą Grace, aż usiadła na nim okrakiem.

- Och! - krzyknęła, przywierając do niego.

- Grace. Otwórz oczy, Grace - szepnął, unieruchamiając ją.

Uczyniła to stopniowo. W świetle lampy jej oczy były ogromne. Mocno trzymała się go za ramiona.

- Adrianie?...

- Rozluźnij się, kochanie, trzymam cię.

Jakimś sposobem udało mu się wyprostować nogi, nie puszczając jej. Jedną ręką otaczał jej kibić, tkwiąc głęboko w jej ciele.

- Nie zamykaj oczu i zapleć nogi wokół mojego pasa. Teraz nasze serca biją obok siebie, Grace.

Rozluźnij się i pozwól, żeby ustąpiło napięcie wewnątrz twego ciała.

Spokojniejsza, kiwnęła głową. Rutłweyn uśmiechnął się do niej, czując jednocześnie, że serce mu pęka.

- Opuścisz mnie, Grace. - Nie było to pytanie. - Spróbujmy się kochać w najczystszej formie.

Spróbujmy stać się dziś w nocy jednym oddechem, jednym ciałem.

- Dobrze - powiedziała powoli.

- Ufasz mi?

To pytanie zadawał jej nie pierwszy raz, ale teraz robił to w zupełnie innym kontekście. Jej odpowiedź była taka sama, powiedziana pewnym głosem.

-Tak.

- Weź mój oddech. Wciągnij mnie w głąb siebie - wyszeptał.

Opuścił usta na jej wargi, nie zamykając oczu. Grace wtopiła się w niego.

- To niezwykle - szepnęła.

Uścisk jej rąk na jego ramionach zelżał.

- Spójrz na mnie, Grace. Spójrz mi głęboko w oczy. Pozwól mi oddychać przez ciebie - poprosił.

Zastosowała się do jego prośby i Ruthveyn otworzył się na nią. Pęd ku zwykłemu spełnieniu osłabł, został przekroczony. Siła Grace, połączona z jego mocą, zaczęła stopniowo rosnać. Oddychał jej ciałem, Grace oddychała nim. Powstrzymywana rozkosz była niewyobrażalna.

Twardy jak skała członek Ruthveyna nadal pozostawał w jej ciele, ale gorączkowy pośpiech minął i Adrian poczuł, że pogrąża się w głęboki, niemal niebiański stan relaksu. Jednak oboje byli świadomi przesączonej seksem atmosfery, która ich otaczała, jakby każdy nerw ożywiało seksualne doznanie. Poruszał się w niej tak powoli, jakby byli słońcem i księżycem przesuwającymi się po niebie. Byli Śiwą i Śakti, najwyższą mocą i niebiańską energią.

Pragnął tego doświadczyć od tak dawna, lecz tak długo się przed tym opierał, odmawiając całkowitego otwarcia się na drugiego człowieka. Nigdy nie praktykował, ba, nie miał nawet cierpliwości, jakiej wymaga tantra, ale i bez tego mógł dostrzec fragment raj.

- Spójrz na mnie, Grace. Otwórz się na mnie - wyszeptał.

Spojrzała mu głęboko w oczy, pozostając idealnie nieruchoma. Otaczała go, nie tylko w swoim gorącym, kobiecym przesmyku, ale także ramionami, nogami i, chciał w to wierzyć, przynajmniej częścią umysłu. Ten rodzaj intymności, dawanie i branie, świadomość tego momentu i uniesienie się ponad zwykłą fizyczność seksu, mogły prowadzić do najgłębszego, najpełniejszego otwarcia duszy. Do tego, czego się zawsze najbardziej bał. Ale z Grace, przynajmniej tej nocy, nie bał się niczego. Poruszali się razem przez godzinę, może dłużej, powoli i erotycznie, oddychając i dzieląc się sobą. Kiedy była bliska orgazmu, Ruthveyn zatrzymywał się lub zmieniał nieco pozycję, dopóki nie czuł, że energia wokół nich

na powrót wzrasta. Czuł się związany z Grace intymnością, która wykraczała poza świat rzeczywisty. Och, to nie mogło trwać w nieskończoność. Miał niewielką praktykę w takich doznaniach i czuł, że jeśli pozwoliby sobie choćby na chwilę utraty koncentracji, zaczęłoby go trawić zwykłe, ziemskie pożądanie. Odizolował się od niego i otworzył na boską grę. W pewnej chwili jednak Grace westchnęła i w końcu wewnątrz niego coś się obudziło.

- Grace, chodź ze mną - wyszeptał.

A potem opadli razem w miękką pościel. Jego męskość nadal tkwiła głęboko w ciele Grace.

Dziewczyna trzymała się go łapczywie. Zarzucił sobie jej nogi na ramiona i odchylił ją do tyłu. Jej oczy rozświectliły się z zachwytu. Z trudem łapiąc oddech, chrapliwym głosem powiedziała coś po francusku. A potem ogarnął ich orgazm, razem, gwałtowną falą przepłynął przez Ruthveya do Grace, jak zbyt długo powstrzymywana lawina.

Przez jedną cudowną chwilę miał wrażenie, że opuścił swoją cielesną powłokę. Że cały jego umysł stał się jądrem upojenia, promieniującego i wlewającego się w Grace niby płynne słońce. Czuł ją pod sobą drżącą, kołyszącą się, słyszał jej jęki rozkoszy i chłonał je, wciągając w siebie jak oddech i energię i oddając je jej w czystej, nieskalanej radości.

Kiedy opuścił to miejsce poza ciałem i wrócił do łóżka, przetoczył się na bok. Leżeli spleceni ze sobą, Grace opierała głowę na jego ramieniu.

- Wielkie nieba, co to było? - spytała szeptem po pewnym czasie.

Pochylił się, żeby pocałować czubek jej głowy.

- Myślę, że to było kochanie się. Takie, jakie powinno być. A przynajmniej jakie powinno być od czasu do czasu - mruknął.

Przez chwilę się nie odzywała. Słyszał jej powolny, równy oddech.

- Czy tak to się naprawdę robi? - zapytała w końcu.

- W niektórych kulturach - przyznał. - Ale tego rodzaju zjednoczenie energii nie jest łatwe do osiągnięcia.

- A my... osiągnęliśmy je? Odetchnął głęboko.

- Na pewnym poziomie tak. - Znów ją pocałował. - Ale dojście do poziomu prawdziwej harmonii i współdzielenia energii wymaga częstych, wielogodzinnych ćwiczeń. Wiele, wiele praktyki. Należy rozwijać samodyscyplinę i umiejętność opóźniania rozkoszy na rzecz samej podróży. Obawiam się, że jesteśmy jeszcze neofitami.

- Wiele godzin, hm?

Zaczęła nawijać na palec pasmo włosów, jak pogrążona w myślach mała dziewczynka, w geście, który stał mu się tak drogi. A potem położyła mu dłoń na torsie i przetoczyła się na niego, spoglądając uwodzicielsko.

- Nie sądzę, żeby dzień miał wystarczającą liczbę godzin na te praktyki - szepnęła. - Adrianie, to było... czułam się... nie umiem nawet znaleźć odpowiednich słów, żeby opisać, co czułam. To była pustka, a następnie wszystko naraz. To było jak... doświadczenie boskości.

Pochyliła głowę i pocałowała go.

I to było to. Poddał się. Drobną cząstką jaźni, którą udało mu się dotąd trzymać z dala od niej, ześlizgnęła się z krawędzi i potoczyła w przepaść.

Rozdział 13

Tajemnicza opowieść

Przez jakiś czas Ruthweyn leżał senny, trzymając Grace w objęciach. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek czuł taką błogość. Taki komfort - chociaż wydawało mu się to niewłaściwym określeniem, kiedy był z nią. Ale jakkolwiek to nazwać - relaksem, wyzwoleniem czy czystą emocjonalną strawą - właśnie czegoś takiego brakowało w jego życiu niemal od zawsze. Być może znalezienie w drugim człowieku takiego komfortu było największym komplementem pod adresem kochanka.

Tej nocy oddał się wykazywaniu istnienia odwiecznej energii łączącej kobietę i mężczyznę w sposób, jakiego nawet sobie nie wyobrażał. Otworzył przed Grace umysł i serce i poza tym nie było nic: żadnego nagłego, oślepiającego błysku zagrażającej zguby, żadnej wizji najgłębszych, mrocznych otchłani, żadnego przeczucia niespełnionego wyroku losu. Przy Grace był normalnym mężczyzną, z normalnymi potrzebami, u boku kobiety, która powodowała, że zatracał się w niej w sposób, jaki musiał zostać zaplanowany przez samego Boga.

Czy to możliwe? Czy istniał choćby cień nadziei, żeby to, co łączyło ich teraz, pozostało na zawsze? Czy Grace była kochanką przeznaczoną mu na całe życie? Czy też tantra go oślepiła i nie widział tego, co miało nastąpić?

Powinno być dokładnie odwrotnie. Balansowanie na krawędzi stanu uniwersalnej świadomości, nawet tak

powierzchowne i niewprawne jak w ich wykonaniu, powinno otworzyć pomiędzy nimi wszelkie ścieżki komunikacji. Tymczasem czuł, że prana, witalna siła, być może po raz pierwszy w życiu krążyła w nim niepohamowanie. Dzieląc się sobą tak głęboko z Grace, był w stanie osiągnąć, a przynajmniej dostrzec, raj. Gdyby kiedykolwiek pomyślał, że takie doznania znajdują się w jego zasięgu, uważniej słuchałby dawnych mądrości.

Żałował, że nie rozumiał pełniej, żałował, że na pewnym etapie odrzucił część siebie, więź z matką. Oczywiście zawsze była Anisha, gdyby tylko odważył się z nią porozmawiać. W przeciwieństwie do niego Aniszę zawsze zachęcano, a przynajmniej nie zniechęcano aktywnie, do studiowania tantr. Była kobietą i jej Dar, jeśli go posiadała, pozostawał starannie ukryty w welonie hinduskiej tradycji, najpierw przez matkę, a potem przez służące.

Ruthveyn jednak został wychowany żelazną ręką w szkołach Kompanii w Kalkucie, a później na uniwersytecie w Szkocji, gdzie nie uczono ezoterycznej filozofii hinduskiej, a już z pewnością nie wykładano o seksualnej nirwanie. Większość jego kolegów studentów uważała, że uprawianie miłości polega na pospiesznym obłapianiu się w jakiejś ciemnej uliczce za wioskową karczmą. On wiedział, że to nieprawda, ale wcale nie zachowywał się lepiej.

Poczuł, że leżąca obok niego Grace się poruszyła. Przytulona, przysunęła usta do jego szyi.

- Hmm. Co za poważny wyraz twarzy. O czym też możesz myśleć? - odezwała się.

Odwrócił się do niej i uśmiechnął.

- Dziwne, ale myślałem o mojej matce.

Grace położyła drobną, ciepłą dłoń na jego klatce piersiowej.

- Anisha trochę mi o niej opowiadała - powiedziała, spoglądając na niego. - Jak się nazywała?

- Sara. Sara Forsythe.

- Sara - powtórzyła Grace. - To brzmi... tak bardzo angielsko.

Roześmiał się, ale w jego śmiechu nie było wiele rozbawienia.

- Nazywano ją Sarą po wyjściu za mąż - sprecyzował Rutłweyn. - Miała na imię Saraswati, lecz mój ojciec zażyczył sobie, żeby je angielszczono. Chciał, żeby matka stała się Angielką. To się wprawdzie nie udało, ale została Sarą.

Grace drgnęła.

- Jak ona się z tym czuła?

- Wiesz, jesteś chyba pierwszą osobą, którą to obchodzi - rzekł spokojnie. - Życzenia żony, zwłaszcza hinduskiej żony, rzadko były brane pod uwagę. Sądzę, że jakoś się z tym pogodziła, chociaż mój ojciec mógł się czuć rozczarowany.

- Rozczarowany? - zdziwiła się Grace, wtulając się w niego. - Myślałam, że była prawdziwą piękną.

Rutłweyn wahał się przez długą chwilę, zastanawiając się, ile może powiedzieć.

- Moja matka była... niezwykła - odezwał się w końcu. - Kobiety Rajputów nigdy nie były wydawane za obcych, ale jej rodzina miała trudności w znalezieniu dla niej męża.

- Taka piękność? I córka bogatego księcia? Bardzo dziwne - powiedziała Grace.

Rutłweyn pogładził Grace po włosach. Ten gest w dziwny sposób podziałał na niego kojąco.

- Ludzie z rodu mojej matki trochę się jej bali - rzekł spokojnie. - Wierzyli, że jest potężną *rishika*, wróżbitką uprawiającą tajemnicze praktyki, i żaden mężczyzna nie chciał poślubić takiej kobiety.

Widzisz, to był dar, a jednocześnie przekleństwo. Zaaranżowano więc dla niej małżeństwo polityczne.

Grace milczała przez chwilę.

-I znowu pojawia się sprawa tego „daru” - mruknęła. - Chyba krążymy wokół tego tematu. Czy twój ojciec się jej obawiał?

Ruthveyn odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć.

- Raczej był zaskoczony - odpowiedział, zastanawiając się, o co jej chodzi. - Przed ślubem nie powiedziano mu prawdy. Ale nie miało to znaczenia. Nie zamierzał żyć w jej środowisku, a Anglicy... cóż, mieszane małżeństwa były wówczas dość popularne, ale rzadko wśród elit. Tak naprawdę mama nigdy nigdzie nie pasowała.

- Ale kochała was? - zapytała z nadzieją Grace. - Wyobrażam sobie, że ty i Anisha byliście jej szczęściem.

- Tak. Byliśmy jej życiem, jej oddechem - stwierdził prosto i pomyślał, że Grace zawsze potrafi zrozumieć coś tak fundamentalnego.

Grace przeciągnęła się i przerzuciła nogę przez jego udo. I nagle uświadomił sobie coś, od czego zrobiło mu się trochę słabo. Musiał chyba wydać okrzyk przerażenia.

- Co się stało? - Grace uniosła głowę, żeby na niego spojrzeć.

Ruthveyn obrócił się do niej przodem i położył rękę na jej brzuchu. Podejrzewał, że na tym właśnie polegał problem jednoczenia się z kosmosem. Łatwo było zapomnieć o ziemskich sprawach i kwestiach praktycznych.

- Grace, kiedy miałaś ostatnie krwawienie? - zapytał cicho.

Zrobiła się czerwona jak burak.

- Grace - w jego głosie słychać było nutę łagodnego upomnienia. - Jesteśmy kochankami. Nie powinno być pomiędzy nami skrepowania. Nie w tych sprawach.

Przekreśliła się na plecy, a na jej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia.

- Dwa tygodnie temu. Może odrobinę później - wyszeptała, patrząc w sufit.

Skłął się w duchu. Ale na zewnątrz zatoczył dłonią koto na jej brzuchu i zmusił się do uśmiechu.

- No cóż, Grace, być może jednak wcale nie zobaczysz Paryża, chyba że podczas naszego miesiąca miodowego

- rzekł spokojnie.

Oparła się na łokciu i spojrzała mu prosto w oczy.

- To się nie stanie. Na pewno - oświadczyła.

- Ale może - odpowiedział. - Zapomniałem się. Modłę się, żebyś nie musiała zapłacić za mój błąd ceny nie do zniesienia.

- Nie do zniesienia? - Popatrzyła na niego znacząco i pokręciła głową. - Myślisz, że tym to się dla mnie skończy? Bo... dlaczego? Bo jesteś inny? O to chodzi?

- Inny? - mruknął. - W jakim sensie? Grace odwróciła wzrok.

- W takim, o jakim nie rozmawiamy - odpowiedziała.

- Nie ufasz mi. Rzeczywiście, pewnie nie będziemy ze sobą dość długo, żebyś nauczył się mi ufać. Ale nie jestem głupia, Adrianie. I tak, pragnę dziecka, lecz nie teraz, kiedy nie jesteśmy sobie oddani z wyboru. Dziecko jest sumą moich nadziei i marzeń. Czy możesz powiedzieć to samo? Jakoś wątpię. Zerknąwszy na nią, zrozumiał, że jest wzburzona. Ale co miał powiedzieć? W jej oskarżeniach było wiele prawdy. On zaś nie należał do osób uciekających od prawdy. Próbował, lecz się przekonał, że nie prowadziło to do niczego dobrego.

- Grace, byłąbyś dobrą matką, wspaniałą matką - odparł. - Ale ja nie chcę dziecka. Miałem kiedyś dziecko, gdy byłem młodszy i rozpaczliwie pragnąłem, żeby życie było pełne szczęścia i nadziei. A stracić je, patrzeć na nie, wiedząc, że bez względu na to, co zrobię... - głos mu się załamał.

- Przykro mi, nie wiedziałam - szepnęła, spoglądając na niego badawczo.

Opanował się. Minione lata wiele go nauczyły.

- Miała na imię Hannah - powiedział. - Urodziła się parę tygodni po naszym wycofaniu się z Kabulu. Ale spóźniłem się. Nie mogłem wrócić na czas do domu.

Ciepłą dłonią pogłaskała go po policzku.

- Twoja siostra wspominała, że wiele podróżowałaś. Czy byłeś tam jako dyplomata?

- Coś w tym rodzaju - odpowiedział. - Zostałem wysłany przez rząd, żeby rozeznać się, co się dzieje, i pojechałem, wiedząc...

- Wiedząc, że co? - spytała cicho.

Nie patrząc na nią, wzruszył ramionami.

- Wiedząc, że moja żona spodziewa się dziecka. To... w domu nie działało się dobrze. Ale musiałem wybrać, Grace, musiałem wybrać. Musiałem jechać, jeśli istniała jakakolwiek nadzieja na powstrzymanie rzezi. Zostawiłem ją więc. Melanie umarła w połogu, ale Hannah żyła na tyle długo, że zdążyłem jeszcze potrzymać ją w ramionach.

- Przykro mi - powtórzyła. - Nie umiem sobie wyobrazić większego bólu niż ból po stracie żony i dziecka praktycznie w jednym czasie.

- Ale takie tragedie zdarzają się codziennie - zauważył spokojnie. - Od nas, mężczyzn, oczekuje się, że sobie jakoś poradzą, więc... radzimy sobie. Nie, nigdy nie chciałem następnego dziecka, kolejnej żony. Lecz gdyby coś wynikło z naszego związku, uczynimy to, co trzeba, Grace. Pobierzemy się i zrobimy to, co robiły tysiące innych przed nami: postaramy się, żeby życie udało nam się jak najlepiej. I wedle wszelkiego prawdopodobieństwa powiedzie nam się. Może nawet będziemy szczęśliwi.

Lecz Grace już na niego nie patrzyła.

- To się nie stanie - powiedziała głuchym głosem. - A ja nie poślubię człowieka, który uważa, iż może zdoła być ze mną szczęśliwy.

- Grace, to nie...

Podniósł rękę, po czym opuścił ją bezwładnie.

- To nie chodzi o ciebie, lecz o mnie. Odwróciła głowę, przesuwając włosy po poduszce.
- To się nie stanie - powiedziała kolejny raz. - Zrobiło się późno, Adrianie. Najlepiej będzie, jeżeli już pójdziesz.

Tak, zgadza! się, miała rację.

Ze smutkiem, jakiego by się nigdy nie spodziewał, pocałował ją w policzek i zaczął szukać na podłodze swojego szlafroka. Zapowiadający się tak dobrze wieczór teraz wydawał się pustą rozrywką. Czowała się zraniona i było to zrozumiałe. On zaś mógł niewiele zrobić, żeby wszystko wytłumaczyć.

Kładł już rękę na klamce, gdy ponownie się odezwała:

- Adrianie, skąd wiedziałeś?

Jej głos rozległ się jak dzwon w mroku.

Odwrócił się i dostrzegł, że narzuciła na siebie koszulę nocną i siedziała w świetle księżyca, z kolanami podciągniętymi do klatki piersiowej.

- Skąd wiedziałem co? - zapytał.

- Ze będzie rzeź i śmierć - rzekła spokojnie. Przez chwilę się zawahał, po czym powiedział:

- To był Afganistan. Tam zawsze zdarzają się rzezie i mordy. To piekielne miejsce.

Ponieważ było w tym wiele prawdy, nie dodał nic więcej, mając nadzieję, że nie znała tej historii. Ale Grace oparła brodę na kolanach i westchnęła.

- Wróć do mojego łóżka, Adrianie, kiedy wymyślisz lepsze kłamstwo - powiedziała.

Opuścił rękę. -Co?

- Wróć do mojego łóżka i znów kochaj się ze mną i może będziesz na tyle dobry, a ja będę cię na tyle rozpaczliwie pragnęła, że pozwolę się przekonać i uwierzę w to żałosne kłamstwo. Ale dziś jakoś w to wątpię.

Potykając się, zawrócił w stronę łóżka. Jedwabny szlafrok plątał mu się wokół nóg.

- Co chcesz ode mnie usłyszeć, Grace? - zapytał, opierając dłonie na materacu i pochylając się. - Co? Chcesz, żebym obnażył duszę? I tak wyjeżdżasz.

- Ach, rozumiem! - Opuściła kolana. - Wyjeżdżam. Ale gdybym nie wyjeżdżała, opowiedziałbyś mi wszystko o swojej mrocznej przeszłości, tak? I cieszylibyśmy się sobą do końca świata? Ty, ja i to dziecko, którego poczęcia ze mną tak bardzo się obawiasz?

- Czego chcesz, Grace? - mówił teraz głuchym głosem. - Chcesz, żebym ci powiedział, że kiedyś byłem kimś więcej niż zwyczajnym szpiegiem? Że kłamałem, manipulowałem i pociągałem za sznurki tam, gdzie na tym zależało Kompanii Wschodnioindyjskiej i rządowi Jej Królewskiej Mości? Że nawet zdarzyło mi się raz czy dwa wbić nóż w plecy moim ludziom? Tak, robiłem to wszystko, bo czasami człowiekowi nie pozostaje nic innego poza wyborem mniejszego zła. Robiłem to, bo ojciec mi powiedział, że jest to moim obowiązkiem. Że jestem do tego stworzony. Ale już się tym nie zajmuję, Grace. Nie robię tego dla nikogo. Wolę pić i palić, unosząc się w chmury, niż myśleć o tamtych sprawach. Niż o nich śnić po nocach. No więc teraz usłyszałaś. Tego chciałaś?

Wolno pokręciła głową.

- Myślę, że chciałabym nie kochać cię tak bardzo - szepnęła.

Pochwycił w dłonie jej twarz.

- Nie kochaj mnie, Grace. Nie kochaj.

Nie przestała patrzeć mu w oczy, nawet gdy po policzku zaczęła jej spływać łza.

- Chciałabym. Usiłowałam udawać nawet przed sobą, że do tego nie dojdzie. Chciałabym zostać tutaj, dopóki ta okropna sprawa się nie zakończy, i cieszyć się przyjaźnią twojej siostry, lekcjami z dziećmi, a być może nawet spędzaniem czasu w twoim łóżku od czasu do czasu. Ale chciałabym cię nie kochać, bo wypełnia cię taki mrok.

Mówisz o tym kosmicznym dzieleniu się, zmysłowym i duchowym. Ale ty niczym się nie dzielisz.

Tak to wygląda z mojej strony.

Usiadł na brzegu łóżka i drżąc, wciągnął powietrze.

- Co więc? - zapytał chrapliwie. - Na miły Bóg, co chcesz wiedzieć! Co mam ci powiedzieć, żebyś się lepiej poczuła?

Grace znużonym gestem odgarnęła włosy z twarzy.

- Po prostu... wszystko. Chcę wiedzieć, czy jesteś jednym z *vateis*, ~czy jak tam się ich poprawnie nazywa. Chcę wiedzieć dlaczego czasem, kiedy mnie dotykasz, czuję się tak, jakbyś rzucił na mnie czar. I dlaczego twoje oczy wyglądają tak, jakby miały tysiąc lat i widziały tysiąc okropnych rzeczy. Chcę też wiedzieć, dlaczego mnie tutaj sprowadziłeś. Chcę wiedzieć, co widziałeś.

- Grace, to nie jest...

- Nie - ciągnęła, jakby go nie słyszała. - Wiem, że nie boisz się Napiera. Prawdę mówiąc, nie sądzę, żebyś się bał kogokolwiek. Chciałabym więc wiedzieć, co widziałeś, wyczułeś, wywróżyłeś, czy jak to określić, co sprawiło, że się mną zainteresowałeś. Chyba mam do tego prawo.

Milczał przez długą chwilę, w myślach analizując wszystko, co powiedziała, i łatwość, z jaką potrafiła zadawać takie pytania. Nagle poczuł, że całe jego życie balansuje na ostrzu noża. Jakby los czekał, aż wskaże tę czy inną drogę, zanim potnie go na kawałki.

- Widziałem okropne rzeczy, Grace - odezwał się w końcu. - Podobnie jak przede mną moja szkocka babka, a wcześniej jej ojciec i setki pokoleń przed nimi. Tak, mamy to we krwi, jak przekleństwo. Czy jesteśmy *vateisl* Nie wiem. To równie dobra nazwa, jak każda inna.

- Czyli symbol na twoim biodrze nie jest zwykłym znakiem - powiedziała. - A opowieść o Strażnikach nie jest jedynie legendą. Ty, Rance i ludzie tacy jak wy jesteście potomkami Sybilli, Daru.

Odwrócił wzrok.

- Bez wątplenia jesteśmy. Jest na to dość dowodów w rodzinnych księgach.

- Twoja matka była więc mistyczką - Grace wolno wypowiadała słowa - hinduską wieszczką czy wróżbitką, która poślubiła mężczyznę noszącego w sobie szkocki Dar. Człowieka, który miał znak Strażnika i którego zadaniem, jak podejrzewam, było strzec cię, kiedy byłeś dzieckiem. Z takim pochodzeniem, Adrianie, nie uniknąłbyś swojego losu, choćbyś nie wiem jak próbował. Był wstrząśnięty, z jaką łatwością zaakceptowała to wszystko. To na pewno zasługa jego siostry. Odwrócił się do niej twarzą i wziął ją za rękę.

- Mówisz o tym wszystkim, jakby chodziło o dziedziczenie rudych włosów albo reumatyzmu. Chciałbym być równie nonszalancki.

- Och, z pewnością nie jestem nonszalancka - powiedziała cichym, lekko drżącym głosem. - Miałam biedną ciotkę, która miewała okropne sny. Wieśniacy szeptali, że te sny czasem się sprawdzały. Tata powiedział, że była traktowana jak odszczepieniec i w końcu rzuciła się ze skały. To złamało mu serce. Nie, Adrianie, o wiele rzeczy można mnie oskarżać, ale nie o to, że jestem nonszalancka. Na chwilę zamknęło mu to usta. Cóż, taką historię słyszał niejeden raz: podejrzenia w wioskach trudno umierały. Ale zmartwiło go, że to samo słyszy od Grace.

- Dlaczego mnie tu sprowadziłeś, do tego domu, Adrianie? - szepnęła. - Wiem, że nie chodziło ci o uwiedzenie mnie, bo to była moja inicjatywa. Ale mężczyzna, którego spotkałam po raz pierwszy w siedzibie Towarzystwa Świętego Jakuba, bardzo się różnił od pełnego gniewu, zaniepokojonego człowieka, który zszedł ze mną po schodach w Whitehall i całował mnie niemal do utraty zmysłów. Rutlweyn zastanowił się nad jej słowami. Uważała, że ma prawo wiedzieć. I pewnie je miała.

Początkowo

chciał ją nastraszyć, sam bowiem nie był pewien tego, co widział. I nadal nie był pewien. Lecz może przyszedł czas, żeby być szczerym.

Usiadł na łóżku naprzeciwko niej i wypuścił powietrze z płuc, próbując wyrzucić z siebie całą frustrację.

- Tamtego ranka poszedłem do domu przy Belgrave Square - zaczął mówić. - I tam zobaczyłem... coś. Myślę, że był to obraz zła, które ma się jeszcze wydarzyć. Nie wierzę, że Holding był ostatnią ofiarą w tej okropnej sprawie. Czułem to wtedy bardzo silnie. A teraz przyśniło mi się...

Zamknął oczy i pomyślał, że przyśniło mu się, iż widział ją martwą. Och, najdroższa Grace. Jego miłość. Widział nóż, widział krew i czuł, jak wraz z nią wycieka życie...

Ale Grace położyła dłoń na jego ręce, którą opierał na kolanie.

- Kto to był, Adrianie? Kogo widziałeś? - wyszeptała. Otworzył oczy i uświadomił sobie, że mówiła o tym, co

widział przy Belgrave Square, a nie o jego śnie. Przypomniawszy sobie, że jego sen nie musiał być proroczy. I nie był. Nawet wizje mogły zostać błędnie zinterpretowane. Czasem mogły też zmienić bieg wypadków, poprzez interwencję boską albo jakąś inną. To się już zdarzało w historii i było jednym z powodów, dla których istnieli Strażnicy. Żeby strzec Dar przed wykorzystaniem go w złych zamiarach przez tych, którzy lubią złośliwie manipulować wydarzeniami.

Przełknął z trudem i odwrócił wzrok, żeby nie dostrzegła w jego oczach więcej, niżby sobie życzył.

- Nie jestem pewien - wykręcił się odpowiedzią najbliższą prawdy.

- Ale kogoś widziałeś - naciskała.

Poddał się i odwrócił do niej z ponurym wzrokiem.

- Widziałem Fenellę Crane. Widziałem ją martwą na śniegu, uśmierconą gwałtownie. Powietrze wokół niej

przesycone było nienawiścią i strachem, ale... Nie do końca mogłem to odczytać.

- Fenella - szepnęła Grace, przykładając rękę do gardła. - Dobry Boże! Czy ona umrze?

Potrząsnął głową.

- Nie mogę tego wiedzieć na pewno, ale obawiam się, że tak. Moja wizja mogła być metaforyczna. Albo mylna w sposób, którego jeszcze nie potrafię zinterpretować. Ale już jakiś czas temu ostrzegłem Napiera.

- I uwierzył ci? Mój Boże, czy wie, że masz Dar? - spytała niecierpliwie.

Tym razem nawet nie próbował zaprzeczać, nagle poczuł, że jest ponad to.

- Ktoś wspomniał o mnie Napierowi - powiedział chrapliwym głosem. - Wiele miesięcy temu, kiedy La-zonby siedział jeszcze w więzieniu. Ktoś wysoko postawiony, związany z rządem, bo tylko trzy czy cztery osoby wiedziały o moich możliwościach. Wszyscy pozostali już nie żyją, a nikt z Towarzystwa by mnie nie zdradził. Ale Napier uważa, że to wszystko to bzdura.

- *Mon Dieu* - mruknęła Grace.

- Ale może ucieszy cię informacja o tym, że kazał obserwować dom - rzekł spokojnie. - Wczoraj zawlokłem go do Rotherhithe i spotkaliśmy się z panną Crane. Sprawiała wrażenie niespokojnej, nieufnej i przejętej stanem zdrowia Josiaha Crane. Nie widziałem, co jej zagrażało.

- A kiedy te rzeczy do ciebie docierają, to w jakiej formie? Czy są to sny? Czy może wizje? - dopytywała się.

- Wizje. Albo, kiedy się otworzę, po prostu wrażenia, jak emocje, przejawiające się w pewnego rodzaju otaczającej mnie energii. O Boże, to brzmi jak majaki szaleńca.

Odwrócił się i wbił wzrok w jakiś punkt w głębi pokoju.

- Nieprawda - rzekła zdecydowanym głosem. - Opowiedz mi, jak to się dzieje, dokładnie.

- Nie wiem, jak to się dzieje. Wiem tylko, że to przychodzi, gdy się nie pilnuję w obecności innych ludzi, jeśli celowo nie zamykam mojego umysłu. Kiedy kogoś dotykam, zwłaszcza gołej skóry. A czasami, kiedy po prostu spojrzę komuś w oczy, nawet przypadkiem. To tak, jakby Bóg po prostu otworzył okiennice i pozwolił mi zajrzeć do ludzkich dusz.
- Każdego? - Głos Grace podniósł się o ton, jakby wiedziała, jak to jest. Ale Ruthveyn pomyślał, że nikt, kto tego nie doświadczył, nie ma o tym pojęcia.
- Dzięki Bogu nie każdego - szepnęła, opuszczając ramiona. - Niektórzy są dla *vateis* niepoznawalni. Jesteśmy na nich ślepi.
- Co sprawia, że ktoś jest niepoznawalny? Zaśmiał się z goryczą.
- Tego też nie wiadomo - przyznał. - Pewni ludzie są bardziej otwarci niż inni. Niektórych *vateis* łatwiej mogą odczytać niż pozostałych. W zasadzie *vateis* nie mogą odczytać siebie nawzajem, ale pojawiają się subtelne różnice. Na przykład Anisha potrafi czytać mi z ręki i z gwiazd, czego się nauczyła w tradycyjny sposób od rodziny mojej matki, możliwe więc, że odziedziczyła dar po naszej mamie i wcale nie należy do *vateis*.
- Ciekawe. Musi być jakiś powód, dlaczego tak jest - szepnęła Grace. Wzruszył ramionami.
- Przestałem już go szukać - powiedział. - Pan Sutherland nie znalazł żadnego powodu w swoich poszukiwaniach genealogicznych.
- Pan Sutherland?
- Nasz kapłan - wyjaśni! Ruthveyn. - Udało mu się znaleźć ludzi obdarzonych Darem w tak niewielkim stopniu, że sądzili, iż jest to wyłącznie zwyczajna intuicja. Niektórzy, jak Lazonby, posiadają moc niezwykłej percepcji, jasnowidzenia, ale nie wiedzy uprzednich wydarzeń. Inni *vateis* potrafią odczytywać jedynie osoby prze-

ciwnej płci. Dar często przeskakuje o jedno pokolenie, lecz nawet wówczas nie potrafimy odczytać naszych dzieci czy wnuków ani rodzeństwa. Moja babka zawsze powtarzała, że jest to niewielka łaska boska, choć von Althausen twierdzi, że nie ma to nic wspólnego z Bogiem. Według niego wizje są jedynie niekontrolowanymi impulsami elektrycznymi w mózgu. Niech skonom, Grace, ale sam nic z tego nie rozumiem.

- Von Althausen, to ten, którego Anisha nazywa szalonym naukowcem - mruknęła.

- Anisha - rzucił ponuro. - Mógłbym ją udusić. To ona ci wszystko powiedziała, prawda?

- Nie musiała - potrząsnęła głową Grace, a wyraz zmieszania nagle zniknął z jej twarzy. - To tym właśnie jest Towarzystwo Świętego Jakuba? Studiujecie metafizykę?

- Owszem, finansuję badania, wspólnie z lordem Bessettem - przyznał. - Jednak organizacja ma wśród swoich członków coraz większą liczbę filozofów. Teraz próbujemy tylko stworzyć warunki do badań. Staramy się sformalizować rytuały inicjacyjne i sprawić, żeby członkowie Towarzystwa znali się nawzajem. Chcemy też, na ile jesteśmy w stanie, zidentyfikować nieznane rodziny, w których przekazywany jest Dar. W ciągu wieków Towarzystwo utraciło swoją strukturę, co może być niebezpieczne.

- To działa od wieków? - Grace patrzyła na niego zdumiona. - A więc tak naprawdę to wcale nie jest Towarzystwo Świętego Jakuba.

Przez chwilę zastanowił się, jak najlepiej jej odpowiedzieć, ale doszedł do wniosku, że pozostała mu jedynie szczerść.

- Niedokładnie - powiedział w końcu. - Naprawdę nazywa się Fraternitas Aureae Crucis - Bractwo Złotego Krzyża. W swojej najstarszej znanej postaci symbol Bractwa nie zawiera! ostu, a starodawne zapiski sugerowały, że było ono raczej zakonem religijnym.

- Jak templariusze? Wzruszył ramionami.

- Myślimy, że Strażnicy wywodzą się z jednego skrzydła jezuitów, ale to też nie jest niczym więcej niż tylko legendą - odpowiedział. - Muszą mieć coś wspólnego z dawnymi cywilizacjami celtyckimi w Europie, bo niektóre terminy używane przez członków bractwa mają celtyckie pochodzenie. Jednak nazwa jest łacińska, co sugeruje, że zostali schryścianizowani w duchu Kościoła rzymskiego. Szczerze mówiąc, sądzę, że nigdy nie poznamy, jak było naprawdę, bez względu na to, jak długo Sutherland będzie badał stare źródła.

Grace szeroko otworzyła oczy.

-1 wszyscy ludzie w tej organizacji mają Dar?

- Nie, nie. - Przesunął obiema rękami po włosach.

- Do bractwa należeli wszelkiego rodzaju uczeni mężowie, tradycyjnie okreśłani mianem sawantów.

Mamy też naszych prawników - adwokatów, naszych kapłanów

- preostów. Ale wszyscy oni, w ten czy inny sposób, chronią Dar.

- Sawanci, adwokaci, preostowie - w zamyśleniu powiedziała Grace. - To zaczyna brzmieć jak różokrzyżow-cy, a może nawet masoni.

Pokręcił głową.

- Bractwo jest starsze niż masoneria, chociaż wielu sądzi, że było kiedyś odłamem masonów, stąd symbol krzyża. Ale nikt nie wie na pewno.

Grace odwróciła głowę, żeby pochwycić jego wzrok.

- Adrianie, czy potrafisz we mnie czytać? Widzisz moją przyszłość? Czy to ci się nie podoba? - zapytała ostrożnie.

Ruthweyn zamilkł. Nie wiedział, co powiedzieć, postanowił jednak znów być szczery. Tym razem pochwyci! jej obie dłonie.

- Czuję twoją obecność, gdy znajdujesz się w pobliżu. Nie muszę nawet patrzeć. Skłamałem, kiedy powiedzia

łem, że wyczułem twój zapach. A kiedy cię dotykam, mam wrażenie, jakbyśmy się niemal zlewali w jedno. Bywają chwile, kiedy dzielimy ze sobą energię i siły życiowe, tak jak uczą tantry. Ale widzieć coś więcej? Nie, nie umiem. Jeszcze nie umiem. - Przerwał i kiwnął głową.

- Jednak nie możemy mieć nadziei, Grace. Dla mnie intymność pogłębia połączenie umysłów. Biorąc pod uwagę to, co do ciebie czuję... no cóż, w dalszej perspektywie chyba nie mamy nadziei.

- Rozumiem. - Po chwili wahania Grace łagodnie wysunęła ręce z jego uścisku i wbiła wzrok w ciemność.

- Cóż, jestem wzruszona. Ale byłoby to dla ciebie straszne. Pojmuję to. Życie ukochanej osoby nie miałyby żadnych sekretów.

- I prawdopodobnie można byłoby poznać czas i sposób, w jaki ta miłość się skończy, co byłoby najcięższe do zniesienia - dodał.

Ale Grace odwróciła się do niego z oczami nagle rozbłyśniętymi w świetle lampy.

- Och, Adrianie, i tu się mylisz. Prawdziwa miłość nigdy się nie kończy. Po prostu się nie kończy - powiedziała zachrypniętym głosem.

Słyszając to, Rutłweyn poczuł, że coś dusi go w gardle i zmusza do odwrócenia wzroku. Uświadomił sobie, że miała rację, bo to, co do niej czuł, nigdy nie zniknie. Był tego coraz bardziej, niemal boleśnie pewny. Zaczął szukać słów, w jakich mógłby to wyrazić, lecz się rozmyślił.

W tym momencie gdzieś w głębi domu rozległ się metaliczny brzęk. Odstawione wiadro, a może szufla do węgla. Spojrzenie Rutłweyna pobiegło w stronę okna. Nie widać było jeszcze żadnych śladów nadchodzącego świtu, ale księżyc zaczynał blednąć. No i najwyraźniej służba zaczynała się już krzątać.

Pospiesznie pochwycił twarz Grace w obie dłonie i ją pocałował.

- Muszę iść - powiedział, kiedy w końcu oderwał usta od jej warg. - Nie wiem, ile więcej mogę jeszcze do ciebie czuć, niż czuję teraz, Grace. Gdy patrzę na ciebie, tracę dech. Ale dawno temu tak bardzo się zamknąłem...

Szcęk rozległ się ponownie, tym razem niebezpiecznie blisko.

Nie było już nic więcej do powiedzenia, zresztą i tak powiedział zbyt wiele. Ruthveyn wstał z łóżka i zostawił ją, co powinien był zrobić znacznie wcześniej.

Ale nawet gdy wymknął się już na korytarz, nie opuścił go ścisk w gardle i słodko-gorzki smak dziewczyny na ustach.

Rozdział 14

Tajemnica brewiarza

Formalnie biorąc, Grace miała niedziele w połowie wolne. W związku z zadłużeniem lorda Lucana wobec siostry i perwersyjną przyjemnością, jaką Anisha czerpała z egzekucji długu, chłopcy spędzali czas po porannej mszy w towarzystwie wujka. Grace, która dzięki temu miała wolne popołudnie, poprosiła Higgenthorpe'a o pomoc w przyniesieniu z poddasza wojskowego kufra ojca. Po śmierci taty towarzyszył jej wszędzie.

Kamerdyner strzelił palcami i w okamgnieniu dwóch potężnie zbudowanych lokajów zniosło ogromny kufer po schodach i wtaszczyło do jej sypialni. Grace klęczała na podłodze, zanurzona, całkiem dosłownie, po łokcie we wspomnieniach, kiedy do jej pokoju weszła ubrana w jedwabne pantalony lady Anisha i usiadła na krześle przy kominku. Dzisiaj miała nawet złoty kolczyk w nosie i w niczym nie przypominała eleganckiej angielskiej damy, której Grace towarzyszyła w kościele.

- Co robisz? - zapytała, opierając brodę na zwiniętej w pięść dłoni.

Grace roześmiała się i zdmuchnęła pył z rękawa.

- Głównie marzę - odpowiedziała. - A może głównie ścieram kurze. Potrzebna ci jestem? To może poczekać.

- Nie, po prostu się nudzę.

Anisha przyglądała jej się przez chwilę.

- Moja droga, Raju powiedział, że wyjaśnił ci sprawę Fraternitas.

Grace zerknęła w jej stronę.

- *Oui*. Czy masz coś przeciwko temu? - rzuciła szybko. Anisha wytrzeszczyła oczy.

- Ja? Nie mam z tym nic wspólnego.

- Nie jesteś jedną z nich?

Anisha przewróciła oczami w charakterystyczny dla siebie, przesadny sposób.

- Moja droga, Fraternitas jest wyłącznie dla mężczyzn, którzy, chociaż opowiadają o intelekcie i nauce, są bardzo uparci, aroganccy i mają gorące głowy. Mogą mówić wzniosłe słowa o ochronie kobiet, ale przyjąć jakąś do bractwa? Nigdy.

- Chyba nie do końca rozumiem - stwierdziła Grace. Anisha, jakby znudzona tematem rozmowy, czubkiem

pantofelka kopnęła poobijany, drewniany kufer.

- Czy ta monstrualna rzecz należy do ciebie? Wygląda jakby miał dwa razy tyle lat co ty.

Grace roześmiała się, przysiadła na piętach i wyciągnęła dużą skórzaną szkatułkę.

- Naprawdę należał do taty, który miał go jeszcze od czasów studiów w Ecole Speciale Militaire - powiedziała. - Nasze żalosne, rodzinne skarby zostały tu zapakowane wieki temu. Popatrz tutaj, to jest obciążający mnie dowód rzeczowy ze Scotland Yardu.

Z tymi słowami otworzyła wieko i odchyliła je. Leżące na niebieskim aksamicie rewolwery ojca błyszcząły jak w dniu, kiedy zostały wykonane.

- Para rewolwerów! - zawołała Anisha. - Czy to ma być wybrane przez ciebie narzędzie kolejnej szalonej zbrodni? To jest teoria Napiera?

Na samo wspomnienie nazwiska komisarza Grace poczuła wiszący nad jej głową cień. Coś w jej twarzy musiało zdradzić myśli.

Patrząc na nią, Anisha przyłożyła dłoń do ust.

- Och, Grace, to okropne z mojej strony! To wcale nie jest śmieszne, prawda? Pan Holding miał zostać twoim mężem. - Kiedy Grace wybuchnęła niekontrolowanym płaczem, Anisha usiadła na podłodze. - Grace, wybac mi - powiedziała, obejmując ją. - Jestem najbardziej bezmyślną osobą na świecie. - Nie, to... to... ja zaczęłam. Pró... próbowałam żartować z Napiera, ale... - udało się wykrztusić Grace. I na chwilę znów ogarnął ją żal. Łkała w ramionach Anishy, jakby świat miał się skończyć, choć wcale nie była pewna, dlaczego płacze. W gruncie rzeczy nie czuła braku Ethana Holdinga, ale było jej bardzo przykro, że odszedł.

Lecz jej żal wydawał się głębszy. To był smutek, wynikający z pragnienia i obaw przed nim. Ze strachu, że nic, nie będzie już normalne. Żal po stracie ojca i lęk, że Scotland Yard czai się za jej plecami i w końcu zarzuci jej pętlę na szyję.

Co gorsza od wielu dni nie widziała Adriana i czuła rosnący pomiędzy nimi dystans. Nie przychodził na kolacje, a ostatniej nocy Luc powiedział, że dawny apartament Rutłweyna w Towarzystwie Świętego Jakuba znów stoi pusty. Grace czuła, że Adrian jej unika, i w czarniejszych momentach zaczynała się obawiać, że obudziła w nim coś, czego nie chciał widzieć i gdyby nie ona, nie musiałby temu stawiać czoła.

- No, już dobrze, dobrze - powiedziała Anisha, poklepując ją lekko po plecach. - Chyba nie jest aż tak źle, Grace. Nie trać ducha, moja droga. W końcu wszystko się jakoś ułoży, obiecuję ci.

Zmieszana, uniosła twarz.

- A... a... ale on nie żyje! Jak może się wszystko ułożyć? - powiedziała, łkając przeraźliwie.

Twarz Anishy wydłużyła się.

- Nie, nie ułoży się, masz rację w sprawie biednego pana Holdinga - zgodziła się, ściskając ręce Grace.

W końcu Grace przysiadła z powrotem na piętach i zaczęła wycierać oczy chusteczką.

- Wybacz mi, Anisho. Nie jestem dziś sobą - rzekła.

- Oczywiście. Jak mogłoby być inaczej? - Anisha uśmiechnęła się łagodnie i przejechała dłonią po skórzanej szkatułce z rewolwerami. - Opowiedz mi o nich. Twój ojciec musiał je bardzo lubić.

- Tak, lubił je. - Grace posłała jej uśmiech przez łzy. - Kiedy miałam jakieś czternaście lat, mama poprosiła kogoś, żeby je przywiózł z Ameryki jako prezent na urodziny. Lubiał je tak bardzo, że teraz nie mogłabym znieść rozstania z nimi.

Siedząca na dywanie Anisha skrzyżowała nogi w ten sam dziwny sposób, w jaki siadywał jej brat. I wzięła do ręki małą drewnianą szkatułkę, którą Grace położyła na brzegu kufra.

- A to co jest? - zapytała.

- Biżuteria mamy. Głównie drobiazgi, na które stać było tatę. Ale to prezenty dawane z wielkiej miłości. Pokażę ci.

Krok po kroku Anisha rozpraszała posepny nastrój Grace, skupiając jej uwagę na kufrze i pozwalając, żeby pofolgowała sobie w żalu. Grace uświadomiła sobie, że, jeśli nie liczyć łez, które wylała nad grobem pana Holdinga, nie płakała od czasu mszy pogrzebowej ojca i wyjazdu z Francji.

Kiedy w końcu połowa zawartości kufra znalazła się na dywanie i opowiedziane zostały liczne historie, Anisha pochwyciła jej rękę i znów mocno ją uścisnęła.

- Musisz zaakceptować, Grace, że masz za sobą kilka naprawdę ciężkich lat. Może powinnaś płakać więcej, a nie mniej - powiedziała.

- Nie rozumiem.

Anisha otworzyła zwiniętą w pięść dłoń Grace, położyła ją sobie na kolanie i z zamyślonym wyrazem twarzy lekko wodziła po niej palcem.

- Musiałaś opuścić swoją ukochaną Algierię, żeby zabrać schorowanego ojca, aby mógł umrzeć w domu. Ale poradziłaś sobie z tym, tak jak potem poradziłaś sobie z nową pracą i perspektywą nowej, niepewnej przyszłości z panem Holdingiem. A kiedy myślałaś już, że wszystko się ułożyło, los ponownie to zniszczył. Teraz zaś znalazłaś się tutaj i musisz sobie radzić z Adrianem i całym jego mrokiem.

- Och, Anisho, to nie jest... Anisha podniosła rękę.

- Uwierz mi, Grace, wiem coś o tragedii i gwałtownych zmianach. Zużywają one nasze emocje bez względu na to, jak twardzi wydajemy się na zewnątrz - powiedziała.

Przeniosła spojrzenie na dłoń Grace, przesunęła palec wzdłuż głębokiej, zakrzywiającej się w dół linii i syknęła parę razy.

- Widzisz te liczne przecinające się linie? O tym właśnie mówiłam. Są wywołane napięciem w twoim życiu. Albo, jeśli wolisz, zmartwieniami - powiedziała.

Grace pochyliła się, żeby się uważniej przyjrzeć, i westchnęła.

- No cóż, Anisho, przynajmniej znajdują się na mojej ręce, a nie na twarzy. Na razie - udało jej się wydusić.

W końcu obie znów się roześmiały. Anisha przesunęła palec na jedną z opuszek dłoni Grace.

- A to jest wzgórek Wenus. Reprezentuje potężną, boską matkę Śakti. - Zerknęła chytrze na Grace. - Twoja namiętność jest imponująca, może nawet zbyt imponująca. Uważaj, żebyś nie ściągnęła na siebie smutku swoimi seksualnymi apetytami.

Grace spłonęła rumieńcem.

- Obawiam się, że na to może już być za późno - mruknęła.

Anisha łagodnym ruchem zamknęła dłoń Grace.

- To za dużo jak na jeden dzień. Jeśli pozwolisz, rozszerzę tę analizę później, kiedy skonsultuję dane z twoimi gwiazdami - zaproponowała.

- Czemu nie - Grace nie miała zielonego pojęcia

o astrologii, ale, jak twierdził Adrian, dziedzina ta dużo znaczyła dla jego siostry. - Oddam się w twoje ręce, Anisho. Może się czegoś dowiem.

Anisha uśmiechnęła się lekko.

- Napisz na kartce datę i dokładne miejsce twojego urodzenia. I jeśli możesz, jak najprecyzyjniej podaj godzinę - powiedziała.

Grace spojrzała na kufer.

- Musi być tam gdzieś zapisane.

- Świetnie. Odszukaj więc te dane, to będę w stanie dokładniej odczytać, co mówią twoje gwiazdy. W ten sposób będę potrafiła ci powiedzieć, kiedy powinnaś znowu udać się do łóżka mojego brata - stwierdziła Anisha.

- *Qa alors!* Anisho! - wykrzyknęła Grace. Anisha niewinnie zamrugła.

- Co? Mam nadzieję, że z niego nie zrezygnowałaś? Raju nie przyjąłby tego dobrze. Nie, musisz udać się do jego łóżka wtedy, gdy będzie miał przytomną głowę

1 będzie go otaczała kosmiczna energia, prana. Idź, pokaż mu ten nadmiernie rozwinięty wzgórek Wenus i spytaj, co z tym należy zrobić.

Grace wyobrażała sobie, że ma twarz czerwoną jak burak.

- Doprawdy, Anisho, jeśli rozpira cię taka chęć do żartów i energia, pomóż mi lepiej przejrzeć do końca zawartość tego kufra - powiedziała.

- Oczywiście. Czego szukasz? - zapytała Anisha, rozprostowując nogi i wstając.

Grace uklękła i zajrzała do kufra. W środku pozostały książki i pliki papierów.

- Nie jestem pewna - przyznała. - Czegoś, co widziałam jako dziecko, może książki, a może jakiegoś rysun-

ku? Kiedy to zobaczę, chyba będę wiedziaa. Wyjmijmy wszystko po kolei.

- Najpierw luźne papiery. Ja będę je wyciągała, a ty siadaj i je sortuj. Czy ta rzecz, której szukasz, była jakiegoś konkretnego koloru?

- Nie przypominam sobie. - Grace zaczęła przeglądać pierwszy stos kartek. - Anisho, pamiętasz tę starą legendę o Strażnikach?

Anisha zerknęła przez ramię i przesunęła na miejsce długą, jedwabną szarfę.

- O porwanej dziewczynce? I jak jechali za nią na Ile Saint-Louis?

- *Oui*, a potem most się zarwał - Grace krzywym wzrokiem popatrzyła na papierzyska. - Nie wspominałam o tym twojemu bratu, ale coś mnie dręczy. Coś bardzo dziwnego.

Anisha musiała wychwycić w tonie Grace szczególne brzmienie i powoli odwróciła się w jej stronę.

-Tak?

- Miałam przodka, który omal nie umarł przy zarwaniu się tego mostu. To był mój szkocki przodek i, zgodnie z opowieścią krążącą w rodzinie, pozostawiono go w Paryżu, żeby tam umarł.

Anisha zamarła, jej oczy rozszerzyły się.

- Naprawdę?

- Jednak w końcu wydobrzeł i podobno nawet wrócił do domu. Ale ja wierzę, że umarł w Paryżu.

Kiedyś tata wspomniał coś o jego grobie. Nie przypominam sobie dokładnie.

- To skłania do zastanowienia, ile mostów jest w Paryżu - zauważyła Anisha.

- Ponad pół tuzina - w zamyśleniu powiedziała Grace. - Ale ile mogło się zarwać w ciągu wieków?

- Dobre pytanie. - Anisha położyła następny stos papierów. - A czy ta rzecz, której szukamy, ma coś wspólnego z tamtym przodkiem?

Tutaj Grace była zmuszona podnieść obie ręce.

- Nie wiem, ale wiem, że gdzieś już widziałam ten symbol, złoty krzyż. Kiedyś, w dzieciństwie. A ponieważ wychowywałam się głównie w Afryce Północnej, czyż nie jest prawdopodobne, że widziałam coś, co mój ojciec miał już wcześniej?

- Bardzo prawdopodobnie - rzekła Anisha, dźwigając kolejny plik papierzysk. - Zaczniemy od przejrzania książek, bo to nam pójdzie znacznie szybciej.

Szósty z kolei wolumin, cienki, oprawny w skórę, który wyciągnęła Anisha, natychmiast poruszył jakąś strunę w Grace.

- Wygląda znajomo - mruknęła, przerzucając kartki. Kiedyś książka była bogato złocona, ale wiele pozłoty się wytarło, a okładki niemal odpadały od reszty. Nadal jednak tom prezentował się pięknie i kosztownie.

Anisha uklękła koło Grace.

- Co to jest?

- *Bréviaire* - powiedziała. - Albo jakiś modlitewnik. Oczywiście po łacinie.

Grace delikatnie otworzyła książkę. A tam, w środku, na stronie tytułowej znajdowała się rycina, ręcznie kolorowana, w jaskrawych odcieniach czerwieni i błękitu. W tej wersji nie było ostu. Łaciński krzyż, iluminowany błyszczącym złotem, był umieszczony ponad skrzyżowanym piórem i mieczem, poniżej zaś widniały litery F. A. C.

- O Boże, *Fraternitas Aureae Crucis!* - szepnęła Anisha, przesuwając palcem po rycinie. - Popatrz! Co tu jest napisane?

Grace z podnieceniem przekreśliła książkę, żeby lepiej pokazać to miejsce Anishy. W prawym górnym rogu strony tytułowej ktoś pajęczym, trudnym do odczytania pismem zanotował imię i adres.

- *SirAngus Muirhead, Rue de la Verrerie* - mruknęła.

Poza tym nie znalazły żadnych wskazówek mogących mówić, kim był Muirhead i jak wszedł w posiadanie woluminu, którego stronice wyglądały na wielokrotnie wertowane. Książka została wydana w 1670 roku. Była pięknie ilustrowana rycinami, na których dominowały głębokie odcienie czerwieni, błękitu i złota.

- Muirhead... Czy to jest szkockie nazwisko? Czy to może być twój przodek? - zastanawiała się Anisha.

Grace westchnęła.

- Angus jest chyba szkockim imieniem. Podejrzewam, że był jakimś kuzynem, bo inaczej tata nie miałby tej książki. Och, jakże żałuję, że jako dziecko nie słuchałam więcej różnych opowieści taty!

- A czy masz może rodzinną Biblię? Grace odłożyła brewiarz.

- Możliwe, że mój wuj ją ma. A ulica z adresu znajduje się w pobliżu Place de Vosges, tuż za rogiem jego domu. Domu, gdzie przyszedł na świat mój ojciec i wiele generacji przed nim. Czy to nie jest dziwne?

- Grace, a co, jeśli pochodzisz od Daru? Od Sybilli? - zawołała podniecona Anisha.

- Cóż, to chyba nierealne. Nawet jeżeli nagniemy fakty i założymy, że Angus był moim kuzynem i że przybył do Paryża wraz z Sybillą, w najlepszym razie będzie to oznaczało, iż był jej krewnym.

- W którego żyłach płynęła krew Daru - przypomniała jej Anisha. - Rance opowiadał mi, jaką jesteś rozsądną młodą kobietą i że kiedy próbował z tobą flirtować, nigdy się na to nie zgadzałaś. Może też nosisz w sobie jakąś część Daru?

Grace posłała jej niepewny uśmiech.

- Och, Anisho, jestem pewna, że nie! A Rance nigdy ze mną nie flirtował! - odpowiedziała.

- Ale czy nigdy nie miałaś wrażenia, że instynktownie, gdzieś w głębi duszy wiesz o rzeczach, o których inni nie mają pojęcia? - zapytała zamyślona Anisha.

Grace zastanowiła się.

-*Mais oui*, ale czy tak nie czują wszyscy? Chociaż miałam ciotkę... -Tak?

Grace potrząsnęła głową.

- Miała dziwne sny, i to wszystko. Na pewno nigdy nie potrafiłam zobaczyć przyszłości, Anisho - odpowiedziała.

- Nie o to mi chodzi - naciskała Anisha. - Pan Sutherland i doktor von Althausen zdają się wierzyć, że w niektórych rodzinach Dar zmałał do poziomu zwykłej przenikliwości. Jednak teoretycznie te zdolności mogą zostać, jakby to określić... Przywrócone? Oczywiście jeśli człowiek ma do tego odpowiednie zdolności albo, jeśli wolisz, w jego żyłach płynie właściwa krew.

- No cóż, nie wiem... Nie umiem sobie wyobrazić, żebym się tego wyuczyła, zresztą wcale bym tego nie chciała. Ale mama zawsze powtarzała...

- Co? - dopytywała się Anisha, pochylając się do przodu. - Co mówiła?

Grace uśmiechnęła się boleśnie.

- Zawsze twierdziła, że mam dar. Dar znajomości ludzi, a przynajmniej mężczyzn. Mówiła, że to niesamowite i że tata był dokładnie taki sam. Ze oboje potrafimy ocenić człowieka od pierwszego spojrzenia, że zawsze wiemy, kto nam sprzyja, a kto jest nieuczciwy - odpowiedziała.

- To prawda?

Grace wzruszyła ramionami.

- Nigdy nie zostałam oszukana, jeśli o to pytasz. I odrzuciłam kilka propozycji małżeństwa, bo... jakby to powiedzieć... bo coś mi nie pasowało.

- W jakim sensie?

- W tym, że... że nie byli dla mnie odpowiedni - odpowiedziała w zamyśleniu. - Albo że nie są ludźmi wiernymi. Zwłaszcza tamten jeden... ach, nie warto tego wspominać.

- Warto. To jest fascynujące - zapewniła ją Anisha.

- No cóż, był kiedyś młody, przystojny major, przydzielony do legionu - z oporem zaczęła Grace. - Uwielbiałam go z daleka. Och, Anisho, gdybyś mogła zobaczyć jego ramiona! Ale później, kiedy tata przyprowadził go do domu na kolację...

- Tak? Mów dalej.

Grace wbiła wzrok w dywan.

- Po prostu, gdy spojrzałam mu w oczy, dreszcz przebiegł mi po grzbiecie. Powiedziałam tacie, że zmieniałam zdanie i że mi nie odpowiada, czym tata wcale się nie zmartwił. Tuż przed powrotem do Francji major poznał i poślubił siostrzenicę marszałka polnego. Ale musiał mieć okropny charakter, bo nim minął rok, w ataku złości pobił biedną dziewczynę na śmierć.

- Dobry Boże! - zawołała Anisha. Przyciągnęła kolana do klatki piersiowej i objęła je ramionami. - To straszne.

- Och, Anisho, prześladowało mnie potem straszliwe poczucie winy.

- Poczucie winy osoby, która przeżyła? Grace zmarszczyła czoło.

- Nie, to było coś gorszego - mruknęła. - Czułam się tak, jakbym... jakbym w jakiś sposób mogła to powstrzymać. Jakbym wiedziała, do czego był zdolny, i powinnam była coś z tym zrobić.

- Czy widziałaś to zło w swoich snach, czy na jawie? - zapytała z napięciem Anisha.

Grace spojrzała na nią i roześmiała się.

- Och, Anisho, powiedziałaś to tak dramatycznie! Tak jak mówiłam, to był po prostu dreszcz przebiegający po grzbiecie.

Anisha rozprężyła się na krześle. - I oczywiście nie było sposobu, żeby cokolwiek z tym zrobić, prawda?

Grace ponownie wzruszyła ramionami.

- Tak naprawdę nie mam pojęcia, co mogłabym zrobić - rzekła cicho. - Tata stwierdził po prostu, że czekam na właściwego mężczyznę, tak jak on czekał na mamę, i że będę wiedziała, kiedy go znajdę. Anisha milczała przez chwilę.

- Grace, Raju powiedział, że nie można cię odczytać, a przynajmniej on nie potrafi. Czy to prawda? - zapytała w końcu.

- Na razie, ale teraz jest bardzo zmęczony - odparła ostrożnie.

Anisha westchnęła.

- Jego Dar jest bardzo silny i trudny do okiełznania. Jednak pod wszelkimi innymi względami jest szalenie zdyscyplinowanym człowiekiem, więc tym trudniej mu zaakceptować tę sytuację. Jest wściekły, głównie na siebie - rzekła.

- Chyba rozumiem.

Anisha mocniej oplótła ramionami kolana.

- Kiedy Raju był dzieckiem, mama bardzo się tego obawiała. Przed śmiercią usiłowała nauczyć go kontrolowania umysłu poprzez *dharana* i *dhyana*, ale tych umiejętności, wymagających ogromnej samodyscypliny i wielu lat treningu, nie da się wpoić małemu chłopcu. Na dodatek nasz tata nie popierał tej nauki. Bał się, że Dar może ulec osłabieniu. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek rozumiał, jaki to ciężar.

Grace się pogubiła.

- Ale jakie to są umiejętności? Anisha ściągnęła idealne luki brwi.

- Trudno to wyrazić angielskimi słowami. To rodzaj zdyscyplinowanego myślenia, tyle że do wewnątrz, przy użyciu *pranayama*, sztuki zatrzymania oddechu. A potem *samadhi*, polegające na głębokiej, niczym niezakłóconej koncentracji, umożliwiającej zablokowanie wszelkich niepotrzebnych bodźców zewnętrznych. Można wówczas osiągnąć medytacyjne skupienie, a przez to

pełniejszą kontrolę nad własnymi myślami. Raju próbuje tej sztuki, ale brak treningu sprawia, że mu się nie udaje, a wtedy sięga po haszysz, który przynosi jedynie fałszywe ukojenie. Chwilowy spokój. Może mogłabym mu trochę pomóc, ale niestety nadal uważa, że to mnie należy pomagać, a nie na odwrót. Grace westchnęła.

- Ciągle nie rozumiem. Czy chcesz powiedzieć, że mógłby się nauczyć na własne życzenie włączać i wyłączać swój Dar? - zapytała.

- Tak, chociaż może to zabrać wiele lat ćwiczeń. Taką mam teorię. Słyszałam, że w Indiach wielcy święci mężowie mogą się pociąć ostrym nożem i siłą woli powstrzymać krwawienie. Ale von Althausen, uparty wyznawca nauki twierdzi, że wszystko musi być wyjaśnione w książkach. - Nagle Anisha rozjaśniła się w uśmiechu i poderwała się z podłogi. - Ale dajmy już temu spokój. Wstawaj, Grace. Zanieśmy ten *bréviaire*, czy jak on się tam zwie, do Towarzystwa Świętego Jakuba.

- Po co? - zapytała Grace, podnosząc się.

Na twarzy Anishy znów pojawił się przekorny wyraz.

- Chciałabym zobaczyć, czy nasz sir Angus kojarzy się jakoś wielebnemu panu Sutherlandowi. A potem zamierzam pogrzebać w ich starych księgach i spróbować sprawdzić, ile mostów zarwało się w Paryżu.

* * *

Odpowiedź na pytanie Anishy okazała się łatwa niespełna godzinę później, gdy siedziały w mrocznym wnętrzu głównej biblioteki Towarzystwa Świętego Jakuba.

- Wiem dokładnie o trzech - stwierdził wielebny Sutherland.

Wyciągnął gruby, zakurzony tom oprawiony w czarną skórę i położył otwarty na stole. Przez okulary w srebr-

nej oprawce spoglądał na księgę z dumą posiadacza, jaką mógł okazywać jedynie prawdziwy bibliofil.

- Trzy mosty się zapadły? - Grace rzuciła okiem na drobny druk.

- Cztery, jeśli liczyć Most Królewski - poprawił wielebny Sutherland. - Ten most spalił się, potem zniszczyła go powódź, a w końcu się zarwał, i to wszystko w ciągu paru lat.

- Mam podobne szczęście - mruknęła Grace, przekręcając książkę tak, żeby wygodniej jej było czytać.

- Co to jest? - zapytała lady Anisha, pochylając się do przodu na krześle. -1 co to znaczy? Słabo znam francuski.

- To jest architektoniczna historia Paryża. Jedna z ulubionych książek lorda Bessetta. - Pan Sutherland nadal patrzył na tom niemal z miłością.

- A więc Most Świętego Michała i Most Notre Dame też się zarwały - mruknęła Grace, przebiegając wzrokiem druk. - Oba w piętnastym wieku, czyli trochę za wcześnie jak na sir Angusa, jeśli się kierować datą w jego brewiarzu.

- Otóż to, otóż to! - powiedział pan Sutherland, spoglądając w dół na księgę. - Pozostaje więc albo Most Królewski, albo...

- ...Most Marii - dokończyła z triumfem Anisha. - Tak jak w legendzie o Strażnikach.

- Istotnie, lady Anisho - powiedział Sutherland. - Ale skoncentrujmy się teraz na tym pięknie ilustrowanym modlitewniku. Rzecz godna uwagi i niewątpliwie bardzo droga. Możemy więc być pewni, że sir Angus był bogatym człowiekiem.

- Możemy? - Grace z powrotem skoncentrowała się na otwartej książce, którą Sutherland rozłożył ostrożnie i unieruchomił dwoma przyciskami, żeby lepiej móc się przyjrzeć symbolowi.

Zdjął okulary i zaczął studiować rycinę przez lupę.

- Piękna robota. Oczywiście wszystko wykonane ręcznie. I na krzyżu liść ze złota, a nie namalowany złotą farbą.

Odłożył lupę i wyprostował się zamyślony.

- Sądzę, że to mógł być prezent. Także brak ostu jest wiele mówiący.

- Ale nie słyszał pan nigdy o sir Angusie? - po raz drugi zapytała Anisha.

Pan Sutherland skrzywił się.

- Pozwól, *milady*, że przejrzę moje schematy genealogiczne. Może o nim zapomniałem - powiedział, wstając.

Grace z pewnym zainteresowaniem obserwowала oddalającego się wielebnego. Ten uderzająco przystojny mężczyzna zaczynał siwieć na skroniach i nosił szpakowatą brodę. Jednak miał posturę żołnierza, skłonność do śmiechu i przekorny błysk w oczach.

Jego osoba w dziwny sposób kazała jej pomyśleć o Adrianie, o tym, jakim mógłby być człowiekiem, gdyby życie nie obarczyło go wielkimi darami i ogromną odpowiedzialnością.

- Anisho, opowiedz mi jeszcze raz, co robią Strażnicy - poprosiła spokojnie.

Anisha oderwała wzrok od brewiarza.

- Strzegą Daru. Każdy obdarzony Darem uważany jest za skarb i narzędzie jednocześnie.

- Narzędzie?

- W ciągu wieków prorocy bywali wykorzystywani przez siły zła. I dlatego *vateis*, zwłaszcza kobiety i dzieci, muszą być chronieni przed tymi, którzy pragną władzy. Żadne posiadające Dar dziecko nie pozostaje bez Strażnika lub jego zastępcy, który zazwyczaj jest krewniakiem. To dlatego Rance wyjechał. Jego ojciec był Strażnikiem małoletniej wnuczki, noszącej w sobie Dar. Teraz, po śmierci ojca, ten obowiązek spadł na Rance'a.

Grace zaplotła ręce na piersiach.

- Czy Strażnik zgłasza się na ochotnika? Anisha pokręciła głową.

- Nie, to przypada z urodzenia. Dawne manuskrypty mówią, że Strażnik musi się urodzić pomiędzy trzynastym i dwudziestym kwietnia.
- Dlaczego właśnie wtedy?
- Któż to może wiedzieć? - Anisha wzruszyła szczupłymi ramionami. - Ale ciekawe, że daty są zbieżne ze znakiem ognia i wojny zarówno w astrologii Zachodu, jak i wedyjskiej.
- Znak ognia i wojny?
- W astrologii wedyjskiej nosi nazwę Mesha, zaś w zachodniej jest to znak Barana.
- Tak jak gwiazdozbiór - mruknęła Grace.
- Dokładnie. Baran jest bardzo wytrzymały, psychicznie i fizycznie. To dobra cecha, sama się przekonasz.
- Anisho!
- No dobrze - uśmiechnęła się. - Musisz jednak pamiętać, że Baran potrafi naginać innych do swojej woli. Barany to urodzeni przywódcy, agresywni i jasno myślący, ale także uparci i pozbawieni taktu. Czy ten opis kogoś ci przypomina?

Grace zaśmiała się niepewnie.

Anisha posłała jej pogodny, porozumiewawczy uśmiech i powróciła do studiowania brewiarza. Gdy oglądała kolorowe ryciny, Grace wstała i zaczęła krążyć bez celu po pomieszczeniu. Był to długi, wąski pokój, rozciągający się na całą szerokość budynku, z rzędem okien wychodzących na St. James Place. Na podłodze leżał gruby turecki dywan, a ciężkie butelkowitzelone zasłony sięgały aż do wypolerowanej podłogi. Podobnie jak w innych pomieszczeniach Towarzystwa, tutaj też nie szczędzono pieniędzy na wyposażenie.

Anisha wyjaśniła jej, że jest to jedna z czterech bibliotek prowadzonych przez Towarzystwo i jedna z dwóch dostępnych dla wszystkich. Dwie pozostałe znajdowały się w małym gabinecie, który Grace widziała podczas swojej pierwszej wizyty, i w Pokoju Artefaktów, gdzie

umieszczono rzadkie rękopisy o religijnym i historycznym znaczeniu. Wiele ksiąg było bogato zdobionych i żadna nie miała mniej niż dwieście lat.

Kobiety przybyły do siedziby Towarzystwa niedługo po południu. Żeby dotrzeć do biblioteki, musiały przejść przez jadalnię, pokój kawowy i palarnię. Potem minęły korytarz i obszerny pokój karciany z imponującym barkiem pełnym różnych karafek. Członkowie Towarzystwa mogli się stylizować na zakonnych rycerzy jak templariusze, ale, jak zdążyła się zorientować Grace, nie byli święci.

Chociażby Ruthveynowi było bardzo daleko do świętości, i to pod każdym względem.

Uśmiechając się do swoich myśli, Grace podeszła do okna i wyjrzała na spokojną ulicę. Jej wzrok zatrzymał się na znajomej postaci. Na chodniku po drugiej stronie ulicy przechadzał się młody człowiek z rękami w kieszeniach burego płaszcza i rozmawiał z mężczyzną, który najwyraźniej pilnował drzwi do klubu Quartermaine'a.

Był to reporter Jack Coldwater. Natomiast zza rogu St. James Street wyłaniał się Rance. Wszędzie rozpoznałaby ten pewny siebie, swobodny chód. Podniosła rękę, jakby chciała go ostrzec, ale był to próżny gest. Oddzielała ich zimna, błyszcząca szyba. Myśliwy i zwierzyna już się dostrzegli.

Coldwater wyskoczył na środek St. James Place, z wiecznie obecnym notesem pod pachą. Zaczęli rozmawiać. Dziennikarz stał butnie, z zadartą głową. Rance zachował swobodną, obojętną postawę. W pewnej chwili odchylił głowę do tyłu i się roześmiał. Coldwater coś odpowiedział i nagle, w okamgnieniu, Rance złapał go za ramię i zaczął ciągnąć w stronę schodów. Coldwater nie miał najmniejszych szans.

- Anisho, gdzie jest twój brat? Czy jest tutaj? - zawołała gwałtownie Grace.

Anisha szeroko otworzyła oczy.

- Chyba może być. Masz do niego jakąś pilną sprawę? - zapytała z przekorą w głosie.

- Tak, mam - przyznała Grace.

- Za drzwiami skreć w lewo i idź korytarzem do końca. Do jego prywatnego saloniku wchodzi się ostatnimi drzwiami po prawej stronie. Jeśli tam go nie będzie, zapytaj kogoś ze służby, gdzie można go znaleźć - powiedziała Anisha.

Nie zastanawiając się wiele nad konsekwencjami, Grace pospiesznie wypadła z biblioteki. Mogła powiedzieć Anishy, ale nie była do końca pewna, co, jeśli coś w ogóle, łączyło Aniszę i Rance'a.

Zresztą co Anisha mogłaby poradzić? Nie, ta sprawa wymagała Adriana.

Korytarz był pusty. Grace zastukała lekko w ostatnie drzwi. Jakaś jej część miała nadzieję, że nie było go w środku.

- Proszę! - warknął.

Uchyliła drzwi i zobaczyła niewielki, wygodnie urządzone typowo męski salonik, ze skórzaną kanapą i biurkiem. Adrian stał przy oknie, odwrócony plecami do drzwi, z kieliszkiem czerwonego wina w ręce. Miał na sobie dziwną, powłóczystą szatę z szorstkiej, brązowej wełny, z kapturem zsuniętym na plecy. Najwyraźniej spodziewał się służącego.

- Przepraszam - odezwała się niepewnie. Odwrócił się gwałtownie i spojrzał na nią ostro czarnymi oczami.

- Grace - wypowiedział to słowo wolno, lekko ochryple. - Grace, na miłość boską, co...

- Musiałam się z tobą zobaczyć.

Zamknęła za sobą drzwi i weszła głębiej do pokoju. Po lewej stronie dostrzegła zamknięte dwuskrzydłowe drzwi. Bez cienia wątpliwości wiedziała, że za nimi znajduje się jego sypialnia.

Adrian odstawił kieliszek z winem.

- Dlaczego tu przyjechałaś, Grace?

- Przyjechałam z Anishą, żeby skorzystać z biblioteki. Zobaczyłam tego młodego człowieka, tego, który prześladowa Rance'a - odpowiedziała.

- Coldwater.

Oczy Adriana ponownie rozbłysły, gdy zbliżył się do niej.

- Tak, czekał po drugiej stronie ulicy. - mówiła dalej Grace. - Spoglądałam przez okno biblioteki i widziałam, jak Rance wlecze go po schodach. Później już nic nie mogłam dostrzec, ale chyba wciągnął go do środka

- Rance da sobie radę z Coldwaterem - stwierdził Adrian, omiatając wzrokiem postać dziewczyny. Odniosła wrażenie, jakby znalazła się za blisko otwartego ognia.

- Ale czy go nie udusi? - udało jej się wykrztusić. - Rance może ściągnąć na siebie więcej kłopotów z prawem i prasą.

Adrian podszedł jeszcze bliżej.

- Rance wie, jak postępować z takim podskakującym, bezczelnym smarkaczem jak Coldwater. Uwierz mi - powiedział z napięciem.

Powietrze w pokoju nagle zgęstniało. Adrian wyraźnie był niezadowolony z jej obecności tutaj.

Spoglądał ponurym wzrokiem, w którym widniała dziwna mieszanina złości i żądy. Ta żąda w niepojęty sposób uspokoiła Grace. Przyszła do niego, żeby pomóc Rance'owi, ale stary przyjaciel szybko stał się jej najmniejszym problemem.

- Tak... tak, chyba masz rację - mruknęła, dając krok do tyłu. - Co... co masz na sobie?

Spojrzał na rozchyloną szatę, jakby dopiero teraz sobie o niej przypomniał.

- To jest szata rytualna, którą zakładam, gdy udaję się do kaplicy - odpowiedział.

- Naprawdę macie tu kaplicę? - zapytała, kierując się do okna.

- W podziemiu - jego napięty głos teraz dobiegał z za jej pleców.

Grace udawała nonszalancję, ale i tak słyszała dudnienie własnego serca. W przedziwny sposób nie miała chęci odejść, a jednocześnie bała się pozostać. Rutłweyn sprawiał wrażenie spiętego bardziej niż kiedykolwiek, jak zawieszona ostrze gilotyny, czekające, aby spaść i ściąć czyjaś głowę.

W końcu jednak musieli wyjść z tego impasu, zwalczyć to, co wypchnęło go z domu, co wyciągnęło go z jej łóżka.

Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła go tuż przed sobą.

- To co robicie w tej kaplicy? Mam nadzieję, że nie składacie w ofierze żadnych dziewczic - rzuciła nienaturalnie lekkim tonem.

- Korzystamy z niej podczas ceremonii i inicjacji. I modlitwy, jeśli chcemy - powiedział z nieruchomą twarzą.

- Ale nie było tam wielebnego Sutherlanda. Był ze mną i z Anishą. A pokój kawowy był pełen ludzi.

- Byłem sam - rzucił przez zęby. - Dużo czasu spędzam sam. Grace, dlaczego tu przysłaś? Tu, do mnie. Czy naprawdę chodzi o Lazonby'ego?

Przełknęła z trudem.

- Tak. Ale teraz... teraz nie jestem już pewna. Chyba chciałam wiedzieć, gdzie byłeś w czasie tych ostatnich dni.

- Tu i tam - odparł spokojnie. Spojrzenie jego ciemnych oczu, przesuające się po jej twarzy i wędrujące w dół szyi, wywoływało uczucie gorąca. - Wczoraj w nocy przyjechałem tutaj. Uznałem, że tak będzie najlepiej.

- Dlaczego, Adrianie? Skończyłeś ze mną? - zapytała, zadzierając brodę.

Kąciki ust wykrzywił mu gorzki uśmiech.

- Wiesz, dlaczego - odpowiedział, unosząc dłoń, żeby pobawić się kosmykiem jej włosów. - Bo nie mogę być z dala od ciebie. Bo nigdy z tobą nie skończę, Grace, nawet jeśli będzie nas oddzielał cały kontynent.

- Czemu więc trzymasz się z daleka? - rzuciła gniewnie. - To nonsens, Adrianie. Po co marnować to... Grace uderzyła plecami o ścianę, zanim zdążyła zaczerpnąć tchu. Przygniótł ją ciężarem swojego ciała. Zaczął całować jak szalony. Głęboko wtargnął językiem w jej usta. Grace poczuła gorące pragnienie, tęsknotę do niego, która paliła ją ogniem.

Oddała mu z nawiązką, co dostała, splatając język z jego językiem. Adrian jęknął. Gorąco i frustracja falami zalewały jego ciało. Chłoneła jego zapach, jakby chciała w nim zatonać. Nie dbając o to, że ktoś może wejść, oddała mu pocałunek, zarzucając ramiona na szyję Adriana i przyciągając jeszcze bardziej do siebie.

Szeroką, gorącą dłonią złapał ją za pośladki i uniósł ku swojej nabrzmiałej męskości, przytulając mocno. Pożądanie, które obudziło się w Grace, odebrało jej dech i spowodowało, że krew odpłynęła z mózgu w boleśnie spragnione rejony.

Szaleństwo. To było prawdziwe szaleństwo.

Pomimo to wsunęła dłoń pod szorstką wełnianą szatę i pas przytrzymujący jego spodnie. Gdy pas nie ustąpił, rozpostarła palce i zaczęła pieścić jego członek, przeżący się pod naciągniętą tkaniną spodni. Dobry Boże, jakże się za nim stęskniła. Był niczym nałóg. Odsunęła się, żeby zaapelować do niego, lecz jego usta, gorący oddech i palące wargi musnęły jej skroń.

- Nigdy z tobą nie zerwę, Grace - wyszeptał. - Nigdy. To ty będziesz musiała mnie zostawić. Mam tylko nadzieję, że będziesz miała dość rozsądku, żeby...

Przerwała mu, całując go mocno.

Długą, gorącą chwilę później jego usta znów opuściły jej wargi, tym razem bez słowa, przesuwał się i pieszcząc szyję. Jednocześnie Adrian jedną ręką rozpiął guziki jej sukni na plecach. W jednej chwili przód jej sukni opadł w dół. Gwałtownym ruchem mężczyzna szarpnął

w dół jej koszulę, obnażając piersi sterczące ponad fiszbinami gorsetu.

Lekko okrążył językiem sutek, który stwardniał z pożądania. Grace gwałtownie zaczerpnęła powietrza i wplotła palce we włosy Adriana.

- Do twojej sypialni. Proszę. Pospieszmy się - wydusiła.

Jej druga ręka powędrowała w stronę zapięcia jego spodni, pieszcząc nabrzmiałą, twardą męskość. Jednak gdy palce sięgnęły do guzików, zatrzyma! ją.

- Nie - jękną!. - Nie tak.

I znów jego usta znalazły się na jej piersiach, ssąc i liżąc. Mózg Grace zamienił się w papkę. Była gotowa bez namysłu zrobić wszystko, czego by sobie zażyczył. Pośród tego całego gorąca i uderzeń krwi poczuła chłodny powiew wiatru na nodze i uświadomiła sobie, że jego ręka unosi spódnicę.

Potem ukląkł i rozwiązał tasiemki przy pantalonach. Kiedy dotknął jej intymnie językiem, papka w jej głowie przekształciła się w coś gorącego i pulsującego. Pozbawiona podparcia szerokich ramion Adriana Grace czuła, że pokój chwieje się przed nią. Jak przez mgłę zauważyła, że stoi dokładnie naprzeciwko drzwi, przez które weszła do pokoju. Czy zamknął je na klucz?

Ale jej palce wplecione były we włosy Adriana, a jego język, jego frywolny język robi! coś tak lubieżnego i dekadentckiego, że Grace z trudem łapała oddech.

- Drzwi - jęknęła cicho. - Czy są...

- Niegrzeczna dziewczynka - mruknął, muskając wargami jej udo. - Nie przychodź i nie kuś mnie, jeśli nie zamierzasz za to zapłacić.

- Zapłacić? - stęknęła. - Nie, ja...

Ale jego język wtargnął głęboko i Grace przestała myśleć logicznie, zapomniała, czego tak bardzo zdecydowana była nie robić. Z jękiem rozpadła się na drobne ka-

wałki czystego, białego światła, gdy rozkosz przetaczała się przez nią fala za falą.

Musiała osunąć się wzdłuż ściany na podłogę jak kukielka, bo kiedy wróciła do siebie, tkwiła w objęciach Adriana, który dysząc ciężko z pożądania opierał się ramieniem o boazerię.

- *Mon Dieu* - mruknęła. - To było... och, brak mi słów.

Jej palce ponownie powędrowały ospale ku górnemu guzikowi jego spodni.

- Nie - rzekł, łagodnie odsuwając jej rękę. Potem pocałował ją w policzek, szepcząc jej imię niczym modlitwę.

Po dłuższej chwili odetchnęła niepewnie.

- Chyba wiesz, że tego nie zrobię - udało jej się wykrztusić.

- Czego nie zrobisz, moja Grace?

- Nawet gdyby w tej chwili ktoś wpadł przez te drzwi, i tak cię nie poślubię, Adrianie - oświadczyła spokojnie.

- O to ci chodziło, prawda? Ale nie zamierzam wychodzić za mąż ani z tego, ani z żadnego innego powodu, nawet gdybyśmy mieli to dziecko, którego nie mamy.

Ale wargi Adriana spoczywały gorące na jej skroni, a jego palce znów zaczęły łagodnie głaskać jej jedwabistą, wilgotną kobiecość.

- Nawet z tego powodu, kochanie? Zrobiłabyś to dla tego? - mruknął, gdy zadrżała w jego objęciach.

- Nie - wypowiedziała zdecydowanie na tyle, na ile mogła to powiedzieć rozpustna, rozchełstana kobieta, z suknią ściągniętą na wysokość talii i zadartą do ud.

- Nie, nawet z tego powodu.

- Rozsądna kobieta - mruknął, mocniej przytulając się do niej. - Niedługo byś tego pożałowała. A poza tym, po co poślubiać byka, jeśli można... jak brzmi to angielskie powiedzenie? O dostawaniu mleka za darmo?

Grace spojrzała na niego z przerażeniem.

- Mówi się o kupowaniu krowy, Adrianie - sprostowała. - I jak śmiesz tak w ogóle mówić? To nie dlatego nie chcę wyjść za ciebie za męża.

- Po części byłbym szczęśliwy, słysząc, że jednak dlatego - powiedział spokojnie.

- Sądzę, że kłamiesz.

Grace udało się wyswobodzić z jego objęć i usiąść.

- W każdym przypadku chodzi o to, że żyjesz w strachu przed tym, co mógłbyś zobaczyć lub czego się dowiedzieć - rzuciła, gwałtownie obciągając spódnicę. - Teraz cię intryguję, bo nie możesz mnie odczytać. Gdybyś mógł, śmiem twierdzić, że nie byłbyś nawet w połowie tak oczarowany.

- Grace, to nie...

- A ponieważ jesteś oczarowany - nie dawała sobie przerwać - więc czekasz, aż zobaczysz, co złego się wydarzy. Gdybyśmy byli małżeństwem, co rano budziłbyś się, zastanawiając, czy właśnie nadszedł dzień, w którym otworzy się straszliwe okno pomiędzy naszymi umysłami i stanimy się jednością w sposób, w jaki nigdy byśmy sobie tego nie życzyli. Czy możesz zaprzeczyć?

Spojrzała na niego z ponurym triumfem.

Adrian jednak najwyraźniej nie miał zamiaru zaprzeczać. Bez słowa zaczął doprowadzać do ładu jej ubranie.

Obserwowała go przez dłuższą chwilę, czując, że serce jej pęka. W końcu wyszeptała:

- Poślubię cię, Adrianie, jeśli kiedyś zaczniesz mnie o to błagać. Kiedy powiesz, że mnie kochasz i nie możesz beze mnie żyć. I kiedy zapewnisz, że razem stawimy czoła wszelkim trudnościom, jakie przyniesie przyszłość. Jeśli taki dzień nadejdzie, wtedy tak, wyjdę za ciebie za męża i będę się zaliczać do najszczęśliwszych kobiet na świecie. Ale nigdy cię nie poślubię tylko dlatego, że podnieśliśmy rękę do góry i poddaliśmy się złemu losowi. Los może być nieuchronny, Adrianie, ale nie będzie mną rządził. Nie będzie.

Bez słowa obrócił ją plecami do siebie i zaczął zapinać guziki przy sukni. Po każdym guziku przerywał, żeby pocałować ją w kark.

I w ten sposób znów zaczęła narastać spirala pożądania. Grace zamknęła oczy, wciągnęła głęboko powietrze, żeby się uspokoić, po czym strzepnęła spódnicę i wstała, wściekła na siebie i na niego. Jednak zanim zdążyła odetchnąć po raz drugi, już wiedziała, że gdyby tej nocy przyszedł do niej do łóżka, powitałaby go z radością i szybko uległaby pokusie tych cudownych ust. Tych ciemnych, błyszczących oczu i sprytnych rąk. Nie wspominając o...

Grace gwałtownie odepchnęła te myśli i odwróciła się pospiesznie. Zobaczyła, że Adrian zmierza w stronę podwójnych drzwi. Chwilę później wrócił z sypialni bez rytualnej szaty, w koszuli z podwiniętymi rękawami, odsłaniającymi umięśnione ręce. Nie spuszczał z niej oczu, w milczeniu odwinał rękawy.

Miała wrażenie, że jej obecność w saloniku na wpół ubranego dżentelmena jest sytuacją dziwnie intymną. Zważywszy na stan, w jakim znajdowała się zaledwie chwilę wcześniej, było to zaiste śmieszne odczucie.

- Nadal uważam, że powinieneś poszukać Rance'a. Mam złe przeczucia - powiedziała z naciskiem. Zajęty zapinaniem jednego mankietu Adrian spojrzał na nią spod grzywy gęstych, czarnych włosów na wpół przymkniętymi, uwodzicielskimi oczami.

- A ja nadal uważam, że powiniennem cię odprowadzić z powrotem do biblioteki, pod skrzydła mojej siostry, gdzie oboje moglibyśmy udawać, że przed chwilą wcale cię nie zadowolilem w sposób, który wywołałby uniesienie brwi wszystkich stąd aż po Hampstead Heath, gdyby ktoś nas przyłapał.

-Adrianie!

- W przeciwnym razie gotów jestem wciągnąć cię przez tamte drzwi do mojego łóżka i zrobić to, czego

od dawna tak rozpaczliwie pragnę, ale towarzyszący temu wściekły hałas na pewno by usłyszano w saloniku kawowym na dole.

Grace poczuła, że nogi jej miękną w kolanach, a wraz z nogami słabnie także jej postanowienie. Udało jej się jednak podejść do krzesła, na którym leżało ubranie Adriana, i podać mu kamizelkę.

Z pełnym zrozumieniem skrzywieniem ust Adrian włożył ją i zapiął guziki. Jego każdy ruch był irytująco spokojny. Grace westchnęła w duchu i podała mu żakiet. W tym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie.

- Pański powóz już czeka, a Brodgen mówi... - Fricke zastygł w progu. - Och, bardzo przepraszam, milordzie.

- Wszystko w porządku, Fricke - rzucił Adrian, zakładając żakiet. - Mademoiselle Gauthier właśnie przekazywała mi wiadomość od lady Anishy. Jestem potrzebny w głównej bibliotece. Powiedz Brodgenowi, żeby czekał na rogu.

- Oczywiście, milordzie.

Fricke wszedł do środka i przytrzymał drzwi. Adrian wziął swoją laseczkę i kapelusz ze stolika.

- *Mademoiselle?* - Bardzo oficjalnie podał jej ramię. Wsparła się na nim i bez słowa ruszyli korytarzem

w stronę biblioteki. Jednak w ostatniej chwili Grace zatrzymała się gwałtownie i odwróciła do niego twarzą.

- Wróć dziś do domu, Adrianie. Po prostu wróć do domu. Przyjdź do mnie, do łóżka. Pozwól, żeby reszta sama się rozwiązała. Proszę - powiedziała ochrypłym głosem.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale w tym momencie drzwi do biblioteki otworzyły się i jak burza wypadła z nich jego siostra. Na jego widok zaświeciły się jej oczy.

- Raju, dzięki Bogu! - zawołała podniecona. - Potrzebna mi jest ta książka z rysunkami, którą zrobił dla ciebie Curran. Ta z różnymi formami znaku, które zmieniały się przez wieki. Pan Sutherland próbuje określić,

z jakiego okresu pochodzi symbol widniejący w brewiarzu Grace.

- W brewiarzu Grace? - zmarszczy! brwi Adrian. Anisha zerknęła na Grace z rosnącą irytacją.

- Dobry Boże, czy nie to poszłaś mu powiedzieć? - zawołała. - Zresztą nieważne! - Przeniosła wzrok na brata. - Adrianie, możesz znaleźć tę książkę?

- Na dole w moim prywatnym gabinecie - odpowiedział. - Jestem już spóźniony na spotkanie pod numerem czwartym. Dam ci ją, tylko chodź szybko.

- Dziękuję - rzekła Anisha. - Grace, pan Sutherland chce pokazać ci parę nazwisk i sprawdzić, czy ci się z czymś kojarzą.

Rutlweyn ruszył w dół po schodach z siostrą deptającą mu po piętach. Oparł się pokusie, żeby nie spojrzeć przez ramię na Grace. Ciągłe czuł jej palący wzrok. Nawet sam sobie nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego był taki zirytowany. Może dlatego, że utrudniała mu zachowanie dystansu pomiędzy nimi. Wyglądało na to, że szklana ściana, której tak rozpaczliwie potrzebował, by odgradzała go od reszty świata, łatwo się przed nią rozpadała.

I te ostatnie słowa! Ten ochrypły głos, zachęcający, żeby ją wziął, i ten jej wzrok utkwiony w jego ustach powodowały, że czuł dreszcz niepohamowanego pożądania. Prawda wyglądała tak, że był zakochany w Grace Gauthier, kompletnie, beznadziejnie zakochany, i to niemal od dnia, kiedy się poznali. Ale jeszcze gorsza niż miłość była bolesna potrzeba. Nie fizyczne pożądanie czy szalone pragnienie nowego romansu, lecz głębokie, nieustające wołanie duszy szukającej drugiej, jakby ich korzenie splotły się nieubłaganie. Jakby byli parą, która pobrała się dwadzieścia lat temu, a nie kochankami od dwóch tygodni. I nadal nie rozumiał, jak to się stało, że zakochał się tak szybko i tak mocno.

Tymczasem podążająca za nim siostra trzęsła się od powstrzymywanych emocji. Spojrzał na nią.

- Anisho, o co chodzi? - zapytał spokojnie. Omiotła go oceniającym spojrzeniem.
- W tej chwili? - zapytała. - Zastanawiam się, co knujecie z Grace.
- Anisho, bądź łaskawa odpowiedzieć na moje pytanie - rzekł tonem nieznoszącym sprzeciwu. Westchnęła.
- Bardzo proszę. Grace znalazła w kufrze swojego ojca starą książkę - powiedziała, przyspieszając kroku, żeby za nim nadążyć. - Książka pochodzi z siedemnastego wieku i ma na stronie tytułowej kopię znaku Strażników.
- Zatrzymał się na półpiętrze i odwrócił ku niej twarz. -Co?
- Raju, Grace nie jest niepoznawalna. Wpatrywał się w siostrę, usiłując zrozumieć jej słowa.
- Mam nadzieję, że się mylisz.
- Nie, nie rozumiesz - szepnęła Anisha. - Nie jest niepoznawalna, bo... bo myślę, że jest jedną z *vateis*. Wszystko w środku Rutłweyna zamarło. Potem rzucił:
- Chyba oszalałaś.
- Anisha potrząsnęła głową tak energicznie, że aż jej kolczyki zabrzęczały.
- Nie sądzę - rzekła. - Wspominała i tobie, i mnie, że znak wydaje jej się znajomy. Cóż, znalazłyśmy ten znak. W kufrze jej ojca. W książce do nabożeństwa, która należała do jej przodka. Zgadnij, jak miał na imię?
- Naprawdę nie mam pojęcia.
- To jest szkockie imię. Sir Angus... jakiś tam. Kiedy jej nie było, kiedy robiła nie wiadomo co z tobą, pan Sutherland znalazł to nazwisko wzmiankowane w jednym z dawnych manuskryptów dotyczących ceremonii inicjacyjnych. Mówię ci, Raju, że tak wygląda prawda. Grace jest jedną z *vateis*. Czuję to bardzo mocno. Pamiętaj, że widziałam jej dłoń.
- Anisho, to by oznaczało, że...

- Tak - rzekła znacząco - To by oznaczało... Ruthveyn potrząsnął głową, usiłując w jakiś sposób usunąć pajęczyny oplatające mu mózg. To było zbyt wiele i wymagało dogłębnych przemyśleń oraz długiej rozmowy z Grace.

- Nie potrafię teraz o tym myśleć - powiedział jakby sam do siebie.

- Co to znaczy? Co może być ważniejszego? - zapytała z oburzeniem.

Złapał ją za ramię i znów pociągnął w dół po schodach. Jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, że niemal wlecze Anishę, mówił, nie podnosząc głosu:

- Godzinę temu Napier przysłał list. Wieści nie są dobre.

- O co chodzi?

- Ministrowi spraw wewnętrznych pali się grunt pod nogami - powiedział Rutłweyn. - Bogaci sąsiedzi Holdinga spotkali się z nim, żądając, aby policja coś zrobiła, nie wiadomo dokładnie co. W związku z tym sir George zdecydował, że aresztowanie Grace będzie najpewniejszą metodą przekonania ich, że nie mają do czynienia z szalonym mordercą grasującym po Belgravii, tylko ze zbrodnią w afekcie.

- To jakaś bzdura! Nie mają dość dowodów - syknęła.

- Sądzę, że sir George nie martwi się brakiem przekonujących dowodów, tylko zależy mu na pospiesznym postawieniu Grace przed sądem. - odparł Rutłweyn. - To będzie coś, co uciszy bogaczy. Ale sąd? Na Boga! Więzienie? Nie sposób o tym myśleć, nawet jeśli miałyby być na krótko. Nie. Nie pozwolę, żeby Grace była narażona na takie okropieństwa.

Skręcili w korytarz i Anisha rzuciła mu pełne powątpiewania spojrzenie.

- Napier ostrzega cię przed tym aresztowaniem?

- Och, nie robi tego z altruistycznych pobudek. Ten człowiek po prostu nie może znieść myśli o procesie bez dowodów winy. Wydaje mi się też, że zaczyna wie-

rzyć, iż Grace może być niewinna - stwierdził ponurym głosem.

- A ty wierzysz, że to ma dla niego znaczenie? W sprawie Rance'a nie miało - prychnęła Anisha.

- W tym wypadku na to wygląda. Napisał, żeby mnie ostrzec i powiedzieć mi, że jeśli mam sposoby wpłynięcia na sir George'a, teraz przyszedł na to czas - rzekł Rutłweyn z napięciem w głosie.

- Chce, żebyś poprosił o interwencję królową.

- Możliwe - odpowiedział Rutłweyn. - I zrobisz to?

- Tak, jeżeli będę musiał. Ale królowa przebywa teraz w Balmoral, co na pewno spowolni nieco wszelkie działania. A poza tym nawet najdrobniejsze podejrzenie popełnienia zbrodni będzie prześladowało Grace do końca życia. Powinienem więc raczej przedstawić sir Geor-ge'owi lepszego podejrzanego.

- Co zamierzasz zrobić?

- Geoff potrafi czasem wydobyć informacje z nieożywionych przedmiotów - myślał na głos Rutłweyn.

- Mamy dwa listy, a właściwie notatkę i list, niemal na pewno sfalszowane przez zabójcę.

- Ale lord Bessett jest w Yorkshire - zauważyła Anisha. - A Napier z pewnością nie zamierza pokazać ci dowodów zebranych przez sąd.

- Nie, ale możemy... - Rutłweyn przerwał, nagle rejestrując gniewne głosy, niosące się po korytarzu. - Co, u diabła?

Na twarzy Anishy pojawił się niepokój.

- To głos Rance'a. Brzmi, jakby chciał kogoś zamordować - powiedziała, unosząc spódnicę i puszczając się biegiem.

Nagle Rutłweyn przypomniał sobie ostrzeżenie Grace.

- Diabli nadali - mruknął, ruszając za siostrą.

Za drzwiami gabinetu gwałtowny spór stawał się coraz głośniejszy, chociaż przez dębową okładzinę trudno było

rozdzielić słowa. Rutłweyn położył dłoń na klamce, z niechęcią analizując możliwości. O Boże, czy nie dość miał kłopotów i bez Rance'a?

- Mama zawsze mówiła, że niegrzecznie jest podsłuchiwać pod drzwiami, więc je otwórz - popędzała go Anisha.

Nagle usłyszeli głośny łoskot, trzask i brzęk tłuczonej porcelany.

Rutłweyn zaklął pod nosem i pchnął drzwi. I natychmiast tego pożałował.

Stojąca za nim Anisha gwałtownie wciągnęła powietrze i podniosła obie ręce do ust.

Lazonby przygniał Jacka Coldwatera do oparcia sofy jak w namiętym uścisku, z obutą nogą wsuniętą pomiędzy nogi swojej ofiary: Obok leżało potłuczone na drobne kawałki porcelanowe popiersie Arystotelesa i przewrócony marmurowy postument.

Rutłweyn zamknął drzwi równie pospiesznie, jak je otworzył. Ale nie było sposobu, żeby zapomnieć tamten widok.

- O Boże - wyszeptała drżącym głosem Anisha. Rutłweyn złapał ją za ramię, tym razem łagodniej.

- Nish, to nie są nasze sprawy - powiedział.

Ale po kilku krokach w korytarzu Anisha zaczęła się opierać.

- Raju - szepnęła, zatrzymując się gwałtownie - to wyglądało, jakby... czy myślisz, że Rance...

- Do diabła, nie mam pojęcia - powiedział.

Za ich plecami drzwi otworzyły się z impetem. Jack Coldwater przebiegi obok nich i popędził w dół po schodach, jakby goniło go stado wilków.

Rutłweyn obrócił się ku siostrze i złagodził swój ton.

- Nie sądzę, żeby któryś z nich nas widział. Anisho, chyba powinniśmy powiedzieć sobie, że to nie było to, na co wyglądało.

Ale jego siostra nadal miała oczy wielkie jak spodki i pobladłą twarz.

- A... a jak to twoim zdaniem wyglądało? - zapytała trzęsącym się głosem. - Powiedz mi, Raju. Rutłweyn zamknął oczy i zaklął cicho. Anisha nie była naiwna. Pomimo tego, co jej powiedział, trudno było mieć wątpliwości co do interpretacji widzianej sceny. A może?..

Przecież Lazonby nie całował tamtego młodego człowieka. Żądza i wściekłość wisały w powietrzu. Ale Lazonby?

To nie miało sensu. Och, był rozwiązły, zresztą Ruthveyn nie był od niego lepszy. Obaj pod wpływem żądzy i środków odurzających robili wiele rzeczy, o których nie mieliby ochoty rozmawiać w świetle dnia. Ale to, z pełną trzeźwością, w przyzwoitym domu, przekraczało wszystko.

- Porozmawiam z nim - rzekł gwałtownie, puszczając ramię Anishy. - Proszę, żebyś teraz poszła na górę do Grace. Powiedz jej, że chcesz wracać do domu, dobrze?

Anisha gapiła się na podłogę. Palcem uniósł jej brodę.

- Dobrze, Nish?

- Tak. Dobrze. - Udało jej się uśmiechnąć. Pocałował ją lekko w czoło.

- Zaniosę książkę Sutherlandowi. Ale teraz biegnij, zanim Lazonby wyjdzie z saloniku.

Kiwnęła głową i popędziła po schodach na górę. Rutłweyn obserwował oddalającą się siostrę z rozdartymi uczuciami. Grace nadal zajmowała główne miejsce w jego myślach. Grace i skutki dziwnej opowieści Anishy o modlitewniku. Jakże to niesprawiedliwe, że w chwili gdy sam zaczął mieć cień nadziei na spełnienie swoich marzeń, marzenia jego siostry legły w gruzach.

Oczywiście nigdy by nie pozwolił Anishy poślubić La-zonby'ego. Miał jednak nadzieję, że jej zauroczenie umrze śmiercią naturalną. Ta sytuacja nie była zdrowa. Niektórzy śmiało mogliby ją nazwać bardzo nienaturalną, a wręcz wynaturzoną. Rutłweyn tak daleko by się nie

posunął, ale i tak zamierza! powiedzieć Lazonby'emu parę słów do słuchu.

Drzwi do prywatnej biblioteki nadal stały otworem. Lazonby podszedł do okna i patrzył w dół, na ulicę. Był sztywno wyprostowany i miał zaciśnięte pięści. Nawet bez Daru Ruthveyn potrafiłby wyczuć wściekłość wiszącą w powietrzu.

- No cóż, przyjacielu - odezwał się, cicho zamykając za sobą drzwi - czasem nadal potrafisz mnie zaskoczyć.

Poblądły Lazonby odwrócił się od okna.

- Słucham?

Ruthweyn machnął ręką w stronę sofy i potłuczonego popiersia.

- Nie mam prawa osądzać gustu innych w takich sprawach - powiedział. - Ale powinieneś wiedzieć, że kiedy trzy minuty temu otworzyłem drzwi, była ze mną Anisha. Na litość boską, następnym razem zamykaj je na klucz.

Gdy Lazonby wpatrywał się w niego, Ruthveyna ogarnęło poczucie winy. Niecały kwadrans temu on sam był równie głupi, pozostawiając otwarte drzwi i ryzykując reputacją, ba, być może podświadomie chciał zostać przyłapany. Ale Grace miała rację: człowiek nigdy nie powinien pozostawiać takich decyzji przypadkowi. Nigdy nie powinien ryzykować skrzywdzenia czy zrujnowania drugiego człowieka.

- Widzieliście? - w końcu wydusił z siebie Lazonby.

- Obawiam się, że tak.

Twarz Lazonby'ego poczerwieniała.

- Cholera, to wcale nie to, na co mogło wyglądać.

- A więc co to było?

- To nie twój interes.

Ruthveyn zaczął krążyć po pokoju z rękoma zaplecionymi na plecach, żeby opanować pokusę wymierzenia Lazonby'emu policzka.

- Owszem, to nie mój interes - odezwał się w końcu. - Ale muszę mieć na względzie wrażliwe uczucia mojej siostry. Wiesz chyba, że jest w tobie na wpół zakochana.

Lazonby wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

- Anisha? Chyba żartujesz.

- Oczywiście nie żartuję - spokojnie odparł Rutłweyn. Jego przyjaciel najwyraźniej się przejął.

- Bardzo lubię twoją siostrę, Adrianie - stwierdził, krzywiąc się - ale... no cóż, nie jest w moim typie.

Rutłweyn pomyślał, że faktycznie na to wyglądało. Jednak powiedział tylko:

- Dbaj o swoją reputację, przyjacielu, o dobre imię naszego bractwa i ważną misję, którą mamy do spełnienia. Poza tym, bez względu na to, co robisz prywatnie, zawsze będziesz moim przyjacielem.

- Ale... ale nic się nie zdarzyło - zaprotestował Lazonby.

Rutłweyn uniósł do góry brwi.

- No, z pewnością coś się jednak stało. I uważam, że musisz się zastanowić, co to było, i zdusić to.

Stanę u twego boku, Rance. Chyba o tym wiesz.

Lazonby odetchnął niepewnie i przesunął ręką po twarzy, jakby chciał zetrzeć parę ostatnich minut.

- Wiem. Trudno by mi było znaleźć drugiego takiego człowieka jak ty, Adrianie, który zawsze służyłby pomocą w potrzebie. Ten mały drań po prostu mnie zdenerwował, i to wszystko. Nie chciał mi dać spokoju. A ja mam serdecznie dość grzebania się pismaków w mojej przeszłości. Jestem zmęczony pytaniami. Jestem zmęczony jego świętoszkowatym widokiem. Tym razem więc... dałem się sprowokować. Chciałem dać mu lekcję.

- Ale to, co zrobiłeś, to woda na jego młyn. I może to wykorzystać - spokojnie zauważył Rutłweyn.

- O Boże, Adrianie, co mam robić? Nie jestem... nie jestem taki. Nie jestem.
- Im dłużej żyję, tym bardziej dochodzę do wniosku, że nikt z nas nie jest do końca taki czy inny, nie zawsze i nie w każdych okolicznościach.

Ale Lazonby zdawał się go nie słyszeć. Podeszedł z powrotem do okna i znów patrzył na klub Ouartermai-ne'a, oparłszy ręce na ramie, jakby chciał się powstrzymać przed skoczeniem z okna. Rutłweyn poczuł nagle przemożny żal, że nie posłuchał wcześniej Grace. Wiedziała, że coś jest nie w porządku. Powiedziała, że powinien poszukać Rance'a i że ma złe przeczucia.

To prawda, że *vateis* nie mogli się nawzajem odczytać. Ale wszyscy mieli pewien rodzaj intuicji, potrafili wyczuć kłębiące się emocje tak, jak inni powiew powietrza. Czy to możliwe, że teoria Anishy jest prawdziwa?

Lazonby zacisnął dłoń i wyrznął pięścią w okienną ramę.

- Do diabła, jak mogłem dopuścić do tego, żeby sprawy tak bardzo wymknęły się spod kontroli? - wyszeptał. - To znaczy... do cholery, sam nie wiem, co to znaczy! Powiedz mi tylko, co mam zrobić, jeśli Coldwater zasugeruje, zasugeruje, że ja...

Ruthveyn podeszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie sądzę, żeby to uczynił. Wyglądał na równie wstrząśniętego jak ty. Nie, wydaje mi się, że będzie milczał - rzekł spokojnie.

- A jeśli nie? Co wtedy? - zapytał Lazonby.

- Wtedy powiem, że tu byłem, że przez cały czas stałem w drzwiach. Ale mojej siostry tu nie było - powiedział Rutłweyn.

Rance się odwrócił.

- Chcesz powiedzieć, że skłamałbyś dla mnie?

- Chcę powiedzieć, że uczynię wszystko, co będzie konieczne, żeby chronić kogoś, na kim mi zależy. I żeby

chronić bractwo. Mamy tu pracę do wykonania, która przerasta nas obu - stwierdził spokojnie Ruthweyn.

Ale Lazonby znów odwrócił się w stronę okna i zaczął przez nie wyglądać.

- Posłuchaj, kazałem Brodgenowi czekać na mnie na rogu, a on jest w tych sprawach bardzo wrażliwy.

Zobaczymy się przy kolacji? - zapytał Ruthweyn, klepiąc go po plecach.

Lazonby westchnął i rozluźnił spięte ramiona.

- Spieszysz się gdzieś?

- Tak. Scotland Yard jest o krok od aresztowania Grace.

Rozdział 15

Powrót łajdaka

Tej nocy przyszedł do niej. Przyszedł, bo go o to poprosiła. I dlatego, że tęsknił do tego, by się z nią położyć, nie tylko po to, żeby się kochać, ale żeby istnieć w tej samej sferze, co ona, oddychać tym samym powietrzem. Żeby oprzeć głowę na jej ramieniu i znaleźć pocieszenie w ciepłe jej spojrzenia. Ledwie parę tygodni temu głębia jego pragnienia Grace kazałaby mu się zatrzymać. Ale, jak często przypominała mu siostra, stare księgi wedyjskie *Upaniszady* uczyły, że los człowieka jest mu z góry pisany i że próżno byłoby z nim walczyć. Teraz żałował, że ich nie studiował, czuł bowiem, że powierzył swoją duszę Grace i że w tym akcie zaczął odczuwać spokój.

Wszelkie jego obawy i wszystkie daleko posunięte teorie Anishy o Grace i Darze szybko przestawały mieć znaczenie. Wiedział jedynie, że los zabierał go w podróż, tak jak to wiele tygodni temu przepowiedziała Anisha, i że mu się poddał.

Wsunął się do jej pokoju tuż po północy, bez pukania, pewien, iż Grace będzie wiedziała, że to on. Przekręciła się na bok i oparła na łokciu, zaspanym gestem odgarniając z oczu jasne włosy. - Adrian - szepnęła. Jej głos opłynął go niczym gorący miód.

Zsunął srebrzysty, jedwabny szlafrok i kochał się z nią bez słowa, powoli, swoim ciałem i westchnieniami mówiąc jej, że to, co do niej czuł, nigdy się nie skończy. A kiedy w końcu leżała pod nim, zaspokojona, mocno przytulił ją do siebie i wtulił twarz w jej szyję, ustami wyczuwając lekkie uderzenia pulsu za jej uchem. Nie wysunął się z niej w szczytowym momencie, lecz z radością, a może i z pewną nadzieją wypełnił ją swoim nasieniem.

- Jutro muszę wyjechać, Grace - odezwał się w końcu szeptem.

Zesztywniała w jego objęciach.

- Na jak długo?

- Na trzy dni. A kiedy wrócę, będziemy musieli poważnie ze sobą porozmawiać - Musnął wargami łuk jej szczęki.

- Hmm - mruknęła. Nawet w mroku czuł przesuwające się po nim spojrzenie. - Mogę zapytać, dokąd jedziesz?

Westchnął w duchu. Naprawdę nie chciał jej niepokoić obawami Napiera.

- Do Yorkshire, do posiadłości lorda Bessetta. Mamy tam pewną sprawę do zakończenia - powiedział.

- Sprawę związaną z Fraternitas?

- W pewnym sensie. Przekręciła się na plecy i jęknęła.

- Powiedz mi, Adrianie, dlaczego znów mam wrażenie, że jesteś ze mną odrobinę nieszczerzy?

Przesunął ręką po oczach, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Bo jestem - przyznał w końcu. - I ponieważ Anisha ma rację, że jesteś stanowczo zbyt spostrzegawcza. Ale czy mi nadał ufasz, Grace?

- Tak - odpowiedziała jak zwykle błyskawicznie.

- Możemy więc na razie zostawić tę sprawę? Czy zaufasz mi i uwierzysz, że robię to, co jest słuszne?

- zapyta! łagodnie.

Zgodziła się zdumiewająco łatwo. Obróciła się na bok i przerzuciła jedną nogę przez jego udo.

- W porządku - mruknęła, całując go lekko w skroń.

- Widzisz? Naprawdę ci ufam. Ale martwi cię coś innego, prawda? To znaczy coś innego niż nasze relacje.

Roześmiał się szorstko.

- No tak, stanowczo zbyt spostrzegawcza - powtórzył.

- Żałuję, że nie posłuchałem cię dziś po południu. Mam na myśli Rance'a.

- Był jakiś problem, prawda?

- Widziałem... - głos mu się załamał. - Widziałem Rance'a z Coldwaterem. W kompromitującej sytuacji. - Nie rozumiem - mruknęła Grace. Oparł głowę na poduszce.

- Widziałem Rance'a niemal całującego Jacka Cold-watera, a przynajmniej tak to wyglądało.

- *Qa alors!* - Grace gwałtownie usiadła na łóżku.

- Na pewno się pomyliłeś. Ponownie potrząsnął głową.

- Mam nadzieję, że masz rację. Choć na pewno coś się działo.

- Ale przecież nie to! - zawołała.

- Później Coldwater uciekł jak przerażony zając

- mówił dalej. - Ale byłem z Anishą i musiałem ją odciągnąć.

Grace zastanowiła się przez chwilę.

- Długie lata spędzone w legii czasem dziwnie wpływają na ludzi. To trudne życie. Ale Rance? Był największym kobieciarzem, jakiego można sobie wyobrazić. Teraz rozumiem, dlaczego Anisha chciała tak pospiesznie wracać.

- Muszę ci się przyznać, że byłem tym wstrząśnięty

- powiedział Adrian. - Ten człowiek był mi jak brat, a nigdy nie wiedziałem, że... że może czuć... o, do diabła, sam nie wiem.

Grace ułożyła się tak, że oparła obnażone piersi na jego torsie, a policzkiem przywarła do ramienia.

- Wyczuwam wahanie w twoim głosie.

Prawda bowiem wyglądała tak, że rzeczywiście czasami miał wątpliwości co do przywiązania Lazonby'ego do Belkadiego. Belkadi i jego siostra Safiyah spędzili dzieciństwo jako obozowe sieroty. W końcu Belkadi został ordynansem Lazonby'ego. Po swoim uwięzieniu La-zonby wydał ściśle instrukcje, żeby rodzeństwo zostało wywiezione z Algierii. Ruthveyn wykonał to. Jednak Belkadi nie okazał nawet krzty wdzięczności. To wszystko było bardzo dziwne.

- O czym myślisz? - mruknęła Grace, zakładając mu pasmo włosów za ucho.

Przetoczył się wraz z nią na bok.

- O tym, że wolałbym cię nie opuszczać - odpowiedział, uważnie wpatrując się w jej twarz. - Grace, myślisz, że to będzie możliwe? Ze istnieje jakaś szansa? Chodzi mi o tę szaloną sugestię Anishy.

Od razu wiedziała, co miał na myśli.

- Początkowo tak nie sądziłam - przyznała. - Ale wierzę, że wywodzę się w prostej linii od sir Angusa Muirheada, który wyjechał do Francji i omal nie zginął podczas zarwania się mostu. I na pewno się okaże, że miał związek z Fraternitas.

- Sutherland jest o tym przekonany - odparł Ruthveyn.

Grace westchnęła i, opadłszy na poduszki, wbiła wzrok w sufit.

- Ale czy wierzę, że mam jakiś dar? Nie. Jestem taka, jak zawsze - stwierdziła.

Oparty na łokciu Ruthweyn położył dłoń na jej brzuchu.

- Grace, dziś w nocy wlałem w ciebie swoje nasienie. I zrobiłem to... zrobiłem to, mając jakąś nadzieję. Bo cię kocham. Grace, myślę, że my...

- Przestań - rzuciła łagodnie, kładąc małą, gorącą dłoń na jego ręce. - Po prostu przestań, Adrianie.

Być

może chciałbyś mnie kochać. Ale możliwe, że w tej chwili jesteś zakochany wyłącznie w nadziei.

- Do licha, Grace, nie mów mi, co...

- Nie, pozwól mi skończyć - naciskała łagodnie. - W tej chwili masz nadzieję, że jestem, bo ja wiem, może jednym z *vateisl*. To nawet brzmi wariacko. Mylisz się i swoje uczucia kierujesz do osoby, która nie istnieje. Tego się boję. Nie rozumiesz, jak to wygląda z mojej perspektywy?

Ruthveyn ujął w dłoń jej twarz i spojrzał jej prosto w oczy.

- Kocham cię, Grace - rzekł zdecydowanie. - Nie mów mi, co czuję. Kocham cię. Potrzebuję cię i czasami tęsknię do ciebie tak bardzo, że mam wrażenie, iż gdybym cię stracił, serce by mi pękło. Tego właśnie się boję, Grace. Nie mów mi więc, co czuję. Powiedz mi, że mnie kochasz. Powiedz, że mnie poślubisz.

- Chyba nie mówisz poważnie - szepnęła. - Nie teraz.

- Bardzo poważnie. Nigdy w życiu nie mówiłem bardziej serio - rzucił chrapliwym głosem.

Usiłowała odwrócić wzrok, ale przytrzymał jej twarz.

- No dobrze - ciągnął dalej łagodnym głosem. - Powiedz, że mnie nie kochasz. Powiedz to, patrząc mi prosto w oczy.

W mroku rozległ się jej cichy jęk, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem.

- Oczywiście, że cię kocham - powiedziała głosem łamiącym się od płaczu.

Od razu poczuł się jak łajdak.

- Och, Grace, nie płacz. Przepraszam. Nie płacz - wyszeptał, przytulając ją mocniej do siebie.

- Oczywiście, że cię kocham - powtórzyła. - Ale nie chcę, żebyś mnie pragnał tylko dlatego, że mnie nie możesz odczytać, albo dlatego, że myślisz, iż mogę nosić twoje dziecko. Naprawdę wierzę w to, co dzisiaj powiedziałam, Adrianie. Nie wystarczy mi miłość, która jest

miłością tylko wtedy, gdy wszystko układa się łatwo i pomyślnie. I kiedy się zastanowisz, też dojdiesz do wniosku, że taka miłość tobie również nie wystarcza.

- Sądzisz więc, że postanowiłem cię pokochać tylko z powodu szalonej teorii mojej siostry - powiedział.

- Sądzę, że parę godzin temu lękałeś się naszej przyszłości. Nie chciałeś nawet iść ze mną do łóżka, chociaż cię o to prosiłam - wyszeptała.

- Grace, w klubie? - zdumiał się. - Na miłość boską, czekałem przecież na Fricke'a. I tak omal nas nie przyłapał. Powiedziałem ci wtedy, że nigdy cię nie opuszczę.

- I że masz nadzieję, iż będę miała dość rozsądku, żeby cię zostawić - dokończyła.

Zaklął pod nosem, używając słów, jakich żaden dżentelmen nie powinien wypowiadać w obecności damy, a już zwłaszcza gdy znajdował się w jej łóżku.

W długiej chwili ciszy, która nastąpiła po tych słowach, przygniatał ją swoim ciałem, ona zaś otaczała go ramieniem w pasie. Uświadomił sobie, że Grace miała po części rację. Pozwolił, żeby dzikie pomysły Anishy pchnęły go w stronę czegoś, co chociaż nieuniknione z jego punktu widzenia, nie było jeszcze wystarczająco przemyślane.

Och, kochał Grace i był zdecydowany ją poślubić. Musiał spędzić u jej boku wszystkie dni, które były mu jeszcze pisane, nawet gdyby miały to być jedynie dwa tygodnie. Bo choćby chwila w jej towarzystwie przynosiła mu radość i spokój, jakich nawet sobie nie wyobrażał, a chwila bez niej... po prostu nie było warto bez niej żyć.

W końcu uda mu się ją o tym przekonać. Ale być może nie należało się spodziewać, że natychmiast wpadnie w ogromny zachwyt.

- Dobrze, myśl sobie, co chcesz, Grace. Tylko... zostań ze mną. Nie rezygnuj. Nie uciekaj do Francji. Daj mi czas na przekonanie cię, co jest dla nas słuszne - powiedział łagodnym głosem.

Zwróciła do niego twarz i go pocałowała.

- Kochaj się ze mną jeszcze - szepnęła. - Powoli, tak jak poprzednio. Dziel ze mną oddech i duszę, gdy nasze ciała staną się jednością. I choć przez parę godzin żyj teraźniejszością. Ze mną. Nie myśl o przyszłości.

Patrząc na Grace i zatracając się w głębokiej nieskończoności jej błękitnych oczu, Adrian doszedł do wniosku, że jest to najlepsza sugestia, jaką słyszał w życiu.

* * *

Następnego dnia rano Grace obudziła się w domu, który wydawał się pusty i bez duszy. Adrian opuścił jej łóżko przed świtem, pozostawiając ją okropnie niewyspaną po dwóch godzinach powolnej, cudownej tortury miłosnej. Pocałował ją mocno i szepnął coś o pierwszym pociągu odjeżdżającym ze stacji Euston. Czowała jego nieobecność jak fizyczny ból.

Odsunęła zasłony i zobaczyła, że mgła i smog uniosły się, odsłaniając ślady mżawki na szybach i błyszczący od wilgoci bruk ulicy, żółtawy w świetle gazowych latarni. W mroku zaturkotał wóz rozwożący mleko z pochylonym woźnicą w kapeluszu z opadającym rondem.

Grace jadła śniadanie sama, z dziwną niechęcią. Jedzenie miało smak popiołu. Potem spędziła dwie godziny, usiłując wbić do głowy Teddy'emu tabliczkę mnożenia, podczas gdy jego brat próbował podpalić mu spodnie, a Milo trzepotał skrzydłami i skrzeczał:

- *Pomocy! Pomocy! Angielski więzień!*

- Wydaje mi się, że to ja jestem angielskim więźniem

- oświadczył Teddy, odkładając tabliczkę do pisania.

- To jest gorsze niż lochy Czarnej Dziury w Kalkucie. Grace westchnęła.

- Ponad stu najdzielniejszych synów Albionu szeszło w Czarnej Dziurze - przypomniała mu.

- Cóż, pozostałym więźniom stary nabab powinien był kazać wykonywać mnożenie, to umarliby z nudów - odparował.

Tom przycupnięty na stołku w kącie pokoju, gdzie odbywa! karę, odwrócił się.

- Czy mogę zejść? Myślę, że już skończyłem swoją lekcję - rzucił z nadzieją w głosie.

- Tak - warknęła Grace. - Zejdź i idź zapytać Higgenthorpe'a, czy służący skończyli już sprzątać w oranżerii. Milo musi tam wrócić, bo inaczej kucharz poda dziś na obiad papugę.

- *Arrr!* - zaprotestował Milo, trzepocząc skrzydłami.

- *Piękna! Piękna! Piękna! Piękna!*

- Na komplementy jest już o wiele za późno, kolego

- mruknęła ponuro Grace.

- Co tu się dzieje? Chyba zjawiłem się w ostatniej chwili! - rozległ się głos od drzwi.

Grace odwróciła się i zobaczyła wchodzącego do pokoju lorda Lucana.

- *Alors*, jak nie jeden łajdak, to drugi - rzekła, tłumiąc uśmiech. - Przyszedł pan bronić Mila, prawda?

- Ależ skąd, chciałem zarekomendować do papugi sos maderowy - powiedział lord Lucan. - A może sos aksamitny i zimne białe wino, jeśli zamierza pani go ugotować.

- Nie, ona wcale nie zamierza go zjeść, wujku Lucanie

- stwierdził Tom. - Po prostu kipi ze złości, bo Teddy nie umiał powiedzieć, jak się mnoży przez dziewięć i przez osiem, a ja przyłożyłem zapalniczkę do nogawki jego spodni.

- Wydaje mi się, że powiedziałam jedynie, iż jestem wykończona - sprostowała Grace.

- Niewielka różnica - oświadczył lord Lucan, w uśmiechu szczerząc do Grace białe zęby. - Moja droga, nie marszcz tak tych ślicznych brwi. Spójrz, wreszcie wyjrzało słońce. Co powie pani na to, jeśli wezmę kij do krykieta i zabiorę chłopców do parku, żeby zmazali swoje grzechy?

Grace rzuciła młodzieńcowi porozumiewawcze spojrzenie.

- Czy na pewno chodzi panu o grzechy chłopców, lordzie Lucanie? - spytała słodkim głosem.

Jego zęby, jeśli to możliwe, zabłyśły jeszcze jaśniej.

- Och, tylko ich, *madam*. Moje występki są bardzo odporne i niełatwo je zmazać - odparł.

- Tak właśnie myślałam. - Grace zamknęła książkę do arytmetyki. - Ale dziękuję. Z wdzięcznością przyjmuję pańską miłą ofertę, która zapisze się na plus u pana siostry.

- I znowu ten ostry język - Lucan uśmiechnął się szeroko, gdy wstała.

- Chyba przyjemniejszy niż: widelec - mruknęła Grace, odkładając podręcznik na półkę.

- Owszem, ale obydwoma tymi narzędziami trzymasz, pani, ludzi na dystans.

Lord Lucan wyjął z kosza przy drzwiach kij do krykie-ta i piłkę.

- Chodźcie, chłopcy! Weźcie płaszcze.

- Hura! - wrzasnęli bracia i wypadli z pokoju. Jednak lord Lucan przystanął w progu.

- Chciałbym jeszcze tylko wyjaśnić jedną rzecz, panno Gauthier. Czy jest pani zdecydowana na mojego starszego brata? - Z wdziękiem balansował kijem w palcach. - Chodzi mi o to, że kapłani potrafią być tacy ponurzy i złowieszczy, prawda? A do tego ta cała skomplikowana wedyjska filozofia, że nie wspomnę już o tym, iż niektóre kobiety wolą złocistych, greckich młodzieńców od mistycznych ponuraków...

- Lordzie Lucan, proszę dać mi kij - wyciągnęła rękę Grace.

Brwi młodzieńca gwałtownie poszybowały w górę.

- Dziękuję, ale nie. Widziałem już pani uderzenie. Tak czy inaczej, wygląda na to, że wygra! lepszy.

Jak zwykle, prawda? No, ale chłopcy czekają! - Posłał jej ostat-

ni wilczy uśmiech, odwrócił się pospiesznie i wpadł na swoją siostrę.

- Co on knuje? - Lady Anisha rzuciła przez ramię podejrzliwe spojrzenie na oddalającego się brata.

- Po prostu zabiera chłopców do parku - rzekła swobodnie Grace. - Jak się dzisiaj czujesz?

Anisha westchnęła i opadła na pobliskie krzesło.

- Cóż, miałam nadzieję, że zobaczę moje dzieci - poskarżyła się, opierając łokieć na blacie stołu. -

Wydaje mi się, że Luc podchodzi do naszej umowy nieco zbyt ochoczo i teraz chłopcy będą raczej grali w piłkę, niż czytali.

- Nie dramatyzuj - rzekła Grace, siadając naprzeciwko niej. - Luc ma dobre serce, a chłopcy są w wieku, kiedy potrzebują męskiego wzorca.

- To dopiero przerażające zestawienie, słowa: Luc i wzorzec w jednym zdaniu. A nawiasem mówiąc, gdzie Raju popędził dziś o świcie? - zapytała Anisha.

Grace uniosła brwi.

- Powinam coś o tym wiedzieć?

- Tak. I wiesz - odparowała Anisha.

Grace westchnęła. Czy nie można było mieć żadnych tajemnic? Najwyraźniej nie, jeśli się przebywało w domu pełnym ludzi obdarowanych niezwykłymi zdolnościami. Dlaczego więc Anisha nie znała odpowiedzi na swoje pytanie?

- Do lorda Bessetta - odpowiedziała w końcu.

- Aż do Yorkshire?

- Tak sędzę. Wyruszył z dworca Euston - dodała.

- Do Yorkshire jeżdżą pociągi? - zmarszczyła brwi Anisha. - Nawet nie wiem, gdzie to jest.

- Chyba na północy - zasugerowała Grace. - Moja francuska guwernantka uważała, że uczenie geografii Anglii jest zwykłą stratą czasu.

- Naprawdę?

- Tak. Żyła w przekonaniu, że pewnego dnia Francuzi zwyciężą i po prostu zmieniają nazwy wszystkich miast i krajów, więc uczenie się aktualnych nie ma żadnego sensu.

- Cóż, to jest ryzyko zagranicznego wykształcenia! - zawołała z uśmiechem Anisha. - Najwyraźniej i ty, i ja zostałyśmy nauczone wszelkiego rodzaju herezji.

Obie kobiety wybuchnęły śmiechem, po którym zapadła ciężka cisza.

- A tak poważnie, dobrze się czujesz? - zapytała Grace. Anisha posłała jej dziwne spojrzenie spod zasłony

atramentowoczarnych rzęs.

- Raju ci powiedział? Grace odwróciła wzrok.

- Anisho, przykro mi. Miałaś do niego słabość, prawda? - zapytała.

Anisha zaśmiała się gorzko.

- I ty uważasz, że nie umiesz czytać w ludziach. Grace wyciągnęła rękę i położyła na dłoni Anishy.

- Rance Welham jest dobrym człowiekiem. Jest dobrym człowiekiem i odważnym żołnierzem i cała reszta nie ma znaczenia - powiedziała żarliwie. - Ale wiem, że tobie to nie wystarcza.

Anisha wzruszyła ramionami i wyprostowała się z westchnieniem.

- Och, wydaje mi się, że już mi przeszło - stwierdziła spokojnie. - Ale to mogłoby być przyjemne. I doprowadzałoby Raju do szaleństwa.

- Nie jesteś... nie jesteś zakochana w Ransie? Anisha uniosła szczupłe ramię.

- Nie beznadziejnie - przyznała. - Może troszeczkę. No dobrze, całkiem mocno. Ale jaka kobieta by się w nim nie zakochała? Nie, czekaj, nie odpowiadaj. Oczywiście, że ty się nie zakochałaś, ale to dlatego, że los przeznaczył cię mojemu bratu.

- Anisho! - rzuciła ostrzegawczo Grace.

Anisha zerwała się z krzesła i pociągnęła za dzwonek.

- Mam ochotę na filiżankę herbaty - zakomunikowała. - A kiedy będziemy czekały, skończę ci przepowiadać z ręki.

- I z gwiazd? - zapytała przekornie Grace.

- Może będę mogła ci coś powiedzieć, chociaż nie przygotowałam twojego horoskopu.

Wszedł lokaj, przyjął polecenie Anishy i wyszedł, żeby je spełnić. Anisha usiadła, wyciągnęła dłoń i pokiwała palcami, przywołując Grace.

Grace z rozbawieniem podała jej rękę, wewnętrzną stroną dłoni zwróconą do góry. Anisha przesunęła po niej palcami, jakby odgarniając pajęczyny, po czym ze zmarszczonymi brwiami zaczęła ją badać, lekko pocierając poszczególne wypukłości.

- To są twoje wzgórkki. Każdy mówi nam o czymś innym - odezwała się w końcu.

- To znaczy o mojej przyszłości? Anisha skrzywiła się.

- Wedyjska sztuka czytania z ręki to wiedza, a nie jarmarczna sztuczka - stwierdziła z żartobliwym upomnieniem. - Pomaga człowiekowi zrozumieć siebie i swoje skłonności, zarówno te dobre, jak i te złe, uczy też, jak układać sobie życie.

Grace przyszło do głowy, że ma skłonności do zakochiwania się w mrocznych, niepojętych mężczyznach. I zadała sobie pytanie, czy Anisha może jej pomóc sobie z tym poradzić.

Tymczasem Anisha stuknęła ją czubkiem palca w dłoń.

- To jest wzgórek Saturna. Saturn mówi mi, że kierujesz się zdrowym rozsądkiem. Ze jesteś kobietą wykazującą zwykle powściągliwość i bezstronność - mówiła melodyjnym, śpiewnym głosem.

- Naprawdę? - zaśmiała się Grace. - Cóż, to bardzo krzepiące.

- A to... - w zamyśleniu mówiła Anisha - ...to jest twoja linia słońca. Jest... jest dość przeciętna.

- Och. Co ona oznacza? - zapytała Grace.

- To jest... jakby to powiedzieć... To coś więcej niż urok. Twój magnetyzm. Siła, z jaką przyciągasz do siebie ludzi. Adrian ma podobną linię słońca, chociaż potrafi oczarować kogoś, jeśli tylko zechce, co się niemal nigdy nie zdarza. A ty... ty masz spokojny wdzięk, nie magnetyzm. Masz bardzo odpowiednie imię, co jest dobrym znakiem. Natomiast linia słońca Rance'a przypomina głęboki rów, przecinający mu dłoń niemal na pół.

Grace znów się roześmiała.

- Dlaczego wcale mnie to nie dziwi? Ale twarz Anishy spoważniała.

- Twoja linia serca mówi mi, że jesteś osobą optymistyczną i że uważasz się za uzdolnioną. Nawiasem mówiąc, w pełni się z tym zgadzam. Widzę tu też, że trzeźwo myślisz. Jeśli się czegoś boisz, to są to rzeczy racjonalne. Nigdy nie powinnaś ich lekceważyć. Błagam, żebyś o tym nie zapominała.

- O Boże, to brzmi bardzo groźnie - zauważyła Grace. Zamiast odpowiedzi Anisha nakryła dłonią rękę Grace, opuszkami palców dotykając miejsca, gdzie bił puls.

- Grace, jesteś osobą o silnych emocjach i wielkiej energii. Powiedz mi teraz, co w szczególności chciałabyś wiedzieć? - zapytała spokojnie.

- Co chciałabym wiedzieć? Chyba zwykłe rzeczy - mruknęła.

- Wedyjska astrologia połączona z wróżeniem z ręki może nam wiele powiedzieć. Kim jesteśmy i kim będziemy. Jak będziemy żyć i jak umrzemy. To wszystko mamy wypisane. Karma jest sumą naszych słów, myśli i czynów. Zbiera się to, co się posieje, albo w tym życiu, albo w następnym. **Prarabdha** jest karmą w tym życiu, a **sanchita** dotyczy przeszłości...

- Ale ja znam swoją przeszłość.

- Moja droga, czasem znamy przeszłość, ale jej nie widzimy. - Śpiewny głos Anishy przeszedł w szept. - **San-**

chita to wszystkie twoje czyny zgromadzone nie tylko w tym życiu, ale i we wszystkich przeszłych, pod postacią karmy. Czy mam ci powiedzieć, co jeszcze widzę? Tylko bądź pewna swojej odpowiedzi.

-Mon Dieu - Grace nerwowo przełknęła ślinę. - Próbujesz mnie przestraszyć, Anisho?

- Straszna jest tylko niewiedza - odparła. Nagle Grace poczuła się głupio.

- Tak, mów.

- Dobrze - Anisha posłała jej uśmiech. - Widzę, że śmierć pana Holdinga przyniosła ci wiele smutku. Tak, w jakiś sposób czujesz się odpowiedzialna za to, co się stało.

- Naprawdę? - Niepokój Grace powrócił.

- Tak, wyczuwam to bardzo wyraźnie - mruknęła Anisha. Grace miała dziwne wrażenie, że tak naprawdę nie rozmawiały już o dłoniach i gwiazdach. Anisha mówiła dalej: - Podświadomie uważasz, że gdyby nie ty i twoje zachowanie, jego śmierci można by było uniknąć.

Ciężkie ciepło płynęło w górę jej ręki, niosąc ze sobą dziwną jasność. Istotnie czuła się winna.

Obwiniła się przez cały czas. Ale dlaczego?

- Grace, jakie znaczenie ma dla ciebie liczba trzydzieści pięć? - ostro zapytała Anisha.

- Żadnego. Dlaczego pytasz?

Anisha, nie otwierając oczu, lekko potrząsnęła głową.

- Nie umiem powiedzieć. To jest zła liczba dla ciebie. Musisz jej unikać ze wszystkich sił - odpowiedziała.

- Unikać? - Grace zaczynała odczuwać dziwną ocieężałość, podobnie jak wtedy, gdy pierwszy raz dotknął jej Adrian. - Tak jak na przykład w ruletce czy w grze w karty? Nigdy nie gram.

Anisha westchnęła.

- Nie umiem powiedzieć - powtórzyła. - A znak łabędzia?

- Łabędzia? - Grace w zamyśleniu zmarszczyła brwi. - Jak na szyldzie gospody?

- Być może. - Atramentowoczarne brwi Anishy niemal zetknęły się ze sobą. - Może urodziłaś się w domu pod łabędziem? Może kiedyś zatrzymałaś się w takim miejscu? A może płynęłaś statkiem, mającym łabędzia w nazwie?
- *Non* - z namysłem odpowiedziała Grace. - A urodziłam się w Londynie, dokładnie mówiąc przy Manchester Square.
- Tak, to chyba nie jest ważne - stwierdziła nagle zakłopotana Anisha. - To bardzo dziwne. Zajmijmy się więc teraźniejszością i przyszłością, kwestiami związanymi z miłością, zdrowiem i szczęściem.
- Czemu nie? - To brzmiało o wiele przyjemniej, a jej ręka stawała się coraz cudowniej gorąca i ciężka.
- Grace, rządzi tobą planeta Merkury - powiedziała Anisha. - Jesteś Mithuna, odpowiednikiem znaku Bliźniąt. Twój związek z Meshą przysporzy ci wiele wyzwań i trudności.
- Kto by pomyślał? - mruknęła cierpko Grace. Anisha uśmiechnęła się, nie otwierając oczu.
- Swoją energią wprowadzisz Meshę w jasny świat, ale nie możesz zanadto naciskać, bo może... jakby to określić?... może się spłoszyć. Ale jeśli będziesz ostrożna, zdołasz poskromić jego upór i dać mu wiele radości. Pomożesz Meshę odnaleźć jego drogę i odnowić chęć nauki i rozwoju.
- Ale co to znaczy?
- Tak dokładnie? Że Raju musi się jeszcze wiele nauczyć o sobie. Zamknął przed światem swoją duchowość i chęć szukania prawdy. - Jej głos znów stał się melodyjny i śpiewny.
- Masz na myśli połowę cech Rajputry?
- Nie rościmy sobie wyłącznego prawa do duchowości - odpowiedziała. - Ale może tak. Jego siła życia, jego prana, ucierpiała, bo nie karmił odpowiednio swojej du-

szy. A takie zaniechanie przysparza wiele wewnętrznego cierpienia.

- *Oui* - mruknęła Grace, odprężając się. Tłumaczenie Anishy istotnie miało sens, przynajmniej w jej letargicznym stanie.

Słowa Anishy docierały do niej bez przerwy.

-1 ostrzegam cię, Grace, że chociaż Mesha bardzo cię pociąga, możesz się mocno sparzyć. Traktuj poważnie ten związek albo się wycofaj. Jeśli jednak wybierzesz dalsze kroczenie tą drogą, Mesha będzie chciał cię prowadzić i musisz mu na to pozwolić albo sprawić, żeby myślał, że to on prowadzi.

Grace się roześmiała, ale śmiech dobiegał jej uszu jakby z ogromnej odległości.

-*Alors*, czy tak wygląda moja przyszłość?

- W części - mówiła Anisha cicho, sfrustrowana. - Ale jest jeszcze coś. Tylko co? Co to jest...

- Co to znaczy, że jest coś jeszcze? - mruknęła zaspanym głosem Grace.

- Coś irytującego. Poza moim zasięgiem. Jak wtedy, gdy chce ci się kichnąć, a nie kichasz.

Anisha umilkła i zaczęła głęboko oddychać w taki sposób, w jaki robił to czasami Adrian, gdy kochali się w cudownie powolnym zatraceniu. Grace miała wrażenie, że uścisk dłoni Anishy nie ustępuje.

Nadal czuła się jak zniewolona, w sposób, jakiego nie potrafiłaby opisać słowami.

- Do diabła z tym wszystkim - zawołała w końcu Anisha. - Grace, daj mi drugą rękę.

Grace otworzyła oczy i zastosowała się do polecenia. Anisha pochwyciła jej obie ręce i pochyliła głowę, nawet nie próbując udawać, że spogląda na jej dłonie. Tak długo siedziała spokojnie, bez ruchu, że Grace przyszło nawet do głowy, iż może zasnęła.

Ale po jakimś czasie dziwna ospałość zaczęła opuszczać Grace wraz z ciepłem, które poczęło odpływać

z jej lewej ręki jak oczyszczająca rzeka, powracająca do morza.

Kiedy ciepło zanikło, Anisha uniosła głowę i odezwała się:

- Grace, ktoś ci bardzo źle życzy. - Jej głos utracił swój rytm i był dźwięczny jak dzwon. - Jesteś narzędziem czyjejś zemsty.

- *Mon Dieu!* - Grace na moment wstrzymała oddech. - Ktoś chce zrzucić na mnie winę za śmierć Holdinga.

- To bardzo prawdopodobne. Raju od dawna w to wierzy - odpowiedziała Anisha.

- Sądę, że właśnie dlatego pojechał do Yorkshire. Ale kto może mnie aż tak nienawidzić, Anisho? Kobieta potrząsnęła głową.

- To nie chodzi o nienawiść, tylko o zazdrość - wyjaśniła.

- Ale nie mam niczego, czego można by mi było zazdrościć - zaprotestowała energicznie. - Niczego. Chyba że... pan Holding miał jakąś kochankę, którą porzucił.

Anisha powtórnie pokręciła głową.

- Wydaje mi się, że zazdrość nie dotyczy ciebie, tylko innych. Tak jak powiedziałam, czuję, że jesteś tylko narzędziem zemsty. Czasem zwierzęta symbolizują emocje. Myślę, że to właśnie oznacza łabędź. Grace, zastanów się bardzo głęboko, co on dla ciebie oznacza?

- Znów łabędź? - Grace z przerażeniem szeroko otworzyła oczy. - Anisho, to już chyba nie ma nic wspólnego z filozofią wedyjską, prawda?

- To nieważne - niecierpliwie rzuciła Anisha. - Łabędź, Grace. Co może oznaczać łabędź?

- Zupełnie nic, Anisho, przysięgam! To duże, białe ptaki o paskudnym charakterze. Nic więcej o nich nie wiem.

- Zło manifestuje się symbolem łabędzia i liczbą trzydzieści pięć - zmarszczyła czoło Anisha. - To są złe omeny, Grace, ściśle związane ze skierowaną w twoją

stronę wrogością. Proszę, żebyś się nad tym poważnie zastanowiła.

Gdy puściła ręce Grace, najwyraźniej nadal jeszcze była skupiona do środka. Grace zamrugła i wyprostowała się na krześle. Z zaskoczeniem spostrzegła koło swojego łokcia srebrną tacę z czajniczkami i filiżankami.

Pod wpływem impulsu dotknęła czajniczka. Był ledwie ciepły.

Dobry Boże!

Spojrzała na bardzo bladą Aniszę.

- Wyglądasz na zmęczoną. Czy mam nalać herbaty? - zagaiła.

Anisha poruszyła się i zerknęła na czajniczek.

- O tak. Dziękuję.

- Anisho, czy mogę ci zadać pytanie? - odezwała się, gdy napełniła filiżankę.

- Tak. Tak, oczywiście.

- Przed chwilą mówiłaś o „innych”. O tym, że zazdrość dotyczyła innych. Kogo miałaś na myśli? - zapytała, przesuwając filiżankę na stole.

Anisha skierowała na Grace nieruchome, mroczne spojrzenie, tak bardzo przypominające jej starszego brata.

- Otacza cię zło. Obawy Raju są uzasadnione - rzekła spokojnie.

- Czy nie możesz się mylić, Anisho? - zaprotestowała Grace. - Przecież jeśli mam choćby odrobinę Daru, nie jesteś w stanie mnie odczytać.

- Ja nie czytam - głuchym głosem odpowiedziała Anisha. - Moje zdolności nie są związane z Darem. Są... są zupełnie inne. Ale nawet *vateis* mogą odczuwać emocje, czasem nawet nie tylko emocje promieniujące na zewnątrz, lecz także skierowane do wewnątrz.

Nagle Grace poczuła się bardzo nieswojo. Tak długo lekceważyła obawy Adriana dotyczące jej bezpieczeństwa, bo wydawało jej się to jedynym rozwiązaniem. Ale

czy postępując tak, nie sprowadziła niebezpieczeństwa na jego dom?

- Anisho, czy coś może grozić także tobie? I dzieciom? Na miłość boską, powiedz mi! - poprosiła.

- Zło nie czai się tutaj - Anisha mówiła słabym głosem, jakby cała krew z niej wyciekła. - Mogę ci powiedzieć tylko to, co widziałam, Grace. Jeszcze nigdy nie widziałam tak wyraźnie czegoś, co wydawało się tak bezsensowne. To musi coś oznaczać.

Grace potrząsnęła głową.

- Z niczym mi się nie kojarzy.

Sfrustrowana Anisha schwyciła tabliczkę do pisania Teda.

- Trzydzieści pięć i łabędź - wymruczała. Szybko zapisała te słowa, skrzypiąc kredą po tabliczce, którą po chwili z rozdrażnieniem cisnęła na stół. - Na miły Bóg, zastanów się, Grace.

Nagle Grace poczuła, że nie może złapać oddechu. Wytrzeszczyła oczy i zacisnęła dłoń na blacie stołu.

- Co? - zapytała Anisha.

Grace niepewnie wypuściła powietrze z płuc.

- Anisho, to jest numer trzydziesty piąty przy Swan Lane. Przy ulicy Łabędziej - wyszeptała. To jest adres firmy Crane and Holding. To jest adres biura Josiaha Crane. Anisha szeroko otworzyła oczy.

- Dobry Boże! Wydziedziczony kuzyn? - zawołała.

- Tak, tak. *Mon Dieu!* Jest dokładnie tak, jak mówi! Adrian, a ja mu nie wierzyłam! Josiah był pogrążony w długach. Potrzebował pieniędzy, a Ethan mu je zabrał, zużywając rezerwy gotówki.

Anisha ponownie zmarszczyła idealnie zarysowane brwi.

- Ale co by na tym zyskał? Nic nie dziedziczy. To nie było zabójstwo popełnione w gniewie. Zostało zaplanowane. Dlaczego? - zapytała.

Grace poczuła skurcz żołądka. Przypomniała sobie przerażającą wizję Adriana dotyczącą śmierci Fenelli.

-*Mon Dieu!* - wyszeptała ponownie. - Wydaje mi się, że Josiah Crane chce poślubić Fenellę. Ciotka Abigail twierdzi, że w Anglii wszystko, co należy do kobiety, po ślubie przechodzi na męża, chyba że ojciec panny młodej coś zastrzeże. Jeśli więc ich małżeństwo dojdzie do skutku, Josiah dostanie wszystko. - Czy Fenella go zechce? Chyba nie jest taka głupia?

- zapytała Anisha.

Grace pokręciła głową.

- Nie, nie będzie go chciała - wyszeptała. - Jestem tego pewna. Ale jak Josiah na to zareaguje? Co jest w stanie uczynić?

- Bóg raczy wiedzieć - powiedziała Anisha.

- Powinnyśmy przesłać informację do Scotland Yardu. -1 co im napiszesz? Że zwariowana siostra szalonego Ruthweyna też ma wizję? Nie, Grace, nie mamy dowodów. Może wezwiemy Rance'a.

Powinien najlepiej wiedzieć, co zrobić z tym wszystkim do czasu powrotu Raju

- zaproponowała Anisha.

- Tak, masz rację. - Grace odsunęła swoje krzesło.

- Rance powinien wiedzieć, co zrobić. Ja natomiast chyba uczynię to, co powinnam była już dawno zrobić. Naprawdę wstydzę się swojego tchórzostwa.

Anisha poderwała głowę.

- Co zamierzasz zrobić?

- Idę do Fenelli. Chcę ją przekonać o mojej niewinności. Skłonię ją też, w jakiś zawołowany sposób, żeby się strzegła Josiaha.

- Dasz radę?

- Muszę spróbować - szepnęła Grace. - Jeśli zaproponował jej małżeństwo pod pretekstem zapewnienia ochrony i opieki, czy czegoś takiego, zasugeruję, żeby zwlekała, ale nie odmawiała.

- Tak, nie może odmówić. Jeśli jest na tyle szalony, żeby zabić, jej odmowa może go rozwścieczyć - powiedziała Anisha.

- Nie mogę pozwolić, żeby została skrzywdzona kolejna kobieta. Nie wtedy, kiedy wystarczy parę słów, by temu zapobiec - stwierdziła Grace, marszcząc czoło.

Anisha skrzywiła się.

- Masz na myśli tę nieszczęsną dziewczynę zabitą przez majora - mruknęła, wyciągając do niej rękę. - Ale to nie była twoja wina, Grace. Teraz też nie jesteś niczemu winna. Josiah Crane po prostu wykorzystał cię, żeby cię obciążyć swoimi czynami.

- W tej chwili mogę myśleć wyłącznie o Fenelli. Powinnam była wcześniej to zrobić. - Grace ujęła obie dłonie Anishy i mocno je ścisnęła. - Ty wprowadź w sprawę Rance'a, a ja złożę wizytę Fenelli i nie pozwolę, żeby mnie odprawiła. Życz mi szczęścia.

- Dobrze. - Anisha uśmiechnęła się lekko i cmoknęła Grace w policzek. - Powodzenia.

Rozdział 16

Rubiny na śniegu

Rytmiczny stukot kół pociągu toczącego się po szynach niemal zagłuszył pełen niezadowolenia syk Roydena Napiera.

- Ale to jest przecież stacja Boxmoor! - powiedział, patrząc ze zmarszczonym czołem na lorda Ruthweyna i gwałtownie składając czytaną gazetę. - Po jakiego diabła mamy wysiadać w Boxmoor? Pociąg zwalniał. Ruthweyn stał z ręką opartą na klamce drzwi przedziału pierwszej klasy.

- To był błąd. Musimy wracać - stwierdził. Napier zaklął pod nosem.

- Z powrotem do Euston? Wczoraj przejechałeś kawał drogi do Whitehall i zażądałeś, żebym stawiał się o świcie w celu towarzyszenia ci w tej niezwykle ważnej podróży. To twoje słowa, nie moje. A teraz chcesz zrezygnować, zawrócić i jechać do domu?

- Tylko na chwilę. Jutro rano znowu wyruszymy - powiedział Ruthweyn.

- O, bardzo przepraszam! - Napier cisnął gazetę do walizki. - Teraz już wszystko jest jasne.

- Z mademoiselle Gauthier - dodał Ruthweyn.

- Od samego początku trzeba było ją zabrać. Nie pomyślałem o tym.

- A teraz myślisz? Niech Bóg ma nas w swojej opiece!

- Komisarz złapał za oparcie siedzenia, żeby zneutrali-

zować szarpnięcie pociągu. - W porządku, wysiadę. Ale jutro rano nie będę nigdzie jechał, ani moja walizka pełna dokumentów. Jeśli sobie życzysz udziału lorda Bessetta w tym swoim bezsensownym polowaniu, możesz go ściągnąć do Whitehall.

- Powinniśmy ją zabrać ze sobą - powtórzył Ruthveyn, puszczając mimo uszu tyradę Napiera. - Nie powinienem był jej zostawiać samej. Poza tym może pomóc Bessettowi. Może... sam nie wiem. Powinna pojechać, to wszystko.

- A jak to będzie wyglądało w oczach subtelnych mieszkańców domu przy Belgrave Square? Mój pospieszny wyjazd do Yorkshire w towarzystwie głównej podejrzanej? Jakoś mi się nie wydaje, żeby polityczne bóle głowy sir George'a zelżały z tego powodu.

Pociąg zatrzymał się i na całej jego długości zaczęły trzaskać drzwi przy akompaniamencie nawoływań tragarzy. Ruthveyn ściągnął z półki walizkę, otworzył drzwi i wysiadł, nie oglądając się na Napiera.

- Ruthveyn - zawołał za nim komisarz. - Mówię zupełnie serio! Masz ostatnią szansę, jeśli chcesz jechać ze mną do Yorkshire.

Ale Ruthveyn skierował się prosto do okienka kasowego.

- Poproszę dwa bilety na najbliższy pociąg do Londynu.

* * *

Wysiadając, Grace pomyślała, że potężny biały budynek przy Belgrave Square wygląda jakby chłodniej, niż go zapamiętała. Z kilkoma słowami podziękowania wcisnęła dorożkarzowi w dłoń pieniądze.

Pochylił się z kozła.

- Czy chce pani, żebym poczekał?

Uniosła głowę i spojrzała w niebo, jedną ręką przytrzymując kapelusz.

- Tak, jeśli można. Proszę skrócić w Halkin Street. Powinno mi to zająć około pół godziny.

- Dobrze, proszę pani.

Uniósł bat do kapelusza i powóz potoczył się dalej, pozostawiając Grace na wyzutym z kolorów placu. Drzewa zaczęły już tracić liście, a trawa przybrała zszarzały odcień. Czując się mała wobec ogromu budynku, owinęła się szczelniej peleryną i podeszła, żeby zadzwonić do drzwi.

Została wynagrodzona pojawieniem się znajomej twarzy.

- Trenton! - zawołała. - Jak miło cię widzieć. Czy mogę wejść?

Stary odźwierny sprawiał wrażenie zmęczonego i pobladłego, ale uśmiechnął się do niej.

- *Mademoiselle* - odezwał się, otwierając szerzej. - Minęło już parę tygodni.

Grace zaczęła ściągać z dłoni rękawiczki.

- Bardzo się za wami wszystkimi stęskniłam. Jak się miewa panna Crane? Powiesz jej, że przyszedłam?

- Z przyjemnością, panienko - odpowiedział, ale wyglądał na zakłopotanego. - Czy zaczeka pani w małym saloniku?

- Oczywiście - rzuciła i odwróciła się, żeby pójść za nim.

Dopiero wtedy poczuła lekki zapach rozpuszczalnika. W małym saloniku złocista, zakardowa tapeta została zerwana i ściany pomalowano na kolor kości słoniowej. Złoty medalion usunięto z sufitu, podobnie jak wąskie lustro wiszące kiedyś pomiędzy oknami. Nadało to pokojowi niemal spartański wygląd.

- Widzę, że Fenella urządza pokój zupełnie na nowo. Muszę przyznać, że tak mi się bardziej podoba - powiedziała Grace, oddając Trentonowi pelerynę i rękawiczki.

- Panna Crane uważa, że poprzedni wystrój był zanadto ostentacyjny. Nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek jej się podobał - wyznał Trenton.

- A Tess na pewno nie cierpi z powodu braku tych luster. Spędzała pół dnia, polerując je - rzekła z uśmiechem Grace.

Oblicze Trentona posmutniało.

- Z żalem muszę powiedzieć, że Tess nie ma już tutaj, panno Gauthier. Wielu służących zostało zwolnionych

- odpowiedział.

- Zwolnionych? - zapytała wstrząśnięta Grace.

- No właśnie. Panna Crane stwierdziła, że skoro nie zamierza organizować przyjęć, a dzieci nie ma już w domu, nowa służba nie jest potrzebna.

- Nowa służba? Jaka nowa służba? - Grace weszła głębiej do pokoju.

- Służba zatrudniona po śmierci pani Crane. Ostatniej pani Crane - wyjaśnił stojący za jej plecami Trenton.

Grace odwróciła się gwałtownie, nadal trzymając rękawiczki w dłoniach.

- Masz na myśli matkę Ethana? Ależ to było wieki temu! Kto więc pozostał? - spojrzała na niego z ciekawością.

- Tylko nas troje - zbolalym głosem odparł Trenton.

- Zresztą ostatnimi czasy panna Crane chyba postanowiła całkowicie wyprowadzić się z domu.

- Wyprowadzić się? Dokąd? - Ale Grace знаła odpowiedź na te pytania, gdy tylko padły z jej ust.

- Z powrotem do Rotherhithe - powiedział Trenton.

- Nie jestem pewien, gdzie dokładnie. Mówi, że tęskni za... no, ale nie powinienem tyle plotkować.

Zobaczę, czy panna Crane jest w domu. Nie jestem... nie jestem całkiem pewny.

Czując narastającą falę paniki, Grace uświadomiła sobie, że niewiele brakowało, aby przyszła za późno. Fenella musiała postanowić wyjść za mąż za Josiaha Crane i zamieszkać w jego domu. To było jedyne wyjaśnienie tej sytuacji.

Grace pospiesznie podążyła za lokajem.

- Trenton - oparła dłoń na jego kruchym ramieniu. - Muszę zobaczyć się z Fenellą. Nie mogę powiedzieć, dlaczego to jest takie ważne. Nie pozwól jej... nie pozwól jej wierzyć w coś, co po prostu jest nieprawdą. Nie pozwól, żeby mnie odprawiła z kwitkiem. Błagam cię. Powiedz jej... powiedz jej, że nie odejdę, dopóki się ze mną nie zobaczy.

- Dobrze, proszę pani.

Ale nie sprawiał wrażenia przekonanego. Nagle Grace znów poczuła się słabo. Pomyślała, że to wina zapachu.

- Trenton - powiedziała, zanim wyszła z pokoju - czy mogę poczekać w saloniku? Wydaje mi się, że od zapachu farby robi mi się niedobrze.

Zawahał się przez moment. Na jego twarzy pojawił się wyraz współczucia.

- Oczywiście. Proszę się tam udać - rzekł z ukłonem. Kiedy stary odźwierny zniknął w głębi domu, Grace

przeszła przez marmurową posadzkę holu i po szerokich, zakręcających schodach weszła na półpiętro. Tam zatrzymała się, żeby się rozejrzeć. Przesuwając dłoń po balustradzie, przemieściła się z jednego krańca podestu na drugi.

Wszystko wyglądało niesamowicie. Gdy ostatnim razem była tutaj, Ethan leżał nieżywy w swoim gabinecie na drugim końcu korytarza, ona sama zaś stała na miękkich nogach, opierając się o ścianę saloniku, nie zwracając uwagi na kręcących się wokół policjantów i służących. Ale dzięki Bogu, tamta okropna noc wydawała się teraz bardzo odległa.

Grace odwróciła się i zawróciła w stronę saloniku, żałując, że nie ma daru wyczuwania emocji jak Anisha i Adrian. Niewątpliwie ten dom był nasycony niewidoczną złością, wymierzoną tym razem w Fenellę. I ta nieszczęsna kobieta, nie zdając sobie z tego sprawy, zmierzała prosto w paszczę lwa.

Drzwi do saloniku były otwarte jak zawsze. Gdy Grace weszła do środka, zobaczyła, że i to pomieszczenie znajdowało się w nieładzie. Wszystkie obrazy zdjęto ze ścian, a w jednym rogu stało rusztowanie, jakby również i ten pokój wkrótce miał zostać przemalowany. Zniknął ulubiony fotel pana Holdinga, podobnie jak należąca do niego szklana gablota, zawierająca wypchane dzikie ptaki, która zawsze budziła obrzydzenie Grace.

Zbyt niespokojna, żeby usiąść, zdjęła z głowy kapelusz i położyła go wraz z rękawiczkami na stoliku, po czym zaczęła krążyć po pokoju. Jakże obce teraz było tutaj wszystko, pozmieniane i poprzestawiane. I chociaż nie mogła się nie zgodzić ze zmianami, przeprowadzanymi przez Fenellę, wydawało jej się dziwne, że dzieje się to tak szybko po śmierci pana Holdinga. Świadczyło to o... o pewnej niedelikatności i braku szacunku.

W głębi pokoju wznosiło się rusztowanie, ale nie opierało się o ścianę i sprawiało wrażenie, jakby ktoś je przesunął. Zaciekawiona Grace zajrzała za nie.

Ogromny, oprawiony w pozłacane ramy portret, wiszący kiedyś nad kominkiem, stał w ciemnym kącie, oparty o ścianę. Ale wyglądał jakoś dziwnie. Grace z roztargnieniem obróciła obraz i natychmiast odskoczyła przerażona. Twarz sportretowanej osoby miała pośrodku dwa długie nacięcia, trzecie rozkrawało płótno niemal na pół, a jego strzępy zwisały żałośnie. Grace gwałtownie wciągnęła powietrze i odwróciła obraz z powrotem do ściany.

Na miły Bóg, co mogło kogoś tak opętać? Jakie pokłady nienawiści doprowadziły do takiej dewastacji martwego przedmiotu?

Pamiętała, że portret przedstawiał matkę Etha-na w młodości. Pani Crane była śliczną młodą wdową, kiedy wżeniła się w dynastię Crane'ów. Grace nigdy nie słyszała o niej nic złego. Wszystko świadczyło o tym, że była wspaniałą kobietą, dumną ze swojej rodziny i swoich domowych dokonań.

Ale najwyraźniej ktoś jej nienawidził. Ktoś do tego stopnia nienawidził matki pana Holdinga, że pociął jej twarz na drobne paski. Grace złapała się za ręce i z całych sił starała się ich nie załamywać. Coś było zdecydowanie nie w porządku. Prace wykonywane w domu wykraczały poza zwykłe odnawianie i przeprowadzkę. Zresztą po co odnawiać dom, jeśli zamierzało się go opuścić? I po co siec na kawałki stary, nic niezna-czący portret?

Chyba że jednak miał on dla kogoś znaczenie, którego inni nie potrafili dostrzec.

Grace, kierując się impulsem, podeszła do mahoniowego sekretarzyka naprzeciwko kominka i nagle trzęsącą się ręką odsunęła górną szufladę. Drewniana taca, na której Ethan zawsze trzymał papier i przybory do pisania, była teraz pusta. Ale na tacy po lewej stronie nadal leżał stosik grubego, kremowego papieru listowego z monogramem Fenelli.

Grace gwałtownie zamknęła szufladę, czując zimne, paskudne podejrzenie, przebiegające dreszczem po grzbiecie. Dobry Boże! Ileż to wieczorów siedzieli tutaj wszyscy razem, Ethan, Fenella, Josiah i ona sama, spokojnie czytając albo grając w wista po kolacji? I ile listów Fenella napisała, siedząc przy tym biurku?

Gabinet Ethana znajdował się po drugiej stronie korytarza. Grace spędziła w nim niewiele czasu, ale bez zagładania tam wiedziała, że po otwarciu górnej szuflady jego biurka zobaczyłaby po jednej stronie porządnie ułożony stosik papieru listowego z nadrukiem Crane and Holding, po drugiej zaś prywatną papeterię Ethana.

Drugi stosik, ten stosik w saloniku, zawsze znajdował się tutaj dla wygody Fenelli. Ethan bowiem zawsze pragnął akceptacji w towarzystwie, a jednocześnie bał się pogardy. Czuł się niezgrabny i nieokrzesany, więc prowadzenie wszelkich spraw towarzyskich pozostawiał sio-

strze. Siostrze, która właściwie wcale nie była jego siostrą, tylko córką jego ojczyma.

Z powodów, których sama nie potrafiłaby wyjaśnić, Grace wróciła do portretu pani Holding i uklękła, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Z pociętych kawałków płótna spoglądały na nią szare, śmiejące się oczy Ethana. Zrobiło jej się niedobrze i przyłożyła dłoń do ust.

I wtedy właśnie usłyszała cichy dźwięk. Gdy się podniosła i odwróciła, ujrzała stojącą w progu Fenellę, nadal w głębokiej żałobie, z wysadzaną kamieniami broszką pod szyją i małymi kolczykami w uszach.

Fenella miała ręce założone na biuście i wyglądała dziwnie grubo, niemal jak matrona. Jej gęste, kasztanowe włosy opadały w nieładzie, co było bardzo do niej niepodobne.

- Grace - odezwała się głosem, w którym nie było wiele ciepła. - Co za niespodzianka. Wcale nie jestem pewna, czy powinnaś tu przychodzić.

W Grace obudziło się coś na kształt gniewu.

- Dlaczego, Fenello? Dlaczego nie mogę odwiedzić kogoś, kogo kiedyś uważałam za przyjaciółkę? Czy dlatego, że policja nadal nazywa mnie morderczynią? A może są jakieś inne powody?

- Nie podoba mi się twój ton - oświadczyła Fenella, wkraczając do pokoju. - Uważam, że należy pozostawić wyjaśnienie sprawy policji, a do tego czasu zachować dla siebie własną opinię, a także naszą przyjaźń.

Grace wyciągnęła rękę.

- Co się stało z portretem matki Ethana? - zapytała, wskazując palcem płótno.

Fenella zachwiała się, jak pod wpływem ciosu.

- Został zniszczony przez robotników. Zresztą i tak nie było już dla niego żadnego zastosowania - odpowiedziała.

Grace podeszła do niej, trzęsąc się z oburzenia.

- *Mon Dieu*, Fenello! To przecież jego matka! Co ty robisz z tym domem? Co sobie wymyśliłaś? - wyszeptała.
- Lepiej zapytaj, czego nie zrobiłam - odparowała Fenella. - Ethan nie żyje, Grace. On już nie wróci. A to, to wszystko jest ostentacją! Te złocenia, marmury, ten cały dom! - Wyciągnęła ręce do nieba.
- Co ty mówisz, Fenello!
- Że ja jestem Crane! - zazgrzytała zębami Fenella. - Nie jesteśmy Holdingami. Nigdy nie byliśmy. Sami wydobyliśmy się z nicości, a po drodze tak się zdarzyło, że uratowaliśmy od bankructwa Holdingów. Ale Crane'owie zawsze, zawsze wiedzieli, kim są. Nie potrzebowali monstrualnego pałacu w Westminster ani wpisu do księgi angielskiej arystokracji.
- Ależ to nie ma sensu! - przerwała jej Grace. - Jak możesz być taka niewdzięczna! Ethan zapewnił wam wszystkim bogactwo!
- Ale jakim kosztem? - mówiła Fenella z ogniem w oczach. - Och, Ethan wiedział, jak sprzedawać towary, ale nigdy się nie zainteresował, jak się buduje statki. Jo-siaha zaś, tak jak jego ojca, zawsze pochłaniała gra w karty i w kości. Biegaliśmy więc po różnych przyjęciach, a tymczasem serce stoczni Crane'ów zostało oddane w ręce kreślarzy i cieśli, a pieniądze wydawane były na takie monstrualne budynki jak ten.
- A więc teraz wszystko odkręcasz, tak? - Grace zaczęła się cofać w stronę drzwi. - Zaczynasz od wyrzucenia dawnych służących pani Holding i całkowitego zniszczenia domu Ethana. Ale co potem, Fenello? Zmienisz nazwę przedsiębiorstwa na Stocznia Crane'ów?
- To była Stocznia Crane'ów, ty mała idiotko! - wysyczała Fenella. - Nazwisko Holding zostało dodane, by dowartościować Ethana i ją! - Drżącym palcem wskazała portret swojej macochy.

- I kto będzie prowadził przedsiębiorstwo? - zawołała Grace. - Ty? *Mon Dieu*, czy masz pojęcie, jak to śmiesznie brzmi?

Była to jedyna rzecz, której Grace nie powinna była mówić.

- Czy choć przez chwilę myślałaś, że nie potrafię?

- Z twarzy Fenelli bila nienawiść. - Na Boga, potrafię przez sen prowadzić księgi rachunkowe, ale tata i Ethan uważali, że nadaję się tylko do wyjścia za mąż albo, co gorsza, do organizowania przyjęć i pisania za nich bzdurnych listów do ludzi, którzy mnie nic nie obchodzą.

Pochyliła się groźnie i nagle Grace olśniło. Fenella była obłąkana, zapewne chorowała już od jakiegoś czasu.

- Nie powiedziałam, że nie potrafisz - rzekła, wyciągając rękę do przodu niemal w obronnym geście.

- Uspokój się, Fenello. Pamiętaj, że jestem twoją przyjaciółką. Nigdy nie mówiłam, że nie potrafisz.

- Nie, ale tak myślałaś, podobnie jak wszyscy! - wrzasnęła z wściekłością Fenella. - Tata wolałby przekazać stery firmy obcemu człowiekowi, niż oddać ten rodzinny skarb rodzonej córce.

- Fenello, Ethan był twoim bratem - szepnęła Grace.

- Dał ci wszystko. Kochał cię.

- Nie był moim bratem! - krzyknęła. - A pani Holding, moja kochana macocha, ze swoimi robótkami na drutach i idiotycznym gadaniem, że miejsce kobiety jest w domu! Kiedy się zjawiała, nie mogłam nawet postawić nogi za progiem Swan Lane. I zobacz, co z tego wynikło!

- Swan Lane. To tam właśnie byłaś w zeszłym tygodniu - mruknęła Grace.

- To tam jestem co tydzień, na miłość boską! - zawołała Fenella. - Ktoś musi prowadzić ten interes! Przy Josia-hu przegrywającym majątek w karty i przy Ethanie opróżniającym skarbiec na fidrygałki, firmie nie zostało wiele pieniędzy. A ty masz czelność sugerować, że nie umiem

poprowadzić rodzinnego interesu? Że powinnam stać beczynną, pomijana bez przerwy, podczas gdy kolejni mężczyźni doprowadzają przedsiębiorstwo do ruiny?

Grace zaczynała się naprawdę bać. Zerknęła przez ramię, w nadziei, że w korytarzu dostrzeże Trentona. Zrobiło jej się słabo, gdy uświadomiła sobie, że cofa się do drzwi.

- Jesteś bardzo bystra, Fenello. Czy nie mówiłam tego zawsze? Nie mam wątpliwości, że świetnie sobie dasz radę.

- Och, nie bądź taka protekcyjna, ty modna francuska krowo! Tym właśnie byłaś zawsze dla Ethana, po prostu środkiem do osiągnięcia celu. Chciał, żebyś dała mu dziedzica, męskiego potomka, bo dziewczynka byłaby bezużyteczna. Cóż, nie godzę się na to, rozumiesz? Jeszcze jeden mężczyzna bez kropli krwi Crane'ów, siedzący na fotelu mojego dziadka, rzucający mi żalosne resztki i prawiący banały. Tak jak przez dziesięć ostatnich lat robił Ethan. Tak jak robił mój ojciec, kiedy poślubił tę kobietę. Cóż, miałam tego dosyć.

Grace poczuła, że nogi się pod nią uginają. Dobry Boże, a więc to była prawda. Fenella zamordowała Ethana. Zabiła go, żeby uniemożliwić mu zawarcie małżeństwa. Żeby nie mogli mieć dzieci.

Oparła dłoń na klamce, żeby się nie zachwiać.

- Fenello, powinnaś myśleć o Josiahu. On może ci pomóc. On należy do Crane'ów - powiedziała.

- Owszem, ale jest słaby, tak samo jak jego ojciec - prychnęła.

Grace wydostała się już na korytarz, na antresolę, gdy nagle przyszyła jej do głowy straszliwa myśl.

- Fenello, gdzie jest Josiah? Powiedz mi. Co mu zrobiłaś? - dopytywała, potykając się o swoją suknię.

Pełne wargi Fenelli wygięły się w niemal anielskim uśmiechu.

- Biedny Josiah jest chory. Tak bardzo chory. Zbyt chory, żeby grać w karty, a nawet siedzieć w biurze. Ale

ktoś musi tam pójść, prawda? Sądzę, że pracownicy przyzwyczajają się do mnie. Przecież mam kontrolne udziały

- powiedziała.

Grace nie mogła złapać tchu. Czuła za plecami balustradę antresoli.

- To ty wsunęłaś notkę pod moje drzwi! To ty napisałaś tamten list i schowałaś go w moich rzeczach - wyszeptała.

- Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie, Grace!

- głośno zaśmiała się Fenella. - Ethan powinien sam pisać swoje listy, prawda? Cóż, napisałam za niego zaproszenie na herbatkę, ostatnie w jego życiu.

Grace zerknęła na lewo. Od schodów dzieliło ją jakieś dwadzieścia kroków.

-*Mon Dieu*, Fenello, dlaczego teraz? - szepnęła. Fenella złapała ją za ramiona.

- Bo tym razem nie zamierzałam czekać, ryzykując wszystko - wysyczała, ze złością potrząsając Grace. - Sądząc po tobie, bardzo szybko byłabyś w ciąży. Nie, tym razem nie mogłam czekać.

- Ty... o Boże. - Grace zakryła ręką usta. - To ty ją zabiłaś! Ty zepchnęłaś żonę Ethana ze schodów.

- To był okropny, okropny wypadek. - Twarz Fenełli znajdowała się tak blisko, że Grace widziała kropelki śliny na wargach wyrzucających gwałtownie słowa. - Ale musiała odejść. Głupia krowa spodziewała się dziecka. To miała być niespodzianka dla Ethana. Cóż, to ja zrobiłam jej niespodziankę!

Grace poczuła mocne popchnięcie. Z trudem złapała równowagę.

- Przestań, Fenello!

Z całej siły chwyciła ją za ramię, ale czarny jedwab rozdarł się i ręka Grace uderzyła w szczękę Fenełli.

- Ty suko! - Usta Fenełli wykrzywiła nienawiść. - Nigdy nie byłaś moją przyjaciółką! Nie byłaś nawet Ethana...

- Stop! - rozległ się z dołu głos. - Panno Crane, proszę ją puścić! Policja!

Oczy Fenelli zwięzły się w malutkie szparki.

- Ty suko! - wysyczała, łapiąc Grace za gardło.

- Fenello Crane! Jesteś aresztowana! Puść ją i odsuń się. Jestem uzbrojony.

Gromki głos należał do Roydena Napiera. Grace usłyszała jego kroki na schodach.

- Nie! - krzyknęła Fenella, zaciskając mocniej ręce i potrząsając Grace jak kukłą.

I wtedy właśnie kątem oka Grace dostrzegła jakiś ruch w cieniu. Ktoś skradał się w górę po schodach.

Trenton?

Wyciągnęła rękę, natrafiła na wysadzaną kamieniami broszkę Fenelli, szarpnęła i cisnęła w bok.

Drugą ręką złapała suknię Fenelli i rozdarła jeszcze bardziej. Walczyła jak oszalała, ale wzrok zaczynał jej się zaćmiewać.

Siły Fenelli potęgowało szaleństwo. Popychała Grace na balustradę, która wbijała się w plecy dziewczyny. Grace czuła, że wychyla się do tyłu, i zaczęła machać rękami, nie znajdując niczego, poza powietrzem.

Widziała jedynie biały sufit nad sobą. Stłumiła strach. Nie spadnie. Nie spadnie. Do diabła, nie podda się bez walki.

Brutalnie chwyciła Fenellę za włosy i przyciągnęła jej głowę, aż znalazły się znowu nos w nos.

- Jeśli spadnę, Fenello, to klnę się na Boga, że polecisz razem ze mną! - wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Jednocześnie jedną ręką objęła ją w talii. Nagle rozległ się głośny trzask drewna. Coś złapało Grace i wyciągnęło ją z próżni. Balustrada ustąpiła i Grace puściła Fenellę. Sama upadła na podłogę tak, że jedna jej ręka i jedna noga zwieszały się na dół.

- Uspokój się, trzymam cię - odezwał się chrapliwy głos prosto do jej ucha.

- Neeeeeeee! - krzyknęła Fenella. Był to krzyk prosto z piekła.

Grace zamruwała, żeby pozbyć się ciemności. Fenella wisiała poniżej połamanych szczebli balustrady, zwieszając się z ręki Adriana i machając nogami jak oszalała marionetka.

- Nie ruszaj się, do cholery! - wycharczał Adrian, zaciskając ramię wokół talii Grace i trzymając Fenellę za nadgarstek.

Ale Fenella nie pozostawała w bezruchu w tym i tak niebezpiecznym położeniu. Z oczami wytrzeszczonymi ze strachu, a może z nienawiści, szarpnęła się. Jej ręka wysunęła się z uchwytu Adriana. Fenella poszybowała w dół, w stronę marmurowej posadzki holu, w ogromnej chmurze czarnego jedwabiu. Jej głowa uderzyła z trzaskiem o marmur, podskoczyła i uderzyła jeszcze raz. Grace krzyknęła. Adrian otoczył ją drugim ramieniem i odciągnął od krawędzi antresoli. W jakiś sposób udało jej się wstać. Trzęsąc się, rzuciła mu się w objęcia.

- Mam cię, kochanie, mam cię - wyszeptał z twarzą wtuloną w jej włosy.

- Adrian! Dzięki Bogu! - zawołała.

- Mam cię - powtórzył chrapliwym głosem. - Nigdy nie pozwolę ci odejść. Nawet mnie o to nie proś. Starając się powstrzymać łzy, zamruwała i odsunęła się od niego.

- Fenella? - spytała szeptem.

Adrian ostrożnie wyjrzał poprzez resztki balustrady.

- Napier - zawołał w dół - czy ona...

Royden Napier klęczał na białej, marmurowej posadzce z dwoma palcami przyłożonymi za uchem Fenelli. Kobieta miała szeroko rozrzucone ręce, jak anioł rozpościerający skrzydła, i burzę rudych włosów rozsypanych pomiędzy nimi.

Razem zbiegli po schodach. Rozbryźnięta wokół krew lśniła niby drogie kamienie. Po policzku Napiera ściekała jedna czerwona kropla. Gdy się zbliżyli, spojrzął na nich ponurym, przenikliwym wzrokiem.

- Nie żyje - powiedział.

Rutłweyn, nie puszczając ręki Grace, ukląkł i przez długą, pełną niepewności chwilę sprawdzał puls leżącej dziewczyny. Potem puścił jej nadgarstek. Wierzch dłoni podskoczył kilka razy na marmurze, palce rozprostowały się, ukazując pukiel włosów Grace.

- Śnieg z mojej wizji, Napier - głuchym głosem odezwał się Adrian, patrząc na biały, poplamiony krwią marmur. - Biały, biały śnieg. I błyszczące wszędzie rubiny.

Zakończenie

Ślubny Dar

Lord Ruthweyn, nawet jeśli sprawiał wrażenie jak zwykle spokojnego i niewzruszonego, przecierpiał dłużej się w nieskończoność miesiące dzielące go od daty ślubu z właściwą sobie niecierpliwością. Zgodnie z jego życzeniem informacja o ich zaręczynach nie została przekazana światu. Natomiast w kręgu rodziny i przyjaciół wiadano, że ceremonia została zaplanowana „jakoś na wiosnę”, oficjalnie dlatego, żeby przeczekać najgorszą pogodę. Jednak ten czy ów, nastawiony mniej życzliwie bąkał, że ten czas potrzebny jest pannie młodej na pogodzenie się ze swoim losem.

Grace jednak już dawno pogodziła się ze swoim losem, może nawet nieco zbyt przesadnie, bo pewnego ranka, na przełomie marca i kwietnia, pospiesznie zerwała się z łóżka, żeby oglądać dno swojego nocnika i zwróconą poranną czekoladę.

Usiadła na brzegu materaca, cała lepka, drżąca i nieprzytomnie szczęśliwa. Ona mogła zdobyć się na cierpliwość, ale dziedzic tytułu markiza Ruthveyn najwyraźniej tego nie potrafił. Lady Anisha, która już wcześniej przewidziała, że ich syn urodzi się cały i zdrowy na jesieni, roześmiała się głośno z radości, gdy została poproszona do gabinetu brata w celu wywrózenia z kart najszczęśliwszej daty ślubu.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za Anishą, Ruthweyn pomógł Grace wstać i wziął ją w ramiona, jakby była ze szkła.

- Grace, kochanie. Kości zostały rzucone - szepnął. Grace tylko się roześmiała i pocałowała go mocno.

- Adrianie, mam nadzieję, że nie zamierzasz mnie otulić wata na najbliższych parę miesięcy, bo mam zupełnie inne, o wiele ciekawsze plany - powiedziała chwilę później.

Ale wyraz twarzy Ruthweyna pozostał uroczystry nawet wówczas, gdy lekko musnął wargami jej policzek.

- Ty sprawiłaś, że jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, a za parę tygodni będę szczęśliwy w dwójnasób - powiedział.

Nastrój powagi udzielił się im obojgu. - *Alors*, postanowiłeś więc? Nie boisz się? - zapytała, z cieniem uśmiechu na twarzy.

- Wydaje mi się, że wszystko zostało postanowione w chwili gdy się spotkaliśmy - odpowiedział, patrząc jej prosto w oczy. - Bez względu na to, co się zdarzy, bez względu na to, co przyniesie nam życie, byliśmy sobie przeznaczeni. Po prostu. To jest przeznaczenie.

Tak więc pewnego słonecznego, kwietniowego poranka świeżo upieczona markiza Ruthweyn znalazła się w objęciach kolejnych gości tłoczących się na schodach domu swojego męża w Mayfair, gdzie zaplanowano weselne śniadanie.

Jako ostatni przybył Royden Napier, który, marszcząc brwi, lekko zmieszany wszedł po schodach.

Lady Ruthweyn przyjęła jego gratulacje z całym wdziękiem, na jaki było ją stać, po czym przeprosiła go, żeby się zając swoimi dwoma najważniejszymi gośćmi.

- Cóż, Ruthweyn, zrobiłeś to - odezwał się Napier, gdy zmiierzali w stronę udekorowanej na tę okazję kwiatami sali balowej, gdzie rozstawiono stoły. - Moje najserdeczniejsze gratulacje.

- Nie miej takiej uroczystej miny, stary - rzucił Ruth-veyn. - Miesiąc miodowy nie trwa wiecznie, prawda? Jest jeszcze nadzieja, że zadźga mnie nożem, gdy będę spał, i twoje marzenia się spełnią.
 - Raczej w to wątpię. Sprawia wrażenie promieniejącej szczęściem - ponuro stwierdził Napier.
- Obaj obserwowali Grace, która, nadal w sukni ślubnej, uklękła, żeby ucałować policzki Anny i Elizy. Pani Lester, uśmiechając się nieco sztywno, stała za nimi.
- A więc pogodziła się z rodziną? - mruknął komisarz.
 - Muszę przyznać, że mi ulżyło. Te dziewczynki wyglądały jak dwa aniołki, gdy sypały płatki róż przed ołtarzem kościoła Świętego Jerzego.
 - To było największe marzenie Grace, żeby uczestniczyły w ceremonii - stwierdził z powagą Ruthveyn.
 - Oczywiście bardzo lubi Toma i Teddy'ego, ale ci dwaj nigdy nie będą aniołkami.
- W tym momencie zbliżył się do nich lord Bessett, trzymając w dłoni kieliszek szampana. Na jego ramieniu wspierała się śliczna blondynka.
- Dzień dobry, Napier - rzekł opanowanym głosem.
 - Chyba nie poznałeś jeszcze mojej mamy, lady Madeleine MacLachlan.
- Szybko dokonano prezentacji, Napier grzecznie pochylił się nad dłonią lady Madeleine. Rutłweyn zauważył, że Geoff zachowywał się uprzejmie, lecz dość oficjalnie, z chłodną wyższością, na jaką było stać młodego, bogatego arystokratę. Podobnie jak Rutłweyn nadal nie ufał Napierowi. Jednak Rutłweyn miał duszę dyplomaty i wiedział, że nie ma nic lepszego dla odbudowania reputacji Grace niż obecność komisarza policji na jej liście gości weselnych.
- Panie Napier, czy to prawda, że Josiah Crane wrócił znad Morza Śródziemnego? - zapytała lady Madeleine, żeby przerwać niezręczną ciszę. - Ile strachu musiał się najeść ten biedak.

- Istotnie, *madam*, wrócił w tym tygodniu, a jego zdrowie w ciepłym klimacie uległo znacznej poprawie - powiedział Napier. - Wydaje się, że niewielkie dawki arszeniku, które podawała mu jego kuzynka, żeby go osłabić, nie wyrządziły trwałej szkody. Wybacz mi, Rutłweyn. Nie miałem okazji wspomnieć o jego powrocie twojej zonie. Nie chciałem, żeby go spotkała nieprzygotowana.
- Nie musisz się o to martwić - rzekł lord Rutłweyn.
- Grace zawsze lubiła Crane'a i darzyła go zaufaniem. To tylko moja siostra, jak się okazało błędnie, przekonała ją, że Crane może być zabijającym z zimną krwią mordercą.
- Być może lady Rutłweyn w to nie wierzyła, ale tak samo nie wierzyła w mordercze skłonności Fenelli Crane. Ja zresztą także nie mogłem sobie tego wyobrazić - przyznał Napier. .
- No cóż, Grace posiada dar oceniania męskich charakterów - rzekł Rutłweyn niezdecydowanym głosem.
- W przypadku kobiet jest mniej pewna.
- To akurat dotyczy nas wszystkich - mruknął pod nosem komisarz. Geoff, który obserwował tłum, nagle się ocknął.
- Rutłweyn, przypomniało mi się, że miałem ci powiedzieć, iż Sutherland chciał porozmawiać z tobą i Grace, jeśli będziecie mieli chwilę przed posiłkiem i toastami. To chyba coś ważnego. Znajdziecie go koło podium.
- Dziękuję - gładko odparł Rutłweyn. - Lady Madeleine, panowie, proszę mi wybaczyć. Skłonił się i oddalił, nagle pragnąc jak najszybciej wrócić do swojej żony. Odnalazł Grace przy głównym stole razem z Anishą, która pomagała Safiyah Belkadi podeprzeć dekorację z kwiatów, przechylając się na bok i grożącą przewróceniem się na obrus. Wsunął dłoń pod ramię Grace.
- Niech Nish się tym zajmie - rzekł cicho. - Sutherland chce z nami porozmawiać.
- Oczywiście.

Grace ruszyła przez salę balową, opierając ciepłą dłoń na jego ramieniu. Nawet jeśli nie zdawała sobie z tego sprawy, to on wiedział, że byli bratnimi duszami. Byli sobie przeznaczeni i nic, nawet Dar, nigdy nie stanie pomiędzy nimi. Pragnął udowodnić to Grace, a przynajmniej przekonać ją, że to, co przyniesie im przyszłość, nie ma dla niego znaczenia. Byli jednością i takie było ich przeznaczenie.

- O, tu jesteście.

Wielebny Sutherland rozpromienił się na ich widok.

- Pozwólcie, że pogratuluję wam jeszcze raz. Życzę dalszego, udanego, długiego, owocnego, wspólnego życia.

- Jestem pewien, że takie będzie - odpowiedział Adrian, chwytając dłoń kapłana. - I dziękuję za wszelką pomoc i zachętę.

- No, to zabrzmiało jakoś bojaźliwie, Rutłweyn! Chcę, żebyś dostał coś trwalszego niż zachęta. - Trzymał za plecami owiniętą w kolorowy papier paczkę w kształcie tuby. - A więc niedługo plyniecie do Kalkuty. Wreszcie wrócisz do domu.

- Na jakiś czas - powiedział Rutłweyn, rzucając pełne uczucia spojrzenie na Grace. - Moja żona wzmowie z moją siostrą nalega, żebyśmy od razu wyjechali.

Wiedział, że Grace chciała wyjechać jak najszybciej, zanim będzie w zbyt zaawansowanej ciąży, żeby w ogóle podróżować. I chociaż nie do końca podzielał przekonanie siostry, że w Indiach odnajdzie sposób na zapanowanie nad Darem, to bardzo chciał spróbować. Był też dziwnie zadowolony z tego, że jego syn i dziedzic urodzi się w domu, w którym on sam dorastał.

- Otóż chciałem, żebyście to dostali przed wyjazdem z Anglii - powiedział Sutherland, z teatralnym ukłonem podając tubę Grace. - Powinno to wam zapewnić ciekawe rozmowy podczas długich tygodni na morzu. I wierzę, że się ucieszysz, Rutłweyn. Skończyłem to zaledwie wczoraj.

- Pan to skończył? - zapytała z uśmiechem Grace.
 - Ale to wygląda jak jakiś druk albo zwinięty w rolkę obraz. Czy ma pan zamiłowania artystyczne, które pan przed nami ukrywał?
 - Ależ skąd! - Oczy Sutherlanda błyszczały. - Żadnego talentu, poza uporem i bystrym wzrokiem! Wiem, że to jest troszeczkę dziwne, a na dodatek nieoprawione, ale chcę, żebyście to teraz otworzyli.
 - Czemu nie. - Grace zerknęła niepewnie na męża.
 - Kochany, zajmiesz się tym?
- Parę osób odwróciło się na dźwięk dartej papieru. Nie zwracając na nich uwagi, Rutłweyn położył paczkę na najbliższym stole i ostrożnie odwinął gruby arkusz pergaminu.
- Mój Boże - odezwał się, przeczesując wzrokiem gałęzie i kolumny starannie wykaligrafowanych imion.
 - To jest... to jest drzewo genealogiczne.
 - Spójrz, Adrianie! - zawołała Grace, kładąc palec na ich połączonych imionach. - To jest nasze drzewo! Tutaj jesteśmy i tak już będzie zawsze.
 - Tak, moi drodzy, ale na tej karcie znajduje się jeszcze jedna ciekawa para małżeńska.
- Pan Sutherland pochylił się nad stołem i wskazał kilka linii na górze arkusza.
- Do diabła! Przecież to sir Angus Muirhead! - zauważył Rutłweyn.
 - No właśnie. Wynika stąd, że w tysiąc sześćset sześćdziesiątym roku sir Angus poślubił niejaką Annę Forsythe. Widać też, że oni również byli dalekimi krewnymi.
- Grace szeroko otworzyła oczy.
- *Mon Dieu*, znalazł go pan! W końcu go pan znalazł!
 - powiedziała.
 - To prawda, ale jeszcze ważniejsza jest ta linia... - tu przesunął palcem wzdłuż linii, mijając różne imiona i nazwiska, niemal na samą górę strony -.. która pokazuje, że

i Anna, i Angus, pochodzili z tej samej linii co lady Jane McKenzie.

- Lady Jane McKenzie? - Grace zmrużyła oczy, usiłując odczytać drobne litery na dokumencie.

- Matka Sybilli - wyjaśnił. - Tutaj możecie wszystko przeczytać.

Grace potrzebowała dłuższej chwili, żeby przetrwać wszystkie wiadomości. Nie odrywała oczu od Rutłweyna.

- *Mon Dieu*, jesteśmy kuzynami!

- No, jakaś dziesiąta woda po kisielu - sprecyzował Sutherland. - Nie jestem pewien, czy to w ogóle można nazwać pokrewieństwem.

Widząc, że szczęśliwa para nie odrywa od siebie spojrzenia, chrząknął głośno.

- O, widzę, że Bessett do mnie macha - mruknął.

- Wiem, że chcielibyście mieć chwilę dla siebie przed rozpoczęciem uroczystości.

Grace pierwsza wyrwała się z transu.

- Och, dziękuję, panie Sutherland! - zawołała i odwróciła się, żeby go pocałować w policzek. - Nie mogłabym... nie moglibyśmy...

Przerwała, przyłożyła rękę do brzucha i zamrugła, żeby powstrzymać łzy.

- Żadne z nas nie mogło otrzymać lepszego, ważniejszego prezentu ślubnego.

Gdy Ruthveyn usiłował odchrząknąć ogromną kulę, która dławiała mu gardło, Sutherland, nagle zakłopotany, przenosił wzrok z jednego na drugie.

- Wiem, że oboje się tego baliście - wyznał. - I w końcu udało mi się znaleźć ten dokument.

- Ale gdzie? - zapytał Rutłweyn.

Wiedział, że Sutherland szukał wszędzie wzmianek o sir Angusie i w związku z tym dwukrotnie wyjeżdżał do Szkocji, raz w środku zimy, co było istnym szaleństwem. W ciągu paru miesięcy połączył wiele kawałków historii rodziny Grace, zarówno tej szkockiej, jak i francuskiej, ale końcowy ślad stale mu się wymykał.

- Znalazłem jego nazwisko napisane na marginesie jednej ze starych Biblii należących do rodu Forsythe'ów, na stronie z zagiętym rogiem, tak że wyglądało jak Angus Muir - opowiadał Sutherland.
- Na dodatek nie miał wówczas tytułu, więc łatwo było go przeoczyć. Ale kiedy odchyliłem zawinięty róg, pojawiła się reszta nazwiska. Wygląda na to, że wyzdrowiał po wypadku w czasie zarwania się mostu, powrócił na krótko do Szkocji, żeby się ożenić, a później otrzymał tytuł rycerski. Nie wszystko jest tu jasne.

- Ale to on? - spytała szeptem Grace. - Jest pan pewien? Nie ma wątpliwości?

- Tak, *milady*, to on - odpowiedział pan Sutherland. - I był twoim prapraprzodkiem. Kiedy już znalazłem jego nazwisko, cała reszta zaczęła do siebie pasować. Zналиśmy większość faktów, tyle że nie byliśmy w stanie połączyć ich ze sobą.

Rutłweyn złapał rysunek i wziął Grace za rękę.

- Sutherland, jesteś najlepszym z ludzi - oświadczył, kierując się do drzwi sali balowej.

Grace zerknęła przez ramię na gości, którzy sprawiali wrażenie, że dobrze się bawią.

- Poczekaj, dokąd się wmykamy? - zapytała.

- Na chwilkę do oranżerii - odparł gwałtownie, z wyraźną radością i ulgą w głosie. - Chcę się temu przyjrzeć w lepszym świetle.

W obrębie szklanych ścian Rutłweyn jeszcze raz rozpostarł pergamin na stoliku do herbaty w pobliżu klatki Milo. Papuga skakała w tę i z powrotem na drążku, przechylając łepkę i łypiąc jednym koralikowym okiem na dokument.

Usiedli razem, przytuleni, na rattanowej kanapie, przebiegając wzrokiem kolumny i gałęzie pełne nazwisk napisanych niemożliwie drobnym pismem. Wiele z nich

było równie bliskich Ruthweynowi jak jego własne. Dokument był dobry. Był idealny. Jasno przedstawiał odgałęzienie rodziny Grace, z ostatnimi Szkotami, sir Angusem i lady Anną, ponad długą linią francuskich potomków.

W końcu Ruthweyn odwrócił się do Grace, szczęśliwszy niż kiedykolwiek w całym swoim życiu.

- Masz świadomość, co to oznacza, Grace? Jej oczy się śmiały.

- Tak - odpowiedziała, wyginając usta w leniwym uśmiechu, który tak bardzo lubił. - Oznacza to, że nigdy nie będziesz wiedział na pewno, co myślę i co zamierzam zrobić.

- Och, dobrze wiem, co zrobisz za chwilę - rzekł cichym głosem.

- Doprawdy? A cóż to takiego? - zapytała, unosząc brwi.

- Zamierzasz pchnąć mnie na kanapę i zastosować swoje nieczne sztuczki - odpowiedział, biorąc ją w objęcia i przewracając się na miękkie poduszki razem z nią i jej ślubnym strojem.

Grace ze śmiechem oparła się na łokciach.

- Ach, do tej pory zastanawiałam się, czy to nie są salonowe gierki, ale ty naprawdę jesteś jasnowidzem.

I pocałowała go, powoli, mocno.

- *Puk!* - zaskrzeczał Milo. - *Angielski jeniec! Pomocy, pomocy, pomocy!*